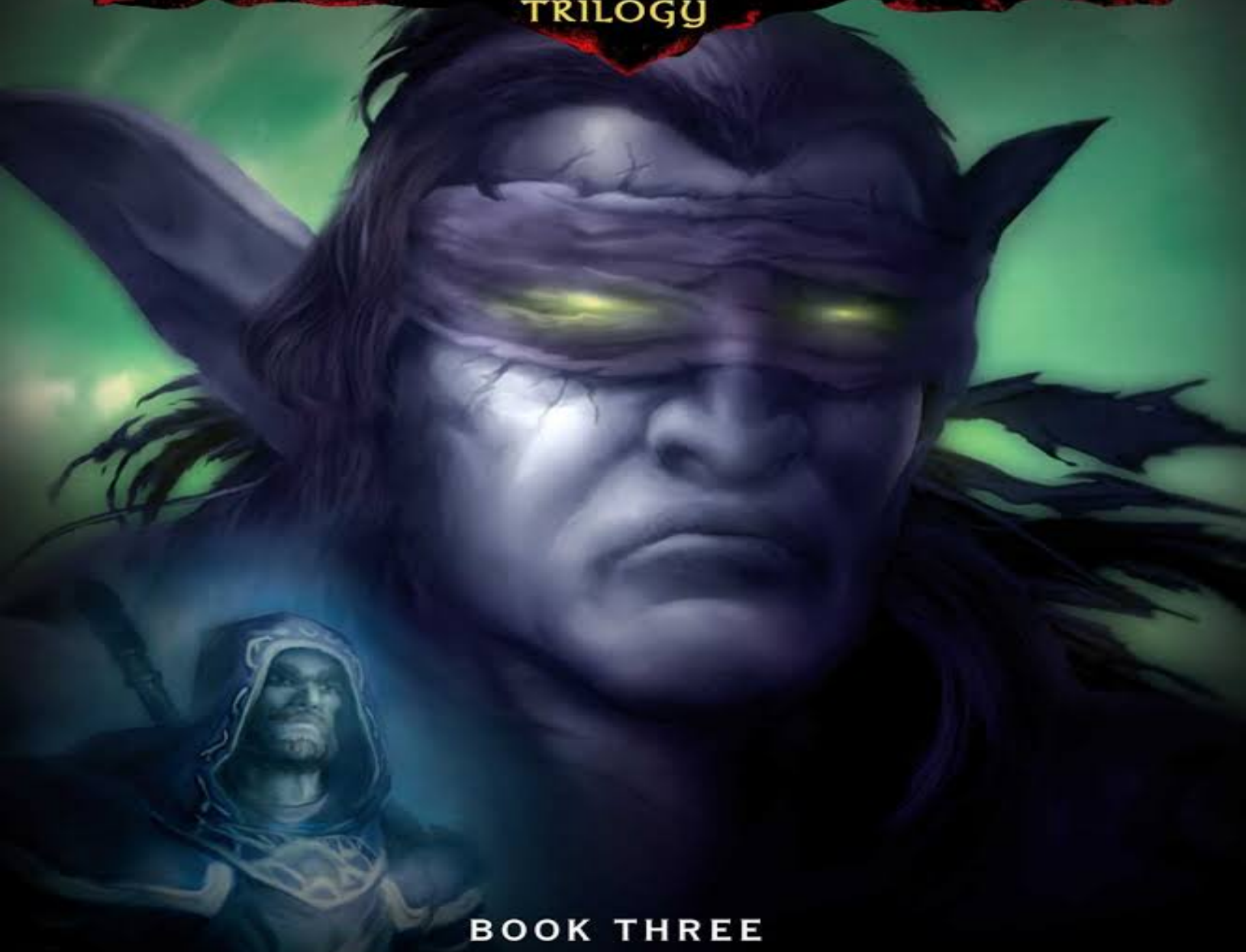


FROM THE *NEW YORK TIMES* BESTSELLING AUTHOR

WARCRAFT®

WAR OF THE ANCIENTS
TRILOGY



BOOK THREE

THE SUNDERING

RICHARD A. KNAAK

WARCRAFT

WOJNA STAROŻYTNYCH
TRYLOGIA



KSIEGA TRZECIA

ROZBICIE

RICHARD A. KNAAK

RICHARD A. KNAAK



WOJNA STAROŻYTNYCH



The sundering

Przełożyła: Karolina Post-Paśko



2008

Spis treści

Karta tytułowa

Nad samym środkiem Studni Wieczności

ROZBICIE

PROLOG

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

DZIEWIĘĆ

DZIESIĘĆ

JEDENAŚCIE

DWANAŚCIE

TRZYNAŚCIE

CZTERNAŚCIE

PIĘTNAŚCIE

SZESNAŚCIE

SIEDEMNAŚCIE

OSIEMNAŚCIE

DZIEWIĘTNAŚCIE

DWADZIEŚCIA

DWADZIEŚCIA JEDEN

DWADZIEŚCIA DWA

DWADZIEŚCIA TRZY

**Nad samym środkiem
Studni Wieczności
płonęła jasnym blaskiem
Dusza Demona.**

W otchłani utworzonej przez zakłęcie Sargerasa kotłowały się siły przebudzone przez Duszę i Studnię, tworząc powoli stabilny portal. W swoim potwornym królestwie pan Legionu przygotowywał się do najnowszego podboju. Wkrótce, już wkrótce usunie z Azeroth wszelkie życie, wszelkie istnienie... a potem przeniesie się do następnego dojrzałego świata.

Ale i inni czekali z zapartym tchem, inni, których marzenia były jeszcze starsze niż pragnienia władcy demonów. Czekali już od bardzo dawna na okazję ucieczki, sposobność odzyskania tego, co kiedyś należało do nich. Każdy sukces Sargerasa na drodze do wzmocnienia portalu jest ich sukcesem. Dzięki Studni, Duszy Demona i potędze pana Legionu otworzą okno do swojego wiecznego więzienia. A kiedy okno zostanie otwarte, nie będzie można go już zamknąć. Prastarzy Bogowie czekają. Czekają już od tak dawna, że mogą poczekać jeszcze trochę dłużej.

Ale tylko trochę...

Dla mojego siostrzeńca, Brandona

ROZBICIE



PROLOG



Wszędzie wokół niego szalała pierwotna furia, niezmordowanie szarpiąc go ze wszystkich stron. Ogień, woda, ziemia i powietrze nasycone surową, nieposkromioną magią wirowały wokół niego w obłąkanym tańcu. Wysilek, jakiego wymagało pozostanie w jednym miejscu, prawie rozrywał go na strzępy, a jednak trwał. Nie mógł przestać.

Przed jego oczyma przewijały się niezliczone sceny, niezliczone przedmioty. Bezkresna, dzika panorama czasu atakowała jego zmysły. Krajobrazy, bitwy i stwory, których nawet on nie był w stanie nazwać. Słyszał głosy wszystkich istot, które istniały teraz, w przeszłości i w przyszłości. Każdy dźwięk, który kiedykolwiek rozbrzmiał, huczał mu w uszach. Oślepiały go niewiarygodne kolory.

Ale najbardziej niepokojący był widok samego siebie w każdym momencie istnienia, prawie od zarania czasu aż po jego kres. Mogłoby mu to nawet dodać otuchy, gdyby nie fakt, że każdy jego aspekt znajdował się w tej samej wymęczonej pozie. Każde jego istnienie usiłowało uchronić nie tylko jego świat, ale całą rzeczywistość przed pogrążeniem się w chaosie.

Nozdormu potrzęsnał łbem i zaryczał z bólu i frustracji.

Nosił postać smoka – ogromnego, złotobrazowego lewiatana, którego opancerzone ciało wydawało się stworzone z piasków czasu. Lśniące klejnoty oczu miały barwę słońca. Szpony były z migoczących diamentów. Był Aspektem czasu, jedną z pięciu wielkich istot, które sprawowały pieczę nad światem Azeroth, utrzymując go w równowadze i chroniąc przed zewnętrznymi i wewnętrznymi zagrożeniami, Ci, którzy ukształtowali świat, stworzyli jego i jego towarzyszy, a Nozdormu obdarzyli szczególną mocą. Zdolnością widzenia tysięcy ścieżek przyszłości i zgłębiania zawilości przeszłości. Pływał w rzece czasu tak jak inni w powietrzu. Ale teraz Nozdormu z trudem powstrzymywał katastrofę, choć miał pomoc swoich niezliczonych wersji.

Skąd to się bierze?, zapytał sam siebie po raz któryś z rzędu. *Co jest powodem?* Miał pewne ogólne pojęcie, ale wciąż żadnych konkretów. Kiedy wyczuł, że materia rzeczywistości zaczyna się pruć, przybył tu, aby zbadać ów fenomen. Na miejscu okazało się, że zdążył w ostatniej chwili zapobiec unicestwieniu wszystkiego, zadanie to pochłonęło go jednak do tego stopnia, że sam nie był w stanie działać nic więcej.

W końcu behemot zwrócił się do kogoś, kogo po tysiakkroć przewyższał mocą, ale czyja inteligencja i oddanie dorównywały przymiotom każdego członka wielkiej piątki. Nozdormu skontaktował się w poszatutowanej wizji z czerwonym smokiem Korialstraszem, oblubieńcem Alexstraszy, Aspektu Życia. Zdołał wysłać lewiatana – w postaci czarodzieja Krasusa – aby zbadał jedną z zewnętrznych oznak nadciągającej katastrofy i być może znalazł sposób zażegnania kryzysu.

Lecz anomalia, której Korialstrasz i jego ludzki protegowany, Rhonin, szukali we wschodnich górach, wchłonęła ich. Wyczuwając ich nagłą bliskość, Nozdormu cisnął ich w epokę, która wydała mu się związana z

zagrożeniem. Wiedział, że przeżyli, ale nie udało im się osiągnąć znaczących sukcesów.

I tak, choć wciąż pokładał w nich nadzieje, Aspekt sam szukał przyczyn zawirowania. Wyteżając swą moc do granic możliwości, śledził każdy przejaw chaosu. Walczył z wizjami ogarniętych bitewnym szaleństwem orków, rozkwitających i upadających królestw, gwałtownych erupcji wulkanicznych, ale wciąż nie mógł znaleźć żadnej wskazówki...

Nie! Wreszcie odkrył coś nowego... coś, co wydawało się mieć wpływ na całe to szaleństwo. Moc emanującą z odległego ogniwa. Nozdormu pogonił za słabym śladem jak rekin za ofiarą, nurkując zmysłami w potworny wir czasu. Kilka razy myślał już, że go zgubił, ale zawsze udawało mu się go znów pochwycić.

Nagle, powoli, scalała się przed nim jakaś mglista siła. Było w niej coś znajomego, coś, co sprawiło, że w pierwszej chwili prawie odrzucił prawdę, gdy ta odsłoniła się przed nim. Nozdormu zawahał się, pewny, że jest w błędzie. To nie mogło być źródłem. To nie było możliwe!

Miał przed sobą wizję Studni Wieczności.

Wody czarnego jeziora były wzburzone podobnie jak całe otoczenie Aspektu. Dzikie rozbłyski czystej magii przecinały powietrze nad ciemnymi wodami.

A potem usłyszał szepty.

Początkowo wziął je za głosy demonów, głosy Płonącego Legionu, ale wydały mu się znajome, więc szybko odrzucił ten pomysł. Nie, zło, jakim ociekały, było jeszcze starsze, jeszcze bardziej nikczemne...

Pierwotne siły wciąż targały jego istotą, ale Nozdormu ignorował ból, pochłonięty swym odkryciem. To tutaj znajdował się klucz do katastrofy. Nie wiedział, czy jest w stanie cokolwiek zdziałać, ale jeśli przynajmniej pozna prawdę, Korialstrasz wciąż będzie miał szansę.

Nozdormu dalej sondował jezioro. Niewielu wiedziało równie dobrze jak on, że to, co wydawało się zbiornikiem wodnym, było w rzeczywistości czymś o wiele większym. Śmiertelne istoty nie były w stanie pojąć w pełni jego natury. Nawet inne Aspekty nie rozumiały jego wód tak dobrze jak Nozdormu, który wiedział, że jezioro ma sekrety także przed nim.

Oczy mówiły mu, że leci nad czarnymi odmętami, ale w rzeczywistości przedzierał się przez inną domenę. Walczył z płataniną połączonych sił chroniących jądro Studni. Miał wrażenie, jakby wody ożyły, albo jak gdyby coś zdomowiło się w Studni do tego stopnia, że stało się jej częścią.

Znów przysły mu do głowy demony – Płonący Legion – i ich plan wykorzystania mocy Studni Wieczności do otwarcia bramy i unicestwienia wszelkiego życia w Azeroth. Ale to było zbyt błyskotliwe jak na nie... nawet jak na ich pana Sargerasa.

Brnąc przed siebie odczuwał coraz większy niepokój. Kilka razy prawie wpadł w pułapkę. Miał przed sobą fałszywe ścieżki, kuszące szlaki, które miały go na zawsze przywiązać do Studni i pożreć jego moc, jego istotę. Nozdormu poruszał się z największą ostrożnością. Schwytnie w pułapkę oznaczałoby nie tylko jego upadek, ale być może koniec wszystkiego.

Zapuszczał się coraz głębiej. Intensywność sił tworzących Studnię zdumiewała go. Potęgą, jaką wyczuwał, przywodziła na myśl stwórców, w obliczu pradawnej chwały których czuł się jak robak wypełzający z błota. Czyżby byli w jakiś sposób powiązani z tajemnicami Studni?

Jego postać wciąż wisiała tuż nad mroczną powierzchnią jeziora. Tylko on i Studnia zachowywali jakąkolwiek stabilność w tym miejscu poza śmiertelnym planem. Wody unosiły się w powietrzu, bezdenne jezioro rozciągało się w poprzek światów.

Zbliżył się do wzburzonej tafli. Na śmiertelnym planie powinna się była odbić jego postać, ale tutaj widział tylko ciemność. Sięgnął umysłem

jeszcze głębiej, wgrzyzając się ku jądru... i prawdzie. Macki czarnej jak atrament wody sięgnęły ku niemu i oplotły mu skrzydła, kończyny i szyję.

Aspekt zareagował w ostatniej chwili, nie dając się wciągnąć pod powierzchnię. Opierał się węzowatym tworom, ale te trzymały mocno. Wszystkie cztery łapy miał unieruchomione, a macka wokół szyi zacisnęła się, odcinając powietrze. Nozdormu zdawał sobie sprawę, że te doznania są jedynie iluzją ale bardzo potężną i stanowiącą odzwierciedlenie rzeczywistości. Jego umysł wpadł w sidła mocy czającej się w głębi Studni. Jeśli szybko się nie uwolni, będzie tak samo martwy, jak gdyby iluzja była rzeczywistością.

Nozdormu odetchnął... i strumień piasku zmienił taflę Studni w migotliwe zwierciadło. Macki szarpnęły się i rozluźniły chwyt. Potem uschły, gdy magia, która powołała je do życia, zestarzała się i zużyła.

Ale gdy opadały, wystrzeliły ku niemu nowe. Nozdormu, który się tego spodziewał, machnął mocno skrzydłami, wzbijając się szybko w górę. Cztery czarne macki smagnęły bezsilnie powietrze, a potem runęły w wodę.

Coś szarpnęło smokiem – to kolejna macka ucapiała go od tyłu. Gdy odwrócił się, żeby się jej pozbyć, wystrzeliły ku niemu kolejne. Odepchnął jedną potem następną i jeszcze następną – po czym uwiązał opleciony kilkunastoma kolejnymi, które zacisnęły się z potworną siłą wlekąc go nieubłagane ku kipiącym wodom Studni. Pod nim utworzył się wir. Nawet w powietrzu Nozdormu czuł jego straszliwą siłę. Luka między Aspektem a wodą zmniejszała się.

Nagle wir się przeobraził. Fale mknące po jego krawędzi stały się poszarpane, po czym zakrzepły. Środek zapadł się, a z jego wnętrza wysunęło się coś przypominającego w pierwszej chwili jeszcze jedną choć nieco inną mackę. Była długa, żylasta, o koniuszku najeżonym trzema spiczastymi wypustkami i unosiła się ku smokowi.

Paszczą.

Złote ślepią Nozdormu rozszerzyły się. Zaszamotał się jeszcze gwałtowniej. Macki przyciągały go ku demonicznej paszczy, która otworzyła się żarłocznie. „Język” smagnął smoka po pysku, raniąc dotkliwie. Szepty dochodzące z głębi Studni stały się jeszcze bardziej napastliwe i podekscytowane. Wyraźne głosy, od których Aspektowi ciarki przeszły po grzbiecie. Tak, należały do istot potężniejszych niż demony...

Znów zionął piaskami czasu w stronę macek, ale tym razem osypały się z czarnych kończyn jak zwykły pył. Nozdormu zwinął się, próbując uwolnić się z uchwytu choć jednej z nich, ale wczepiły się w niego z wampiryczną zjadłością.

To nie spodobało się Aspektowi. Jako esencja czasu został obdarzony przez stwórców znajomością momentu własnej śmierci. Lekcja ta miała służyć temu, by nigdy nie uznał swej mocy za tak wielką i straszliwą, aby nie musieć odpowiadać przed nikim i niczym. Nozdormu wiedział dokładnie, jak i kiedy zginie – i nie była to ta chwila.

Ale nie był w stanie się uwolnić.

„Język” owinał mu się wokół pyska, zaciskając się tak mocno, że Nozdormu miał wrażenie, iż zgruchocze mu kości szczęki. Po raz kolejny powiedział sobie, że to tylko iluzja, ale ta świadomość nie była w stanie złagodzić ani bólu, ani niepokoju, który zżerał go bardziej niż kiedykolwiek.

Był już prawie przy kłach, które zgrzytnęły groźnie, zapewne w próbie zdenerwowania go – udanej próbie. Wysilek, jakiego wymagało utrzymanie razem splotów rzeczywistości, był dodatkowym obciążeniem. O ileż prościej byłoby pozwolić, żeby Studnia go pochłonęła i darować sobie te zmagania...

Nie!, pomyślał gwałtownie Nozdormu. Do głowy przyszła mu rozpaczliwa myśl. Nie wiedział, czy dysponuje wystarczającą mocą, ale nie miał innego wyboru.

Ciało Aspektu zamigotało. Wydawał się wycofywać w głąb siebie. Czas zaczął biec wstecz. Każdy wykonany ruch cofnął się. „Język” odwinął się z jego pyska. Smok wciągnął w płuca piach, a macki wypuściły jego członki, chowając się w ciemnej wodzie...

W tej samej chwili Nozdormu przerwał proces odwrócenia i natychmiast wycofał swój umysł ze Studni. Znów unosił się w rzece czasu, z trudem utrzymując ciągłość rzeczywistości. Ten tytaniczny wysiłek wymagał po katastrofalnych poszukiwaniach jeszcze większego mozołu, ale jakimś cudem Aspekt znalazł w sobie dość sił, by się nie poddać. Dotknął zła deprawującego Studnię i wiedział, że porażka będzie oznaczała coś gorszego niż unicestwienie. Nozdormu wreszcie rozpoznał, czym było owo zło. Nawet straszliwa furia Płonącego Legionu bledła w porównaniu z nim.

Ale Aspekt nie mógł zrobić nic, by je powstrzymać. Z trudem panował nad chaosem. Nie chciało mu się nawet sięgnąć myślą ku pozostałym, zakładając, że byłby w ogóle do tego zdolny. A więc nadzieja umierała. Wciąż pozostawał jej blady promyk, ten sam, co zawsze, ale wydawał się tak nikły, tak pozbawiony znaczenia, że nie był w stanie czerpać zeń pokrzepienia.

Wszystko zależy od nich... pomyślał, targany przez siły żywiołów.
Wszystko zależy od Korialstrasza i człowieka...

JEDEN



Z oddali dolatywał smród i trudno było stwierdzić, który jest silniejszy: kwaśny dym unoszący się z nad płonącej ziemi, czy przejmujący, niemal słodki odór setek rozkładających się powoli ciał, którymi była zasłana.

Nocne elfy zdołały odeprzeć ostatni atak Płonącego Legionu, ale znów musiały się cofnąć. Lord Desdel Stareye nazwał to manewrem oszczędzającym, który miał umożliwić ocenę słabych stron przeciwnika, ale Malfurion Stormrage i jego przyjaciele znali prawdę. Stareye był arystokratą nie mającym bladego pojęcia o strategii i otaczał się podobnymi sobie.

Po śmierci lorda Ravencresta nikt nie miał odwagi przeciwstawić się szczupłemu, wpływowemu szlachcicowi. Oprócz Ravencresta niewiele nocnych elfów znało się na wojaczce, a ponieważ zabity dowódca był ostatnim z rodu, jego dom nie miał go kim zastąpić. Stareye był bez wątpienia ambitny, ale jego nieudolność musiała prędzej czy później sięgnąć na niego i jego ludzi zagładę.

Lecz Malfurion gryzł się nie tylko niepewnym losem elfiej armii. Inna, bliższa jego sercu sprawa kazała mu raz po raz spoglądać w stronę Zin-Azshari, niegdyś wspaniałej stolicy królestwa nocnych elfów. Gdy tylko

przeblýsk bladego światła na wschodzie obwieścił początek pochmurnego dnia, młodzieniec powrócił myślami do swoich porażek. Utraty dwóch osób, który znaczyły dla niego najwięcej – pięknej Tyrande i brata bliźniaka Illidana.

Nocne elfy starzały się bardzo powoli, ale młody Malfurion wydawał się liczyć sobie więcej niż kilkadziesiąt lat. Wciąż był wysoki – mierzył około siedmiu stóp – szczupły i miał ciemnofioletową skórę jak każdy elf. Ale jego skośne, srebrne oczy bez źrenic, miały dojrzały i gorzki wyraz, jakiego próżno było szukać w spojrzeniu większości jego pobratymców. Rysy jego twarzy stały się też bardziej wilcze, podobne do rysów brata.

Jeszcze bardziej zaskakujące były jego włosy, sięgająca ramion grzywa niezwyklej, ciemnozielonej barwy, choć nawet jego brat miał włosy granatowe. Inni patrzyli na nie tak, jak kiedyś spoglądali na jego skromne szaty, które przedkładał nad strojny ubiór. Jako adept druidyzmu Malfurion nie nosił krzykliwych, fantastycznych strojów, w jakie zwykle odziewał się jego lud. Wolał proste, lniane tuniki, zwykłe skórzane kaftany i spodnie oraz skórzane buty do kolan. Ekstrawaganckie stroje noszone przez nocne elfy był oznaką ich zblazowania i wrodzonej arogancji, przeciwnych jego naturze. Teraz, rzecz jasna, większość nocnych elfów z wyjątkiem lorda Stareye'a i jemu podobnych chodziła w zabłoconych, przesiąkniętych krwią ubraniach. Ale co istotniejsze, zamiast spoglądać z góry na młodego odmieńca, patrzyli nań teraz z rozpaczliwą nadzieją, świadomi, że większość z nich ocalała dzięki jego działaniom.

Ale dokąd zaprowadziły go te działania? Jak dotąd trudno je było nazwać sukcesem. Na domiar złego Malfurion odkrył, że czerpiąc z naturalnych mocy żywego świata zapoczątkował proces fizycznej przemiany.

Potarł wierzch głowy, gdzie pod włosami rosły mu dwa drobne guzki. Pojawiły się zaledwie kilka dni temu, ale zdążyły już podwoić swoje rozmiary. Te dwa drobne narośla przejmowały Malfuriona dreszczem, bo za bardzo przypominały mu rogi satyra. Te z kolei przywodziły na myśl Xaviusa, doradcę królowej, który powstał z martwych i zanim Malfurion rozprawił się z nim raz na zawsze, zdążył przekazać Tyrande w łapska dowódców Płonącego Legionu.

– Musisz przestać o niej myśleć – powiedział ktoś, podchodząc do niego z tyłu.

Zaskoczony Malfurion podniósł oczy na towarzysza, który wśród nocnych elfów budził jeszcze większe zaciekawienie niż druid. W całym Kalimdorze nie było drugiej takiej istoty jak Rhonin.

Zakapturzona postać spowita w granatową opończę, spod której wystawały koszula i spodnie tego samego koloru, była o ponad głowę niższa od Malfuriona, nawet w butach. Ale to nie jej wzrost ani szaty ściągały na nią spojrzenia i wzbudzały komentarze. To płomienne włosy do ramion, wysypujące się spod kaptura, bardziej okrągła, bardzo blada twarz – zwłaszcza nos skrzywiony lekko w bok – niepokoiły tak bardzo inne nocne elfy. Jeszcze bardziej zaskakujące były oczy mężczyzny – szmaragdowozielone z całkowicie czarnymi źrenicami.

Pomimo stosunkowo niskiego wzrostu Rhonin był zbudowany potężniej od Malfuriona. Wyglądał na tęgiego rębajłę i rzeczywiście nim był – rzecz niezwykła u kogoś, kto wykazał się również znajomością magicznych arkanów. Rhonin twierdził, że należy do rasy „ludzi”, o jakiej nikt jeszcze nie słyszał. Lecz jeśli podróżnik o szkarłatnych włosach był jej typowym przedstawicielem, Malfurion życzyłby sobie jeszcze tysiąca takich jak on w szeregach elfiej armii. Podczas gdy magia jego własnego ludu, zależna w

dużej mierze od Studni Wieczności, coraz częściej zawodziła, Rhonin posługiwał się własną mocą niczym potomek półboga.

– Jak mogę przestać? Jak mógłbym śmieć? – zapytał Malfurion, czując nagły przypływ złości, choć wiedział, że jego towarzysz nie zasługuje na to. – Tyrande jest ich więźniarką już zbyt długo, a mi cały czas nie udaje się nawet zajrzeć za mury pałacu!

W przeszłości Malfurion wykorzystywał nauki swojego mentora – półboga Cenariususa – aby wędrować po krainie Szmaragdowego Snu. Szmaragdowy Sen był miejscem, gdzie świat wyglądał tak, jak mógłby wyglądać, gdyby nie pojawiła się cywilizacja ani zwierzęta. Podróżując przezeń pod senną postacią można było szybko dotrzeć w dowolne miejsce na świecie. Dzięki temu Malfurion był w stanie przeniknąć przez magiczne bariery otaczające cytadelę królowej Azshary i śledzić jej Szlachetnie Urodzonych oraz dowódców Płonącego Legionu. W ten sposób zdołał pokrzyżować plany Xaviusa, doradcy władczyni, a po wydostaniu się z niewoli zniszczyć tymczasowo portal i wieżę, w której ten się mieścił.

Ale teraz potężny demon Archimond wzmocnił bariery ochronne, uniemożliwiając sforsowanie ich nawet w Szmaragdowym Śnie. Malfurion wciąż próbował się przez nie przedrzeć, ale równie dobrze mógłby próbować przebić własnym ciałem prawdziwy mur.

Świadomość, że oprócz Tyrande mógł się tam znajdować również Illidan, wcale nie była pomocna.

– Elune otoczy ją swą opieką – odparł stanowczo Rhonin. – Księżycowa Matka wydaje się spoglądać na nią z wyjątkową przychylnością.

Malfurion nie mógł zaprzeczyć. Jeszcze niedawno Tyrande była młodą nowicjuską służącą lunarnej bogini. Jednak nadejście Płonącego Legionu przyspieszyło u niej przemianę równie wielką jak u niego, jeśli nie większą. Jej moc wzrosła i ku jej ogromnemu zaskoczeniu wysoka kapłanka, która

została śmiertelnie ranna podczas bitwy, na łożu śmierci wybrała Tyrande na swoją następczynię, choć było wiele znacznie bardziej doświadczonych siostr wyższych rangą. Niestety, nowa godność sprawiła, że została porwana przez przeobrażonego Xaviusa i jego satyry. Xavius zapłacił w końcu za swoje nieczne czyny, ale nie ocaliło to Tyrande.

– Czy nawet Elune jest w stanie przeciwstawić się mrokowi Sargerasa?

Rhonin uniósł krzaczaste brwi.

– Takie gadanie nikomu nie pomoże, Malfurionie. – Obejrzał się za siebie. – I byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś się powstrzymał wśród naszych nowych przyjaciół.

Druid zapomniał na chwilę o swoim nieszczęściu, bo zza pleców czarodzieja wyłoniły się ciemne postacie. Natychmiast zauważył, że należą do więcej niż jednej rasy, bo niektóre przewyższały go zarówno wzrostem, jak i obwodem w pasie, zaś inne były niższe nawet od Rhonina. Jednak wszyscy, którzy szli w ich stronę, poruszali się zdecydowanym krokiem i roztaczali wokół siebie poczucie siły, jakie lud Malfuriona zaczynał dopiero odnajdywać.

Gdy doleciał go zapach piżma, natychmiast stężał. Nad nocnym elfem zatrzymała się porośnięta futrem postać odziana jedynie w przepaskę biodrową i dzierżąca ogromną włócznię. Olbrzym sapał ciężko, przez co kółko w jego nosie pobrzękiwało cicho. Pysk stwora miał ponad stopę długości, a nad nim płonęło determinacją dwoje głęboko osadzonych oczu. Nad srogim, pomarszczonym czołem wyrastała para groźnie wyglądających rogów.

Tauren...

– Oto... – zaczął Rhonin.

– Wiedz, że stoi przed tobą Huln Highmountain, nocny elfie – zagrzmiała kudłata istota o byczym łbie. – Huln dzierżący orlą włócznię! –

Uniósł oręż, pokazując zakrzywione ostrze wykute na kształt dzioba drapieżnego ptaka. Całe drzewce było od góry do dołu obciągnięte skórą, na której widniały znaki w języku ludu Hulna. Malfurion wiedział o taurenach dość, by się domyślić, że wyryto na nim całą historię włóczni, od chwili jej wykucia poprzez wszystkie bohaterskie czyny jej właścicieli. – Huln, który przemawia w imieniu wszystkich zebranych plemion.

Byk kiwnął łbem dla podkreślenia swoich słów. W jego futrze można się było doliczyć ponad dwóch tuzinów warkoczyków, których większość zwisała mu pod szczęką. Każdy oznaczał jedną ofiarę w bitwie.

Przysadzista, acz muskularna postać pod prawym ramieniem taurena prychnęła. Przypominała nieco pobratymca Rhonina, przynajmniej z rysów twarzy. Ale tu kończyły się wszelkie podobieństwa. Brodacz był zbudowany tak, jak gdyby jakaś potężna siła – może tauren albo niedźwiedziowaty stwór stojący za nim – wzięła młot bojowy i kilkoma uderzeniami wgniotła go w ziemię. Jeszcze bardziej zdumiewające było to, że ciało nieznanego było z kamienia. Skóra wydawała się wyciosana z szarego granitu, skośne oczy lśniły jak diamenty, a brodę tworzyła płatanina mineralnych narośli.

Krasnolud – bo taką nazwę jego rasy znał Malfurion – sięgnął do jednej z sakiewek przy pasie i wyciągnął z niej glinianą fajkę, hubkę oraz krzesiwo. Gdy ją zapalał, rozbłysk płomieni oświetlił na chwilę szarą twarz, zwłaszcza duży, perkaty nochal. Pomimo że siwa broda świadczyła o podeszłym wieku, krasnolud nie zdradzał żadnych oznak zniedołężnienia. Choć z kamienia, nosił opończę z kapturem, szerokie, płaskie buty oraz spodnie i koszulę, jakie mógł nosić górnik. Przez plecy miał przewieszony topór o jednym, wyjątkowo ostrym ostrzu prawie dorównujący mu wielkością.

– Dungard Ironcutter, reprezentujący klany Ziemnych – powiedział krótko, jako że krasnoludy nie słynęły z krasomówstwa.

Ziemni. Malfurion obiecał sobie zapamiętać tę nazwę. „Krasnolud” było słowem wymyślonym przez nocne elfy, w dodatku nieco obraźliwym.

Niedźwiedziowaty stwór za plecami Dungarda warknął nagle. Ani krasnolud, ani tauren nie zwrócili uwagi na ten groźny odgłos, ale Malfurion cofnął się instynktownie o krok.

Stwór wyszedł ciężko naprzód. Był podobny do niedźwiedzia, ale poruszał się bardziej jak człowiek. Malfurionowi przypominał pod pewnymi względami bliźniaczych bogów Ursoca i Ursola, ale był wyraźnie prymitywnym stworzeniem. Miał na sobie tylko brązową, wyblakłą przepaskę biodrową i naszyjnik z pazurów. Bestia o trójpalczastych stopach wzniosła maczugę. Drugą łapę o czterech palcach zacisnęła w pięść. Stwór znów zaryczał, nieco innym tonem niż za pierwszym razem.

– Furbolg Unng Ak mówi, że wypowiada się w imieniu stad – przetłumaczył szybko Rhonin.

Za nimi stali jeszcze inni, ale nie zdecydowali się wystąpić naprzód. Malfurion przyglądał się temu niezwykłemu zgromadzeniu, po czym spojrzał z niejakim podziwem na Rhonina.

– Przekonałeś ich wszystkich, żeby przyszli...

– Brox i ja pomagaliśmy, ale najwięcej dokonał Krasus.

Malfurion rozejrzał się wśród ciżby stworów, lecz nie dostrzegł nauczyciela Rhonina. Na pierwszy rzut oka wysoka postać w szarej opończy przypominała nocnego elfa najbardziej ze wszystkich przybyszów. Na pewno bardziej niż Brox, zwalisty, zielonoskóry wojownik, który nazywał siebie orkiem. Tak, Krasus mógłby uchodzić za nocnego elfa... ale od dawna martwego, bo jego skóra miała bardzo blady odcień, a większość włosów lśniła srebrem. Mag miał też o wiele ostrzejsze rysy twarzy niż

pobratymcy Malfuriona. Na dodatek jego oczy przypominały nieco oczy Rhonina, ale były długie i wąskie, zaś w ich źrenicach tlił się ogień pradawnej mądrości. Pradawnej mądrości istoty, która w rzeczywistości była smokiem.

W ich stronę zmierzała jakaś postać. Nie Krasus, lecz Brox. Ork sprawiał wrażenie znużonego, ale jak zwykle był w bojowym nastroju. Brox był wojownikiem, który poświęcił walce całe swoje życie. Całe ciało orka pokrywały blizny. Muskulaturą mógł rywalizować z taurenami. Lord Stareye uważał go za bestię nie lepszą niż Huln czy furbolg. Jednak wszyscy szanowali siłę jego ramienia, zwłaszcza gdy dzierżył magiczny drewniany topór, który stworzyli specjalnie dla niego Cenarius z Malfurionem.

Druid wciąż rozglądał się za Krasusem, ale nigdzie nie było go widać. Nie podobało mu się to.

– Gdzie on jest?

Zaciskając usta, Rhonin odpowiedział kwaśno:

– Powiedział, że jest coś, czym musi się natychmiast zająć, bez względu na konsekwencje.

– Co takiego?

– Nie mam pojęcia, Malfurionie. W wielu sprawach Krasus polega wyłącznie na sobie.

– Potrzebujemy go... ja go potrzebuję...

Rhonin położył rękę na ramieniu nocnego elfa.

– Obiecuję ci, że ją uwolnimy.

Malfurion nie był tego wcale taki pewny, podobnie jak nie był przekonany, że lord Stareye zaakceptuje nowych sojuszników. Misja, jakiej podjął się Rhonin wraz z towarzyszami, nie uzyskała aprobaty dowódcy armii, ale Krasus był przekonany, że kiedy szlachcicowi zostanie

przedstawiona taka siła, opamięta się. Jednak przekonanie Desdela Stareye'a mogło się okazać o wiele trudniejszym zadaniem niż przemówienie do rozsądku furbolgom.

Druid pogodził się wreszcie z faktem, że nie podejmą natychmiast kolejnej próby ratowania Tyrande. Prawdę mówiąc, wykorzystali już wszystkie dostępne możliwości, przynajmniej na tę chwilę. Mimo to, choć skupił się z powrotem na przybyszach, wciąż starał się wymyślić sposób, który pozwoliłby ocalić przyjaciółkę z dzieciństwa... i jednocześnie poznać prawdę o losie Illidana.

Krasnolud pykał z fajki, Huln czekał z cierpliwością zadającą kłam jego bestialskiemu wyglądowi. Unng Ak węszył, wciągając w nozdrza różne zapachy i ściskając mocno maczugę.

– A niech mnie, wolałabym jednak, żeby Krasus tu był – powiedział Rhonin, przyglądając się potencjalnym sojusznikom. – Nie mogę się już doczekać, żeby zobaczyć minę Stareye'a, kiedy ta banda przed nim stanie...



Szlachcicowi opadła szczeka. Niesiona w stronę nosa szczypta tabaki spadła na podłogę namiotu jak popiół, gdy zadrżały mu palce.

– Kogo sprowadziliście do naszego obozu?

Na twarzy Rhonina wciąż malował się spokój.

– Naszą jedyną szansę na wyrównanie strat, a może nawet zwycięstwo.

Lord Stareye gniewnym gestem odrzucił połę wyszywanego bogato płaszcza. W powietrzu zafurkotała płatanina zielonych, pomarańczowych i

purpurowych linii. Pancerz miał bardziej stonowaną, szarozieloną barwę, choć napierśnik ozdobiony był na środku symbolem jego domu, masą inkrustowanych klejnotami gwiazdek, pomiędzy którymi osadzono złotą kulę. Na stole z mapami leżał jego hełm pokryty podobnymi zdobieniami.

Wyniosły nocny elf spoglądał w dół z wyraźną złością.

– Zlekceważyliście wyraźny rozkaz! Każę was zakuć w dyby...

– Które rozpuszczę, zanim się zamkną. A potem opuszczę armię, podobnie jak niektórzy moi przyjaciele, jak przypuszczam.

Było to zwykłe stwierdzenie faktu, ale wszyscy obecni pojęli groźbę. Stareye wbił wzrok w trzech szlachciców, którzy towarzyszyli mu, gdy Rhonin i Malfurion weszli do namiotu, aby ogłosić przybycie sprzymierzeńców. Odpowiedziały mu obojętne spojrzenia. Żaden nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za nakłanianie przełożonego do pozbycia się najpotężniejszych członków armii.

Dowódca nocnych elfów uśmiechnął się nagle. Malfurion z trudem opanował drżenie.

– Wybacz mi, mistrzu Rhoninie! To pochopne słowa, wypowiedziane bez namysłu! W żadnym wypadku nie chciałbym urazić ciebie i twoich... – Sięgnął do kieszeni, wydobył z niej odrobinę białego proszku i wciągnął go w jedną z dziurek nosa. – Jesteśmy rozsądni. Załatwimy tę sprawę rozsądnie, bez względu na to, w jaki sposób narzucono ją niektórym z nas. – Niedbałym gestem wskazał klapę namiotu. – Wprowadźcie je... ich do środka.

Rhonin podszedł do wyjścia i zawołał. Do środka weszło dwóch żołnierzy, a zaraz za nimi oficer dobrze znany Malfurionowi. Jarod Shadovsong służył jako kapitan gwardii Suramarskiej, gdy miał pecha wziąć Krasusa w niewolę. W efekcie stał się wbrew własnej woli członkiem ich drużyny, a świętej pamięci Ravencrest powierzył mu nawet ich ochronę.

Stareye nie zmienił dyspozycji poprzednika, choć już dawno okazało się, że nikt nie jest w stanie utrzymać drużyny, a zwłaszcza starszego maga, w jednym miejscu.

Za Jarodem weszli do środka Huln, furbolg i Dungard. Za nimi wpadło do środka kilku kolejnych żołnierzy, którzy szybko zajęli strategiczne pozycje, aby w razie konieczności móc chronić dowódcę.

Stareye zmarszczył nos. Nawet nie starał się ukryć pogardy. Huln stał niewzruszony jak skała. Unng Ak wyszczerzył ostre kły.

Dungard palił fajkę.

– Wolałabym, żebyś to zgasił – powiedział szlachcic.

Krasnolud pyknął z fajki.

– Bezczelny! Widzisz, z jakimi bestiami i wyrzutkami szykujesz nam sojusz? – warknął Stareye, zapominając już o swoich wcześniejszych słowach. – Nasz lud nigdy na to nie pójdzie!

– Jako dowódca musisz ich przekonać – odparł spokojnie czarodziej. – Tak samo jak stojąca przed tobą trójka musiała przekonać swoich pobratymców.

– Pyszałkowate nocne elfy potrzebują kogoś, kto potrafi walczyć – mruknął nagle Dungard, z fajką wciąż w kąciku ust. – Kogoś, kto nauczy was prawdziwego życia...

Unng Ak wydał z siebie głośne szcęknięcie. Malfurion dopiero po chwili zorientował się, że furbolg gruchnął śmiechem.

– Przynajmniej nieobce są nam dobrodziejstwa cywilizacji – odwarknął jakiś szlachcic. – Takie jak kąpiele i dbałość o wygląd.

– Może demony pozwolą wam zostać swoimi łaźniami.

Nocny elf dobył miecza, jego towarzysze zrobili to samo. Dungard dobył topora tak szybko, że ruch rozmazał się w oczach. Huln ścisnął włócznie i prychnął. Unng Ak machnął wyzywająco maczugą.

Środek namiotu rozbłysnął nagle błękitnym blaskiem. Obie strony zapomniały o sprzeczce, próbując osłonić oczy. Malfurion odwrócił się, zauważając, że na Rhoninie rozbłysk nie zrobił żadnego wrażenia.

Człowiek wkroczył pomiędzy zwaśnione strony.

– Dość tego! Los Kalimdoru, waszych najbliższych... – wahał się przez chwilę, patrząc w dal. – Waszych najbliższych... zależy od tego, czy przewyciężycie swoje małostkowe uprzedzenia!

Rhonin spojrział na Hulna i jego towarzyszy, a potem na szlachciców Stareye'a. Żadna ze stron nie miała najwyraźniej ochoty, by powtórzył swój oślepiający wyczyn.

Kiwnął gwałtownie głową.

– Doskonale! Skoro się zrozumieliśmy, czas porozmawiać o...



Krasus uderzył o posadzkę lodowatej pieczary z głuchym łoskotem. Leżał tak przez chwilę, łapiąc z trudem oddech. Zaklęcie, które go tu przeniosło, było ryzykowne, zwłaszcza w jego stanie. Pieczara znajdowała się daleko od miejsca, gdzie stacjonowała elfia armia – prawie pół świata dalej. Ośmielił się jednak podjąć ryzyko, świadomy nie tylko konsekwencji, jakie mogło mieć dla jego osoby, ale i tego, że może być już za późno, aby zrobić to, co zamierzył.

O swoich zamiarach nie śmiał powiedzieć nawet Rhoninowi. Czarodziej domagałby się, aby mu towarzyszyć, ale jeden z nich musiał zostać, żeby kontrolować napiętą sytuację z potencjalnymi sojusznikami nocnych elfów.

Krasus ufał człowiekowi całkowicie – Rhonin okazał się bardziej elastyczny i godny zaufania niż ktokolwiek, kogo smoczy mag zdążył poznać w swoim tak długim życiu.

Kiedy odzyskał miarowy oddech, wstał. W chłodnej jaskini z jego ust wydobywały się kłęby pary, które unosiły się powoli ku wysokiemu, poszarpanemu sklepieniu. Sterczące z niego stalaktyty rywalizowały z poszczerbionymi lodowymi formacjami, posadzkę pokrywał szron.

Mag wysondował mentalnie najbliższą okolicę, ale nie odkrył obecności żadnej innej istoty. Nie dodało mu to otuchy, ale i nie zaskoczyło go. Widział katastrofę na własne oczy, patrzył, jak Neltharion, Strażnik Ziemi – wielki czarny smok – zwrócił się w swym szaleństwie przeciwko własnej rasie i wizja ta wryła mu się na zawsze w pamięć. Wszyscy członkowie czterech stad ucierpieli, ale mieszkańcy tej pieczary zapłacili za swój opór najwyższą cenę.

Dzieci Malygosa zostały wyrżnięte w pień, a on sam przepędzony w siną dal. Wszystko to za sprawą zdradzieckiego tworu Strażnika Ziemi, który smoki same nasyciły mocą. Dusza Smoka... a raczej Dusza Demona, jak nazywał ją w myślach.

– Malygosie... – zawołał Krasus. Imię odbiło się echem od skrzących się ścian komnaty. Kiedyś, pomimo panującego w nim chłodu, było to miejsce radosne, bowiem błękitne smoki były istotami czystej magii i kochały się nią otaczać. Jakże pusta, niemal martwa wydawała się teraz pieczara.

Krasus odczekał wystarczająco długo, aby dać wielkiemu Aspektowi czas na odpowiedź, po czym ruszył ostrożnie po śliskim, nierównym podłożu. Sam też był smokiem, ale należącym do stada czerwonych smoków Alexstraszy, Matki Życia. Między czerwonymi a błękitnymi gadami nigdy nie było wrogości, ale nie chciał ryzykować. Gdyby Malygos ukrył się gdzieś głębiej w płataninie jaskiń, nie było wiadomo, jak mógłby

zareagować. Szok, jakim było zdziesiątkowanie jego współplemieńców, sprawił, że znalazł się na skraju obłądu; dojście do siebie miało mu zająć wiele wieków.

Krasus wiedział to wszystko, ponieważ przybył tu z odległej przyszłości. Przeżył zdradę Nelthariona, który miał zostać nazwany – imię to znacznie lepiej do niego pasowało – Skrzydłami Śmierci. Patrzył, jak smocza rasa popada w ruinę, ich liczba maleje, a reszta wielkich gadów, nie wyłączając jego królowej, zostaje zmuszona do służby orkom.

Smoczy mag ponownie wysilił wyższe zmysły, sięgając coraz dalej w głąb jaskiń. Wszędzie, gdzie szukał, napotykał jedynie pustkę, pustkę za bardzo przypominającą wielki grobowiec. Nie natrafił na żadną życiową aurę i zaczynał już dochodzić do rozpaczliwego wniosku, że nagła chęć przybycia tu na nic się nie zdała.

A potem... bardzo, bardzo głęboko w trzewiach kryjówki Malygosa natrafił na słabiutką emanację siły życiowej. Była tak nikła, że Krasus prawie ją zlekceważył, biorąc za wytwór własnych pragnień, ale zaraz wyczuł obok niej następną, podobną obecność.

Zakapturzony wędrował zdradzieckimi, mrocznymi korytarzami. W miejscach, gdzie droga robiła się niebezpieczna, miał kilka razy kłopoty z utrzymaniem się na nogach. Było to królestwo istot setki razy większych od jego obecnej postaci, wielkie łapy smoków z łatwością pokonywały szczeliny i wąwozy, na których zbocza on musiał się wspinać.

Gdyby to od niego zależało, poddałby się transformacji, ale w tej epoce nie było to możliwe. On i jego młodsza wersja istnieli tu jednocześnie. Pozwoliło im to dokonać wielkich czynów w walce z Płonącym Legionem, ale nakładało na nich pewne ograniczenia. Obaj musieli zachować postać, jaką obecnie nosili, i obaj czuli się bardzo osłabieni, gdy przebywali z dala

od siebie. Choć ten ostatni problem udało im się w zasadzie rozwiązać, Krasus musiał pozostać w ludzkim ciele.

Wrzask nad głową kazał mu przyłgnąć do ściany. Przeleciał nad nim duży, błoniasty kształt – nietoperz wielkości wilka o kocim pysku, gęstym futrze i siekaczach długości palca. Stwór zawrócił, szykując się do kolejnego ataku, ale Krasus uniósł już rękę. Ognista kula zderzyła się w powietrzu ze stworem. Nietoperz wleciał w sam jej środek.

Płomienna sfera napęczniała, a potem implodowała.

Na Krasusa spadł deszcz popiołu – bo tylko tyle zostało ze stwora. Zdumiało go, że nie wyczuł zawczasu nietoperza. Pochwyił kilka strzępków i zbadał je zmysłami. Badanie wykazało, że stwór był konstruktem, a nie żywą istotą. A więc strażnik Pana Magii.

Starłszy z siebie resztki popiołu, Krasus podjął mozolną wędrówkę. Przeniesienie się za pomocą magii w tak odległe miejsce wiele go kosztowało, ale żadna cena za wykonanie tego zadania nie była zbyt wysoka.

Nagle, ku jego zaskoczeniu, ogarnęła go fala ciepła. Narastało ono w miarę, jak posuwał się naprzód, ale nie aż tak, jak mógłby się spodziewać. Gdy zbliżył się do następnej wielkiej pieczary, na jego pociągłej twarzy pojawił się chmurny grymas. Z jego obliczeń wynikało, że poziom ciepła powinien być kilka razy wyższy.

Bładobłękitna poświata dochodząca z jaskini rozświetlała koniec korytarza. Krasus mrugnął, dostosowując spektrum widzenia, po czym wszedł do środka.

Wszędzie leżały jaja. Setki błękitnobiałych jaj różnych rozmiarów, od tych w rozmiarze jego pięści do wielkich jak on sam. Westchnął mimowolnie, bo nie spodziewał się takiej obfitości.

Ale nadzieja, która w niego wstąpiła, prawie natychmiast go opuściła. Dokładniejsze oględziny ujawniły straszną prawdę. Wiele jaj było popękanych, ale była to oznaka rozkładu, nie narodzin. Krasus położył dłoń w rękawicy na jednym z większych, ale nie wyczuł w środku żadnego ruchu.

Zaczął chodzić od jaja do jaja, przepełniony coraz większą goryczą. Historia musiała się powtórzyć, mimo że postanowił tak jawnie się jej przeciwstawić. Miał przed sobą przyszłość niebieskich smoków, ale była to przyszłość pozbawiona nadziei tak jak w pierwotnej wersji. W tej wersji, którą znał Krasus, Malygos tak długo nie był w stanie wydobyć się z katatonicznego stanu, w jakim zostawił go Neltharion, że magia utrzymująca w komnacie z jajami warunki konieczne do ich przeżycia – magia powiązana z wielkimi Aspektami – przestała działać. Wystawione na działanie zimna jaja zginęły, a wraz z nimi cała nadzieja. W przyszłości Alexstrasza zaproponowała Malygosowi, że pomoże mu powoli odtworzyć jego stado, ale w chwili, w której Krasus został przeniesiony w przeszłość, dopiero zaczynała realizować ten plan.

Teraz, wbrew temu wszystkiemu, co od początku wyklądał Rhoninowi, Krasus podjął może najbardziej ryzykowną próbę zmiany przyszłych losów świata. Miał nadzieję uratować jaja i przenieść je w bezpieczne miejsce, ale ciągłe walki z demonami i konieczność przełamania głupiego uporu nocnych elfów wzbraniających się przed sojuszem sprawiły, że przybył za późno.

A może nie? Krasus zatrzymał się z nadzieją nad na wpół rozwiniętym jajem. Wciąż rosło w nim życie. Trochę ospale, ale na tyle zdecydowanie, że mag miał pewność, iż ciepło podtrzyma je przy życiu.

Sprawdził następne, które też okazało się żywe. Ruszył z zapalem dalej, ale kilku kolejnych jaj nie otaczała już życiodajna aura. Zgrzytając zębami,

podbiegł do następnego lęgu.

Znalazł jeszcze cztery jaja rokujące jakieś nadzieje. Zanim podjął dalsze poszukiwania, jednym palcem oznaczył każde z nich i te znalezione wcześniej miękkim, złotym blaskiem.

Ostatecznie okazało się, że żywych jaj było o wiele mniej, niż miał nadzieję znaleźć, ale o wiele więcej, niż mu się należało. Smoczy mag przyglądał się tym oznaczonym, które emanowały złotym blaskiem w różnych miejscach komnaty. Miał absolutną pewność, że to już wszystkie. Teraz jednak najważniejsze było uchronienie tych nielicznych przed losem, jaki spotkał resztę.

Pozostałe smoki, nawet jego ukochana Alexstrasza, były niewidzialne dla jego zmysłów. Mógł się tylko domyślać, że schroniły się gdzieś, aby otrząsnąć się ze straszliwej mocy Duszy Demona. Jego własne wspomnienia z tego okresu były niekompletne wskutek podróży i odniesionych obrażeń. Pozostałe stada miały jeszcze powrócić na pole bitwy, ale pamiętał, że dla błękitnych smoków Malygosa będzie już za późno. Nie był nawet w stanie skontaktować się ze swoją młodszą wersją. Korialstrasz, sponiewierany wskutek heroicznych prób odwrócenia uwagi Nelthariona, wyruszył, by dowiedzieć się, jaki los spotkał pozostałe lewiatany.

I tak Krasus musiał sam zdecydować, co zrobić. Jeszcze przed udaniem się do pieczary Malygosa próbował wymyślić, gdzie mógłby bezpiecznie ukryć jaja. Żadne miejsce go nie satysfakcjonowało. Nawet gaj półboga Cenariusza okazał się nieodpowiedni. To prawda, rogate bóstwo było zaufanym mentorem Malfuriona Stormrage'a i mogło z powodzeniem być potomkiem smoczycy Ysery, ale Krasus wiedział, że Cenarius ma już na głowie dość spraw.

– A więc niech tak będzie – wymamrotał zakapturzony czarodziej.

Urękawiczonym palcem narysował w powietrzu krąg, który zamigotał złotymi iskrami. Koło było idealnie okrągłe i wyglądało, jak gdyby zostało wycięte w atmosferze.

Dotykając koniuszkami palców środka kręgu, smoczy mag sprawił, że ten *zniknął*. Przed nim unosiła się biała dziura sięgająca poza śmiertelny plan.

Krasus mamrotał pod nosem. Zarys kręgu zapłonął czerwienią. Z jego wnętrza wydobył się jęk i w stronę dziury zaczęły się toczyć drobne, luźne kamyki. Krasus mamrotał dalej, ale choć ssanie stało się jeszcze mocniejsze, kamienie się zatrzymały. Za to jaja zaczęły delikatnie drżeć, jak gdyby nawet w tych zimnych i martwych coś się poruszało.

Ale było inaczej. Jedno z żywych jaj najbliżej Krasusa uniosło się nagle w powietrze i podплыnęło łagodnie w stronę luki. Następne oznaczono jajo zrobiło to samo, a za nim reszta. Martwe jaja wciąż dygotały, ale pozostały na swoim miejscu.

Na jego oczach przyszłość stada Malygosa ustawiła się w szeregu przed luką i zaczęła w nią wpływać.

Co ciekawe, każde jajo, które się do niej zbliżyło, wydawało się kurczyć, tak by do niej pasować. Jedno za drugim, cenne znaleziska Krasusa zniknęły w wyrwie.

Kiedy znikło ostatnie, zakapturzony czarodziej zapieczętował otwór. W jego miejscu pojawiła się na moment złota iskra, a potem wszelki ślad po luce zaginał.

– Dość by przetrwać, nie dość by kwitnąć – mruknął Krasus. Miną wieki, nim błękitne lewiatany osiągną bezpieczną liczebność. Nawet przy założeniu, że z każdego jaja coś się wykluje, nawet w epoce, z której przybył, błękitnych smoków będzie wciąż mało.

Ale lepsze to niż nic.

Nagle ogarnęła go fala znużenia i nudności. Niewiele brakowało, a byłby upadł. Choć częściowo rozwikłał zagadkę choroby, która sprawiła, że zaniemógł w chwili przeniesienia się w przeszłość – powodem była konieczność dzielenia ze swoją młodszą wersją tej samej siły życiowej – wciąż podlegał pewnym ograniczeniom.

Ale nie miał czasu na odpoczynek. Jaja były bezpieczne, umieszczone w przenośnym wszechświecie, gdzie upływ czasu był tak wolny, że w zasadzie nieistotny. Dzięki temu mógł zdążyć przekazać je komuś, komu ufał... pod warunkiem, że przeżyje wojnę.

Na myśl o wojnie Krasus zebrał się w sobie. Choć miał zaufanie do Rhonina i Malfuriona, wokół jej wyniku było wciąż zbyt wiele znaków zapytania. Bieg wydarzeń został na zawsze zmieniony; możliwe, że Płonący Legion, który pierwotnie przegrał zmagania, tym razem zatriumfuje. Choć początkowo miał opory przed mieszaniem się w przeszłość, teraz zdawał sobie sprawę, że musi zrobić wszystko, co w jego mocy, aby pomóc nocnym elfom i reszcie. Teraz liczyło się wyłącznie to, by w ogóle była jakaś przyszłość.

Rozpoczynając zaklęcie mające go przenieść z powrotem do armii, Krasus patrzył na dziesiątki martwych jaj. Jeśli demony wygrają, czeka ich ponura przyszłość. Właśnie taka. Zimna, mroczna, pozbawiona życia. Wieczna pustka.

Smoczy mag syknął gwałtownie i znikł.

DWA



Zin–Azshari. Niegdyś wspaniałe ukoronowanie cywilizacji nocnych elfów. Ogromne miasto zbudowane nad brzegiem źródła mocy nocnych elfów, Studni. Siedziba jej wysokości królowej Azshary, na której cześć mieszkańcy nazwali stolicę.

Zin–Azshari... zrujnowane cmentarzysko, baza wypadowa Płonącego Legionu. Podobne do wilków piekielne bestie węszyły wśród gruzów, szukając charakterystycznego zapachu życia i magii. Bliźniacze macki wyrastające im z kosmatych barków śmigwały na boki, jak gdyby sterował nimi osobny umysł. Zębate przyssawki na ich końcach otwierały się i zamykały żarłocznie. Piekielne bestie uwielbiały wysysać z magów ich moc i siłę życiową ale rzędy ostrych kłów w paszczach potworów ostrzegały, że resztą też nie pogardzą.

Dwa demoniczne ogary buszujące wśród ruin czegoś, co było niegdyś pięciopiętrowym nadrzewnym domem, uniosły pyski na dźwięk maszerujących stóp i szczęk oręża. Mijały ich zastępy dzikich wojowników, których celem była oddalona o wiele dni drogi armia elfich obrońców. Piekielni gwardziści stanowili trzon wojsk nieprzyjaciela i przewyższali liczebnością wszystkie pozostałe demony razem wzięte. Każdy miał ponad

dziewięć stóp wzrostu, lecz choć szerocy w barach, byli dziwnie szczupli, a nawet chudzi w pasie. Z ich przypominających czaszki łbów wyrastały wielkie, zakrzywione rogi. Nabiegłe krwią ślepie lustrowały z uwagą krajobraz po bitwie. Choć maszerowali równym krokiem, panowało wśród nich ogólne zniecierpliwienie, bo jedynym sensem ich życia była rzeź. Od czasu do czasu jeden z zębatach wojowników popychał towarzysza, co groziło wybuchem anarchii.

Ale trzask bicia szybko przywoływał ich do porządku. Strażnicy zagłady o płomiennych skrzydłach latali nad każdym z oddziałów, pilnując, by nie wkraść się w nie nieporządek. Nieco wyżsi, różnili się od braci w dole większą inteligencją i mniejszą liczebnością.

Choć Zin–Azshari zasnuwała teraz budząca lęk mgła, armia potworów nie miała żadnych kłopotów z manewrami. Mgła stanowiła taką samą ich część jak miecze, topory i włócznie, które dzierżyli. Miała nawet taki sam ohydny zielony kolor jak budzące grozę płomienie otaczające każdego demona.

Marszowi Płonącego Legionu przypatrywały się smętnie czaszki nocnych elfów. Oni i setki im podobnych zginęli na samym początku, zdradzeni przez czczoną przez siebie władczynię. Z mieszkańców stolicy przeżyli wyłącznie Szlachetnie Urodzeni, słudzy królowej. W wydzielonej dzielnicy, otoczonej ogromnymi murami, nie musieli narażać swych wrażliwych oczu na widok rzezi. Odziani w krzykliwe, wielobarwne szaty charakterystyczne dla elity, zajmowali się sobą, czekając na rozkazy Azshary.

Pałacowa straż wciąż stała na murach pałacu z fanatycznym, godnym demonów blaskiem w oczach. Dowodził nimi kapitan Varo'then – obecnie bardziej generał niż zwykły oficer – który służył monarchini za oczy i usta, gdy nie życzyła sobie, by przerywać jej wypoczynek. Gdyby otrzymali taki

rozkaz, stanęliby ramię w ramię z demonami przeciwko własnemu ludowi. Przyglądali się już przecież beznamiętnie masakrze mieszkańców miasta. Tak jak prawie wszyscy w pałacu byli sługami Azshary i pana Płonącego Legionu.

Sargerasa.



Ta, która nie była ani służką królowej, ani marionetką demonów, wisiała w celi głęboko w podziemiach pałacu, usiłując opanować wgrzyżający się w jej trzewia strach modlitwą do swej bogini.

Tyrande Whisperwind, kapłanka Elune – Księżycowej Matki – obudziła się w samym środku koszmaru. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, była straszliwa bitwa tocząca się wokół niej. Zrzucona przez konającego wierzchowca, uderzyła się w głowę. Malfurion zaniósł ją w bezpieczne miejsce... a resztę pamiętała jak przez mgłę. Przypominała sobie niejasno przerażające obrazy i dźwięki. Podobne do kóz stwory szczerzące się lubieżnie. Szponiaste, kosmate łapska na swoim ciele. Zrozpaczony głos Malfuriona, a potem...

A potem kapłanka ocknęła się tutaj.

Migdałowe oczy srebrzystej barwy omiotły więzienie po raz tysięczny. Wdzięczne usta rozchyliły się z żalem i ponurą akceptacją. Potrząsnęła głową i opadające falami długie granatowe włosy rozsypały się na wszystkie strony. Teraz, gdy nie miała na głowie hełmu, srebrzyste pasemka

były jeszcze lepiej widoczne. Nic się nie zmieniło, odkąd rozglądała się wokół po raz ostatni. Czy naprawdę liczyła na to, że coś ulegnie zmianie?

Nadgarstków i kostek nie miała skrępowanych kajdanami, ale równie dobrze mogłaby je nosić. Od stóp do głów otaczała ją mieniąca się zielona sfera, która unosiła się stopę nad wilgotną, kamienną posadzką. Stała w niej z ramionami wyciągniętymi nad głową i ciasno złączonymi nogami. Pomimo wysiłków nowo namaszczonej wysokiej kapłanki nie była w stanie ich rozdzielić. Magia wielkiego demona, Archimonda, okazała się zbyt potężna.

Ale nawet jeśli jego magia unieruchomiła całkowicie Tyrande, Archimond nie osiągnął swojego głównego celu. Nie było żadnych wątpliwości, że pragnął ją torturować, nagiąć do woli swojej i swojego pana. Dysponował nie tylko własną przerażającą wyobraźnią, ale również budzącymi grozę umiejętnościami Szlachetnie Urodzonych i sadystycznych satyrów.

Jednak w chwili, w której demon spróbował ją skrzywdzić, akolitkę Elune otoczyła blada księżycowa poświata, której Archimond ani jego pachołkowie nie byli w stanie przeniknąć. W starciu z ich mocą płytkowy pancerz chroniący gibką postać kapłanki okazałby się równie bezużyteczny jak cienki srebrny płaszcz, z którego odarli ją na początku, ale przejrzysta aura działała niczym gruba na milę żelazna ściana. Archimond próbował ją wielokrotnie sforsować, lecz na próżno. Rozwścieczony olbrzym chwycił w końcu niespodziewającego się niczego piekielnego gwardzistę i bez najmniejszego wysiłku zmiażdżył mu gardło.

Po tamtej porażce zostawili ją samą – próby rozbicia armii nocnych elfów okazały się ważniejsze niż pojedyncza kapłanka. Nie oznaczało to, że nie mają względem niej żadnych planów, gdyż satyry, które przeniosły ją przez magiczny portal poinformowały swojego pana, że jest bliska komuś,

kto zostałznaczony przez Archimonda – Malfurionowi. W najgorszym wypadku mogli wykorzystać Tyrande przeciwko niemu i właśnie to napawało ją przerażeniem. Tyrande nie chciała stać się przyczyną upadku Malfuriona.

Tupot stóp w korytarzu ostrzegł ją, że ktoś nadchodzi. Podniosła z niepokojem wzrok, słysząc dźwięk przekręcane go w zamku klucza. Gdy drzwi się otworzyły, do środka weszła postać, której obawiała się prawie tak samo jak Archimonda. Oficer z blizną na twarzy nosił lśniący szmaragdowozielony pancerz ozdobiony na piersi wzorem ze złotych słońc. Za nim łopotała złota peleryna. Wydawał się nigdy nie mrugać wąskimi oczami, a kiedy jego spojrzenie spoczęło na Tyrande, było tak intensywne, że elfka nie była w stanie go odwzajemnić.

– Jest przytomna – stwierdził kapitan Varo'then, zwracając się do kogoś, kto stał za jego plecami.

– W takim razie nie widzę przeszkód – odparł senny, żeński głos. – Zobaczmy, co też lord Archimond ceni aż tak wysoko...

Kłaniając się, Varo'then odsunął się w bok, przepuszczając kobietę. Tyrande stłumiła okrzyk, choć domyślała się, kto to.

Królowa Azshara była tak idealnie piękna, jak głosiły opowieści. Bujne srebrzyste włosy opadały jej kaskadą na plecy. Oczy miała złote i na wpół przesłonięte powiekami, usta pełne i uwodzicielskie. Była odziana w jedwabną suknię tego samego koloru co włosy, na tyle cienką, by podkreślać kryjące się pod nią kształty. Na każdym nadgarstku nosiła wysadzane klejnotami bransolety, a w uszach kolczyki do kompletu, tak długie, że prawie sięgały jej nagich ramion. Wysoką tiarę we włosach ozdobił rubin odbijający mętne światło pochodni niesionej przez strażnika, śląc oślepiające refleksy.

Za królową weszła jeszcze jedna elfka, którą też można by uznać za piękność, ale jej urok bladł w obecności Azshary. Dwórka miała na sobie szaty podobne do stroju pani, ale gorszej jakości. Nosiła też bardzo podobne uczesanie, ale włosy miała farbowane i ich barwa nie mogła się równać z intensywnością grzywy Azshary. Prawdę powiedziawszy, jedyną wyróżniającą ją cechą były oczy – srebrzyste jak u większości nocnych elfów, ale egzotyczne, jakby kocie.

– To ona? – zapytała królowa, przyglądając się więźniarce z nieskrywanym rozczarowaniem.

W obecności Azshary Tyrande poczuła się jeszcze bardziej pospolita od jej dwórki. Chciała przynajmniej otrzeć brud i krew z twarzy i ciała, ale nie mogła. Choć zdawała sobie sprawę, że królowa zdradziła swój lud, kapłanka czuła przemożną chęć ukłęknięcia przed nią, taka charyzma była od monarchini.

– Nie powinnaś jej lekceważyć, o Światło Świateł – odparł kapitan. Kiedy patrzył na Azsharę, w jego oczach płonęło pożądanie. – Elune wydaje się być jej przychylna.

Na królowej nie zrobiło to wrażenia. Marszcząc idealnie kształtny nos, zapytała:

– A kimże jest Elune w porównaniu z wielkim Sargerasem?

– Mądrze powiedziane, wasza wysokość.

Azshara podeszła bliżej. Każdy jej ruch miał za zadanie zrobić jak największe wrażenie na widowni. Tyrande znów poczuła przemożną chęć ukłęknięcia przed nią.

– Ładniutka, acz pospolita – stwierdziła bezceremonialnie. – Nadałaby się może na służebną. Czy chciałabyś tego... jak jej na imię, kapitanie?

– Tyrande – odparł Varo'then, składając krótki ukłon.

– Tyrande... chciałybyś być moją dwórką? Mieszkać w pałacu? Być ulubienicą moją i mojego pana? Hmm?

Towarzyszająca królowej elfka drgnęła i wbiła w kapłankę nienawistne spojrzenie kocich oczu. Nawet nie próbowała ukryć zajadłej zazdrości.

Zaciskając zęby, nocna elfka wydyszała:

– Przysięgłam wierność Księżycowej Matce, moje życie i serce należą do niej.

Urodę królowej zesześcił na chwilę brzydki grymas, który dorównywał złością spojrzeniu Varo'thena.

– Niewdzięczna dziewczko! I na dodatek kłamliwa! Swoim sercem rozporządzasz nader rozrzutnie, może nie? Najpierw oddałaś je jednemu, a potem drugiemu bratu! A może jeszcze komuś? – Kiedy Tyrande nie odpowiedziała, Azshara podjęła: – Czy igranie z mężczyznami nie jest cudowne? To takie zabawne, gdy biją się o ciebie, nieprawdaż? To takie przyjemne, gdy przelewają krew w twoim imieniu! Właściwie powinnam ci pogratulować. Bracia, a zwłaszcza bliźniacy, to doskonałe wyzwanie! Niszczą łączące ich więzi, aż będą gotowi skoczyć sobie do gardeł, zdradzić się nawzajem... wszystko dla twoich względów!

Varo'then zachichotał. Dama dworu uśmiechnęła się ponuro. Tyrande poczuła, że z oka pociekła jej łza i przekleła w duchu swoją emocjonalność.

– Ojej! Czyżbym poruszyła drażliwy temat? Stukrotnie przepraszam. Biedni Malfurion i Illidan... tak się nazywali, nieprawdaż? Ale przede wszystkim biedaczek Illidan. Spotkała go taka tragedia. Trudno się dziwić, że postąpił tak, jak postąpił.

– Co z Illidanem? – wyrwało się Tyrande. – Co masz na myśli?

Ale Azshara odwróciła się już do Varo'thena i służki.

– Powinna odpocząć, zgodzisz się, kapitanie? Chodź, lady Vashj! Pójdziemy sprawdzić, jak postępują prace nad portalem. Chcę być gotowa

na przybycie Sargerasa... – Królowa rozpromieniła się, wymieniając imię demona. – Chcę wyglądać jak najpiękniej...

Strażnicy rozstąpili się, przepuszczając kapitana Varo'thena, który poprowadził królową i lady Vashj do drzwi. Już na korytarzu władczyni nocnych elfów spojrzała przez ramię na pojmaną kapłankę.

– Naprawdę powinnaś przemyśleć moją propozycję, moja droga! Mogłabyś zachować ich obu przy życiu, aby się nimi bawić... oczywiście, gdy ja już się nimi znudzę.

Huk zamykających się żelaznych drzwi pogrzebał wszelkie nadzieje Tyrande. Przed oczyma stanęli jej Malfurion i Illidan. Malfurion był świadkiem jej porwania i wiedziała, że niemożność ocalenia jej pogrzyła go w rozpacz. Obawiała się, że uczyni go to lekkomyślnym, przez co stanie się łatwym łupem dla demonów.

Był jeszcze Illidan. Tuż przed ostatnią bitwą odkrył, ku komu zwróciła swe uczucia, i nie przyjął tego dobrze. Choć słowa Azshary miały z pewnością na celu złamanie jej oporu, nie mogła ich tak zupełnie zlekceważyć. Znała dobrze Illidana i wiedziała, jak szalony potrafi być. Czyżby ta skłonność, podsycona jej odrzuceniem, sprawiła, że zrobił coś strasznego?

– Elune, Księżycowa Matko, miej ich obu w opiece – wyszeptała. Nie mogła zaprzeczyć, że przede wszystkim leży jej na sercu los Malfuriona, ale jego brat też nie był jej zupełnie obojętny. Wiedziała też, jak okropnie będzie się czuł jej ukochany, jeśli jego bratu przytrafi się coś złego.

Na myśl o tym Tyrande dodała:

– Księżycowa Matko, bez względu na los, jaki mnie spotka, proszę, ocal Illidana, przynajmniej ze względu na Malfuriona! Daj im siebie nawzajem! Nie pozwól Illidanowi...

W tej samej chwili wyczuła w pobliżu czyjś obecność, z pewnością w pałacu, tak bliska się wydawała. Wrażenie trwało krótko, bardzo krótko, ale mimo to kapłanka nie miała wątpliwości, kogo wyczuła.

Illidan! Illidan w Zin–Azshari... w pałacu!

To odkrycie wstrząsnęło nią do głębi. Wyobraziła sobie, że jest więźniem poddawany okrutnym torturom, jako że nie chroniła go tak jak jej cudowna miłość Elune. Tyrande widziała, jak wrzeszczy, obdzierany żywcem ze skóry przez demony, których magia nie pozwalała mu stracić przytomności nawet na chwilę. Dręczących go nie tylko z powodu zasług w walce z Legionem, ale aby ukarać go za dokonania Malfuriona.

Znów spróbowała dotknąć jego myśli, lecz na próżno. Jednak coś w tym przelotnym kontakcie ją zaniepokoiło. Zastanowiła się nad tym, zaglądając w głąb siebie. Wyczuła w uczuciach Illidana coś, co się jej nie spodobało, coś bardzo złego...

Kiedy uświadomiła sobie, co to takiego, zastygła z przerażenia. To niemożliwe! Illidan nie mógł tego zrobić, nawet po takich przejściach!

– Nie mógłby stać się taki... – upierała się Tyrande. – Żaden powód...

Teraz wreszcie zrozumiała część słów królowej. Illidan – choć wydawało się to takie niemożliwe – przybył do Zin–Azshari z własnej woli.

Sam chciał służyć panu Płonącego Legionu.



Najbardziej wysunięta na południe wieża pałacu płonęła magiczną energią, Szlachetnie Urodzeni nie ustawali w wysiłkach ani w dzień, ani w

nocy. Strażnicy na pobliskich posterunkach starali się nie patrzeć w stronę wysokiej budowli w obawie, że potężna magia mogłaby ich wziąć w swoje władanie.

W środku Szlachetnie Urodzeni, odziani w haftowane misternie turkusowe szaty, z nasuniętymi na twarz kapturami, stali w kręgu na przemian z ponurymi, rogatymi stworami o dolnej połowie ciała należącej do kozłów. One też były kiedyś nocnymi elfami, lecz choć od pasa w górę wciąż je trochę przypominały, za sprawą przebiegłości i czarnej magii stały się czymś więcej. Czymś, co było teraz częścią Płonącego Legionu, nie świata Azeroth.

Satyrami.

Ale nawet satyry wyglądały na znużone wyteżoną pracą nad zaklęciem działającym wewnątrz heksagonalnego wzoru. Nad nim, na poziomie oczu, unosiła się płomienna masa, a z jej środka ziała ciemność, która wydawała się nie mieć dna, dając świadectwo temu, jak daleko poza własny plan egzystencji sięgnęli magowie. Zapuścili się poza kraj rozsądku, poza granice porządku... w chaos, z którego przybyły demony.

W królestwo Sargerasa, pana Legionu.

Nad pocącymi się magami pochylał się wielki cień. Skrzydlate monstrum poruszało się na czterech nogach potężnych jak pnie drzew. Z żabiej twarzy sterczały wielkie kły. Spod grubego łuku brwiowego spoglądały groźnie płonące ślepia. Czubek głowy potwora prawie szorował o sklepienie.

Smagając posadzkę ogromnym ogonem, Mannoroth zagrzmiął:

– Ustabilizujcie go! Pourydam wam łby i napiję się krwi z waszych szyj, jeśli coś zepsujecie!

Niemniej jednak pocił się tak samo jak pozostali. Spróbowali użyć nowego zaklęcia, aby powiększyć i wzmocnić portal – aby sam Sarger

mógł przezeń przejść – ale prawie stracili nad nim kontrolę. Taka porażka wiązałaby się z egzekucją kilku czarodziejów, ale mogła również oznaczać straszliwy upadek samego Mannorotha. Wiedział, że Archimond nie będzie tolerował kolejnych błędów.

– Czy mogę? – odezwał się jakiś głos od strony wejścia.

Mannoroth warknął, spoglądając na nędznego nocnego elfa. Oprócz niepokojących bursztynowych oczu nie widział nic ciekawego w tym przybyszu zwanym Illidan Stormrage. Archimond pozwolił mu żyć, bo wyczuł w nim pewien potencjał, ale Mannoroth niczego nie pragnął bardziej, niż powiesić aroganta na hakach wbitych w oczy i powoli obcinać mu członek po członku. Byłby to pewien rodzaj zemsty na bracie Illidana, druidzie, który przyniósł Mannorothowi tyle kłopotów i wstydu.

Ale tego rodzaju rozrywki musiały poczekać. Możliwe, że jeszcze będzie mu dane patrzeć, jak Illidan ponosi sromotną klęskę. Mannoroth wyciągnął wielką szponiastą łapę, zapraszając nocnego elfa do środka. Odziany w czarny skórzany kaftan i spodnie, z włosami związanymi ciasno w koński ogon, minął demona, jak gdyby ten był powietrzem. Był gorszy niż ten żołnierz Azshary, Varo'then.

Illidan zatrzymał się obok kręgu, obserwując magów przy pracy. Po chwili kiwnął głową, po czym swobodnym gestem utworzył dla siebie miejsce między zaskoczonym satyrem a jednym ze Szlachetnie Urodzonych.

Portal zafalował. Mannoroth zgrzytnął poźółkłymi kłami. Gdyby nocny elf coś zepsuł, Archimond nie mógłby winić swojego zastępcy za rozwleczenie winowajcy po ścianie.

Illidan wykonał pojedynczy gest w stronę płomiennej wyrwy... i portal nagle przestał drżeć. Niestabilność wykryta przez demona znikła. Portal był teraz wręcz mocniejszy niż wcześniej.

Mannoroth zmarszczył zielone czoło. Czyżby ta nędzna istota posiadała moc... Zanim dokończył tę myśl, komnatę wypełniła czyjaś obecność, która pochodziła z głębi portalu.

– Na kolana! – zaryczał czworonożny demon.

Wszyscy – magowie i strażnicy – natychmiast padli na ziemię.

Wszyscy... oprócz Illidana.

On stał spokojnie przed portalem, choć nie mógł nie wyczuć przytłaczającej obecności, jaka z niego wyzierała. Nocny elf wpatrywał się w czerń zupełnie jak gdyby na coś czekał.

To ty... rozległ się głos Sargerasa.

Pochodnie zamigotały gwałtownie. Jeden z roztańczonych cieni, jakie zostały obudzone, wydawał się bardziej żywy od pozostałych. Nie tylko urósł aż pod samo sklepienie, ale rozciągnął się na nim, zatrzymując się dokładnie nad płomienną luką.

Illidan potraktował tę manifestację z taką samą obojętnością jak wszystko inne. Mannoroth mógł go tylko uznać za największego głupca, jakiego kiedykolwiek spotkał.

To ty dokonałeś tego, czego inni nie potrafili...

W końcu nocny elf wykazał odrobinę rozsądku i pochylił głowę.

– Uznałem, że należy działać.

Jesteś silny... powiedział z zaświatów Sargerasa. Nastąpiła chwila ciszy, a potem: *ale nie dość silny...*

Miał na myśli to, że pomimo całej swojej mocy Illidan nie był dość potężny, aby wzmocnić portal na tyle, by pan Legionu mógł się dostać na śmiertelny plan. Mannoroth miał mieszane uczucia w tej kwestii – z jednej strony czuł frustrację, że droga dla Sargerasa jest wciąż zamknięta, z drugiej cieszył się, że nocny elf zawiódł.

– Ale być może znam sposób – odezwał się niespodziewanie Illidan.

Znów zapadła cisza jak makiem zasiał. Mannoroth zaniepokoił się, gdy zaczęła się przeciągać, bo jeszcze nigdy nie widział Sargerasa takim spokojnym.

W końcu... *Mów.*

Illidan uniósł lewą dłoń. W jej wnętrzu pojawiła się iluzja jakiegoś przedmiotu. Mannoroth wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć. Poczł rozczarowanie. Zamiast amuletu misternej roboty czy płonącego kryształu zobaczył zwykły złoty dysk, którego jedyną godną uwagi cechą było to, że wypełniał całą dłoń. Gdyby taki leżał przed skrzydlatym behemotem, przeszedłby po nim bez specjalnych rozterek.

Spodziewał się, że Sargeraz ukarze Illidana za marnowanie swojego czasu, ale pan Legionu zareagował z wyraźnym zainteresowaniem. *Wyjaśnij...*

Czarodziej renegat odpowiedział natychmiast:

– To klucz. Ma moc. To *Dusza Smoka*.

Teraz Mannoroth i pozostali zaczęli się przysłuchiwać o wiele uważniej. Wszyscy byli świadkami jej furii, czuli jej obezwładniającą potęgę. Dzięki niej czarny smok kładł pokotem setki demonów i nocnych elfów. Wzruszył ziemię na obszarze wielu mil i przegonił pozostałe smoki, gdy próbowały go powstrzymać.

A wszystko to za sprawą tak niepozornego przedmiotu.

– Widziałeś ją, nawet stamtąd, gdzie czekasz – ciągnął Illidan. – Wyczułeś jej wspaniałą moc i słusznie pragniesz ją osiąść.

Tak...

– Mógłbyś zabijać tysiące samą siłą woli. Mógłbyś ogołocić całe krainy ze wszystkich opierających się form życia... z wszelkiego życia. Kropka.

Tak...

– Ale nie przyszło ci na myśl, że Dusza Smoka może stać się źródłem mocy, która pozwoli ci się dostać do tego świata, prawda?

Sargeraz milczał, co było wystarczającą odpowiedzią. Mannoroth chrząknął. Nocny elf był za sprytny, żeby mogło się to dla niego dobrze skończyć. Płonący Legion pragnął zdobyć artefakt, ale ten wciąż znajdował się w posiadaniu czarnego smoka. W końcu demony będą miały dość sił i środków, aby zapolować na bestię, ale najpierw musiały wybić lud Illidana.

Ma moc, oświadczył w końcu pan Legionu. Mogłaby otworzyć drogę... gdyby należała do nas...

– Znam sposób, który pozwoli ją wytropić, dowiedzieć się, gdzie ukrył ją smok.

Kolejna znacząca przerwa, a potem: *Czarna bestia dobrze się ukryła...* odparł Sargeraz. *Nawet przede mną...*

Illidan kiwnął głową z uśmiechem, który, gdyby tylko należał do kogokolwiek innego, pan Legionu stałby razem z mięsem i przytwierdzonymi do niego ścięgnami – nawet z zaświatów.

– Ale nie przede mną... bo wiem, jak ją odnaleźć... za pomocą tego.

Nocny elf wykonał gest i w jego lewej ręce pojawiła się nagle niemal trójkątna hebanowa płytką wielkości jego głowy. Mannoroth pochylił się do przodu. Najpierw pomyślał, że to kawałek pancerza jednego z obrońców tego świata, ale zaraz zauważył, że nie jest to metal.

Smocza łuska.

Łuska czarnego smoka.

– Drobną odłamek, przeoczony przez tak wielką bestię – powiedział Illidan, obracając płytkę na drugą stronę. – W walce z czerwonym smokiem otrzymałem kilka ran. Wiedziałem, że musiał stracić przynajmniej jedną złamaną łuskę... więc pojechałem by ją odszukać. Kiedy znalazłem to, czego szukałem, ruszyłem tutaj.

Mannoroth zmierzył go złym spojrzeniem. Czy zuchwałość tego czarodzieja nie miała granic? Nie będąc w stanie utrzymać dłużej języka za zębami, warknął:

– Dlaczego? Dlaczego nie zaniósłeś jej swoim przyjaciółom? Twojemu bratu?

Nocny elf spojrział przez ramię.

– Ponieważ zasługuję na potęgę, na nagrodę.

Demon czekał na coś więcej, ale Illidan już skończył. Odwrócił się z powrotem w stronę portalu.

– Potrzebny mi nieograniczony dostęp do energii Studni. Smok jest potężny, zwłaszcza, że ma artefakt. Ale czerpiąc moc ze Studni znajdę go, bez względu na to gdzie przebywa!

– A wtedy po prostu mu go odbierzesz, śmiertelniku? – zadrwił demon.
– Czy może po prostu ci go odda?

– Odbiorę go bestii w ten czy inny sposób – odparł beztrąsko Illidan, wciąż wpatrując się w oszalałą otchłań. – I przyniosę tutaj.

Mannoroth zaczął się śmiać, ale zaraz urwał, czując na gardle zaciskającą się pętlę. Nacisk prawie natychmiast zelżał, ale przesłanie było jasne. Bez względu na to, co myślał o tym skrzydlaty demon, pan Legionu chciał wysłuchać słów tego szubrawca.

Przyniesiesz dzieło smoka mnie, oznajmił Sargeras.

– Tak.

I zostaniesz sownie wynagrodzony za swoje zasługi, jeśli ci się powiedzie.

Nocny elf pochylił głowę.

– Nic nie mogłoby ucieszyć mnie bardziej, niż możliwość stanięcia przed tobą z Duszą Smoka w dłoni.

Wydawało się, że Sargeras zachichotał.

Taka lojalność zasługuje na znak mojej przychylności, znak, który jednocześnie pomoże ci w wypełnieniu zadania, nocny elfie...

Illidan podniósł wzrok. Na jego pociągłej twarzy po raz pierwszy zagościła niepewność.

– Lordzie Sargerasio, twoje przybycie do Azeroth będzie już wystarczającą łaską a ja nie potrzebuję dodatkowej pomocy...

Nalegam.

Z portalu wystrzeliły bliźniacze języki ciemnozielonego ognia.

Mannoroth natychmiast osłonił oczy. Illidan, na którym skupiła się magia Sargerasa, nie miał takiej możliwości, choć i tak na nic by mu się to nie zdało.

Płomienie wlały mu się do oczu.

Miękka tkanka natychmiast spłonęła. Wrzask Illidana odbił się echem od ścian komnaty, niosąc go poza mury pałacu. Z twarzy elfa znikły wszelkie oznaki arogancji. Wyzierało z niej już tylko cierpienie, czyste i niczym niezmacone.

Ogień się wzmógł. Illidan oderwał się od podłogi z rozpostartymi szeroko ramionami. Wygiął się w tył, prawie łamiąc się w pół. Nadprzyrodzony ogień wciąż wlewał się w jego poczerwiałe oczodoły, choć resztki jego oczu już dawno spłonęły.

Szlachetnie Urodzeni i satyry nie śmieli przerwać czarów, ale skulili się, usiłując odsunąć się jak najdalej od szamoczącego się nocnego elfa. Nawet strażnicy zrobili kilka kroków w tył.

Nagle, równie gwałtownie jak wystrzeliły naprzód, płomienie się wycofały.

Illidan runął na twardą kamienną posadzkę, jakimś cudem lądując na czworakach. Dyszał ciężko i boleśnie. Głowa zwisała mu prawie do ziemi. Wydawało się, że opuściła go cała wcześniejsza zuchwałość.

Głos Sargerasa wypełnił umysły wszystkich obecnych.

Spójrz na mnie, mój wierny sługo.

Illidan posłuchał.

Po oczach nie było nawet śladu. Zostały tylko oczodoły, wypalone do poczerniałej kości. Wokół nich prześwitywały fragmenty czaszki.

Ale nawet jeśli pan Legionu pozbawił nocnego elfa oczu, to zastąpił je czymś innym. Teraz oczodoły płonęły bliźniaczymi płomieniami, ognistymi kulami tej samej zjadliwej barwy jak te, które tak okaleczyły czarodzieja. Ogień płonął dziko jeszcze przez kilka sekund... po czym przygasł, aż zostały z niego wyłącznie dymiące szczątki. W powietrzu wciąż unosił się jednak dym, nie słabnąc, ale i nie przybierając na sile.

Twoje oczy są teraz moimi oczyma, nocny elfie, będą służyć zarówno tobie, jak i mnie...

Illidan nic nie odpowiedział, najwyraźniej zbyt ogarnięty bólem.

Sargeras sięgnął nagle ku umysłowi Mannorotha.

Pozwól mu odpocząć. Kiedy dojdzie do siebie, wyruszy, aby udowodnić mi swe oddanie... i przejąć artefakt...

Na znak Mannorotha dwaj piekielni gwardziści podeszli do trzęsącego się Illidana, podźwignęli go z ziemi i powlekli do jego kwatery.

Gdy tylko nocny elf znalazł się poza zasięgiem słuchu, generał Sargerasa huknął:

– To błąd pozostawić tego śmiertelnika samemu sobie, nawet po takim upokorzeniu!

Nie będzie podróżował sam... będzie miał towarzysza. Możemy wysłać z nim nocnego elfa o imieniu Varo'then, nie jest nam tutaj potrzebny.

Demon poruszył szerokimi skrzydłami. Mannoroth skrzywił się makabrycznie.

– Varo'then?

Pies Azshary będzie miał oko na czarodzieja. Jeśli Illidan Stormrage spełni swoją obietnicę, otrzyma miejsce wśród nas...

Mannorothowi nie spodobało się takie wyróżnienie.

– A jeśli czarodziej okaże się zdrajcą?

Wtedy Varo'then dostąpi zaszczytu, jaki miał przypaść w udziale bratu druida... kiedy już dostarczy mi dzieło smoka... i bijące serce Illidana Stormrage.

Mannoroth uśmiechnął się jeszcze szerzej.

TRZY



Płonący Legion ponowił atak z niesłabnącą furją. Podczas gdy obrońcy musieli od czasu do czasu spać i jeść, demony nie podlegały tego rodzaju ograniczeniom. Walczyły dzień i noc, dopóki nie zostały zabite, a wycofywały się tylko w obliczu wyraźnej przewagi przeciwnika. Ale nawet wtedy elfy musiały płacić srogą daninę z krwi za każdą piędź zdobytej ziemi.

Ale teraz w obrońców wstąpiły nowe siły. Oprócz elfów walczyli też inni. Taureni, krasnoludy i inne rasy, dzięki którym armia osiągnęła niemalże podwójną liczebność, co pozwoliło zyskać obrońcom jakże pożądaną przewagę. Po raz pierwszy od wielu dni to Legion przegrywał, zepchnięty na odległość dnia drogi od zrujnowanego Suramaru.

Lecz pomimo sukcesów w Malfuriona nie wstąpiła nowa nadzieja. Nie dlatego, że jego zrujnowany dom cały czas służył za barometr zwycięstw i porażek, w miarę jak front raz po raz zbliżał się i oddalał na odległość wzroku od pięknego niegdyś miasta. Niepokoił go raczej tron nowej armii obrończej. To prawda, Rhoninowi udało się wymusić na lordzie Stareye'u zawarcie nowych sojuszy, ale uprzedzony szlachcic uczynił niepewny rozejm z czegoś, co powinno być wspólną sprawą. Nocne elfy tak naprawdę

nie walczyły ramię w ramię z sojusznikami. Stareye trzymał swoich ludzi na lewym skrzydle i w środku, a pozostałe rasy na prawym. Różne grupy prawie się ze sobą nie komunikowały. Nocne elfy miały do czynienia wyłącznie z nocnymi elfami, krasnoludy z krasnoludami i tak dalej.

Taki sojusz, jeśli w ogóle można było tę sytuację tak nazwać, był z pewnością skazany na porażkę. Malfurion wiedział, że demony szybko zrównoważą nowe siły i zaatakują z jeszcze większą zażartością niż wcześniej.

Koordinację pomiędzy oddziałami różnych ras zrzucano na barki nieszczęsnego Jaroda Shadowsonga. Druid dziwił się, że kapitan straży nie znienawidził jeszcze przybyszów, bo ściągali na niego same kłopoty. Jednak Jarod wziął na siebie nowe obowiązki z takim samym ponurym oddaniem jak poprzednio, przez co Malfurion zaczął darzyć go jeszcze większym szacunkiem. Jego wysiłki dorównywały tym czynionym przez Rhonina, Broxa i druida. Załatwiał wszystkie sprawy pomiędzy różnymi frakcjami – z konieczności odfiltrując groźby i oszczerstwa – dzięki czemu armia zachowywała jako taką spójność. Prawdę mówiąc, odpowiadał teraz za strategię armii przynajmniej w równym stopniu, co lord Stareye.

Malfurion modlił się w duchu, by szlachcic nigdy sobie tego nie uświadomił. Jak na ironię, kapitan Shadowsong też wydawał się nie zdawać sobie z tego sprawy. W swoim własnym mniemaniu po prostu wykonywał rozkazy.

Rhonin, który odpoczywał na szczycie skały, skąd miał dobry widok na całe pole bitwy, wyprostował się gwałtownie.

– Znów nadchodzą!

Brox skoczył na równe nogi ze zwinnością przeczącą jego zwalistej posturze. Siwiejący ork machnął kilka razy toporem, po czym ruszył w

stronę frontu. Malfurion wskoczył na grzbiet nocnej pantery, jednego z wielkich szablozębnych kotów używanych przez jego lud w charakterze wierzchowców i rumaków bojowych.

Zagrały rogi. Znużona armia zastygła w gotowości. Wzdłuż szeregów rozległy się sygnały poszczególnych oddziałów.

Chwilę później doszło do kolejnego starcia.

Obrońcy i demony zwarli się z głośnym hukiem. Powietrze natychmiast wypełniły krzyki i stęknienia. Rycząc groźnie, Brox odrąbał głowę jakiemuś piekielnemu gwardziście, po czym pchnął dygocący korpus na demona za nim. Ork urządził wrogom istną krwawą łaźnię, w krótkim czasie zabijając lub śmiertelnie raniąc ponad pół tuzina demonów.

Rhonin walczył na grzbiecie nocnej pantery. Człowiek nie tylko rzucał zaklęcia, ale podobnie jak Malfurion bezustannie wypatrywał Eredarów, którzy bardzo ucierpieli podczas poprzednich kampanii, ale wciąż stanowili zagrożenie, gdyż uderzali, gdy przeciwnik najmniej się tego spodziewał.

Ale teraz Rhonin używał swojej magii w połączeniu z umiejętnościami bojowymi. W rękach dzierżył dwie bliźniacze klingi utworzone z czystej magii. Błękitne strugi energii mierzyły ponad jard każda i kiedy szły w ruch, siały spustoszenie nie mniejsze niż ork. Pancerze demonów nie stawiały im oporu, oręż piekielnych gwardzistów kruszył się w zetknięciu z nimi jak szkło. Rhonin walczył z pasją co Malfurion doskonale rozumiał, bowiem rudowłosy mag rozstał się z brzemienną żoną której los zależał od tego, czy Legion zostanie pokonany. Tak jak elf walczył za Tyrande i Illidana, tak Rhonin walczył za swoją rodzinę, którą zostawił w odległej przyszłości.

Druid walczył z nie mniejszym zapałem, choć jego zaklęcia czerpały moc z sił natury. Z jednej z sakiewek przy pasie wyjął kilka drobnych nasionek z rodzaju tych, które przyczepiają się do odzienia, gdy przechodzi

się między roślinami. Trzymając dłoń wnętrzem pełnym nasion do góry, dmuchnął lekko.

Nasiona poszybowały w powietrze, jak gdyby niesione wiatrem o sile huraganu. Ich liczba zwiększyła się tysiąckrotnie, gdy rozproszyły się nad nacierającymi demonami, zmieniając się prawie w burzę piaskową.

Rycząc, straszliwi wojownicy zaczęli brnąć przez chmurę nasion, żądni krwi obrońców. Ale kilka kroków dalej pierwszy z demonów nagle się zachwiał, a potem złapał za brzuch. W ślad za nim poszedł kolejny, a potem jeszcze następny. Kilka upuściło broń i zostało natychmiast rozsieczonych przez ogarnięte bojowym szałem nocne elfy.

Te, które nie zginęły, rozdeły się gwałtownie. Ich brzuchy i klatki piersiowe napęczniały ponad miarę. Kilka runęło na ziemię, wijąc się w konwulsjach.

Z ciała i pancerza jednego z tych, które wciąż trzymały się na nogach, wystrzeliły ostre szpikulce przypominające sztylety. Stwór obrócił się, a potem zwałił na ziemię, martwy. Jego ciało wyglądało jak poduszka na szpilki... a wszystko przez pęczniejące wewnątrz niego nasiona.

Wszędzie wokół elfa demony padały pokotem. Wszystkie spotkał ten sam ponury los. Malfurion poczuł się trochę nieswojo, widząc efekty swojego zaklęcia, ale zaraz przypomniał sobie bezlitosną nikczemność wroga. Nie mógł sobie pozwolić na współczucie dla tych, którzy żyli wyłącznie po to, by szerzyć chaos i terror. Nie zabijać oznaczało zostać zabitym.

Ale choć tyle demonów zginęło, wciąż ich przybywało. Linie nocnych elfów, na które napierały najsilniej, zaczęły ustępować. Elfy walczyły z Płonącym Legionem najdłużej i były najbardziej zmęczone. Archimond był zbyt przebiegły, by nie wykorzystać ich słabej strony. Coraz więcej rogowych wojowników szturmowało łamiący się front. Piekielne bestie

nękały obrońców, a z góry spadali na zdezorientowanych żołnierzy strażnicy zagłady, wgniatając czaszki i zatapiając lance w piersiach i plecach. Często chwyтали elfa lub dwóch, podlatywali wysoko w górę, po czym zrzucali bezradną postać na resztę armii. Spadając między towarzyszy jak pociski, zabijali ich i sami ginęli.

Jakaś eksplozja wyrzuciła kilka nocnych elfów wiele jardów w powietrze. Z zięjącego w ziemi krateru podniósł się płomienny infernal. Te demony o potężnym ciele i słabym umyśle żyły wyłącznie po to, żeby miażdżyć wszystko, co stanęło im na drodze. Infernal wpadł z całym impetem między żołnierzy przeciwnika, rozrzucając ich na boki jak liście.

Zanim Malfurion zdążył cokolwiek zrobić, na drodze infernala stanął Brox. Wydawało się niemożliwością, by mógł zatrzymać takiego olbrzyma, ale orkowi się to udało. Infernal zahamował w miejscu, a jego ryk świadczył aż nadto dobitnie o frustracji. Uniósł płomienną pięść, chcąc wgnieść czaszkę orka w jego klatkę piersiową, ale Brox sparował uderzenie trzonkiem swojego topora, który jakimś cudem zablokował śmiertelny cios i nie pękł. Potem z szybkością, jakiej infernal nie mógł dorównać, odepchnął ramię przeciwnika i wbił mu żeleźce w pierś.

Pomimo swej osławionej siły infernal tak samo jak jego towarzysze nie był odporny na działanie magicznej broni. Ostrze weszło w ciało na kilka centymetrów. Z rany wystrzeliły zielone płomienie. Brox stęknął, uchylając się przed nimi, po czym wyciągnął topór, szykując się do następnego ciosu.

Choć infernal chwiał się na nogach, nie był jeszcze pokonany. Rycząc, zwarł obie pięści, a potem wyrzwał nimi w ziemię. Uderzenie zatrzęsło glebą, zwalając Broxa z nóg.

Demon natychmiast zaatakował, chcąc stratować orka na śmierć. Brox, który nie wypuścił broni z rąk, zaparł topór o ziemię na wzór piki.

Infernal nabił się nań jak na pal. Usiłował dosięgnąć Broxa, ale weteran utrzymał pozycję. Miotający się z furią demon tylko pogarszał swoje położenie. Ostrze wbijało się coraz głębiej, wyzwalając kolejną salwę płomieni, która prawie dosięgła Broxa – zabrakło zaledwie kilku cali.

Ogromny demon zadygotał i wreszcie znieruchomiał.

Jednak pomimo takich pojedynczych zwycięstw Płonący Legion parł niezmordowanie naprzód. Malfurion próbował wzbudzić w sobie emocje, które pozwoliły mu już kiedyś odeprzeć horde, ale nie był w stanie. Porwanie Tyrande sprawiło, że ta jego część obumarła.

Daleko z lewej widział lorda Stareye, który strofował walczących tam żołnierzy. Stareye był całkowitym przeciwieństwem swojego poprzednika. Ravencrest byłby tak samo zakrwawiony i brudny jak jego ludzie, ale Stareye pozostał nieskazitelnie czysty. Otaczała go jego straż przyboczna, która nie dopuszczała do niego nikogo, nawet w tak krytycznym momencie.

Nagle zaskoczonego druida minęła kosmata postać, kierując się w stronę miejsca, gdzie linia obrońców zaczynała się załamywać. Za nią biegły następne – olbrzymi taurenowie zamierzali wzmocnić osłabiony front swoją zdumiewającą siłą. Z entuzjazmem godnym Broxa zaatakowali demony, zarabując kilka rogatych wojowników w pierwszym starciu. Malfurion wypatrzył na ich czele Hulna, który nadział właśnie jednego z piekielnych gwardzistów na orlą włócznię z taką siłą, że ostrze wyszło mu plecami. Huln bez trudu strząsnął z niej martwego demona i sparował dziki zamach następnego. Dowódca taurenów wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

Taurenom towarzyszyła niezwykła postać. Jarod Shadowsong, ze skrwawionym już ostrzem, krzyknął coś do towarzyszących mu bestii. Ku zaskoczeniu Malfuriona grupa zmieniła ustawienie, jak gdyby wykonała rozkaz. Rozciągnęła się, pozwalając nocnym elfom odbudować szereg i wesprzeć swoich wybawicieli.

Na linii frontu pojawiły się też kapłanki Elune, których wojenne działania stały w jaskrawym kontraście z ich pokojowym sposobem bycia przed nadejściem Legionu. Na ich widok Malfurion poczuł w sercu ukłucie wywołane wzmożonym poczuciem winy – druid wciąż obwinał się o to, że nie zdołał uchronić Tyrande przed łapskami demonów.

Dosiadające panter kapłanki walczyły mieczami i łukami. Ale wśród tych najbardziej wprawnych we władaniu bronią znalazła się jedna, która tak naprawdę nie była kapłanką. Niższa od pozostałych, Shandris Feathermoon była o wiosnę lub dwie za młoda, by móc oficjalnie wstąpić do nowicjatu. Ale obecne czasy wymagały dramatycznych środków. Marinda, siostra zastępująca Tyrande pod jej nieobecność, pozwoliła Shandris zasilić ich uszczuplone szeregi. Teraz, odziana w nieco za duży pancerz zdjęty z poległej towarzyszki, najnowsza z cór Księżycowej Matki wystrzeliła trzy bełty, z których każdy trafił idealnie w cel – szyję – uśmiercając trzy demony.

Legion się zatrzymał. obrońcy zaczęli go spychać w tył. Malfurion i Rhonin wspomagali ich swoją magią i nocne elfy zaczęły odzyskiwać stracony teren.

Wśród sióstr podniósł się nagły wrzask. Dwie opancerzone kapłanki upadły na ziemię, zmiażdżone przez własne zbroje. Nawet po śmierci ich twarze zdradzały cierpienie, jakie zadał im sprasowany metal. Oczy Malfuriona się zwęziły. Jedną z kapłanek była Marinda.

– Eredarowie! – warknął Rhonin. Wyciągnął rękę na północny-zachód.

Ale zanim zdążył odpowiedzieć na atak, z tamtej strony buchnęła w niebo fontanna płomieni. Malfurion wyczuł mękę warlocka ogarniętego przez ogień.

– Serdecznie przepraszam za spóźnienie – wymamrotał Krasus, który był sprawcą tego odwetu. Smoczy mag stał w niewielkiej odległości za dwójką

towarzyszy. – Byłem zmuszony wracać etapami – dodał z goryczą.

Nikt go nie potępiał, nie po tym, czego dokonał. Było jednak jasne, że sam Krasus nie wybaczy sobie tego tak szybko.

– Znów zepchnęliśmy ich w tył – oznajmił Rhonin, choć w jego słowach nie było entuzjazmu. – Tak samo jak poprzednim razem i jeszcze wcześniej...

Front odsuwał się od nich. Teraz, gdy obrońcy znów mieli kontrolę nad sytuacją, siostry Elune zajęły się na powrót tym, do czego były powołane, czyli leczeniem rannych. Chodziły między żołnierzami, a kilka podeszło nawet do taurenów, choć z pewną rezerwą.

Na dźwięk rogów bojowych spojrzenia trójki towarzyszy powędrowały ku jadącemu na grzbiecie pantery lordowi Stareye'owi. Szlachcic machnął kilka razy mieczem, a potem wskazał Płonący Legion. Najwyraźniej ostatnie sukcesy sprzymierzonych wojsk przypisał właśnie sobie. Krasus potrząsnął głową.

– Gdyby tak Brox dotarł do Ravencresta na czas.

– Jestem pewien, że zrobił, co w jego mocy – odparł Malfurion.

– Nie mam orkowi nic do zarzucenia, młodzieńcze. To z losem cały czas się zmagam. Chodź, wykorzystajmy tę chwilę spokoju, aby pomóc siostram. Wielu rannych potrzebuje pomocy.

Rzeczywiście. Malfurion mógł użyć swojej wiedzy w słusznej sprawie. Cenarius nauczył go wiele o roślinach potrafiących łagodzić ból i zasklepić rany. Nie był w sztuce uzdrawiania tak biegły jak większość kapłanek, ale zostawiał swoich pacjentów w o wiele lepszym stanie niż ten, w jakim ich zastał.

Wśród rannych odnaleźli Jaroda. Kapitan siedział obok swojego odpoczywającego wierzchowca, a jedna z sióstr opatrywała długie rozcięcie na jego ręce.

– Próbowałem ją przekonać, że to nic takiego – powiedział kwaśno, gdy podeszli. – Pancierz spełnił swoje zadanie całkiem dobrze.

– Oreż Płonącego Legionu bywa często zatruty – wyjaśnił Krasus. – Nawet lekka rana może się okazać zdradziecka. – Błady mag skinął głową oficerowi. – To była szybka reakcja. Uratowałeś sytuację.

– Chcąc ratować naszych, poprosiłem tylko taurena Hulna, żeby dał mi kilku swoich wojowników, po czym poprosiłem krasnoludy, aby wzmocniły osłabione w ten sposób szeregi taurenów.

– Szybka reakcja, jak już mówiłem. Gdy przyszło co do czego, nocne elfy i ludzie-byki walczyli ramię w ramię. Gdyby tylko nasz dowódca był w stanie to dostrzec. Od razu po powrocie zauważyłem, że wśród sprzymierzeńców nie ma prawdziwej współpracy.

Rhonin uśmiechnął się drwiąco.

– Czy po lordzie Stareye’u można się było spodziewać czegoś innego?

– Niestety nie.

Przerwało im przybycie starszej rangą kapłanki. Była wysoka i poruszała się z gracją nocnej pantery. Jej twarz nie była atrakcyjna, a jej wyraz surowy. Skóra miała odcień o ton jaśniejszy niż cera większości nocnych elfów. Mimo to nie wiedzieć czemu przypominała kogoś Malfurionowi.

– Powiedziały, że cię widziały – zwróciła się beznamiętnie do Jaroda.

Popatrzył na nią z osłupieniem, jak gdyby nie był pewny, czy rzeczywiście przed nim stoi.

– Maiev...

– Minęło wiele czasu od naszego ostatniego spotkania, braciszku.

Teraz fizyczne podobieństwo stało się bardziej wyraźne. Kapitan uwolnił się od opatrującej go kapłanki i stanął przed siostrą. Choć był od niej wyższy, to ona patrzyła na niego z góry.

– Odkąd wstąpiłaś na służbę u bogini księżycy i wybrałaś nauki w świątyni w Haijiri.

– To tam Kalo'thera wzniosła się między gwiazdy – odparła Maiev, mając na myśli słynną wysoką kapłankę żyjącą wieki wcześniej. Wiele sióstr uważało Kalo'therę prawie za półboginię.

– Wyjechałaś daleko od domu. – Jarod przypomniał sobie nagle o pozostałych. Popatrzył na nich, mówiąc: – To moja starsza siostra, Maiev. Maiev, to...

Kapłanka nie zwróciła większej uwagi na Malfuriona i Rhonina, przyglądała się wyłącznie Krasusowi. Tak jak reszta sióstr musiała widzieć, że jest kimś niezwykłym, nawet jeśli nie rozumiała dlaczego. Zanim Jarod zdążył przedstawić towarzyszy, uklękła na jedno kolano, mówiąc:

– Jestem zaszczycona twoją obecnością, czcigodny.

– Nie musisz przede mną klękać – powiedział Krasus z nieodgadnionym wyrazem twarzy. – Wstań, siostrze, i witaj pośród nas. Ty i twoje towarzyszki pojawiłyście się dziś w samą porę.

Siostra Jaroda podniosła się z dumą.

– Księżycowa Matka była nam przychylna, nawet jeśli oznaczało to ofiarę Marindy i kilku innych. Zobaczyłyśmy, że linia pęka. Przybyłybyśmy przed ludźmi-bykami, gdyby nie to, że miałyśmy większą odległość do pokonania. – Zerknęła w stronę taurenów. – Wykazali spore doświadczenie.

– To twój brat dowodził obroną – wyjaśnił mag. – Możliwe, że to właśnie Jarod ocalił armię.

– Jarod? – W tonie Maiev słychać było niedowierzanie, ale kiedy Krasus przytaknął, pochyliła głowę przed kapitanem. – Prosty oficer straży miejskiej grający dowódcę! Fortuna sprzyjała ci tym razem, bracie.

Jarod skinął tylko głową, patrząc gdzieś w bok.

Ale Rhonin nie pozwolił, by ten afront uszedł jej płazem.

– Fortuna? Zdrowy rozsądek, ot co!
Kapłanka zbyła jego uwagę wzruszeniem ramion.

– Młodszy bracie, nie przedstawiałeś nas sobie...
– Wybacz mi! Maiev, czcigodny mag to Krasus. Obok niego stoi czarodziej Rhonin...

– Tak znakomici goście są mile widziani w takich czasach – przerwała mu. – Niech Elune obdarzy was swoim błogosławieństwem.

– A to – ciągnął kapitan – jest Malfurion Stormrage...
Maiev wbiła wzrok w druida.

– Tak... byłeś znajomym jednej z naszych sióstr, Tyrande Whisperwind.
Zważywszy na to, że Tyrande została wysoką kapłanką, choćby nawet na krótko, Malfurion uznał tę uwagę za pozbawioną szacunku.

– Tak, wychowywaliśmy się razem.

– Oplakujemy jej stratę. Obawiam się, że zdradził ją brak doświadczenia. Lepiej by było, gdyby jej poprzedniczka wybrała kogoś... bardziej doświadczonego. – Ton jej głosu sugerował, że miała na myśli siebie.

– To nie była jej wina – odparł Malfurion, hamując złość. – Bitwa toczyła się już wszędzie. Przyszła mi z pomocą, ale została ranna. Straciła przytomność. W chaosie, jaki się rozpełtał, porwały ją demony. – Napotkał stalowy wzrok kapłanki. – Ale odbijemy ją.

Siostra Jaroda kiwnęła głową.

– Będę się o to modlić do Elune. – Spojrzała na kapitana. – Cieszę się, że nie zostałeś poważnie ranny, młodszy bracie. A teraz wybaczcie, ale muszę dołączyć do reszty sióstr. Śmierć Marindy oznacza, że musimy szybko wybrać nową przywódczynię. Sama nie zdążyła jej wyznaczyć. – Z ukłonem, który był skierowany głównie do Krasusa, dokończyła: – Niech was Elune błogosławi.

Kiedy się oddaliła, Rhonin chrząknął.

– Radosna i przyjazna osoba z twojej siostry.

– Jest bardzo oddana tradycyjnym naukom Elune – próbował bronić Maiev Jarod. – Zawsze była bardzo poważna.

– Nie można jej winić za oddanie – zauważył Krasus. – Pod warunkiem, że nie uczyni jej ono ślepą na wybory innych.

Powrót Broxa oszczędził Jarodowi konieczności dalszej obrony siostry. Na szerokiej twarzy orka malował się radosny uśmiech.

– Dobra bitwa! Wiele śmierci, o których będzie można śpiewać! Wielu wojowników, których będzie można sławić za przelaną krew!

– Urocze – mruknął Rhonin.

– Taureni to dobrzy wojownicy. Pożądani towarzysze broni w każdej wojnie. – Zielony olbrzym zatrzymał się, opierając topór o ziemię. – Nie tak dobrzy jak orkowe... ale prawie.

Krasus popatrzył w stronę frontu.

– W najlepszym wypadku kolejna chwila wytchnienia, nawet po przyłączeniu się innych ras. Tak dłużej być nie może. Musimy odeprzeć ich raz na zawsze!

– Ale to mogą zrobić tylko smoki – wtrącił się jego dawny protegowany.

– A one nie ośmielą się działać, dopóki Skrzydła Śmierci ma Duszę Smoka.

– Rhonin nie widział powodu, by nazywać czarnego smoka jego oryginalnym imieniem – Neltharion.

– Tak, obawiam się, że masz rację. Widzieliśmy, co się stało, kiedy błękitne smoki próbowały mu się przeciwstawić.

Malfurion zmarszczył brwi. Pomyślał o Tyrande. Tak naprawdę nie mógł nic dla niej zrobić, dopóki nie pokonają Płonącego Legionu, a aby to osiągnąć, potrzebowali pomocy wszystkich, zwłaszcza smoków. Ale smoki nie mogły się zmierzyć z Duszą Demona, co oznaczało...

– A więc musimy mu ją odebrać – oznajmił nagle.

Nawet Brox, który zawsze rwał się do walki, popatrzył na druida ze zdumieniem. Jarod potrząsnął głową z przerażeniem, a Rhonin przyglądał mu się, jak gdyby zupełnie oszalał.

Ale Krasus, gdy otrząsnął się z początkowego zaskoczenia, popatrzył badawczo na nocnego elfa.

– Obawiam się, że Malfurion ma rację. Musimy to zrobić.

– Krasusie, chyba nie mówisz poważnie...

Smoczy mag przerwał czarodziejowi.

– Jak najbardziej poważnie. Sam już się nad tym zastanawiałem.

– Ale nawet nie wiemy, gdzie jest teraz Skrzydła Śmierci. Zamaskował miejsce swojego pobytu jeszcze lepiej niż reszta smoków.

– To prawda. Znam pewne starożytne zaklęcia, ale żadne z nich nie gwarantuje nam sukcesu. Spróbuję ich użyć, ale jeśli zawiodą, będę musiał...

– Myślę, że dam radę – przerwał mu Malfurion. – Myślę, że uda mi się go znaleźć poprzez Szmaragdowy Sen. Nie sądzę, by się od niego odciął tak jak pałac.

Krasus wyglądał, jak gdyby słowa druida zrobiły na nim wielkie wrażenie.

– Bardzo możliwe, że masz rację, młodzieńcze... – Zastanowił się jeszcze chwilę. – Ale nawet jeśli popełnił taki błąd, istnieje, rzecz jasna, niebezpieczeństwo, że mimo to cię wytropi. Próbował już, jak wspominałeś wcześniej, wysledzić cię wewnątrz Snu.

– Teraz będę bardziej ostrożny. Zrobię to, bo to jedyny sposób, by ją ocalić... ocalić nas.

Zakapturzona postać położyła dłoń w rękawicy na ramieniu Malfuriona.

– My też zrobimy dla niej wszystko, co w naszej mocy.

– Wyruszę natychmiast.

– Nie! Musisz najpierw odpocząć. Dla dobra jej i własnego musisz być w jak najlepszej formie. Jeśli popełnisz błąd i zostaniesz zauważony, wszystko będzie stracone.

Malfurion skinął głową, w jego zwątpienie wkradł się wreszcie nikły promyk nadziei. To prawda, Neltharion mógł być przygotowany, ale paranoiczny sposób myślenia i własna megalomania mogły zadziałać przeciwko niemu.

– Postąpię, jak mówisz – zwrócił się do maga. – Ale w takim razie muszę zrobić jeszcze jedną rzecz. Jest ktoś, z kim muszę porozmawiać, ktoś, kto może zwiększyć moje szanse.

Krasus skinął głową ze zrozumieniem.

– Cenarius. Musisz porozmawiać z władcą lasu.

CZTERY



Tyrande nie dostała jeszcze posiłku, ale nie czuła głodu. Elune wciąż napełniała ją swoją miłością, która stanowiła wystarczające pożywienie. Pytanie brzmiało, jak długo to potrwa. Siły przywoływane przez demony i Szlachetnie Urodzonych rosły z każdą chwilą, ale oprócz nich kapłanka wyczuwała jeszcze jakąś inną, bardziej mroczną obecność. Miała wrażenie, że nie jest ona częścią planu Płonącego Legionu, ale działa równolegle z nim.

Być może była to pierwsza oznaka zbliżającego się szaleństwa, ale Tyrande nie potrafiła przestać się zastanawiać, czy ktoś nie manipuluje demonami tak, jak one manipulowały królową.

Ktoś majstrował przy zamku. Tyrande zmarszczyła brwi. Nie słyszała kroków. Ktoś, kto stał na korytarzu, pojawił się zupełnie bezszelestnie. Ponadto uświadomiła sobie, że przez kilka ostatnich minut strażnicy byli wyjątkowo cicho. Drzwi się uchyliły. Tyrande zachodziła w głowę, kto mógł się tutaj zakraść.

Illidan?

Ale to nie brat Malfuriona wśliznął się do środka, lecz szlachcianka będąca pierwszą damą dworu Azshary. Przybyła elfka rzuciła okiem na

więźniarkę, po czym odwróciła się, aby zamykające się drzwi nie wydały żadnego dźwięku. Tyrande nie mogła nie zauważyć, że za drzwiami nie widać było strażników. Czy znaleźli się poza polem jej widzenia, czy w ogóle znikli? Dwórka uśmiechnęła się do niej. Jeśli miała to być próba podniesienia Tyrande na duchu, nie powiodła się.

– Jestem lady Vashj – przypomniała jej nowoprzybyła. – Ty jesteś kapłanką Elune.

– Jestem Tyrande Whisperwind.

Vashj kiwnęła głową z roztargnieniem.

– Przyszłam pomóc ci w ucieczce.

Tyrande instynktownie podziękowała Księżycowej Matce. Źle oceniła Vashj, biorąc ją za zazdrosną królewską pochlebczynię.

Podchodząc jak najbliżej, dwórka podjęła:

– Wzięłam ze sobą talizman, który otworzy otaczającą cię sferę i uwolni spod zaklęcia demona. Możesz go też użyć, aby odwrócić ich uwagę, tak jak ja to zrobiłam.

– Jestem... wdzięczna. Ale dlaczego tyle ryzykujesz?

– Jesteś kapłanką Elune – odparła elfka. – Jak mogłabym postąpić inaczej? – Vashj wyjęła talizman. Było to groteskowe czarne kółko, którego krawędź otaczały maleńkie, okrutnie wykrzywione czaszki. Ze środka sterczał sześcioramienny szpic wysadzany u podstawy hebanem.

Tyrande wyczuła drzemiacą w nim czarną magię.

– Przygotuj się – rozkazała dwórka. – Bądź mi posłuszna we wszystkim, jeśli nie chcesz pozostać więźniarką demonów.

Uniosła rękę i dotknęła szpikulcem zielonej sfery.

Klejnoty zaśniły. Maleńkie czaszki otworzyły makabryczne szczęki i zasyczały.

Wsysając sferę w swoje drobne paszcze.

Tyrande poczuła, że więzące ją zaklęcie się rozproszyło. Musiała się gwałtownie przekręcić w powietrzu, aby nie upaść na twarz. Wylądowała na kamiennej posadzce na czworakach. Ku swemu zaskoczeniu nie poczuła bólu – wciąż chronił ją dotyk Elune.

Vashj spojrzała na nią z irytacją. Choć sfera znikła, Tyrande wciąż otaczał blady księżycowy blask. Służka królowej pokręciła głową.

– Musisz coś z tym zrobić! Zostaniesz zauważona, gdy tylko wyjdiesz z celi!

Tyrande zamknęła oczy i zaczęła się modlić do swojej bogini, dziękując jej za ochronę i zapewniając, że teraz nie jest jej już potrzebna. Jednak Elune wydawała się ignorować jej prośby, bo ochronny czar wciąż działał.

– Pospiesz się! – ponagliła ją Vashj.

Z zamkniętymi oczami, Tyrande spróbowała jeszcze raz. Księżycowa Matka z pewnością rozumiała, że dar, którym obdarzyła swoją służkę, teraz narażał ją na ryzyko.

W końcu obecność Elune zaczęła słabnąć...

Tyrande ogarnęło przeczucie nieuchronnego zagrożenia.

Gdy otworzyła oczy, zobaczyła Vashj usiłującą dźgnąć ją w szyję złowróżbnym talizmanem. Podobny do sztyletu szpikulec zostawiłby szeroką, śmiertelną ranę, gdyby nie szkolenie bojowe, jakie przechodziły wszystkie kapłanki. Tyrande uniosła rękę, odbijając ostrze w bok. Poczuła ukłucie na skórze, ale Vashj nie udało się jej nawet drasnąć.

Dwórka Azshary, z wyrazem twarzy równie potwornym jak miny czaszek, spróbowała wydrapać jej oczy wolną ręką. Kapłanka uniosła opancerzone kolano, uderzając Vashj w brzuch. Nocna elfka stęknęła i poleciała w tył, upuszczając talizman, który potoczył się po posadzce.

Tyrande skoczyła na przeciwniczkę, ale dwórka też była szybka. Przetoczyła się w stronę talizmanu. Kapłanka pochyliła się, próbując ją

odciągnąć, ale zdradziecka elfka chwyciła już demoniczny artefakt w swoje szpony. Wypluła z siebie niezrozumiałe słowa o mrocznym zabarwieniu, wskazując talizmanem Tyrande.

Kapłankę otoczyła na powrót sfera. Jednocześnie poczuła, że znów chroni ją zaklęcie Elune, choć nie było ono w stanie pomóc jej w ucieczce z bańki. Tyrande załomotała pięściami w ściany swojego więzienia, lecz na próżno.

Wstając, lady Vashj zmierzyła ją złym wzrokiem.

– Byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś zginęła! Nigdy nie zostaniesz Jej ulubienicą! Ja nią jestem i zawsze będę!

– Wcale nie chcę być faworyzowana przez królową!

Ale dwórka wydawała się tego nie rozumieć. Z oczyma wbitymi w talizman, syknęła:

– Myślałam, że to zadziała, ale będę musiała wymyślić coś innego! Może słowo szepnięte Światłu Świateł na ucho przekona ją, że nie można ci ufać! Tak, to może się powieść.

Tyrande zaprzestała prób przekonania dwórki, że nie pragnie służyć Azsharze. Vashj sprawiała wrażenie szalonej i nie chciała przyjąć nic, co kłóciło się z jej wizją rzeczywistości. Jakiś dźwięk z zewnątrz sprawił, że Vashj odwróciła się w stronę drzwi.

– Straż! Wrócili już! – Spoglądając z powrotem na więźniarkę, wycelowała w nią talizman. – Wszystko musi być tak jak wcześniej!

Ramiona Tyrande znów powędrowały w górę, spętane w nadgarstkach niewidzialnymi więzami. Jej stopy przylgnęły do siebie.

– Szkoda, że nie znam lepiej możliwości tego artefaktu – warknęła Vashj. – Mogłabym cię zabić, gdybym tylko znała właściwy rozkaz...

Odgłosy z zewnątrz przybrały na sile. Dwórka Azshary ukryła talizman w fałdach sukni i ruszyła do drzwi. Wyślizgując się na drugą stronę, po raz

ostami spojrzała na Tyrande.

– Nigdy nie będziesz do niej należeć! – Z tymi słowami Vashj zniknęła w korytarzu.

Strażnicy pojawili się chwilę później. Jeden zajrzał przez kratkę w drzwiach i przyglądał się jej znacznie dłużej, niż było to konieczne. Z wyrazu jego twarzy wynioskowała, że jej obecność zaskoczyła go. Jak widać, Vashj nie działała w pojedynkę.

Tyrande mogła tylko zwymyślać się w duchu za utraconą szansę. Powinno być dla niej oczywiste, że nie może ufać Vashj, ale Elune nauczyła ją zawsze szukać w innych tego, co najlepsze. Gdyby zachowała większą ostrożność, może udałoby jej się wziąć dwórkę z zaskoczenia. Zamiast tkwić teraz w pułapce, mogłaby przynajmniej spróbować wydostać się z pałacu.

– Księżycowa Matko, co mam robić? – Zdawała sobie sprawę, że możliwości interwencji bogini mają swoje granice. Już dotychczasowa ochrona, jakiej udzieliła jej Elune, była cudem.

Przed oczyma stanęła jej twarz Malfuriona, co pokrzepiło ją, ale i zaniepokoiło. On nie zarzuci prób uwolnienia jej. Przybędzie po nią, bez względu na grożące mu niebezpieczeństwa. Wiedziała, że przyjaciel chętnie odda życie, jeśli w ten sposób będzie mógł zwrócić jej wolność.

I wszystko wskazywało na to, pomyślała z rosnącą rozpaczą Tyrande Whisperwind, że ona sama nie będzie w stanie zrobić nic, aby mu w tym przeszkodzić.



Niewielki zagajnik był najspokojniejszym miejscem, jakie udało się znaleźć Malfurionowi w celu skontaktowania się z Cenariusem. Druid siedział na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, rozglądając się po smętnych resztkach zieleni wokół siebie. Płonący Legion nie dotarł do tego miejsca, ale jego oddziaływanie sięgało nawet tutaj. Drzewa już wyczuwały nadciągającą zagładę i powoli się do niej przygotowywały. Większość żywych istot uciekła. Panowała głucha cisza.

Usiłując nie zwracać na to wszystko uwagi, Malfurion zamknął oczy i skupił się na półbog. Sięgnął ku Cenariusowi umysłem, wzywając go i próbując go sobie wyobrazić.

Ku jego zaskoczeniu półbóg odpowiedział natychmiast. Przed nim uformował się obraz leśnego bóstwa, ogromna postać górująca wzrostem nad nocnymi elfami, taurenami, furbolgami a nawet demonami. Na pierwszy rzut oka był trochę podobny do Malfuriona, bo jego twarz i tors należały do nocnego elfa, choć były bardziej krzepkie i ogorzałe. Ale poza tym Cenarius nie przypominał żadnej innej istoty. Dolna połowa jego ciała należała do olbrzymiego, wspaniałego jelenia. Cztery potężne nogi zakończone kopytami podtrzymywały postać mierzącą dziesięć stóp. Zapewniało mu to chyżość wiatru i zwinność, jakiej nie mogło dorównać żadne zwierzę.

Oczy Cenarius miały kolor czystego złota, a na ramiona spływała mu zielona jak mech grzywa, z której, podobnie jak z krzaczastej brody, wyrastały gałązki i liście. Ze szczytu głowy – dokładnie w tym samym miejscu, gdzie jemu wyrosły guzki, odnotował z oszołomieniem Malfurion – wyrastała wspaniała para rogów.

Wiem, po co mnie wezwałeś, rzekł półbóg.

Czy jest coś, co mogę zrobić, aby przeciwstawić się magii czarnego smoka?

Jest przebiegły, szalenie przebiegły, odparł Cenarius nie poruszając ustami. Był tylko wizją, na której mógł się skupić druid, niczym więcej. Prawdziwy władca kniei przebywał wiele mil stąd. Ale wiem o smokach pewne rzeczy, których on nie musi być świadomy.

Malfurion nie dopytywał się, skąd Cenarius może to wiedzieć. Słyszał już, że bóstwo może być potomkiem zielonej smoczyicy Ysery – Tej, Która Śni – której pobratymcy zamieszkiwali najliczniej Szmaragdowy Sen. Nocny elf wcale by się nie zdziwił, gdyby smoczyca zdradziła swojemu synowi najskrytsze sekrety Śnienia.

Szmaragdowy Sen ma warstwy, Malfurionie. Warstwy nakładające się na siebie nawzajem. Ta, Która Śni odkryła to drogą eksperymentów. Strażnik Ziemi prawdopodobnie o tym nie wie. Może uda ci się użyć jednej z takich ścieżek, aby ominąć jego zabezpieczenia i nie zwrócić na siebie uwagi.

Malfurion nie spodziewał się czegoś takiego. Znów wstąpiła w niego nadzieja. Gdyby mu się powiodło, może mógłby wykorzystać tę samą metodę, aby dostać się do pałacu.

Ale nie mógł ciągnąć dwóch srok za ogon. Choć serce wyrывało mu się do Tyrande, los całego jego ludu – oraz taurenów, Ziemnych i innych ras – był sprawą większej wagi. Kapłanka pierwsza by mu to powiedziała.

Co ani trochę nie zmniejszyło jego poczucia winy.

Czy mogę się tego szybko nauczyć?, zapytał półboga.

Tak, tak. To tylko kwestia perspektywy... spójrz...

Postać wykonała gest... i otoczył ich idylliczny krajobraz. Nie było w nim żadnych niedoskonałości. Malfurion rozpoznał wzgórze i doliny, które na śmiertelnym planie zostały zniszczone nie do poznania przez Płonący Legion. Szmaragdowy Sen pokazywał świat takim, jakim był w chwili stworzenia.

Druid rozejrzał się, ale nie dostrzegł niczego, czego nie doświadczyłby już wcześniej.

Widzisz kulminację, ale nawet ideał powstaje etapami. Spójrz...

Cenarius wyciągnął olbrzymią rękę i dotknął nią dziewiczego świata. Władca lasu chwycił kawałek pola... i na oczach Malfuriona obrócił go na lewą stronę.

Krajobraz zniknął, a jego miejsce znów zajął prymitywny Kalimdor, ale różniący się od poprzedniego pewnymi subtelnymi szczegółami. W niektórych miejscach wzgórze nie były już tak wysokie, a rzeka, którą Malfurion znał, płynęła w nieco innym miejscu, niż pamiętał. Tam, gdzie powinny być równiny, wznosił się niewielki łańcuch górski.

Przed stworzeniem był wzrost, próby, wcześniejsze etapy. Oto jeden z nich.

To był i nie był Szmaragdowy Sen. Druid zorientował się natychmiast, że miejsce to ma ograniczony zasięg, a przez to i użyteczność. Ten Kalimdor nie umożliwiał dostania się w każde miejsce śmiertelnego planu.

A jednak... Cenarius uważał, że może mu pomóc w starciu z czarnym smokiem.

Leśne bóstwo wskazało coś w oddali.

Przemierzaj go tak jak wcześniej, Malfurionie, ale trzymaj się z dala od jego krawędzi. To miejsce jest niekompletne, wyjście poza jego skraj może oznaczać zagubienie się w bezkresnej otchłani. Słowa te są poparte straszliwym doświadczeniem.

Cenarius nie powiedział nic więcej, ale jego przekaz był jasny. Gdyby Malfurion zgubił drogę, nie mógł liczyć na ratunek. Mimo tej przerażającej świadomości nocny elf był zdecydowany wyruszyć.

Jak wróćę?

Tak jak zawsze. Postaraj się odnaleźć drogę do swojej fizycznej postaci. Będziesz wiedział, jak.

Wszystko wydawało się takie proste... pod warunkiem, że przeszło się szkolenie. Obraz Cenariusza zaczął blaknąć. Malfurion powstrzymał go.

Inni, powiedział, mając na myśli innych półbogów. Czy udało ci się ich przekonać?

Aviana mnie poparła. Kości zostały rzucone. Teraz musimy tylko zdecydować, jak.

Malfurion z trudem ukrył rozczarowanie. Liczył na to, że półbogowie wezmą bardziej aktywny udział w rozpaczliwych zmaganiach armii z demonami, a tymczasem Cenarius powiedział, że choć jego towarzysze wyrazili zgodę, teraz mieli zamiar dyskutować, jaką formę miałyby przybrać ich pomoc. Debata takich istot mogła potrwać dłużej niż same zmagania. Do tego czasu Kalimdor mógł się stać pustą, martwą skorupą.

Nie obawiaj się, Malfurionie, rzekł władca lasu, uśmiechając się znacząco. Postaram się przyspieszyć ich decyzję.

Druid nie zdołał ukryć przed nim swoich najskrytszych myśli, błąd zdarzający się początkującym.

Wybacz mi! To nie z braku szacunku!

Cenarius, który już się rozmywał, potrząsnął rogatą głową. Wyciągnął palec zakończony sękatym szponem i sprostował: *Nie są brakiem szacunku próby przynaglenia opieszających, aby wypełnili swoje obowiązki...*

To powiedziawszy, bóg-jeleń znikł.

Druid miał zamiar powrócić do swojego ciała i podzielić się z pozostałymi tym, czego się dowiedział, ale niedokończony krajobraz, który rozpostarł przed nim Cenarius, wciąż stał przed nim otworem. Malfurion obawiał się, że jeśli najpierw spróbuje powrócić na śmiertelny plan,

odnalezienie drogi powrotnej do tej wersji wczesnego Kalimdoru może okazać się dla niego trudniejsze, niż półbóg przypuszczał.

Nie mając ochoty hamować dłużej swoich pragnień, skoczył. Tak jak podczas wcześniejszych podróży wszystko było przesycone szmaragdowym światłem. Prawdę mówiąc, nie widział żadnych rozbieżności między jednym miejscem a drugim, nie licząc sporadycznych różnic.

Malfurion leciał nad wzgórzami, dolinami i równinami. Krasus zdradził mu, gdzie mniej więcej mieszkały smoki. Było jasne, że Strażnik Ziemi nie znalazł sobie kryjówek zbyt blisko pozostałych, ale Krasus zakładał, że przedstawiciele starożytnej rasy są niewolnikami przyzwyczajeni. Jeśli druid rozpocznie poszukiwania w pobliżu ich rodzinnego gniazda, ma szansę coś odkryć.

Teren w dole stał się bardziej górzysty, jednak widziane przez niego szczyty nie były ani tak idealnie spiczaste jak podczas jego poprzednich podróży do królestwa śnienia, ani tak zniszczone jak te na śmiertelnym planie. Były, jak to określił Cenarius, niedokończone. Jednemu z nich dosłownie brakowało północnej ściany – ziemia i skała wyglądały tak, jak gdyby zostały rozkrojone wielkim nożem. Malfurion widział żyły minerałów i fragmenty jaskiń wewnątrz góry. Kolejny szczyt miał dziwną koronę, która wyglądała jakby ktoś formował ją jak glinę, po czym stracił zainteresowanie.

Oderwawszy oczy od tak fascynujących widoków, druid omiół wzrokiem całą okolicę. Te tereny zdecydowanie należą do smoków. Teraz musiał już tylko wpaść na trop Nelthariona.

Malfurion poszukał zmysłami charakterystycznego śladu czarnego smoka. Wykrył pozostałe i szybko zidentyfikował Yserę oraz smoczycę,

którą uznał za Alexstraszę. Inne, słabsze ślady musiały należeć do pomniejszych smoków, a zatem go nie interesowały.

Posuwając się powoli, druid szukał we wszystkich kierunkach. Przy każdej kolejnej porażce zastanawiał się coraz poważniej, czy Neltharion był rzeczywiście aż tak naiwny. Być może czarny lewiatan znał ten plan lepiej niż sądził Cenarius i otoczył się osłonami. Gdyby tak było, Malfurion mógłby błędzić tu całą wieczność i niczego nie znaleźć.

Zatrzymał się gwałtownie. Trop, który bezceremonialnie odrzucił, uznając, że należy do pomniejszego smoka, nagle znów przykuł jego uwagę. Był w pewien sposób znajomy, co nie powinno być możliwe. Malfurion skupił się na nim...

Fasada złuszczyła się niemal natychmiast. Ślad Nelthariona leżał odsłonięty przed druidem. Zaklęcia, które z pewnością ukryłyby Strażnika Ziemi na śmiertelnym planie, a nawet w Szmaragdowym Śnie, tu okazały się śmiesznie słabe. Jednak Malfurion nie chciał zgrzeszyć zbyt dużą pewnością siebie. Jedną rzeczą było wysledzenie czarnego smoka, inną pozostanie niezauważonym, bez względu na to, na jakim planie. Szaleństwo, które ogarnęło Nelthariona, wpędziło go w ciężką paranoję, która wyostrzyła już i tak wyczulone zmysły smoka. Nawet najdrobniejsza pomyłka mogła oznaczać zdemaskowanie.

Zachowując najwyższą ostrożność, Malfurion podążył po śladach. Zaprowadziły go w miejsce, gdzie krajobraz stawał się bardziej rozmyty, nie do końca określony. Pamiętając ostrzeżenie Cenariususa, druid zwolnił.

Czarny smok był blisko. Malfurion wyczuwał jego obecność tam, gdzie góry zaczynały się rozmywać. Wyczuwał też coś jeszcze, plugawe piętno, jakim skażona była cała okolica, które wydawało się starsze niż wszystko inne. Druidowi przypomniało się to, co czuł, gdy zaczął sondować Duszę Demona. Była przesycona nie tylko szaleństwem Nelthariona, ale czymś o

wiele bardziej złowieszcym. Ale wtedy był to tylko cień, więc nie zaprzętał nim sobie głowy.

Co to może być?

Uznawszy, że teraz nie ma czasu na zamartwianie się tym, Malfurion podpłynął bliżej. Krajobraz zafalował... i nagle jego senna postać powróciła na śmiertelny plan.

Ogromna pieczara, w której się znalazł, wyglądała jak z nocnego koszmaru. Z wielkich lejów, którymi poznaczone było podłoże, strzelały w górę zielonoszare kłęby gazu wyglądającego na trujący. Jamy bulgotały i syczały, a co jakiś czas ich dymiąca zawartość wylewała się na spalone kamienie. Wulkaniczne wybuchy wypełniały pieczarę płomiennym, krwawym blaskiem, tworząc makabryczne, roztańczone cienie. Była to zaiste odpowiednia siedziba dla bestii, która bez mrugnięcia okiem uśmierciła tak wiele istot.

Malfurion uświadomił sobie nagle, że oprócz bulgotania i syku w tle słychać jeszcze jeden odgłos. Kucie. Im bardziej się koncentrował, tym wyraźniej słyszał, że nie jest to jeden młot, lecz wiele, a oprócz tego docierały do niego odgłosy krzątania. Głosy, szwargoczące bez chwili przerwy.

Przyciągana przez nie senna postać Malfuriona zaczęła płynąć przez grube na wiele jardów skalne ściany. Odgłosy wprawiały wewnątrz góry w wibracje, przeradzając się w niemiłą nawet na chwilę wrzawę, jak gdyby wewnątrz góry kryła się wielka kuźnia. A potem oczom druida ukazał się widok, w porównaniu z którym zbladły nawet wulkaniczne leje.

Gobliny. Wszędzie roiło się od tych żyłastych stworów. Niektóre pracowały przy wielkich kadziach i piecach, nalewając dymiący, płynny metal do ogromnych prostokątnych form. Inne kuły, noszącymi ślady zużycia, młotami gorące płyty, które wyglądały prawie jak pancerz dla

jakiegoś gigantycznego wojownika. Tuziny kolejnych wykuwały olbrzymie groty. Wszędzie, gdzie Malfurion spojrzeł, gobliny uwijały się w pocie czoła, nawet na chwilę nie przestając szwargotać. Kilka stworów w brudnych kitlach przechadzało się między robotnikami, udzielając wskazówek i od czasu do czasu przynaglając tych opieszalnych plaśnięciami w tył zielonych łbów ze spiczastymi uszami.

Zdając sobie sprawę, że nie może się za tym kryć nic dobrego, elf podpłynął bliżej. Lecz choć przyglądał się uważnie, nie potrafił odgadnąć, co takiego planują gobliny.

– Meklo! – zaryczał nagle grzmiący głos. – Meklo! Do mnie!

Druid zastygł w powietrzu, ogarnięty paniką. Znał dobrze ten głos, tak jak każdy, kto przeżył pierwsze użycie Duszy Demona. Chwilę później z bocznego korytarza wyłonił się sam czarny smok.

Malfurion szybko schował się za jednym z pieców. Choć powinien pozostawać niewidzialny nawet dla Nelthariona, doświadczenie nauczyło go, że szalona bestia może go mimo wszystko wyczuć. Ścieżka, jaką pokazał druidowi Cenarius, pozwoliła mu ominąć zaklęcia ochronne Nelthariona, ale aby odszukać artefakt nocny elf musiał się niestety trzymać jak najbliżej śmiertelnego planu.

Po krótkim wahaniu gobliny podjęły pracę, choć nie trajkotały już z takim ożywieniem jak wcześniej. Neltharion omiótł wzrokiem pieczarę, szukając Mekla, z którym chciał rozmawiać.

Lewiatan wyglądał potworniej niż wtedy, gdy odlatywał z nad pobojuwiska. Jego cielsko było zniekształcone, odęte, a ze ślepi wyzierało jeszcze większe szaleństwo. Szokujące były rozdarcia i pulsujące rany na pokrytej łuską skórze, które nie tylko urosły, ale nieustannie tryskały ogniem i lawą. Wyglądało to tak, jak gdyby ciało Nelthariona miało się zaraz rozpęknąć.

Ale wszystkie myśli o przerażającej transformacji, jakiej uległ czarny smok, wyleciały Malfurionowi z głowy, gdy zobaczył, co olbrzym ściska w wielkiej łapie.

Dusza Demona...

Malfurion miał ochotę podlecieć do smoka i skraść mu złoty dysk, ale było to nie tylko niemożliwe, ale równałoby się samobójstwu. Teraz mógł jedynie patrzeć i czekać.

– Meklo! – zaryczał znów Neltharion. Jego ogon opadł w dół z potężnym łoskotem, aż kilka przerażonych goblinów podskoczyło w górę.

Ale na jednym z nich nie zrobiło to większego wrażenia – patykowatym, starszawym goblinie z kępką szarego futra na czubku głowy i wyjątkowo roztargnionym spojrzeniem. Gdy mijał kryjówkę Malfuriona, mamrotał coś pod nosem o pomiarach i obliczeniach. Prawie wszedł na opuszczony łeb Nelthariona, nim wreszcie podniósł na niego wzrok.

– Tak, lordzie Neltharionie, tak?

– Meklo! Moje ciało pęka! Nie jest już w stanie pomieścić mojej wspaniałości! Kiedy będziesz gotowy?

– Muszę przeliczyć, zrekalibrować i ponownie przemyśleć każdy aspekt tego, czego żądasz, mój panie! To będzie wymagało należytej ostrożności, żeby nie sprowadzić na ciebie jeszcze większego nieszczęścia!

Smok trącił goblina pyskiem, prawie przewracając go na ziemię.

– Ma być gotowy! Już!

– Oczywiście! Oczywiście! – Meklo odsunął się poza zasięg kłów smoka. – Proszę, pozwól mi obejrzeć ostatnią płytę... – Goblin zmrużył oczy, zezując na łapę Nelthariona. – Ależ panie! Ostrzegalem cię, że trzymanie dysku w twoim obecnym stanie tylko wzmacnia jego wpływ! Musisz się z nim rozstać, dopóki nie będziesz jak nowy!

– Nigdy! Nigdy się z nim nie rozstanę!

Meklo się nie poddawał.

– Panie, jeśli tego nie zrobisz, twój obecny stan strawi cię i wtedy każdy będzie mógł go zabrać z twoich spalonych kości.

Jego słowa wreszcie dotarły do smoka. Neltharion warknął... a potem skinął niechętnie łbem.

– Dobrze... ale lepiej, żeby płyty były gotowe, goblinie... albo ktoś stanie się moją przekąską!

Kiwając gwałtownie głową Meklo wybełkotał:

– Oczywiście, lordzie Neltharionie, oczywiście! – I narażając się na jeszcze większą wściekłość swojego pana, dodał: – Pamiętaj! Dysk musi pozostać na śmiertelnym planie! Użycie go przez ciebie uwolniło zaklęcia w stopniu większym, niż przypuszczaliśmy! Potrzeba jeszcze kilku dni, aby nowe czary związały twą fizyczną powłokę, zanim będziemy mogli zagwarantować, że coś takiego już się nie powtórzy!

– Rozumiem, robaku... rozumiem... – Czarny lewiatan obrócił się z sykiem i zniknął z powrotem w korytarzu.

Malfurion stężał. Smok zamierzał ukryć gdzieś Duszę Demona. Druid miał teraz szansę dowiedzieć się, gdzie. Ignorując gobliny, ostrożnie podryfował w ślad za Strażnikiem Ziemi. Ogromne cielsko Nelthariona wypełniało cały tunel, przez co druid nie był w stanie zobaczyć, co się dzieje z przodu, chyba że zdecydowałby się oblecieć smoka, albo przelecieć przez niego. Świadomy ryzyka, postanowił uzbroić się w cierpliwość.

Ale wkrótce zaczęło mu jej brakować. Im dalej Neltharion zapuszczał się w labirynt krętych korytarzy, tym silniej druid odczuwał bliskość jakiegoś pradawnego zła. Miejsca, do którego udawał się lewiatan, inni wyraźnie unikali. Tylko raz minął ich znacznie mniejszy czarny smok, który rozpląszczył się na ziemi przed swoim panem. Oprócz niego nie spotkali żadnej żywej istoty, nawet dżdżownicy. Strażnik Ziemi nie chciał

ryzykować. Jego obsesja na punkcie Duszy Demona sprawiała, że nie ufał nawet własnym pobratymcom, co nie było wcale zaskakujące, zważywszy na moc, jaką dysk obdarzał jego posiadacza.

Malfurion stopniowo przysuwał się coraz bliżej, aż wreszcie znalazł się tuż nad ogromnym ogonem. W myślach zaklinał smoka, żeby się pospieszył.

Olbrzym zatrzymał się raptownie i obrócił łeb, aby spojrzeć przez ramię. Malfurion instynktownie wleciał w najbliższą ścianę, wtapiając się głęboko w skałę. Odczekał kilka sekund, po czym opadł nieco niżej i wytknął głowę na zewnątrz.

Neltharion szedł już dalej. Przeklinając własną nadpobudliwość, druid puścił się za nim w pościg. Ledwo go dogonił, gdy Strażnik Ziemi skrzyknął gwałtownie do wąskiej pieczary. Z trudem się w niej mieścił, szorując szerokim tarsem o ściany.

– Tutaj... – wymamrotał, zwracając się do swojego dzieła. – Tutaj będziesz bezpieczna.

Malfuriona zdjęła jeszcze większa zgroza, ale zwalczył chęć ucieczki. Już prawie wiedział, gdzie i jak smok ukrył Duszę Demona.

Z niezwykłą delikatnością Neltharion uniósł łapę i uchwycił niewielki występ skalny. Ten rozbłysnął – i za usuniętym przez behemota kamieniem ukazała się jama, którą musiała wydrążyć jakaś wielka istota, najprawdopodobniej sam smok.

Neltharion przyjrzał się Duszy Demona. Potem, po dłuższym wahaniu, ostrożnie umieścił ją w wyrwie. Zaraz potem zakrył ją fałszywym występem.

Błysnęło po raz kolejny i powierzchnia skały znów wyglądała całkiem zwyczajnie. Nawet gdyby Malfurion znalazł się tuż przed nią, nigdy nie

domyśliłyby się prawdy. Fałszywa fasada dopasowała się idealnie do otoczenia.

Jeszcze bardziej interesujące było to, że nie był teraz w stanie wyczuć obecności dysku. Mimo uważnych poszukiwań jego plugawa energia pozostawała niewidzialna. Smok może i nie mógł umieścić go poza śmiertelnym planem, ale najwyraźniej obmyślił niewiele gorszy sposób.

Neltharion stanął ze wzrokiem wciąż wbitym w miejsce, w którym ukrył Duszę Demona. Ogromna łapa wyciągnęła się ku niej, ostre pazury zatrzymały się zaledwie kilka cali od fałszywej fasady. Z pełnym irytacji syknięciem czarny lewiatan opuścił gwałtownie łapę i zaczął się wycofywać z jaskini.

Druid znów wtopił się w skałę i odczekał dłuższą chwilę, aby dać Neltharionowi czas na opuszczenie pieczary. Sekundy wlekły się jak godziny. W końcu, uznawszy, że smok musiał już sobie pójść, wyrzwał na zewnątrz. Widząc, że pieczara jest pusta, podpłynął w stronę miejsca, gdzie została ukryta Dusza Demona.

Nawet prawie przyciśnięty do fałszywej fasady niczego nie wyczuwał. Choć pragnął znaleźć się jak najdalej od tego przekłętą miejsca, postanowił przyjrzeć się przez chwilę dyskowi, aby mieć pewność, że wie wszystko, co trzeba, o jego położeniu. Wiedział, że Krasus będzie miał wiele pytań. Nachylił się w przód, przenikając senną postacią do zakamuflowanego skarbca Nelthariona.

Pieczarę wypełnił dziki ryk.

Zapominając o Duszy Demona, Malfurion wtopił się w ścianę. Dopiero po kilku jardach odważył się zatrzymać. Poczuł, jak jakaś przemożna, potworna siła bada okolicę, szukającą czegoś, co nie powinno się tu znajdować. Choć nie spoczęła jeszcze na Malfurionie, nocny elf zorientował się, że jej źródłem jest czarny smok.

Neltharion najwyraźniej wyczuł, że coś jest nie tak. Jednak chaotyczny sposób, w jaki prowadził poszukiwania, świadczył o tym, że nie wie, co to takiego. Druid zastygł nieruchomo, niepewny, czy lepiej spróbować się oddalić, czy zostać tam, gdzie się unosi.

Magiczna sonda zbliżyła się, ale znów ominęła nocnego elfa. Malfurion zaczął się rozluźniać... i nagle poczuł, że smok sięga prosto ku niemu.

Druid natychmiast odleciał jeszcze głębiej. Sonda Nelthariona wycofała się. Smok znów go nie znalazł.

Ale druid nie śmiał ryzykować bardziej. Dowiedział się, gdzie został ukryty dysk. A choć Strażnik Ziemi był pełen podejrzeń, Malfurion wątpił, by zdawał sobie sprawę, że ktoś rzeczywiście znalazł się w pobliżu.

Malfurion wycofał się z jaskiń i gór. Opuszczając te ostatnie, poszukał niedokończonego świata wewnątrz Szmaragdowego Snu. Dopiero gdy się w nim znalazł, poczuł się nieco bezpieczniej. Poczucie bezpieczeństwa prysło, gdy znów poczuł przytłaczającą obecność Nelthariona.

Smok wiedział o warstwach Snu...

Nocny elf skupił całą wolę na swojej śmiertelnej powłoce. Wyobraził sobie, że do niej wraca, czując, jak Strażnik Ziemi sięga ku niemu... I kiedy już myślał, że szalona bestia go dopadła... obudził się.

– Trzęsie się! – zawołał Ronin, który stał z jego lewej strony. – Cały się spocił z wysiłku.

– Malfurionie! – Krasus wypełnił pole widzenia druida. – Co ci dolega? Mów?

– Nic... nic mi nie jest... – Urwał, żeby złapać oddech. – Neltharion... prawie mnie zauważył... ale udało mi się uciec.

– Udałeś się już na poszukiwania? Miałeś tego nie robić!

– Pojawiła się... okazja...

– Teraz będzie się miał na bacności – mruknął Rhonin.

– Może tak, może nie – odparował dawny mentor człowieka. – Jest bardziej prawdopodobne, że przypisze to jednemu z wielu cieni, które, jak mu się wydaje, go otaczają. Czy znalazłeś Duszę Demona? – zapytał Malfuriona.

– Tak... wiem, gdzie jest – zdołał odpowiedzieć druid. Przed oczyma stanął mu znów wykrzywiony smoczy pysk, przyprawiający go o dreszcze.
– Boję się tylko, że nie będziemy mu jej w stanie odebrać.

– Ale musimy – rzekł Krasus, kiwając głową ze zrozumieniem. – Ale musimy... bez względu na cenę.

PIĘĆ



Miękkie dłonie dotknęły poparzonej, oszpeconej twarzy Illidana. Poczuł w nozdrzach zapach lilii i innych kwiatów. Poruszył się wreszcie, wybudzając się z narzuconej samemu sobie śpiączki, w którą uciekł przed cierpieniem. Ból wreszcie zelżał, a jego napięcie stało się w miarę znośne, ale brat Malfuriona wątpił, by miał kiedykolwiek ustać.

Jednak kiedy odzyskał zupełnie przytomność, jego świat wypełniła oszałamiająca plątanina kolorów i gwałtownych eksplozji. Czarodziej jęknął i zasłonił rękoma puste oczodoły, bo z powiek prawie nic mu nie zostało. Mimo to wirujące kłęby energii i zmieniające się jak w kalejdoskopie barwy doprowadzały go niemal do szaleństwa. To był dar Sargerasa dla niego, demoniczny, magiczny obraz świata.

Potem Illidan Stormrage przypomniał sobie słowa Rhonina, ludzkiego czarodzieja. *Skup się*, powtarzał mu często potężny mag. *Skup się, a wszystko ułoży się w całość. To klucz...*

Opanowując początkowy szok, Illidan spróbował postąpić zgodnie z radą. Zrazu było to niemal niemożliwe, bo otaczał go bezkresny chaos, którego zwykły śmiertelnik taki jak on nie był w stanie opanować.

Ale z tą samą determinacją, która pozwoliła mu tak szybko awansować w szeregach Księżycowej Gwardii, Illidan narzucił materii porządek. Kolory zaczęły się organizować, przepływ energii stał się regularny i celowy. Z naturalnej energii obecnej we wszystkich rzeczach, żywych i nieożywionych, zaczęły się tworzyć kształty.

Zorientował się wreszcie, że leży na wyściełanej sofie, której pokrycie jest tak gładkie i miękkie, że prawie zmysłowe. W pobliżu stały trzy postacie – same kobiety, uświadomił sobie ponieważ. Im bardziej się skupiał, tym wyraźniej rozróżniał rysy ich twarzy. Wszystkie były nocnymi elfkami, młodymi, czarującymi i odzianymi w strojne, kuszące suknie.

Więcej szczegółów uchwycił, gdy utkwiał wzrok w tej, która przemywała mu rany. Wyczuwał nienaturalnie srebrzystą barwę jej włosów i kocie oczy. Jego postrzeganie było teraz ostrzejsze niż kiedykolwiek. Był w stanie zobaczyć najdrobniejsze wariacje kolorów w pasemkach jej włosów. Wyczuwał poziom mocy, jaką władała każda z tych Szlachetnie Urodzonych i wiedział, że z nich trzech ta, która oczyszczała mu rany, była najsilniejsza. Ale nawet jej umiejętności były niczym w porównaniu z tym, co sam potrafił.

Pierwsza dama dworu zreflektowała się najszybciej. Odłożywszy wilgotną ściereczkę, wyciągnęła coś, co było jedwabną chustą barwy bursztynu.

Barwy jego utraconych oczu.

– To dla ciebie, panie czarodzieju...

Od razu wiedział, do czego ma służyć. Ten nowy, ostrzejszy rodzaj widzenia sprawił, że na chwilę zapomniał, jak muszą postrzegać go inni. Kłaniając się tak jak przed lordem Ravencrestem, Illidan przyjął szal i zamotał go sobie wokół głowy na wysokości oczu. Wcale nie zdziwiło go, że szal w żaden sposób nie ograniczał jego nowych umiejętności.

– Znacznie lepiej – mruknęła elfka. – Powinieneś prezentować się jak najlepiej przed królową...

– Dziękuję ci, Vashj... – rozległ się nagle głos Azshary. – Ty i reszta możecie się już oddalić.

Vashj zacisnęła usta, a potem skinęła głową i razem z dwiema pozostałymi dwórkami wyszła z pokoju.

Illidanowi zaparło dech w piersi, gdy zwrócił zmysły ku królowej. Azsharę otaczał olśniewający blask, srebrzysta poświata, w której rozpoznał w końcu manifestację mocy, jaką władała. Gdyby mógł, zamrugałby. Choć Azsharę kochał cały jej lud, niektórzy przypuszczali, że jej znajomość arkanów magii jest znikoma. Illidan zawsze sądził, że potrzebowała mocy Szlachetnie Urodzonych, aby rzucać zaklęcia. Był ciekaw, czy nawet świętej pamięci lord Xavius albo kapitan Varo'then zdawali sobie sprawę, jakimi zdolnościami obdarzona jest ich władczyni.

– Wasza wysokość. – Mag podniósł się z sofy i przyklęknął na jedno kolano.

– Proszę, wstań. Odrzućmy te konwenanse, gdy jesteśmy sami. – Nagle znalazła się tuż koło niego, choć Illidan nie zauważył, jak podeszła. Królowa podprowadziła go z powrotem do sofy. – Usiądźmy wygodniej, drogi czarodzieju.

Siadając, Azshara nachyliła się w stronę nocnego elfa. Jej dotyk sprawił, że jego dusza stanęła w płomieniach. Sama jej obecność miała niemal hipnotyczne działanie.

Hipnotyczne? Illidan przyjrzał się królowej.

Poświata otaczająca Azsharę stała się jeszcze bardziej intensywna, do tego stopnia, że zaczęła się nakładać na niego. Fakt, że Illidan to przeoczył, mówił wiele o umiejętnościach królowej.

Nawet mając tego świadomość, nie był w stanie uwolnić się spod jej czaru.

– Zrobiłeś na mnie ogromne wrażenie, Illidanie Stormrage! Taki mądry, taki potężny! Nawet nasz lord Sargeras to dostrzega, bo z jakiej innej przyczyny obdarzyłby cię tak cennym darem? – Długie smukłe palce dotknęły szala. – Chociaż to wielka szkoda stracić tak piękne bursztynowe oczy... wiem, że to bardzo boli...

Jej twarz znalazła się nęcąco blisko jego twarzy i niemożliwością było nie pragnąć, by znalazła się jeszcze bliżej.

– Jakoś to zniosłem, wasza wysokość.

– Proszę! Dla ciebie jestem po prostu Azsharą... – Jej palce przesunęły się z oczodołów na resztę twarzy. – Taka piękna twarz! – Dotknęła jego ramienia, odchylając połę szaty. – Jesteś taki silny... i naznaczony przez Prześwietnego!

Marszcząc brwi, Illidan opuścił wzrok na jej dłoń.

Jego ramię pokrywał zawiły wzór ciemnych tatuaży. Pod nimi nocny elf wyczuł nadprzyrodzoną magię – magię Sargerasa – która przenikała na wskroś jego ciało. Fakt, że nie wyczuł jej do tej pory, oszołomił elfa. Zerknął szybko na drugą połowę swojego ciała – ją też pokrywał podobny wzór. Sargeras istotnie uznał go za istotę należącą do Legionu.

Zapominając na chwilę o królowej, brat Malfuriona dotknął ostrożnie jednego z tatuaży. Natychmiast poczuł przypływ mocy, która zaczęła w nim krążyć. Jego ciało emanowało pierwotną energią, która miała takie samo źródło jak moc Studni. Uświadomił sobie, że władca demonów naznaczając go, spotęgował jego umiejętności.

– Zaprawdę, cieszysz się jego przychylnością... a zatem i moją – wyszeptała królowa Azshara, znów przysuwając się bliżej. – A ja mogę obdarzyć cię wieloma względami, jakich nawet on...

– Wybacz mi to najście nie w porę, o Światło Świąteł. – Niemal warknęła postać stojąca w drzwiach.

Illidan stężał, ale Azshara wyprostowała się spokojnie, odgarniając do tyłu bujne włosy i przyglądając się przybyszowi zwodniczo sennym spojrzeniem.

– O co chodzi, drogi kapitanie?

W odróżnieniu od królowej, którą otaczał uwodzicielski blask, kapitan Varo'then emanował mrokiem kojarzącym się Illidanowi z demonami. Nie posiadał jakichś szczególnych magicznych zdolności, ale młody mag zdawał już sobie sprawę, że żołnierz może być na swój sposób równie zabójczy jak Mannoroth.

A może nawet bardziej, przynajmniej gdy w grę wchodziła jego zazdrość o prawdziwych i wyimaginowanych rywali do serca królowej. Varo'then prawie gotował się z wściekłości, widząc Azsharę i Illidana razem na sofie. To, że królowa wstając wyciągnęła rękę i pogłaskała czarodzieja po policzku, wcale nie polepszyło sprawy.

– Przyszedłem po niego, wasza wysokość. Złożył pewne obietnice i nasz pan oczekuje, że je wypełni.

– I wypełnię – odparł z mocą Illidan, wpatrując się w oficera przez szal. Oczy Varo'thena zwęziły się groźnie, ale skinął głową.

– W takim razie, proszę bardzo – odezwała się Azshara, stając pomiędzy nimi i zerkając na nich z fałszywą skromnością. – Jestem pewna, że żaden smok nie ma szans z wami dwoma! Nie mogę się już doczekać, by usłyszeć o twoich wyczynach... – przesunęła dłoń po napierśniku kapitana, którego oczy zapalały żądzą... – waszych wyczynach, ma się rozumieć! – dodała, muskając nagą pierś Illidana.

Choć czarodziej zdawał sobie sprawę, że królowa się nimi bawi, nie potrafił być zupełnie obojętny na jej wdzięki. Starając się ignorować jej

sztuczki, odparł:

– Nie zawiodę cię... Azsharo.

To, że zwrócił się do niej imieniem nie poprzedzonym żadnym tytułem było wyraźnie nie w smak żołnierzowi. Ręka Varo'thena zsunęła się na rękojeść miecza, ale kapitan roztropnie zapanował nad sobą i nie dobył ostrza.

– Najpierw musimy odszukać bestię, co, jak twierdziłeś, jesteś w stanie zrobić.

Illidan wziął do ręki smoczą łuskę.

– Niczego nie twierdzę, mówię prawdę.

– Więc nie ma na co czekać. Już prawie zmierzcha.

Odwracając się do królowej, Illidan złożył jej ukłon, jaki podpatrzył w Gawroniej Twierdzy.

Obdarzyła go królewskim uśmiechem.

– Ty też możesz odejść, drogi kapitanie.

– O najwspanialsza, Światło Świateł, Kwiecie Księżyca... – Varo'then też się uklonił, ale krótko, po wojskowemu. Potem wskazał Illidanowi drzwi. – Proszę przodem, mistrzu magii.

Nie odzywając się ani słowem do opancerzonej postaci, mag wymaszerował na zewnątrz. Czuł, że Varo'then jest tuż za nim. Bliźniak Malfuriona nie byłby wcale zdziwiony, gdyby kapitan spróbował wbić mu nóż w plecy, ale ten zbyt dobrze nad sobą panował.

– Dokąd idziemy? – zapytał towarzysza.

– Będziesz mógł zacząć czarować, gdy opuścimy Zin–Azshari. Nasz pan Sargeras życzy sobie, żeby misja zakończyła się jak najszybciej. Nie może się już doczekać, żeby postawić stopę na ziemi Azeroth i obdarzyć nasz świat swym błogosławieństwem.

– Wielkie to szczęście dla Azeroth.

Varo'then przyglądał mu się przez chwilę, jak gdyby chciał się przyczepić do jego odpowiedzi. Nie mając do czego, skinął w końcu głową.

– Tak, wielkie szczęście.

Kapitan poprowadził go przez pałac, schodząc korytarzami coraz niżej. Gdy zbliżali się do stajni, Illidan zapytał:

– Więc będziesz mi towarzyszył przez całą podróż?

– Musisz mieć kogoś, kto będzie nad tobą czuwał.

– Jestem zaszczycony.

– Nasz pan wiąże z dyskiem wielkie nadzieje. Musi go dostać.

– Cieszę się z twojego towarzystwa – zapewnił czarodziej. W tej samej chwili weszli do stajni, a to, co tam zobaczył, sprawiło, że stanął jak wryty.

– A cóż to?

Obok nocnych panter stało dwunastu piekielnych gwardzistów o twarzach wykrzywionych żądzą mordy. Po bokach trwali dwaj strażnicy zagłady, którzy najwyraźniej mieli za zadanie pilnować porządku wśród bezskrzydłych pobratymców. Kolejna para piekielnych gwardzistów trzymała krótko śliniącą się piekielną bestię.

– Jak już mówiłem – odparł kapitan Varo'then z ledwie wyczuwalną nutką sarkazmu – potrzebujesz kogoś, kto będzie nad tobą czuwał. A oni – wskazał diabelnych wojowników – będą cię obserwować bardzo uważnie. Solennie ci to obiecuję, czarodzieju.

Illidan kiwnął głową i nic nie powiedział.



– Będziemy się spieszyć, obiecuję ci, Rhoninie.

– Niczego mi nie obiecuj, Krasusie – odparł człowiek. – Tylko bądźcie ostrożni. I nie martw się Stareye’em. Poradzę sobie z nim.

– To akurat najmniejsze z naszych zmartwień. Wierzę, że razem z naszym drogim kapitanem Shadowsongiem nie pozwolicie armii się rozpaść.

– Ze mną? – Jarod potrząsnął głową. – Mistrzu Krasusie, pokładasz we mnie zbyt wielką ufność. Jestem tylko oficerem straży! Jak powiedziała Maiev, po prostu miałem szczęście! Nie jestem lepszym dowódcą od... od...

– Stareye’a? – uśmiechnął się znacząco Rhonin.

– Obawiam się, że musimy na ciebie liczyć, Jarodzie Shadowsong. Taureni i reszta widzą, że traktujesz ich z szacunkiem i odpowiadają tym samym. Możliwe, że tak jak już raz to zrobiłeś, będziesz musiał działać. Dla dobra swojego ludu, dodam.

Pokonany nocny elf zwiesił ramiona.

– Zrobię, co w mojej mocy, mistrzu Krasusie. To wszystko, co mogę obiecać.

Mag kiwnął głową.

– I tylko o to cię prosimy, drogi kapitanie.

– A więc tę sprawę już załatwiliśmy – odezwał się człowiek. – Jak zamierzacie dostać się do pieczary?

– Nie mamy już gryfów. Będziemy musieli zdać się na nocne pantery i popędzać je w miarę możliwości.

– To potrwa zbyt długo! I co gorsza, wystawi was na ataki zabójców Legionu!

Archimond wysłał w ślad za armią demony, które niezmordowanie szukały okazji do zabicia Krasusa i jego drużyny. Malfurion, po tym, jak pozbawił Legion prawie pewnego zwycięstwa, został specjalnie

naznaczony przez Archimonda, ale smoczy mag zdawał sobie doskonale sprawę, że sam też zajmuje wysoką pozycję na liście demona.

– Zaklęcie byłoby zbyt ryzykownym sposobem przeniesienia się do miejsca, gdzie przyczał się Skrzydła Śmierci – odparł Krasus. – Nie mam wątpliwości, że jest na to przygotowany. Musimy podróżować w normalny sposób.

– Nadal mi się to nie podoba.

– Mnie też nie, ale tak musi być. – Popatrzył na towarzyszy podróży. – Jesteście gotowi do drogi?

Malfurion kiwnął głową. Brox odpowiedział niecierpliwym chrząknięciem. Choć druid i mag dysponowali nadzwyczajnymi umiejętnościami, Krasus rozumiał, że potrzebują w drużynie wprawnego wojownika takiego jak ork. Czarodziejów można było obezwładnić na wiele sposobów. Brox udowodnił też, że jest godnym zaufania sprzymierzeńcem.

– Daj nam godzinę, nim zaalarmujesz lorda Stareye'a – przypomniał Rhoninowi Krasus, dosiadając pantery.

– Dam wam dwie.

Widząc, że druid i ork siedzą już w siodłach, Krasus ponaglił swojego wierzchowca do biegu. Zwinny kot szybko nabrał prędkości, wierzchowce towarzyszy maga były zaraz za nim. Wkrótce pantery zostawiły armię nocnych elfów daleko, daleko w tyle.

Żaden z jeźdźców się nie odzywał, wszyscy trzej byli skupieni na drodze przed sobą i wypatrywaniu oznak czających się wokół zagrożeń. Jednak noc minęła spokojnie i do rana zdążyli pokonać spory dystans. Kiedy słońce zaczęło wschodzić, Krasus wreszcie zarządził postój.

– Odpoczniemy tu jakiś czas – zdecydował, przyglądając się rzadko zalesionym wzgórzom przed nimi. – Wolałbym przejeżdżać przez nie w

pełni sił.

– Myślisz, że może nam tam coś grozić? – zapytał Malfurion.

– Owszem, choć las jest rzadki, na wzgórzach znajduje się pełno wąwozów i innych miejsc nadających się na zasadzki.

Brox kiwnął głową.

– Wykorzystałbym do tego wzgórze na północy. Najlepszy widok na ścieżkę. Powinniśmy trzymać się od niego z daleka.

– Zgodzę się z opinią eksperta. – Mag się rozejrzał. – Teren pod tymi dwiema wysokimi skałami najlepiej nada się na obóz. Będziemy mieć dobry widok na okolicę, a sami będziemy częściowo osłonięci.

Przywiązali nocne pantery do pokrzywionego drzewa. Hodowane przez elfy koty wypełniały każdy rozkaz bez zwłoki i sprzeciwu. Brox zaofiarował się nakarmić je mięsem, które ze sobą wzięli. Zapasy były obliczone na trzy dni, potem musieli pozwolić panterom polować. Krasus miał nadzieję, że do tego czasu znajdą się w miejscu bardziej obfitym w zwierzynę niż to.

Trzej towarzysze zabrali się za swoje racje. Krasusowi, który był smokiem, ciężko było nasycić się suszonym, solonym mięsem, ale z konieczności już dawno się do tego przyzwyczaił. Malfurion zjadł trochę owoców – też suszonych – i orzechów, zaś Brox to samo co Krasus, choć z większym apetytem. W kwestii jedzenia orki nie były wybredne.

– Koty poszły już spać – oświadczył po posiłku Krasus. – Proponuję zrobić to samo.

– Wezmę pierwszą wartę – zaproponował Brox.

Malfurion wziął następną i w ten sposób rozwiązali kwestię bezpieczeństwa. Krasus i druid znaleźli miejsce na spoczynek obok wyższej z dwóch skał. Brox, ze zwinnością przeczącą jego zwalistej budowie, bez

trudu wdrapał się na szczyt tej bardziej stromej, gdzie usiadł z toporem na kolanach, obserwując okolicę niczym głodny padlinożerny ptak.

Choć smoczy mag miał zamiar tylko się zdrzemnąć, zapadł w głęboki sen. Wziął na siebie zbyt wiele. Krótkie chwile odpoczynku, jakie udawało mu się wcześniej wykraść, nie wystarczyły, aby zdjąć z niego całe napięcie.

Smoki śnią, a Krasus nie był wyjątkiem. W jego snach dochodziło do głosu przemożne pragnienie, by znów latać, rozpostrzeć skrzydła i wzbić się w powietrze. W snach znów był Korialstraszem. Będąc podniebną istotą, irytował się uwiązaniem do ziemi. Smok zawsze dobrze się czuł w swojej śmiertelnej powłoce, ale kiedyś wiedział, że wystarczy myśl, aby powrócić do swoich prawdziwych kształtów. Kiedy utracił tę umiejętność, często odczuwał frustrację spowodowaną kruchością swojej obecnej postaci.

Śniło mu się, że padł ofiarą klątwy – słabsza, śmiertelna postać zawładnęła nim, wciskając go w coraz mniejszy kształt. Skrzydła zostały wgniecione w plecy, ogon odpadł. Długa, zębata paszcza wprasowała się w czaszkę i zastąpiona niepozorną wypustką ludzkiego nosa. Korialstrasz znów stał się Krasusem, który runął w dół...

Obudził się zlany potem.

Pomyślał, że zostali zaatakowani, ale wokół panowała cisza, jeśli nie liczyć rytmicznego oddechu Malfuriona. Wstał i zobaczył, że Brox wciąż siedzi na szczycie skały. Spojrzał na słońce, oceniając porę. Warta Broxa znacznie się przedłużyła. Była już prawie kolej Krasusa.

Nie budząc druida, szczupła, zakutana w szaty postać uchwyciła skalny występ i zaczęła się wspinać ze zwinnością jaszczurki. Gdy dotarła na górę, Brox skoczył na równe nogi i z reflekssem godnym smoka dobył topora.

– To ty – mruknął ork, pomagając mu się podciągnąć. Usiedli na szczycie skały, skąd mogli w trakcie rozmowy obserwować okolicę. – Myślałem, że śpisz, mistrzu Krasusie.

– Sam powinieneś się wyspać, Broksie. Potrzebujesz odpoczynku tak samo jak my obaj.

Zielonoskóry wojownik wzruszył ramionami.

– Orczy wojownik potrafi spać z otwartymi oczami i bronią w pogotowiu. Nie ma potrzeby budzić nocnego elfa. On potrzebuje więcej snu. W starciu ze smokiem przyda się bardziej niż stary weteran.

Krasus zmierzył orka badawczym wzrokiem.

– Stary weteran warty tyle, co dwudziestu młodych.

Komplement sprawił wojownikowi wyraźną przyjemność, ale odpowiedział:

– Twój sługa dni świetności ma już za sobą. Nie będzie już więcej opowieści o Broxigarze Czerwonym Toporze.

– Żyję dłużej od ciebie, Broksie, wiem zatem, o czym mówię. Czekają cię jeszcze chwile świetności, wiele bohaterskich walk przed tobą. Powstaną nowe opowieści o Broxigarze Czerwonym Toporze, nawet jeśli sam będę musiał je opowiadać.

Policzki orka pociemniały; nagle pochylił nisko głowę.

– Jestem zaszczycony twoimi słowami, o czcigodny.

Tak jak Malfurion, Brox domyślił się prawdy o tożsamości Krasusa. Ku zaskoczeniu smoka, wojownik wiedział już od dawna. Oswojony z szamanizmem, wyczuł niewiarygodną moc i wiek towarzysza, a obserwując jak Krasus poczyną sobie ze smokami, wyciągnął z tego logiczne wnioski, które jakoś umykały innym. Nie był w stanie pojąć, jak Krasus i czerwony smok Korialstrasz mogą być jednym i tym samym, ale przyjął to do wiadomości z jedynie lekkim zmarszczeniem brwi.

– A skoro już tytułujesz mnie „czcigodnym” – rzekł Krasus – nalegam, abyś odpoczął. Będę czuwał przez resztę warty Malfuriona, choć zostało jej już niewiele, a potem odbędę własną.

– Czy nie byłoby lepiej, gdybyś...

Krasus spojrział prosto w oczy orka.

– Zapewniam cię, jestem wytrzymalszy od ciebie. Nie potrzebuję więcej snu.

Widząc, że nie ma sensu dłużej się spierać, Brox chrząknął i wstał. W tej samej chwili Krasus zobaczył coś za plecami zwalistego wojownika i zeszywniał.

– Strażnik zagłady...

Brox natychmiast padł plackiem. Patrzyli, jak trzy demony o płomiennych skrzydłach zmierzają powoli w kierunku wzgórz. Były uzbrojone w długie, paskudne klingi. Strażnicy zagłady lustrowali bacznie okolice, ale najwyraźniej nie dostrzegli jeszcze drużyny.

– Kierują się w stronę miejsca, przez które będziemy musieli przejechać – zorientował się Krasus.

– Powinniśmy ich powstrzymać.

Mag kiwnął głową ale dodał:

– Musimy się dowiedzieć, czy jest ich więcej. Nie możemy zabić ich ot, tak sobie, jeśli grozi to zaalarmowaniem ich towarzyszy przebywających w okolicy. Pozwól, że najpierw to sprawdzę.

Krasus zamknął oczy i sięgnął zmysłami ku demonom. Natychmiast poczuł mrok, jakim emanował każdy z nich, mrok tak odpychający, że podzielał nawet na smoka. Mimo to Krasus nie zawahał się zajrzeć głębiej. Musieli poznać prawdę.

Dojrzał wewnątrz każdego z nich dzikość i chaos, jakie wykrywał już podczas wcześniejszych wtargnięć. Magowi wciąż trudno było uwierzyć, że

jakakolwiek istota mogła być aż tak niegodziwa. Było to swego rodzaju szaleństwo, porównywalne z tym, które ogarnęło szlachetnego niegdyś Nelthariona, zmieniając go w nikczemne Skrzydła Śmierci.

W potwornych myślach stworów odkrył wreszcie to, czego szukał. Ci trzej byli zwiadowcami, szukającymi słabych punktów, które Legion mógł wykorzystać. Nie zamierzali ograniczać się wyłącznie do pola bitwy, ale chcieli wywołać panikę na tyłach obrońców.

Taka taktyka nie zaskoczyła wcale Krasusa. Był pewien, że Archimond wdraża już inne plany i właśnie dlatego wyprawa po Duszę Demona była taka ważna. Przeszukał okolicę, ale nie znalazł innych demonów. Usatysfakcjonowany, przerwał sondowanie.

– Są sami – oznajmił. – Rozprawimy się z nimi, ale tym razem najlepiej będzie posłużyć się magią.

Ork chrząknął z zadowoleniem. Krasus zsunął się w dół, aby obudzić Malfuriona.

– Co... – zaczął nocny elf. Krasus dał mu znak, by był cicho.

– Trzech strażników zagłady – wyszeptał starszy mag. – Są sami. Mam zamiar ich usunąć, z twoją pomocą.

Malfurion kiwnął głową. Razem z Krasusem wyminęli skały, skąd widać było unoszące się w powietrzu demony.

– Co powinniśmy zrobić? – zapytał druid.

– Najlepiej by było, gdybym zestrzelił wszystkie trzy jednocześnie. Ale bezustannie zmieniają pozycję, co oznacza, że mogę się przeliczyć. Tobie zostawiam tych, którzy mi uciekną.

– W porządku. – Malfurion wziął głęboki oddech i przygotował się. Krasus obserwował strażników zagłady, czekając, aż znajdą się najbliżej siebie.

Dwa demony zawisły w powietrzu, dzieląc się informacjami, ale trzeci wciąż obserwował wzgórze. Mag zaklął pod nosem, zdając sobie sprawę, że właśnie trafiła mu się najlepsza okazja do zabicia tej pary. Trzeci był jednak na tyle daleko, że obawiał się, iż zdoła uciec przed atakiem.

Malfurion musiał wyczuć jego wahanie.

– Nie pozwolę mu uciec, mistrzu Krasusie.

Jego słowa przyniosły magowi znaczną ulgę. Krasus skinął głową koncentrując się.

W przeciwieństwie do Illidana – a czasem nawet Rhonina – żył zbyt długo, by marnować siły na tworzenie wspaniałych, zapierających dech w piersi zaklęć. Strażnicy zagłady stanowili zagrożenie i należało ich wyeliminować. To wszystko. Dlatego pierwszy demon, a zaraz po nim drugi, po prostu eksplodował, opadając w dół deszczem szczątków.

Tak jak się obawiał, trzeciemu udało się wymknąć z pułapki. Jego radość okazała się jednak krótkotrwała. Gdy to, co zostało z dwóch pierwszych, opadało w dół, Malfurion podniósł pojedynczy liść i wymamrotał coś do wiatru. Obok druida zerwał się nagle silniejszy powiew, który szybko porwał liść i poniósł go prosto ku ostatniemu strażnikowi zagłady.

Z jednego liścia zrobiło się ich nagle mnóstwo, całe setki. Zawirowały na wietrze, kręcąc się coraz szybciej i szybciej i zbliżając do umykającego demona.

Każdy, który dotknął stwora, przyklejał się do niego. Wkrótce oblepiały go dziesiątki liści, choć dookoła wciąż wirowało niewiele mniej. Rogaty wojownik walczył z wiatrem, ale coraz większy ciężar udaremniał jego wysiłki.

Po kilku sekundach demon przypominał opatuloną zielenią mumię. Skrzydła były coraz wolniej, nie będąc w stanie udźwignąć jego ciężaru. W końcu ostatni ze strażników zagłady runął w dół jak kamień.

Malfurion nie patrzył, jak demon uderza o twardą ziemię. Zrobił to, co do niego należało, ale nigdy nie czerpał z tego przyjemności.

– Droga wolna – oznajmił Krasus. – Ale musimy się pospieszyć, bo pokonanie wzgórz zajmie...

Ze szczytu skały dobiegło ich wołanie Broxa:

– Widzę na niebie coś jeszcze! Nad nami!

Zaledwie kilka sekund później padł na nich jakiś cień... cień, który przesłonił całą okolicę. Skrzydlata sylwetka poruszała się tak szybko, że znikła w chmurach, nim którykolwiek z nich zdołał ją zidentyfikować. Ork dobył topora, Krasus i Malfurion zaczęli przygotowywać zaklęcia.

Gigantyczna sylwetka znów wyrwała się na otwartą przestrzeń, mknąc prosto na trójkę towarzyszy. Obniżając lot, biła lekko wielkimi, błoniastymi skrzydłami. Krasus odetchnął, a na jego poważnej zazwyczaj twarzy zagościł na krótko uśmiech.

– Powinienem był się domyślić! Powinienem był poczuć!

Powrócił Korialstrasz.

Młodsza wersja maga wylądowała tuż przed nimi. Czerwony smok prezentował się nader okazale. Grzebień biegł przez całą długość jego ciała, aż po koniuszek ogona. Był na tyle wielki, że mógł połknąć towarzyszy jednym kłapięciem szczęk, lecz choć pysk miał najeżony kłami, wystarczyło spojrzeć mu w oczy, by dostrzec w nich inteligencję i współczucie.

Być może podziwianie własnego wcześniejszego wcielenia było pewnym przejawem narcyzmu, ale Krasus nie był w stanie się powstrzymać. Korialstrasz okazał się o wiele bardziej doświadczony, niż zapamiętała jego starsza wersja. Zupełnie jak gdyby byli dwiema osobnymi istotami, choć byli przecież jedną i tą samą.

Odczekawszy, aż kurz opadnie, Korialstrasz powitał trójkę towarzyszy skinieniem wielkiego łba, po czym wbił wzrok w Krasusa.

– Łut szczęścia sprawił, że przelatując w pobliżu wyczułem magię – zagrzmiał. – Byłem tak pochłonięty innymi sprawami, że gdyby nie to, nie zauważyłbym waszej obecności. Nawet twojej – dodał, zwracając się do maga.

To nie wróżyło nic dobrego.

– Mówisz o poszukiwaniach pozostałych?

– Tak... znalazłem je. Szukają sposobu, który pozwoli im się uporać z plugawym dyskiem Strażnika Ziemi albo uchronić się przed nim, ale jak na razie niczego nie wymyśliły. Nawet moja królowa nie śmie stawić czoła Neltharionowi, chyba że zdobędzie jakiś oręż. Sami widzieliście, co się stało z błękitnymi! Wymordowani co do jednego!

Krasus pomyślał o ukrytych przez siebie jajach, ale uznał, że to nie czas na zajmowanie się tą sprawą.

– Obawy Alexstraszy nie są bezzasadne. To żaden honor polecieć na pewną śmierć.

– Ale jeśli my, smoki, nie pomożemy śmiertelnym rasom, nie będzie już nadziei dla nikogo!

– Wciąż jest nadzieja. Nie zapytałeś, co tu robimy. – Krasus wskazał druida. – Młody Malfurion odnalazł kryjówkę Strażnika Ziemi i wie, gdzie znajduje się Dusza Demona.

Szkarłatny olbrzym wybałuszył gadzie oczy.

– To prawda? Może zmasowany atak, gdy zapadnie w drzemkę...

– Nie! Tu potrzeba sprytu, przebiegłości. Mamy nadzieję, że uda nam się wśliznąć tam niepostrzeżenie i skraść dysk. Inaczej Neltharion dopadnie go przed nami i wszyscy zginiemy.

Korialstrasz przyznał mu rację, choć plan był niebezpieczny.

– Dokąd musicie dotrzeć?

Malfurion opisał to, co widział w Szmaragdowym Śnie. Krasus rozpoznał tamte okolice, więc nikt nie był zaskoczony tym, że jego młodsza wersja również.

– Wiem, gdzie to jest! Plugawe miejsce! Czai się tam zło starsze od smoków, choć nie potrafię powiedzieć, co to może być!

– W tej chwili nie ma to znaczenia. Liczy się tylko Dusza Demona. – Wysoka, blada postać omiotła wzrokiem wzgórze. – I jeśli chcemy mieć choć cień szansy odebrania jej smokowi, powinniśmy ruszać. Przekroczenie tych wzgórz zajmie nocnym panterom trochę czasu.

– Nocnym panterom? – Korialstrasz wyglądał na zdumionego. – Po co wam one, skoro macie mnie?

– Grozi ci największe ryzyko – zwrócił mu uwagę Krasus. – Nie możesz zmieniać postaci, więc jesteś bardzo widocznym celem. A poza tym jesteś wyjątkowo podatny na działanie Duszy Demona. Wystarczy kaprys czarnej bestii, byś został jej niewolnikiem.

– Mimo to zrobię, co w mojej mocy. Musicie jak najszybciej dotrzeć do jego kryjówki. Koty są zbyt wolne, a nie odważycie się użyć zaklęć.

Spieranie się z samym sobą nie miało sensu, uznał Krasus. Pomoc Korialstrasza umożliwiła im znacznie szybsze dotarcie na miejsce. Ale kiedy już się tam znajdą miał zamiar odprawić swoją młodszą wersję i to natychmiast.

– Doskonale. Brox, przygotuj nocne pantery do powrotu. Wyślę razem z moją krótki listu. Miejmy nadzieję, że wrócą same do obozu i Rhonin otrzyma wieści o naszych postępach. Zabierzcie tyle, ile jesteście w stanie nieść. Nie więcej.

Przeniesienie dobytku na grzbiet czerwonego olbrzyma nie zajęło im wiele czasu. Gdy mag przymocował wiadomość do swojego kota, odesłali

zwierzęta z powrotem. Potem Krasus i jego towarzysze wspięli się na barki smoka. Gdy wszyscy już się usadowili, Korialstrasz poruszył się w przód i w tył, aby sprawdzić, czy siedzą bezpiecznie, po czym rozpostarł skrzydła.

– Będę się spieszył... ale i uważał – obiecał im.

Gdy wzbili się w przestworza, Krasus wbił ponury wzrok w krajobraz przed sobą. Korialstrasz spadł im z nieba, ale to jeszcze nie oznaczało powodzenia ich misji. Neltharion – Skrzydła Śmierci – z pewnością wyglądał wrogów, wyimaginowanych i rzeczywistych. Wiedział, że gdy znajdą się w jego władztwie, będą musieli uważać na każdy krok. Miało to przynajmniej jedną zaletę.

Tak blisko kryjówki potwora z pewnością nie będą musieli martwić się o demony.

SZEŚĆ



Lord Desdel Stareye miał wspaniały plan.

W taki właśnie sposób przedstawił go wszystkim zainteresowanym. Obmyślił go zupełnie sam, więc musiał być niezawodny. Większość szlachciców pokiwała z zapalem głowami i wzniosła na jego cześć toast trzymanymi wysoko kielichami, ale reszta po prostu zachowała spokój. Żołnierze walczący na froncie byli zbyt utrudzeni, żeby się martwić, a uchodźcy myśleli tylko o ratowaniu własnej skóry. Z nielicznych osób, na których krytykę mógł się narazić, została się ledwie garstka, przede wszystkim Rhonin. Niestety, ciągłe wyjazdy Krasusa sprawiły, że dowódca wyzbył się swoich obaw przed przybyszami z zewnątrz. Gdy zaistniało podejrzenie, że Rhonin może mieć coś do zarzucenia jego wspaniałemu projektowi, Stareye zasugerował uprzejmie, że rada sama potrafi zadbać o swoje sprawy, a czarodziej ma własne obowiązki, którymi powinien się zająć. Podwoił też strażę wewnątrz namiotu, dając jasny sygnał, że każe im wkroczyć do akcji, gdyby człowiek nie pojął aluzji.

Nie chcąc doprowadzić do konfrontacji, która mogła tylko zagrozić stabilności armii, Rhonin opuścił namiot. W pobliżu obozu taurenów spotkał Jaroda, który przechadzał się razem z Hulnem.

Nocny elf bez trudu odczytał wyraz jego twarzy.

– Coś złego...

– Może... a może stałem się zbyt cyniczny, gdy w grę wchodzi ten zepsuty arystokrata. Jego plan wydaje się zbyt prosty, by mógł się powieść...

– Prostota nie musi być zła – odezwał się Huln – jeśli jest podyktowana rozsądkiem.

– Jakoś wątpię w zdrowy rozsądek Stareye'a. Nie rozumiem, jakim cudem on i Ravencrest tak dobrze się dogadywali.

Jarod wzruszył ramionami.

– Należą do tej samej kasty.

– A, w takim razie to zupełnie zrozumiałe. – Kiedy nocny elf nie wyłapał sarkazmu w jego głosie, potrząsnął głową. – Nieważne. Musimy mieć się na baczności i liczyć na pomyślny obrót spraw...

Nie czekali długo. Stareye zrealizował swój plan przed zachodem słońca. Siły nocnych elfów podzieliły się, tworząc trzy kliny. Taureni i pozostałe rasy poszli w ich ślady. Szlachcic odwołał do tyłu większość kawalerii i odesłał ją na lewą flankę. Tam miała czekać, w niewielkiej odległości od trzonu armii.

Przód każdego klina składał się z pikinierów, za którymi szły elfy uzbrojone w miecze i inną białą broń. Za nimi, osłonięci ze wszystkich stron, maszerowali łucznicy. W skład każdego klina wchodziłi też rozproszeni równomiernie członkowie Księżycowej Gwardii. Czarodzieje mieli za zadanie chronić resztę przed Eredarami i innymi magami.

Kliny miały napierać ze wszystkich sił, wgrzyzając się w Płonący Legion niczym kły. Demonami, które znalazły się między nimi, mieli się zająć łucznicy i szermierze. Nocne elfy miały się poruszać zgranym tempem,

żaden klin nie miał prawa wysunąć się przed pozostałe. Kawalerię trzymano w odwodzie, aby wzmocnić ewentualne słabe punkty.

Ziemni i taureni podeszli do pomysłu z pewnym sceptycyzmem, ale ponieważ nie mieli wcześniej do czynienia ze strategią wojskową na tak wielką skalę, postanowili zdać się na bogate doświadczenie nocnych elfów.

Gdy armia ruszyła naprzód, Jarod jechał obok Rhonina. Demony zachowywały się w wyjątkowo niezdecydowany sposób, co Stareye wziął za dobrą wróżbę, ale ci dwaj uznali, że należy wzmóc czujność.

– Rozmawiałem z Księżycową Gwardią – poinformował towarzysza czarodziej. – Obmyśliliśmy kilka sztuczek, które mogą pomóc w realizacji planu jego lordowskiej mości. Będę czuwał nad ich koordynacją.

– Huln obiecuje, że taureni dadzą z siebie wszystko, wydaje mi się, że furbolgowie też sugerowali coś podobnego – odparł kapitan. – Martwię się jednak, czy oddział Dungarda Ironcuttera zdoła utrzymać swoją część frontu.

– Jeśli będą walczyć jak mój znajomy krasnolud Falstad – powiedział Rhonin – będą najmniejszym z naszych problemów.

W tej samej chwili odezwały się rogi. Żołnierze na przedzie natychmiast zwiększyli tempo, szykując się do konfrontacji.

– Bądźcie gotowi! – krzyknął czarodziej, a jego kot przyspieszył kroku.

– Żałuję, że nie było mnie w Suramarze, zanim to wszystko się zaczęło...

Teren przed nimi opadał łagodnie, dając im wreszcie widok na to, co w dole.

Morze demonów rozpościerało się aż po horyzont.

– Księżycowa Matko! – zawołał Jarod.

– Weź się w garść!

Trębacze dali sygnał do ataku. Wrzeszcząc donośnie, nocne elfy puściły się biegiem. Z prawej słychać było głębokie ryki furbolgów i taurenów.

Dziwny, zawodzący dźwięk obwieścił atak Ziemnych.

Zwarli się.

Pierwsza linia Legionu niemal natychmiast załamała się pod intensywnym naporem. Kliny wbiły się prosto w demony. Dziesiątki rogatych wojowników padły, skłute pikami.

– To działa! – krzyknął podekscytowany Jarod.

– Działamy siłą rozpędu, ale zaraz zwolnimy!

Rzeczywiście, po kilku jardach Płonący Legion doszedł do siebie. Nie zdołał całkowicie zatrzymać nawały, ale teraz za każdą piędź ziemi nocne elfy płaciły srogą daninę z krwi.

A jednak wciąż posuwały się naprzód.

Co nie oznacza, że nie ponosiły strat. Kilku strażników zagłady fruwało nad elfami, usiłując przedostać się między pikami i dosięgnąć łuczników. Niektórzy pospadali na ziemię, zestrzeleni przez niedoszłe ofiary, ale innym udało się utrzymać w powietrzu nad obrońcami. Uzbrojeni w długie buzdygany i inny oręż, nurkowali w dół, miażdżąc czaszki i patrosząc elfy zajęte chwilowo czymś innym. Jednak w końcu wycofali się pod ostrzałem łuczników i Księżycowej Gwardii.

W innym miejscu demony rozstąpiły się, wypuszczając na czubek klina dwa infernale. Żołnierze próbujący je powstrzymać zostali stratowani, ostrze klina stępiło się, prawie zanikając. Jednego infernala powaliła Księżycowa Gwardia, ale zdążył przed śmiercią zabić kilku łuczników. Drugi wciąż siał spustoszenie wśród nocnych elfów, nawet gdy zdołały już załatać lukę po jego przejściu.

Rhonin spróbował się skupić na pojedynczych demonach, ale otaczało go zbyt wielu żołnierzy. Za każdym razem, gdy wydawało mu się, że może już rzucić czar, ryzykował uśmierceniem kilku nocnych elfów.

Jak spod ziemi wyskoczyło nagle trzech Ziemnych, którzy zaczęli się przepychać między obrońcami, dopóki nie dotarli do infernała. Każda z krępych, acz muskularnych postaci dzierżyła młot bojowy o wielkiej, stalowej głowicy.

Infernał skoczył, ale chybił. Jeden z krasnoludów wśliznął się między nogi potwora i zaczął rąbać jedną z nich. Drugi zaatakował go z boku. Infernał zdołał trafić łapskiem drugiego napastnika, ale cios, który zabiłby nocnego elfa, gruchocząc mu kości, tylko zatrzęsł krasnoludem. Infernał wreszcie zetknął się z istotami, które miały skórę równie grubą jak on.

Teraz już wszystkie trzy krasnoludy robiły użytek ze swoich młotów. Wszędzie tam, gdzie trafiły demona, ciężki oręż zostawiał pęknięcia i szczeliny. Lewa noga załamała się pod infernałem, który ukląkł na jedno kolano.

Rhonin zobaczył go po raz ostatni w chwili, w której trzej Ziemni wzniesli młoty nad jego głową.

Czarodziej zauważył, że Jarod Shadowsong jedzie w jego stronę. Rhonin nawet się nie zorientował, że kapitan gdzieś zniknął.

– Wezwałś ich?

– Pomyślałem, że mają większe szanse.

Rhonin kiwnął głową z uznaniem, a potem znów ogarnął wzrokiem pole bitwy. Armia elfów, która poradziła już sobie z chwilową komplikacją znów spychała Płonący Legion do tyłu. Demony zachowały wyzywającą postawę mimo wymuszonego odwrotu, ale wszystko, co robiły, tylko na krótko opóźniało zdecydowane postępy elfów.

– Ten przeklęty plan jednak działa – mruknął czarodziej. – Chyba nie doceniłem jego lordowskiej mości.

– I dobrze, mistrzu Rhoninie! Boję się pomyśleć, co by było, gdyby się nie powiodł!

– Ano właśnie... – Rhonin zawył, czując, jak jakaś przemożna siła usiłuje zmiążyć mu mózg. Zsunął się z grzbietu wierzchowca, zanim Jarod zdołał go pochwycić, uderzając o ziemię z impetem mogącym zgruchotać kości. Nocny elf zeskoczył w ślad za nim, chcąc pomóc mu wstać.

Głowę Rhonina wypełnił straszliwy huk. Odgłosy walki zeszyły na drugi plan. Zamazanym wzrokiem widział, że Jarod coś mówi, ale głos elfa nie docierał do niego.

Huk wciąż narastał. Cierpiąc istne katusze, pojął, że został zaatakowany jakimś zaklęciem, które zaskoczyło go jak żadne do tej pory. Przyszli mu do głowy Nathrezimowie, których moc ożywiała poległych, ale to nie wyglądało mu na ich robotę.

Cierpienie stało się wszechogarniające. Rhonin walczył z tym przytłaczającym doznaniem, ale wiedział już, że przegrywa. Był bliski utraty przytomności i bał się, że już nigdy się nie obudzi.

W jego umyśle odezwał się beznamiętny głos: *Nie oprzesz mi się, śmiertelniku.*

Czarodziej wiedział, kto to mówi. Gdy opuściły go w końcu siły i ogarnęła ciemność, w głowie huczało mu jak echo jedno imię.

Archimond.



Jarod Shadowsong szybko odciągnął nieruchome ciało na tyły armii. Nocny elf szukał jakichś obrażeń na ciele Rhonina, ale niczego nie znalazł.

Człowiek był zupełnie nietknięty, przynajmniej z zewnątrz.

– Czarna magia – mruknął i się skrzywił. Jako że sam nie przejawiał talentów w tym kierunku, żywił wobec czarodziejów zdrowy respekt. Magia, która powaliła Rhonina, musiała pochodzić z silnego źródła. Mogło to oznaczać tylko najpotężniejszego demona, z jakim mieli do tej pory do czynienia, tego zwanego Archimondem.

Fakt, że Archimond znalazł czas, by odszukać czarodzieja, zaniepokoił kapitana nie na żarty. Archimond powinien być całkowicie pochłonięty utrzymaniem porządku w swoich wycofujących się szeregach. Wszędzie, gdzie Jarod spojrzął, Płonący Legion był bliski pójścia w rozsypkę. Plan lorda Stareye okazał się wielkim sukcesem...

Nocny elf wytrzeszczył oczy.

A może nie?



Brox trzymał się kurczowo grzbietu Korialstrasza lecącego ku ich przeznaczeniu. Ork żył w czasach, gdy czerwone smoki znalazły się pod obcasem jego pobratymców, ale sam nigdy na smoku nie leciał. Teraz rozkoszował się lotem i po raz pierwszy szczerze współczuł lewiantanom, które popadły w niewolę. Być tak wolnym, żyć w przestworzach, a potem zdychać jak psy dla czyjegoś kaprysu... taki los przyprawiłby o drgawki każdego orka. Brox czuł nawet ze smokami pewne pokrewieństwo, bo jego lud też został w pewnym sensie zniewolony, gdy najbardziej pierwotne

instynkty orków zostały groteskowo wypaczone przez demony z Płonącego Legionu.

Kiedyś Brox chciał po prostu umrzeć. Teraz pragnął stawić czoła śmierci, ale tak, żeby miało to jakiś sens. Walczył nie tylko po to, by ocalić swój lud w odległej przyszłości, ale wszystkich, których demony próbowały unicestwić. Duchy zadecydują, czy ma oddać życie, ale ork miał nadzieję, że zdąży jeszcze zadać kilka decydujących ciosów... a przede wszystkim wypełnić swoje zadanie.

Wzgórza przeszły w góry, które z początku przypominały mu te w jego rodzinnych stronach. Wkrótce jednak ich wygląd uległ zmianie, a wraz z nim zmieniło się coś w powietrzu. Krajobraz stał się wymarły, jak gdyby żywe istoty bały się lub nie chciały przebywać w tym miejscu. Korialstrasz wspominał o jakimś pradawnym złu i ork wyraźnie czuł, że całą okolicę przenika plugawość gorsza od tej szerzonej przez demony; Brox miał przez cały czas ochotę sięgnąć po umocowany na plecach topór.

Smok opadł nagle pomiędzy dwa zimne, ostre szczyty. Bez najmniejszego wysiłku szybował wąskimi dolinami, szukając odpowiedniego miejsca do lądowania.

W końcu wylądował w cieniu wyjątkowo ponurej góry, która przypominała Broxowi wojownika wznoszącego pałkę do ciosu. Urwista krawędź grani wzmagala tylko dojmujące wrażenie bycia obserwowanym przez mroczne moce.

– Bliżej nie ośmielę się podlecieć – poinformował smok swoich pasażerów, którzy schodzili właśnie na ziemię. – Ale jeszcze przez jakiś czas będę szedł za wami.

– Jesteśmy niedaleko – stwierdził Malfurion. – Pamiętam tę okolicę.

Krasus przyglądał się szczytowi, który przykuł uwagę orka.

– Jakżeby inaczej? Bardzo odpowiednie miejsce na kryjówkę Skrzydeł Śmierci.

– Już kiedyś użyłeś tego imienia – zauważył druid. – Rhonin także.

– Tak nazywamy Strażnika Ziemi tam, skąd pochodzę. Jego szaleństwo dało się nam we znaki, prawda, Broksie?

Weteran potwierdził chrząknięciem.

– Mój lud nazywa go też Cieniem Krwi... ale tak, Skrzydła Śmierci znają wszystkie żywe istoty, na swoje utrapienie.

Malfurion się wzdrygnął.

– Jak ukryjemy się przed jego wzrokiem? Wcześniej udało mi się to tylko dzięki temu, czego nauczył mnie Cenarius, ale nie możemy wszyscy wkroczyć w Szmaragdowy Sen.

– Zresztą nie miałoby to sensu – zauważył Krasus. – Na tamtym planie nie moglibyśmy dotknąć Duszy Demona. Musimy pozostać na tym. Ja znam go najlepiej. Powinno mi się udać przeprowadzić nas przez zaklęcia alarmujące. Oznacza to jednak, że reszta będzie zależała od ciebie i Broxa.

– Jestem gotowy.

– Ja również. – Ork wzniósł magiczny topór. – Odrąbię czarnemu łeb, jeśli będzie to konieczne.

Mag zachichotał.

– Będzie o czym śpiewać, co?

Początkowo prowadził Korialstrasz, który stanowił ich najlepszą obronę przed wrogiem, nawet w oczach Broxa. Jednak wkrótce ścieżka zwęziła się do tego stopnia, że lewiatan z trudem się przez nią przeciskał.

– Będziesz musiał tu zostać – zdecydował Krasus.

– Mogę się wspiąć i okrążyć górę...

– Jesteśmy zbyt blisko. Nawet jeśli uda nam się nie uruchomić zaklęć, wcale bym się nie zdziwił, gdyby Skrzydła Śmierci wystawił strażę.

Zobaczą cię.

Smok nie miał żadnych kontrargumentów.

– W takim razie zaczekam na was tutaj. Jeśli będziecie mnie potrzebować, wystarczy wezwać. – Jego gadzie oczy się zwęziły. – Nawet gdyby oznaczało to starcie z nim.

Rozstanie z Korialstraszem wpłynęło wyraźnie na nastroje w drużynie. Trójka towarzyszy posuwała się teraz ostrożniej, obserwując każdy skalny załom i cień. Malfurion rozpoznawał kolejne punkty orientacyjne, świadczące o bliskości celu. Brox, który szedł teraz przodem, wpatrywał się w każdą skałę na drodze, sprawdzając, czy nie ukrył się za nią nieprzyjaciel.

Dzień przeszedł w noc i choć Malfurion widział teraz lepiej, zatrzymali się na spoczynek. Druid był pewny, że kryjówka smoka jest już bardzo blisko, co tylko wzmogło niepokój pozostałych, nawet Broxa.

Kiedy ork szykował się do objęcia pierwszej warty, Krasus go zbeształ:

– Tym razem będziemy się zmieniać sprawiedliwie. Wszyscy musimy być w szczytowej formie.

Ork zgodził się niechętnie i usiadł w kucki. Wkrótce jego wyczulony słuch wyłapywał nawet równe oddechy towarzyszy – znak, że szybko zapadli w drzemkę. Wychwytywał też inne odgłosy, choć było ich niewiele w porównaniu z większością miejsc, w jakich przebywał w swoim ciężkim życiu. To była zupełnie opustoszała kraina. Zawodził wiatr i od czasu do czasu odłamki skał staczały się ze zbocza góry, ale oprócz tego panowała tu niemal całkowita cisza.

W tej martwocie Brox przeżywał we wspomnieniach ostatnie dni pierwszej wojny z demonami. Widział swoich towarzyszy rozprawiających wesoło o rzezi, jaką urządzą demonom, o wrogach, którzy polegą pod

ciosami ich toporów. Wielu z nich liczyło się ze śmiercią ale co to miała być za śmierć.

Nikt nie spodziewał się tego, co miało się wydarzyć.

Przez długi czas Brox wierzył, że prześladują go duchy martwych towarzyszy. Teraz już wiedział, że go nie potępiają lecz stoją u jego boku, prowadząc go. Żyli poprzez niego, a każdy zabity wróg stanowił hołd dla ich pamięci. Któregoś dnia i Brox miał polec, ale do tego czasu był ich czempionem.

Ta świadomość napęłniła go dumą.

Przyzwyczajony do stania na straży, wiedział dokładnie, ile czasu upłynęło. Minęła już połowa jego warty. Zastanawiał się, czy nie pozwolić reszcie pospać, ale zapamiętał ostrzeżenie Krasusa. Choć ork nie mógł narzekać na brak doświadczenia, w porównaniu z magiem był zaledwie dzieckiem. Miał zamiar posłuchać... tym razem.

Nagle jego uwagę przykuł odgłos, który nie był zawodzeniem wiatru. Skupił się na nim, a rysy twarzy stwardniały mu, gdy rozpoznał jego źródło. Trajkoczące, wysokie głosy. Były daleko – tylko przypadkowa zmiana kierunku wiatru pozwoliła mu je usłyszeć. Ork wyprostował się szybko, próbując ustalić, skąd dokładnie dochodzą.

W końcu wypatrzył niewielki boczny korytarz między skałami, jakieś sto kroków na północ od miejsca, gdzie stał. Głosy musiały dochodzić z jego wnętrza. Bezszelestnie, z wprawą doświadczonego myśliwego, opuścił posterunek, aby to zbadać. Nie widział na razie potrzeby budzenia towarzyszy. Możliwe, że w tym niesamowitym miejscu to, co usłyszał, było tylko zaśpiewem wiatru wiejącego między prastarymi górami.

Gdy zbliżył się do wąwozu, paplanina umilkła. Zatrzymał się natychmiast, czekając. Po chwili głosy znów się odezwały. Brox wreszcie

miął pojęcie, czemu właściwie się przysłuchuje, co tylko wzmogło jego czujność.

Spróbował policzyć rozmawiających.

Trzech, najwyżej czterech. Więcej nie potrafił powiedzieć.

Otoczyły go inne dźwięki. Kopanie. Nie powinno tu być żadnych krasnoludów. Brox podkraść się powoli i cicho do miejsca, gdzie musieli się czaić nieznajomi. Kimkolwiek byli, najwyraźniej nie spodziewali się w okolicy niczyjej obecności, co dawało mu pewną przewagę. Teren przed nim oświetlało słabe światło. Brox wyjrzał zza załomu... i zobaczył gobliny.

W porównaniu z orkiem były to drobne, kościste stwory o wielkich głowach. Jeśli nie liczyć ostrych zębów i małych, spiczastych paznokci wydawały się zupełnie niegroźne. Brox zdawał sobie jednak sprawę, jak niebezpieczne potrafią być, zwłaszcza gdy jest ich kilka. Były sprytnie i szybkie, a szczupła budowa pozwalała im z łatwością wyminąć większego przeciwnika. Tylko martwy goblin był zupełnie nieszkodliwy.

Malfurion wspominał o goblinach – dziesiątkach goblinów – pracujących nad czymś dla czarnego smoka. Wszystko wskazywało na to, że odegrały kluczową rolę w stworzeniu przez Skrzydła Śmierci Duszy Demona. Brox przypuszczał, że te tutaj należą do owej grupy, ale skoro tak, co tu robią?

– Więcej, więcej! – mamrotał jeden z nich. – Nie wystarczy na następną płytę!

– To już koniec żyły! – warknął jego towarzysz, który wyglądał prawie identycznie jak pierwszy. – Musimy znaleźć inną! inną! – przekonywał trzeciego stwora.

Odgłosy kopania dochodziły z niewielkiego tunelu w najbliższym zboczu – gobliniej wersji kopalni. Na oczach Broxa do stworów dołączył czwarty. W jednej łapie trzymał zakrytą lampkę oliwną, a za sobą ciągnął

wór prawie tak wielki jak on sam. Gobliny były nieduże, ale nadzwyczaj silne jak na swoje rozmiary. W przeciwieństwie do pozostałych ten wydawał się być w dobrym humorze.

– Znalazłem kolejną drobną żyłę! Więcej żelaza!

Reszta się rozpromieniła.

– Świetnie! – powiedział ten pierwszy. – Nie ma czasu na poszukiwania! Niech inni się tym zajmą!

Pierwszym impulsem Broxa był atak, ale wiedział, że Krasus by tego nie pochwalił. Ork przyjrzał się uważnie goblinom. Wyglądało na to, że będą zajęte jeszcze przez jakiś czas. Mógł wrócić do maga i powiedzieć mu, co odkrył. Krasus będzie wiedział, co należy zrobić, pojmać gobliny, czy raczej ich unikać...

Coś ciężkiego wyrznęło orka w potylicę, obalając go na kolana. Coś wylądowało mu na plecach, ściskając za gardło. Potem znów oberwał w głowę.

– Intruz! Pomocy! Intruz!

Wysoki głos przeciął mgłę bólu jak nożem. Kolejny goblin musiał podkraść się do niego od tyłu. Pięści goblinów nie były tak duże, więc Brox domyślił się, że został uderzony młotem albo kamieniem.

Ork spróbował się podnieść, ale goblin wciąż okładał go pięściami. Poczł w ustach krew ściekającą mu z głowy. Smak własnych płynów życiowych dodał wojownikowi sił. Nie podnosząc się z kolan, przewrócił się na plecy.

Usłyszał pisk, po czym wylądował całym ciężarem ciała na wijącym się stworze. Razy w końcu ustały. Brox przetoczył się dalej i poczuł, że goblin wreszcie wypuścił go z uścisku.

Podnosząc się z ziemi, usłyszał w pobliżu głosy pozostałych goblinów. W ramię uderzyło go mocno coś, co było zapewne następnym kamieniem.

Usłyszał szcęk dobywanej stali; gobliny miały noże.

Sięgnął na oślep po topór, ale nie mógł go wymacać. Zanim przejrzał na oczy, wrzeszczący kształt skoczył mu na pierś, prawie przewracając na plecy. Goblin oplótł go ciasno nogami i jedną ręką, jednocześnie starając się zatopić mu sztylet w oku.

Gdy usiłował obronić się przed ostrzem, na ramieniu wylądował mu drugi napastnik. Ork stęknął, draśnięty nożem w ucho. Zdołał jednak ucapić stwora, oderwać go od ramienia i odrzucić jak najdalej. Przy wtórze oddalającego się krzyku goblina wojownik spróbował zedrzeć z siebie tego, który siedział mu na piersi.

Prawie mu się to udało, kiedy coś złapało go za obie nogi. Brox uniósł jedną stopę i opuszczył ją z impetem. Ku swemu zadowoleniu usłyszał chrzęst gruchotanych kości. Uścisk na nodze zelżał. Niestety, kiedy powtórzył ten manewr z drugą nogą, goblin zmienił pozycję, nie rozluźniając chwytu. Ten na piersi zdołał wbić mu nóż głęboko w ramię. Piekielny stwór zachichotał, wznosząc ponownie broń.

Rozwścieczony ork machnął na odlew kułakiem, waląc goblina w bok łepetyny. Chichot urwał się, przechodząc w rżenie, goblin sturlał się na ziemię.

Ale Brox nie miał ani chwili wytchnienia. Kolejny napastnik wyrznął go w brzuch. Ork stracił oddech i zatoczył się w tył, padając. Przyszło mu z tego tylko tyle, że goblin wczepiony w jego nogę pisnął cienko i wypuścił ją, na wpół zmiażdżony wagą wojownika.

Następny stworek wskoczył na powalonego orka, okładając go kamieniem. Nie była to szlachetna śmierć w bitwie, jaką Brox sobie wyobrażał. Nie przypominał sobie, żeby jakikolwiek ork opiewany w legendach został zabity przez gobliny.

Para goblinów siedzących mu na piersi zaskrzeczała, odrzucona w tył przez czerwony rozbłysk. Pierwszy zderzył się z biegnącym mu na odsiecz towarzyszem i oba upadły na ziemię w plątaniu rąk i nóg, drugi wyrznięt z impetem w skałę.

– Nie pozwól żadnemu uciec! – usłyszał krzyk Krasusa.

Potrząsając głową, Brox zdołał skupić wzrok w samą porę, by zobaczyć, jak dwa splątane ze sobą gobliny zapadają się nagle pod jeszcze równą przed chwilą ziemię. Ich wrzaski umilkły w tej samej chwili, w której ich łby znikły pod powierzchnią.

Kolejny stwór, sprytniejszy albo bardziej bezczelny od reszty, precyzyjnym ruchem cisnął kamieniem w bok głowy maga. Wiedząc, że jest już za późno, Brox otworzył usta, aby ostrzec Krasusa... i zobaczył, że kamień nie tylko nie wyrzucił krzywdy szczupłej postaci, ale odbił się z taką mocą, że kiedy trafił goblina, stworowi pękła czaszka.

Włoski na karku orka się podniosły. Reagując instynktownie, wykonał zamach w tył. Goblin, który miał go właśnie dźgnąć w plecy, poturlał się po ziemi.

Krasus stał nieruchomo z zaciśniętymi powiekami. Brox podniósł się ostrożnie, starając się nie wydać żadnego dźwięku, który mógłby rozproszyć czarodzieja.

– Żaden nie uciekł... – wymamrotał po chwili mag. – Otworzył oczy i rozejrzał się po polu bitwy. – Wyłapaliśmy wszystkich.

Ork odnalazł swój topór i pochylił głowę z żalem.

– Wybacz mi, czcigodny. Zachowałem się jak niedoświadczony dzieciak.

– Już po wszystkim, Broksie... i niewykluczone, że dzięki tobie odkryliśmy skrót do naszego celu. – Jarzącą się ręką Krasus dotknął lekko ramienia wojownika, zasklepiając jego rany, jak gdyby były draśnięciami.

Czując ulgę, że nie zhańbił się do reszty, Brox popatrzył na maga z zaciekawieniem. Malfurion też przyglądał się Krasusowi, ale z większym zrozumieniem.

– Gobliny wiedzą najlepiej, jak dostać się do kryjówki smoka – wyjaśnił Krasus, a jego ręka znów się rozjarzyła. – Pokażą nam drogę.

Brox się rozejrzył. Wszystkie gobliny w zasięgu wzroku wydawały się martwe. Nagle zauważył, że ten, który wpadł na skałę, podnosi się niezdarnie. W pierwszej chwili znużony wojownik zadał sobie pytanie, jakim cudem stwór przeżył takie zderzenie – ale zaraz uświadomił sobie, że wcale go nie przeżył.

– Jesteśmy sługami Życia – wyszeptał Krasus z wyraźnym niesmakiem – co oznacza, że znamy również Śmierć.

– Na Księżycową Matkę – sapnął Malfurion.

Mamrocząc modlitwę do duchów, Brox wpatrywał się w ożywionego trupa. Za bardzo przypominał mu Plagę. Nawet sobie tego nie uświadamiając, zacisnął dłoń na stylisku topora na wypadek, gdyby goblin zaatakował.

– Spokojnie, przyjaciele. Wskrzeszam tylko jego wspomnienia przebytej drogi. Przejdzie nią i na tym koniec. Nie jestem Nathrezimem, by delectować się naginaniem trupów do mojej woli. – Machnął ręką w stronę martwego goblina, który wykonał chaotyczny obrót, po czym powlókł się na północ. – A teraz chodźcie! Miejmy to jak najszybciej za sobą, zaraz wkroczymy do kryjówki mrocznej bestii...

Krasus szedł w milczeniu za makabryczną marionetką. Po chwili ruszył za nim Malfurion. Brox zawahał się, ale przypomniawszy sobie, jakie zło im zagraża, kiwnął głową, uznając działanie maga za konieczne, i dołączył do reszty.

SIEDEM



Archimond patrzył, jak jego wojownicy wycofują się na wszystkich frontach. Patrzył, i widział, że padają jak muchy od kling obrońców albo rozszarpani przez kocie wierzchowce nocnych elfów. Patrzył, jak dziesiątki kolejnych giną w starciu z brutalną siłą istot, które sprzymierzyły się z armią.

Archimond przyglądał się temu wszystkiemu... i uśmiechał. Nie było wśród nich czarodzieja, druida ani maga... ani nawet krzepkiego, zielonoskórego wojownika, którego pierwotna furia budziła podziw demona.

– Już czas – zasyczał do siebie.



Jarod wciąż usiłował dobudzić Rhonina, ale czarodziej nie reagował. Otworzył tylko oczy, ale były to oczy niewidzące, których otwarcie w

żaden sposób nie świadczyło o powrocie świadomości.

Kapitan nie poddawał się jednak.

– Mistrzu Rhoninie! Musisz się ocknąć! Coś jest nie tak, jestem tego pewny! – Kapitan opryskał twarz rudowłosego maga wodą. Spłynęła po niej bez żadnego efektu. – Władca demonów coś knuje!

Nagle jego uwagę zwrócił osobliwy dźwięk. Przywodził na myśl stado lądujących na drzewach ptaków, które kiedyś obserwował. W uszach słyszał łopot wielu skrzydeł.

Podniósł wzrok.

Na niebie roiło się od strażników zagłady.

– Księżycowa Matko...

Każdy skrzydlaty demon niósł w ramionach ciężki dzban, znad którego unosił się dym. Dzbany były zbyt wielkie i ciężkie, by jakikolwiek nocny elf był w stanie je unieść i nawet strażnikom zagłady wydawało się przychodzić to z trudem.

Jarod Shadowsong przyglądał się chmarze mknącej w kierunku linii obrońców... i dalej. Walka w dole była tak zacięta, że wątpił, by zostali w ogóle zauważeni przez żołnierzy. Prawdopodobnie nawet lord Stareye widział tylko ginące z rąk elfów demony. Musiał ostrzec szlachcica. Tylko to miało jakiś sens. Nie było nikogo innego. Krasus odjechał.

Chwyciwszy ciało Rhonina, kapitan zawlókł je pod dużą skałę. Ułożył czarodzieja po jej przeciwnej stronie, tyłem do pola walki. Miał nadzieję, że nikt nie zauważy zakapturzonej postaci.

– Proszę... proszę, wybacz mi – powiedział do nieruchomego maga.

Jarod wskoczył na grzbiet wierzchowca i pospieszył tam, gdzie po raz ostatni widział proporzec szlachcica. Ale gdy tylko opuścił miejsce, gdzie ukrył Rhonina, lecący na samym przedzie strażnicy zagłady zawisli nagle nad nocnymi elfami. Kapitan zobaczył, że pierwszy z nich przechyla dzban.

Wrząca, czerwona ciecz wylała się na niespodziewających się niczego żołnierzy.

Wrzask był potworny. Większość tych, na których spadł śmiertelny deszcz, padła na ziemię, wijąc się w agonii. Wystarczył jeden dzban, by kilkunastu nocnych elfów zostało poparzonych i okaleczonych, niektórzy śmiertelnie. A potem pozostałe skrzydlate demony zaczęły przechylać swoje kadzie.

– Nie... – jęknął. – Nie!

Obrońców zalała powódź śmierci.

Szereg za szeregiem szedł w kompletną rozsypkę. Żołnierze przeciwstawili się klingom i szponom – zagrożeniom, z którymi można było walczyć orężem – ale wobec wrzącego piekła rozpętanego przez straż zagłady byli bezradni.

Z uszami pełnymi wrzasku, Jarod spał wierzchowca. Zauważył porzecz Stareye'a, a potem, po pełnej napięcia chwili, samego szlachcica.

To, co zobaczył, nie podniosło go na duchu. Szczupły nocny elf siedział na swoim kocie z przerażonym wyrazem twarzy. Desdel Stareye dosłownie zamarł w siodle. Patrzył, jak jego wspaniały plan obraca się wniwecz i najwyraźniej nie zamierzał zrobić nic, aby temu zapobiec. Zebrani wokół niego podkomendni patrzyli bezradnie na swojego dowódcę. Jarod nie dojrzał na ich twarzach nadziei.

Zmusiwszy swoją panterę do podjechania bliżej, przepchnął się obok osłupiałych strażników i jakiegoś szlachcica o trzęsących się rękach, aby dostać się do dowódcy.

– Panie! Panie! Zrób coś! Musimy jakoś zestrzelić te demony!

– Za późno, za późno! – bełkotał Stareye, nie patrząc na niego. – Wszystkich nas czeka zagłada! To koniec!

– Panie... – Jakiś siódmy zmysł kazał Jarodowi spojrzeć w niebo.

Nad nimi zawisły dwa demony, ich dzbany były wciąż pełne.

Chwytając szlachcica za ramię, Jarod wrzasnął:

– Lordzie Stareye! Uciekaj! Szybko!

Wyraz twarzy szlachcica stwardniał, wyrwał rękę z pogardą.

– Puść mnie! Zapominasz się, kapitanie!

Jarod wpatrywał się z niedowierzaniem w Stareye’a.

– Panie...

– Zmykaj, zanim każę cię zakuć w kajdany!

Wiedząc, że nie jest w stanie zrobić nic, aby przekonać szlachcica, Jarod szarpnął wodze, wycofując wierzchowca.

Tylko to go uratowało.

Potok, który zalał Stareye’a i pozostałych, topił metal i palił skórę. Konająca pantera dowódcy w śmiertelnych drgawkach zrzuciła z siebie jego skwierczące ciało. Szlachcic wylądował na ziemi jak jakiś potworny ochłap, jego aroganckie rysy były potwornie wykrzywione i prawie nierozpoznawalne. Dla jego towarzyszy i straży los okazał się równie niełaskawy; ci, którzy nie zginęli, leżeli okaleczeni, dygocząc, a ich wrzaski mogły zmrozić krew w żyłach.

Jarod nie mógł nic dla nich zrobić.

Strażnicy zagłady wciąż latali nad nimi, ich liczba prawie się nie zmniejszyła. Sporadyczne strzały łuczników ściągały niektórych w dół, a kilku zginęło w sposób, który wskazywał na udział Księżycowej Gwardii, ale ataki te były nieskoordynowane. Ten brak organizacji oszołomił Jaroda, ale kapitan przypomniał sobie zaraz, że Stareye zastąpił wszystkich oficerów poprzednika własnymi poplecznikami.

Jeszcze bardziej niezrozumiałe było to, że część sił nocnych elfów wciąż nie brała udziału w starciu. Żołnierze stali w gotowości, czekając na rozkazy, które nie miały nadejść. Jarod uświadomił sobie, że nie wiedzą, iż

lord Stareye nie żyje, i myślą, że szlachcic wezwie ich lada chwila. Szybko podjechał do jednego z kontyngentów. Dowodzący nim oficer zasalutował mu.

– Ilu masz łuczników? – zapytał Jarod.

– Sześć dziesiątek, kapitanie!

Zbyt mało, ale na początek lepsze to niż nic.

– Niech wszyscy się przygotują! Mają celować w straż zagłady! Reszta niech utworzy pierścień ochronny!

Dowódca wydał rozkaz. Jarod rozejrzał się rozpaczliwie, patrząc, kogo by tu jeszcze wykorzystać. Nagle podjechał do niego jakiś jeździec. Przybysz zasalutował tak, jak gdyby Jarod był pierwszą osobą przypominającą oficera, jaką widział od dłuższego czasu.

– Klin się stępie, front zaraz się załamie! – Wskazał za siebie, mniej więcej na środek linii. – Lord Del'theon nie żyje i został nam tylko podoficer! Wysłał mnie, żebym znalazł jakieś posiłki!

Do tego czasu żołnierze, nad którymi Jarod przejął komendę, zdążyli ustawić się w szyku. Kapitan zastanawiał się właśnie, jak rozwiązać nowy problem, gdy na ziemię spadł prawie tuzin zestrzelonych strażników zagłady. Zobaczył dla nich promyk nadziei.

– Jedź do taurenów! – podsunął w końcu przybyszowi: – Powiedz im, że kapitan Shadovsong prosi lud Hulna, żeby część jego ludzi poszła z tobą i wzmocniła klin! – Jarod przypomniał sobie coś jeszcze. – I poproś o ich najlepszych łuczników.

Kiedy skończył, jeździec odjechał wykonać rozkaz, już z nieco mniej zrozpaczoną miną. Zaraz po nim nadjechało dwóch kolejnych. Kapitan zgadywał, że inni spostrzegli, iż organizuje opór, i ktoś doszedł do niemądrego wniosku, że działa w imieniu martwego Stareye'a.

Lecz choć było inaczej, Jarod nie mógł ich tak po prostu odprawić. Wysłuchał, czego potrzebują, i wyteżył umysł, aby znaleźć jakieś rozwiązanie, choćby tymczasowe.

Ku jego zaskoczeniu wkrótce potem pojawił się jeden z księżycowych gwardzistów. Choć był to wyraźnie jeden ze starszych rangą czarodziejów, wyglądał, jakby odnalezienie kapitana powitał z dużą ulgą.

– Łucznicy ograniczają straty powodowane przez skrzydlate diabły! Zdołaliśmy się przeorganizować, choć trzech z nas zginęło, a dwóch kolejnych zostało obezwładnionych! Staramy się jakoś sobie poradzić z tymi w górze i warlockami w oddali, ale potrzebujemy kogoś, kto nas osłoni!

Jarod spróbował nie przełykać nerwowo śliny.

Chcąc ukryć przed czarodziejem własną niepewność, udał, że spogląda na lewą flankę. Tam zobaczył kilka rzędów żołnierzy kłębiących się i usiłujących dosięgnąć atakujące demony. Napór ciał z przodu uniemożliwiał tym z tyłu przydanie się do czegokolwiek, a często wręcz wpychał tych na przedzie na ostrza wrogów.

Jarod odciągnął jednego z żołnierzy tworzących pierścień.

– Ty! Pojedziesz z tym gwardzistą i zabierzesz ze sobą oddział tych żołnierzy! Powiedz reszcie, żeby cofnęła się o krok i zwarła szyk!

Prośby o pomoc nadchodziły ze wszystkich stron. Jarod nie miał czasu na złapanie oddechu. W pewnej chwili o wsparcie zaczęli go prosić nawet Ziemni i inni sojusznicy. Nie znajdując nikogo wyższego rangą, kapitan odpowiadał na wszystkie pytania i modlił się, żeby nie wysyłać niewinnych na rzeź.

Spodziewał się, że horda zaraz zaleje jego ludzi, ale jakimś cudem elfy nie dawały się złamać. Połączone wysiłki Księżycowej Gwardii i łuczników w końcu odniosły efekt i dziesiątkowane skrzydlate demony uciekły, wiele

z nich z wciąż pełnymi dzbanami. Straty obrońców były duże, ale kiedy sytuacja trochę się uspokoiła, Jarod miał nadzieję, że to, co zrobił, znacznie obniżyło liczbę ofiar.

Kiedy kapitan mógł wreszcie wrócić do Rhonina, ciągnęło za nim pół tuzina podkomendnych. Nie prosił o to, ale różni oficerowie upierali się zostać przy nim na wypadek, gdyby okazali się do czegoś potrzebni. Dawny oficer straży czuł się nieco nieswojo, bo traktowali go jak Ravencresta albo Stareye'a. Jarod Shadowsong nie był szlachcicem, a już na pewno nie był dowódcą; jeśli armii udało się uniknąć bliskiej katastrofy, to głównie dzięki waleczności samych żołnierzy.

Ku jego ogromnej uldze czarodziej był cały i zdrowy. Niestety, wciąż wydawał się nic nie słyszeć i nie widzieć, choć wyglądał na przytomnego. Jarod ponownie spróbował dać mu wody, ale na próżno. Sfrustrowany, odwrócił się do jednego z żołnierzy i warknął:

– Znajdź mi starszego rangą członka Księżycowej Gwardii! Szybko!

Ale z jeźdźcem zamiast czarodzieja wróciły dwie postaci w pancerzach Sióstr Elune. Co gorsza, wyższą rangą kapłanką okazała się jego siostra Maiev.

– Kiedy usłyszałam, że oficer dowodzący potrzebuje czarodzieja, nawet mi do głowy nie przyszło, że mówi o tobie, młodszy bracie!

Kapitan Shadowsong nie miał czasu na pełne wyższości przytyki siostry.

– Oszczędź mi tych uszczypliwości, Maiev! Czarodziej jest pod wpływem zaklęcia rzuconego przez jednego z potężniejszych demonów! Czy Elune może pomóc go uwolnić?

Popatrzyła na niego z zaciekawieniem, po czym uklękła obok Rhonina.

– Nigdy nie miałam do czynienia z nikim z jego rasy, ale podejrzewam, że jest do nas na tyle podobny, by Księżycowa Matka pozwoliła nam mu pomóc. Jia, pomóż mi. Zobaczymy, co da się zrobić.

Towarzysząca Maiev kapłanka stanęła z drugiej strony Rhonina. Obie uniosły dłonie na wysokość piersi, wewnętrzną stroną na zewnątrz, a potem złączyły je koniuszkami palców. W tej samej chwili, w której dłonie kapłanek się zetknęły, otoczyła je słaba srebrzysta poświata, która szybko popłynęła wzdłuż ich ramion i otoczyła całe ich ciała.

Maiev i jej towarzyszka zaczęły melorecytować. Jarod nie rozumiał ich słów, ale wiedział, że Siostry Elune mają swój własny język, za którego pomocą porozumiewają się ze swym lunarnym bóstwem. Blask otaczający kobiety spłynął na czarodzieja. Jego ciało się targnęło, a potem rozluźniło.

Do zebranych dołączył kolejny jeździec.

– Gdzie dowódca?

Kilku poprzednich posłańców nazywało tak Jaroda, choć ten cały czas upierał się, by tego nie robili. Zły, że przybysz przerywa im w tak ważnej chwili, okręcił się i wypalił:

– Zamknij się i czekaj, aż pozwolę ci się odezwać...

Jeździec zrobił wielkie oczy. Dopiero wtedy kapitan zauważył złotoszmaragdowy szamerunek na ramionach i symbol na napierśniku.

Obraził szlachcica.

Ale zamiast zapalać urazą, jeździec kiwnął przeproszająco głową i zamilkł. Chcąc ukryć własny szok, Jarod odwrócił się szybko, aby dalej przyglądać się poczynaniom siostry.

Maiev się pociła. Druga kapłanka dygotała. Ciało Rhonina drżało, a jego i tak blada twarz zrobiła się biała jak księżyc.

Czarodziej poderwał się do pozycji siedzącej. Otworzył usta w niemym krzyku... i po raz pierwszy od chwili, gdy został złożony niemocą zamrugał.

Z ust człowieka wyrwał się jęk. Osunąłby się z powrotem na skałę, może nawet uderzył w głowę, ale kapitan wykazał się refleksem i zdążył wsunąć

mu pod nią rękę. Czarodziej westchnął i zamknął oczy. Jego oddech stał się regularny.

– Czy on...?

– Demon nie ma już nad nim władzy, bracie – odparła Maiev nieco roztrzęsionym głosem. – Teraz odpocznie tyle, ile będzie potrzebował. – Wstała. – To była ciężka walka, ale Elune, niech będzie pochwalona, okazała się szczodra.

– Dziękuję.

Siostra znów przyjrzała mu się z zaciekawieniem.

– Akurat ty nie musisz nam dziękować. Chodź, Jia. Wielu potrzebuje leczenia.

Jarod odprowadził Maiev wzrokiem, po czym zajął się na powrót szlachcicem.

– Wybacz mi, panie, ale...

Jeździec machnął ręką.

– Moje kłopoty mogą poczekać. Nie zauważyłem, że próbowałeś pomóc obcemu czarodziejowi. Jestem lord Blackforest. Znam cię, prawda?

– Jarod Shadowsong, panie.

– A więc, generale Shadowsong, cieszę się, że nie zginąłeś razem z lordem Stareye'em i resztą. Doszły mnie słuchy, że próbowałeś go ratować w ostatniej chwili.

– Panie...

Lord Blackforest nie dał sobie przerwać.

– Staram się zebrać pozostałych. Strategia Stareye'a była najwyraźniej niewłaściwa, niech Księżycowa Matka wybaczy mi skalowanie zmarłego. Musimy wymyślić coś lepszego... jeśli chcemy ocaleć. Oczywiście będziesz chciał wziąć w tym udział. Aby wszystkim pokierować.

Tym razem Jarod nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Pokiwał tylko głową raczej odruchowo. Szlachcic musiał to wziąć to za znak zgody, bo ukłonił się z wdzięcznością.

– A więc za twoim przyzwoleniem zorganizuję naradę w moim namiocie i zacznę zbierać resztę. – Blackforest kiwnął głową raz jeszcze, obrócił panterę i odjechał.

– Wygląda... wygląda na to... że awansowałeś – wychrypiał ktoś.

Rhonin oprzytomniał. Nadal był blady, ale nie aż tak jak wcześniej. Jarod szybko się pochylił i podał mu bukłak z wodą. Mag napił się łąpczywie.

– Bałem się, że zaklęcie uszkodziło ci umysł. Jak się czujesz, mistrzu Rhoninie?

– Jak gdyby regiment infernali rozbijał mi od środka czaszkę... ale i tak jest lepiej, niż było. – Człowiek usiadł prosto. – Przypuszczam, że po moim omdleniu mieliście kłopoty.

Kapitan opowiedział mu wszystko, starając się streszczać i umniejszać własną rolę w wydarzeniach. Mimo to czarodziej patrzył na niego z wyraźnym podziwem.

– Wygląda na to, że Krasus nie pomylił się co do ciebie. Tym razem nie tylko ocaliłeś nas wszystkich. Prawdopodobnie ocaliłeś świat, przynajmniej chwilowo.

Nocny elf się zaczerwienił i potrząsnął gwałtownie głową.

– Nie jestem przywódcą mistrzu Rhoninie! Ja tylko starałem się przeżyć.

– To miło z twojej strony, że pomogłeś przeżyć i nam. A więc Stareye nie żyje. Żal mi go, ale nie żal mi armii. Cieszę się, że przynajmniej część szlachty się opamiętała. Może jest jeszcze jakaś nadzieja.

– Chyba nie sądzisz, że się z nimi spotkam? – Jarod wyobraził sobie, że stoi wśród lordów, którzy wpatrują się w niego z wyczekiwaniem. – Jestem

tylko oficerem gwardii Suramarskiej.

– Już nie... – Czarodziej spróbował się podnieść, dając towarzyszowi znak, by mu pomógł. Prostując się, spojrzał Jarodowi w oczy, nie pozwalając mu oderwać wzroku. – Już nie.



Korialstrasz nie był jeszcze tak cierpliwy, jak jego starsze wcielenie – Krasus – i zaczynał się wiercić. Czerwony smok wiedział dobrze, że minie trochę czasu, nim drużyna powróci – o ile w ogóle powróci – lecz choć starał się uspokoić, nie był w stanie. Zbyt wiele spraw zaprzętało jego myśli. Alexstrasza, Płonący Legion, konsekwencje obecności Krasusa. Poza tym zbyt dobrze pamiętał, jaka kara spotkała go z łap Nelthariona. Teraz jego starsze wcielenie zbliżało się szybko do kryjówki tego szatana i istniała uzasadniona obawa, że Krasus może paść ofiarą Duszy Demona.

Sfrustrowany czerwony olbrzym zaczął skrobać stok góry pazurem. Wielkie odłamy skał i bryły ziemi, które smokowi wydawały się zaledwie kamykami, posypały się do doliny w dole. Jednak po godzinie znudziło go to. Coraz bardziej podenerwowany, zaczął obserwować ciemne niebo, być może zastanawiając się, czy byłoby bezpiecznie wzbić się na kilka minut w powietrze.

Nad górami poniósł się echem niski ryk.

Zapominając zupełnie o irytacji, Korialstrasz zsunął się czujnie z półki, na której siedział, i przyłgnął wielkim cielskiem do zbocza góry. Uniósł łeb,

szukając źródła dźwięku. Nad nim przelatywał powoli ciemny kształt. Mały czarny smok. Szybkość, z jaką się poruszał, wskazywała na strażnika.

Korialstrasz syknął cicho. Gdyby tamten po prostu dokądś odlatywał, nie byłoby czym się martwić. Ale fakt, że patrolował ten właśnie obszar, zagrażał powodzeniu ich planu.

Mimo to Korialstrasz nie potrafił się zdecydować, czy powinien pozostać w ukryciu, czy odszukać strażnika. Jeśli pozostali nie zostali jeszcze zauważeni, atak na czarnego smoka mógł się okazać fatalnym błędem. Strażnik mógł uciec i ostrzec swojego pana. Z drugiej strony, jeśli zostanie pozostawiony samemu sobie, może wypatrzeć Krasusa i resztę w drodze powrotnej.

Korialstrasz wczepił się w skalną ścianę, usiłując podjąć szybką decyzję. Jeśli czarny smok odleci za daleko, może nie być w stanie go dogonić...

Zbocze pod jego pazurami oderwało się.

Zaskoczony Korialstrasz runął w dół razem z nim. Smok instynktownie rozpostarł skrzydła, dzięki czemu nie ucierpiał zbyt wiele z powodu lawiny, którą nieumyślnie spowodował. Potrząsnął głową, próbując opanować panujący w niej mętlik. Ryk, który zadzwonił mu w uszach, był jedynym ostrzeżeniem przed atakiem czarnego smoka. Choć nieco mniejszy od Korialstrasza, uderzył z dziką furią. Czerwony pomknął z zabójczą prędkością w stronę skalistej ziemi. Lewym skrzydłem zawadził boleśnie o skały. Zdołał wyciągnąć jedną z przednich łap i wbić mocno pazury w mijany szczyt. Zerwał przy tym ze skały tony kamieni, ale spowolnił upadek na tyle, by mieć czas pomyśleć. Przechylił się w bok, zaskakując wroga, który wypuścił go ze szponów. Uwolniony Korialstrasz wyprostował się w locie. Spróbował znów się wznieść, ale jedna łapa przeciwnika pozostawała wczepiona w jego grzbiet. Był to ogromny wysiłek, ale nie miał zamiaru dać za wygraną. Machając jak najmocniej

skrzydłami, skręcił ciałem. Używając ogona, cisnął rywalem w najbliższy szczyt.

Czarny smok wyrznął z impetem w górę, osypując lawinę kamieni. Puścił Korialstrasza, ale zerwał mu kilka łusek. Korialstrasz zaryczał, czując krew ciekącą po nodze. Oba olbrzymy zapomniały na chwilę o walce i dochodziły do siebie. Nagle przeciwnik Korialstrasza rzucił mu się do szyi. Większy smok zdążył rozpostrzeć skrzydła, odpychając od siebie napastnika. Cios sprawił, że słudze Nelthariona przeszła ochota do walki. Z ostatnim wyzywającym rykiem hebanowy lewiatan zaczął się oddalać od Korialstrasza.

– Nie! – Teraz, gdy doszło już do starcia, nie mógł pozwolić drugiemu uciec. Strażnik zawiadomi swojego pana, który domyśli się, że w pobliżu przyczał się ktoś więcej niż jeden czerwony smok.

Czarny był mniejszy, a przez to bardzo szybki, ale Korialstrasz był zwinny i bystry. Gdy przeciwnik zniknął w wąwozie, wybrał inną drogę. Czekać na towarzyszy miał dość czasu, by się przyjrzeć okolicy i zapamiętać, gdzie znajdują się wyloty poszczególnych dolin. Mknął między górami. Przed sobą zauważył kuszący skręt w lewo, ale wiedział, że to korytarz w prawo zaprowadzi go ku ściganemu lewiatanowi.

W oddali usłyszał szybki łopot skrzydeł wroga. Zaniepokoiło go to. Powinien był już go minąć, ale odgłos świadczył o tym, że czarny smok jeszcze bardziej zwiększył dzielący ich dystans.

Zdobywając się na ostateczny wysiłek, Korialstrasz zbliżył się do miejsca, którego szukał. Jeszcze tylko niewielka odległość. Nie słyszał łopotu, ale był pewny, że wreszcie wysforował się na prowadzenie.

Przeleciał do sąsiedniej doliny...

Smoki prawie zderzyły się skrzydłami. Oba ryknęły, bardziej ze zdziwienia niż z wściekłości. Korialstrasz wywinął dwa salta, a czarny

smok walnął bokiem w niewielki szczyt, odłamując jego koniuszek. Ale teraz to czarny miał przewagę. Parł naprzód, odzyskując cenny oddech. Potrząsając łbem i przeklinając swojego pecha, Korialstrasz podjął pościg. Złapie czarnego smoka bez względu na wszystko. Już i tak zbyt wiele stracił w tym starciu... Jeszcze bardziej zdeterminowany, ryknął ponownie i pomknął za wrogiem.



Pochłonięty pościgiem nie zauważył drobnych postaci w dole. Czyjeś oczy obserwowały dwie wielkie bestie znikające w oddali.

– Imponujący pokaz powietrzny, zgodzisz się, kapitanie Varo'thenie?

Nocny elf z blizną prychnął.

– Niebrzydka walka, choć zbyt krótka.

– Założę się, że jak dla ciebie za mało krwawa.

– Rozlewu krwi nigdy nie za wiele – odparł przyboczny Azshary. – Ale dość czczych pogaduszek, mistrzu Illidanie. Czy to przekonało cię, że jesteśmy już blisko?

Mag poprawił niedbale szal zawiązany na wypalonych oczodołach. Dla niego walka między dwoma tytanami była o wiele bardziej interesująca, bo wielkie stwory były istotami magicznymi i teraz niebo pełne było niesamowitych rozbłysków energii i jaskrawych, barwnych plam. Brat Malfuriona zaczynał doceniać swoje nowe zmysły, które odkrywały przed nim świat, o którego istnieniu nie miał wcześniej pojęcia.

– To oczywiste, kapitanie, ale czy nie zdziwiło cię, że oprócz czarnego natknęliśmy się tu także na czerwonego smoka? Jak sądzisz, co tutaj robił?

– Sam to powiedziałeś. Te bestie tu mieszkają.

Czarodziej potrząsnął głową.

– Powiedziałem, że tu znajdziemy kryjówkę wielkiej czarnej bestii. Czerwony znalazł się tutaj z jakiegoś powodu.

Oszpecona twarz Varo'thena wykrzywiła się jeszcze paskudniej, gdy zrozumiał, co ma na myśli jego towarzysz.

– Inne smoki też chcą zdobyć dysk! To jedyna sensowna odpowiedź!

– Tak... – Illidan popędził wierzchowca, więc oficer zrobił to samo. Za nimi maszerowali demoniczni wojownicy. – Ale zostałyby szybko wyłapane. Widziałeś, jaką klęskę poniosły. – Zastanowił się. – Chyba rozpoznałem tego czerwonego.

– Jak to? One wszystkie wyglądają tak samo.

– Słowa godne Szlachetnie Urodzonego. – Illidan potarł podbródek, dumając. – Nie. Wydaje mi się, że tego już kiedyś poznałem... a jeśli mam rację, możliwe, że mamy przed sobą znajome towarzystwo.

OSIEM



Malfurion patrzył, jak goblin przeciska się przez coraz węższe rozpadliny i choć rozumiał, że Krasus musiał ożywić jego ciało, wciąż czuł się nieswojo. Nawet zapewnienie maga, że jego lud rzadko i bardzo niechętnie używa podobnych zaklęć, nie zdołało całkowicie uspokoić nocnego elfa.

Mimo to nie zdradzał swoich uczuć, starał się tylko trzymać jak najdalej od stwora. Co ciekawe, mchy goblina stawały się z upływem czasu coraz bardziej zwinne, do tego stopnia, że w końcu sprawiał wrażenie, jakby powrócił do życia. Ku zaskoczeniu druida to Krasus pierwszy wypowiedział to, o czym pozostali myśleli już od dawna.

– Jak daleko jeszcze? – wymamrotała blada, otulona opończą postać. – To pogwałcenie praw natury budzi we mnie coraz większe obrzydzenie...

Jak gdyby w odpowiedzi, goblin zgiął się raptownie wpół. Malfurion zerknął na Krasusa, myśląc, że może mag miał już tak dość tej sytuacji, że w końcu uwolnił ciało stwora spod działania zaklęcia. Przeczył temu jednak zamysłony wyraz twarzy towarzysza.

– Patrzcie... – wyszeptał Krasus. – Patrzcie...

Ożywiony goblin dotknął kamienia leżącego u podstawy góry. Według Malfuriona wyglądał dokładnie tak samo jak dowolny inny kamień, który

sturlał się kiedyś ze szczytu. Lecz gdy tylko stwór obrócił go lekko w prawo, cała powierzchnia skalnej ściany zamigotała... i ponad jej połowa znikła.

Brox sapnął. Krasus kiwnął głową.

– Bardzo sprytnie – stwierdził. – Patrzcie, tam, z lewej, gdzie kiedyś była skała, widać wąskie przejście prowadzące w głąb góry.

Szli za makabrycznym przewodnikiem jeszcze kilka minut, ale w pewnej chwili Krasus gwałtownie zatrzymał goblina.

– Posłuchajcie...

Gdzieś w oddali słyhać było szczebiot goblinów i nieustające odgłosy kucia metalu.

Druid zeszywniał.

– Jesteśmy na miejscu.

– A więc możemy skończyć z tą ohydą... – Krasus machnął ręką i goblin się odwrócił. Ożywiona postać przegramoliła się przez kamień, znikając im z oczu. Chwilę później smoczy mag wykonał gest przecinania. – Zostanie odnaleziony... kiedy nas już tu nie będzie.

Krasus ruszył naprzód, ale Malfurion chwycił go nagle za ramię.

– Zaczekaj – wyszeptał druid. – Nie możesz tam wejść.

Został nagrodzony rzadkim widokiem maga zbitego z pantałyku. Krasus przyjrzał mu się uważnie.

– Dlaczego mówisz mi o tym tak późno?

– Dopiero teraz przyszło mi to do głowy. Krasusie, z nas wszystkich ciebie Neltharion zauważy najszybciej. Należysz do jego gatunku. Spodziewał się, że smoki spróbują mu ukraść Duszę Demona.

– Moi pobratymcy są też najbardziej podatni na jej moc, więc powinniśmy trzymać się od niej z daleka. Poza tym nałożyłem na siebie dodatkowe osłony.

Malfurion kiwnął głową i podjął:

– Twój rodzaj ma też najwięcej do stracenia, dopóki dysk należy do niego. Wypadałoby, żeby smoki przynajmniej spróbowały... i Strażnik Ziemi na pewno właśnie tak rozumuje. Z pewnością nastawił się na wykrywanie smoczej magii, zwłaszcza takich osłon.

– I jest Aspektem... – Szczupła postać zacisnęła usta. Malfurion spodziewał się, że Krasus wyjaśni mu elokwentnie, dlaczego jest w błędzie, ale w końcu mag odpowiedział: – Masz rację. Powinniśmy spróbować, a on powinien się tego spodziewać. Znam go dobrze. Powinienem był wziąć to pod uwagę wcześniej, ale podejrzewam, że w głębi duszy nie chciałem o tym myśleć. Mam szczęście, że udało mi się dostać tak daleko, ale jego kryjówka z pewnością została pomyślana w taki sposób, żeby schwytać w pułapkę każdego smoka nie należącego do jego stada.

– Tak właśnie pomyślałem.

– Co wcale nie oznacza, że tobie i Broxowi pójdzie łatwiej – przypomniał mu Krasus. – Ale zuchwałe najście dwóch przedstawicieli pośledniejszych ras, którzy postanowili wśliznąć się do jego sanktuarium, może mu umknąć, nawet jeśli z ledwością.

– Brox powinien zostać z tobą.

– Nie, ork powinien towarzyszyć tobie. Grożą ci fizyczne niebezpieczeństwa, przy których gobliny, nawet w większej liczbie, będą najmniejszym z twoich zmartwień. Będziesz się musiał skupić na zabezpieczeniu Duszy Demona i choć będę się starał pomagać stąd jak umiem, ktoś musi cię tam osłaniać.

– Nikt go nie skrzywdzi – huknął Brox. Uniósł topór i wyszczerzył zęby.
– Ułożysz o mnie piękną pieśń, czcigodny?

Krasus się uśmiechnął, co czynił nader rzadko.

– Zabiorę się za komponowanie, gdy tylko się stąd wydostaniemy.

Nie będąc w stanie wymyślić żadnych innych argumentów za tym, by iść samemu, Malfurion przystał na towarzystwo orka. Tak naprawdę nocny elf był z niego zadowolony. Męstwo i silne ramię Broxa czyniło wyprawę do kryjówki smoka odrobinę mniej przerażającą.

Ale tylko odrobinę.

Malfurion wiedział jednak, że musi to zrobić, i wierzył, że to on ma największe szanse. To nie własne ego pchało go naprzód, ale poczucie, że wszystko, czego się uczył, predysponuje go do tego zadania.

Zdecydowali, że początkowo będzie prowadził Brox, a Malfurion zajmie jego miejsce, gdy tylko zacznie rozpoznawać okolicę. Ork przytroczył topór na plecach, bo tunel był już zbyt wąski, by mógł się posługiwać tak wielkim orężem. Zamiast niego dobył długiego sztyletu, który dzierżył z wyraźną wprawą.

– Stanę tu na czatach – obiecał Krasus, gdy się żegnali. – Przynajmniej to mogę zrobić, nie narażając się na wykrycie przez czarnego smoka.

Mieli szczęście, że gobliny używały tego tunelu do transportu surowców, inaczej nawet Malfurion miałby problemy z przecięnięciem się przez niego. Brox i tak musiał przez większość czasu przyciskać ramiona do ciała. Ork trzymał sztylet przed sobą, nasłuchując i patrząc bacznie.

Odgłosy dolatujące z przodu stawały się coraz bardziej natarczywe. Malfurion miał nadzieję, że hałas zadziała na ich korzyść. Gobliny, rozproszone czynionym przez siebie zgiełkiem, mogły ich nie zauważyć. Zakręcający tunel oświetliło w końcu blade światło. Brox zauważalnie stężał. Malfurion położył mu dłoń na ramieniu.

– O ile się nie mylę – wyszeptał – korytarz, którym podążył smok, powinien być z lewej.

Brox chrząknął na znak, że rozumie, i ruszył dalej. Ich droga robiła się coraz jaśniejsza, a hałas osiągał szaleńczy poziom. Widok, który się przed

nimi pojawił, był jeszcze bardziej chaotyczny niż to, co widział wcześniej Malfurion. W pieczarze było przynajmniej dwa razy więcej goblinów i wszystkie uwijały się tak, jak gdyby zależało od tego ich życie... co było bardzo prawdopodobne. Kilka rozbijało wielkie hałdy surowej rudy, a inne wrzucały paliwo do wielkich pieców. Poprzez system ogromnych dzbanów na ruchomych łańcuchach do olbrzymich form spływał nieustający strumień stopionego metalu. Na te formy, które zostały już napełnione, czekały wielkie kadzie wody. Spocone goblino trudziły się właśnie w oparach dymu nad zabezpieczeniem formy umieszczonej w jednej z nich.

Na prawo od dwójki towarzyszy leżały porzucone dwie ogromne płyty, najwyraźniej efekt wcześniejszych nieudanych prób. W metalu widać było drobne pęknięcia, co czyniło je bezużytecznymi dla smoczyc planów.

– Wciąż nie rozumiem, po co to wszystko – mruknął Malfurion. – Czyżby smok chciał, aby wykuły mu pancerz?

Brwi orka zbiegły się na czole.

– Akurat po nim można się spodziewać wszystkiego...

Odrywając myśli od zagadki, nocny elf przyjrzał się lewej stronie jaskini. I rzeczywiście, skrajem biegła wąska ścieżka kończąca się gigantycznym korytarzem, którym, jak pamiętał, podążył Neltharion.

– Tam! Musimy pójść tamtędy!

Brox skinął głową ale nie pozwolił Malfurionowi wyjść z tunelu.

– W dole są goblino. Musimy poczekać.

Stwory były zajęte usuwaniem resztek rudy. Druid ocenił tempo ich pracy i szybko doszedł do wniosku, że potrwa to zdecydowanie za długo.

– Musimy je jakoś odpędzić, albo czymś zająć, Broksie...

– Może zaklęciem.

Malfurion przejrzał w myślach zawartość sakiewek przy pasie, a potem rozejrzał się po pieczarze. Miał w zanadrzu kilka czarów, które mogły

zadziałać...

Ale kiedy sięgnął do jednego z woreczków, wielka komnata zatrzęsa się od potwornego głosu Nelthariona.

– Meklo! Wróciłem! Następna ma się nadawać, albo zjem na obiad wszystkich twoich żalonych pociotków... a ciebie na przystawkę!

Z przeciwnej strony jaskini puścił się pędem goblin w fartuchu, którego Malfurion widział poprzednim razem. Biegając truchtem w stronę wysokiego tunelu, rozdzielał kopniaki pracującym towarzyszom, aby ich ponaglić. Przez cały czas mamrotał sam do siebie coś, co wyczulony słuch Malfuriona uznał za dalsze obliczenia. Ale zanim dobiegł do wylotu tunelu, ze środka wypadł czarny smok. Z ust Broxa, który nie widział wcześniej efektów transformacji Nelthariona, wyrwało się przekleństwo, ale na szczęście utonęło ono w rykach olbrzyma.

– Meklo! Ty bękarcie robaka! Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu! Masz nowe płyty, czy nie?

– Dwie! Dwie, panie! Widzisz? Widzisz? – Goblin wskazał palcem kilku robotników z mazołem wyciągających z form dwa wielkie kawały metalu. Choć schłodzone wodą, wciąż skwierczały od tłącego się w nich żaru, który mógł spowodować paskudne oparzenia.

– Mam nadzieję, że są bardziej wytrzymałe niż ostatnio! Poprzednie były do niczego!

Kiwając głową w górę i w dół, posiwiały goblin oświadczył:

– Najlepszy stop metali! Mocniejszy niż stal! Nasycone twoją energią, wytrzymają każdy nacisk, choć pozostaną lekkie jak piórko!

Jak gdyby dla podkreślenia jego ostatnich słów gobliny zajęte pierwszą z płyt bez trudu ruszyły z nią w stronę smoka, choć Malfurion spodziewałby się, że do jej udźwignięcia potrzeba by ich dziesięć razy więcej.

Neltharion pożerał płytę łakomym wzrokiem. Jego oddech przyspieszył, gdy minęły go niosąc rozgrzany do czerwoności metal.

– Musimy tylko umieścić ją na krótko w zbiorniku z wodą...

– Nie! – wybuchnął Strażnik Ziemi.

Goblin zadrżał.

– S...słucham, panie?

Smok wpatrywał się w płytę opętańczym wzrokiem.

– Chcę, żeby ją przyspawano teraz!

– Ale jej żar tylko wzmoże napięcie, jakie cię trawi! Już same ćwieki muszą być gorące! Rozsądniej byłoby poczekać...

Hebanowy lewiatan tupnął w posadzkę łapę, która wylądowała zaledwie kilka cali od Meklo.

– Teraz...

– Tak, lordzie Neltharionie! Natychmiast, lordzie Neltharionie! Ruszać się, lenie! – Ostatnie słowa były skierowane do goblinów nadal manewrujących płytą.

Gdy się odwróciły, smok pospieszył w stronę dużej, otwartej przestrzeni pod przeciwległą ścianą. Malfurion i ork przyglądali się z zaciekawieniem, jak układa się na ziemi, odsłaniając przy tym prawy bok. Ogromne, ziejące pęknięcia wciąż płonęły żywym ogniem.

– Przytwierdź ją! – zaryczał Neltharion. – Przytwierdź!

– Co oni chcą z nią zrobić? – wymamrotał nocny elf.

Brox potrząsnął głową, równie oszołomiony jak druid.

– Przygotujcie śruby, śruby! – rozkazał Meklo. – Jak najgorętsze!

Dwie załogi składające się z tuzina goblinów zaczęły grzebać w piecu wielkimi szczypcami. Na oczach druida wydobyły z niego ogromną śrubę wielkości co najmniej orka.

– Zespół od młota! Przygotować maszynę!

Z prawej rozległ się jękliwy odgłos. Dwadzieścia goblinów ciągnęło w stronę smoka coś, co na pierwszy rzut oka przypominało dziwną katapultę. Jednak ta maszyna nie miała łyżki tylko gigantyczny metalowy obuch spłaszczony z jednej strony. Były do niego dołączone łańcuchy i bloczki, których przeznaczenia Malfurion nie był w stanie odgadnąć.

– Płyta! – Neltharion niecierpliwił się coraz bardziej. – Umieście ją, gdzie trzeba!

Zdobywając się na ogromny wysiłek, gobliny posłuchały. Podchodząc do boku smoka zakołysały się kilka razy – nie z powodu wagi płyty, ale oddechu Nelthariona, który sprawiał, że podłoże się trzęsło, utrudniając tak małym stworom utrzymanie równowagi. W końcu, na sygnał Meklo, nachyliły się do przodu i pozwoliły płycie opaść na pokrytą łuską skórę.

Dwaj zszokowani obserwatorzy cofnęli się o krok, gdy metal i ciało zderzyły się ze sobą. Skwierczenie palonego mięsa poniosło się echem po całej jaskini. Przykrywająca straszliwe rozdarcie płyta podskakiwała, ale się nie zsunęła.

– Na razie się trzyma – ogłosił wszem i wobec Meklo. – Szybko! Pierwszy bolec!

Malfurion nie mógł uwierzyć w to, czego był świadkiem.

– Oni... oni zamierzają przytwierdzić ją do jego ciała! To szaleństwo! Szaleństwo!

Brox nic nie odpowiedział; oczy miał zmrużone, a dłoń zaciskał na sztylcie tak mocno, że pobiełały mu knykcie.

Na pysk Strażnika Ziemi wypełził wyraz błogości. Wielka paszcza była wykrzywiona w gadzim uśmiechu, a szkarłatne oczy na wpół przymknięte. Pierś wznosiła się i opadała coraz szybciej.

Gobliny trzymające szczypce przystawiły gigantyczny bolec do jednego z otworów na obwodzie płyty. Nocnemu elfowi wystarczyło jedno szybkie

spojrzenie, by doliczyć się tuzina podobnych dziur. Czy każda z nich była przeznaczona dla bolca, który zostanie wbity głęboko w łuski?

Rozkołysane ruchy smoczego cielska znów nastroczyły goblinom pewnych trudności. Przy trzeciej próbie zdołały trafić w jeden z górnych otworów. Bolec wsunął się częściowo do środka, a stwory użyły szczypiec, aby utrzymać go w tej pozycji.

Meklo natychmiast skinął na drugi zespół.

– Młot na miejsce! Przygotować się!

Stękając i sapiąc, gobliny zawlekły maszynę przed Nelthariona. Smok przyglądał się spod na wpół przymkniętych powiek, jak jego słudzy ustawiają ją we właściwej pozycji.

Meklo wskoczył na jej szczyt z zaskakującą zwinnością, po czym popatrzył w dół na bolec. Przed zeskoczeniem zmienił nieco ustawienie zespołu.

– Ciągnąć! – zawołał.

Ta sama grupka, która przesuwiała maszynę, teraz chwyciła za łańcuchy i zaczęła za nie ciągnąć. Malfurion nie potrafił pojąć w jaki dokładnie sposób machina działała, ale efekt jej działań był aż nadto widoczny. Płaski koniec ogromnego metalowego obucha uderzył prosto w bolec. Zderzenie spowodowało huk, od którego zadzwoniło w uszach. Bolec zatopił się głęboko, prawie po główkę. Neltharion zaryczał, ale ból w jego głosie był przemieszany z wyraźną satysfakcją.

– Jeszcze! – ryknął smok. – Jeszcze!

Meklo wspiął się na maszynę, przyjrzał dokładnie położeniu bolca i jeszcze raz kazał podwładnym przesunąć lekko urządzenie. Zadowolony, zeskoczył i krzyknął:

– Ciągnąć!

Gobliny szarpnęły za łańcuchy. Bloczki obróciły się i młot znów opadł.

Tym razem wrzask Nelthariona zagłuszył huk uderzenia. Bolec wsunął się jeszcze głębiej.

– Jest w środku! – zawołał Meklo.

Jedyną odpowiedzią na jego słowa był tubalny śmiech czarnego smoka.

– Następny bolec, migiem! – rozkazał Meklo. – Ruszać się, powiedziałem.

Malfurion, wciąż dygocząc, oparł się o ścianę tunelu.

– Chce, aby wszystkie te płyty przytwierdzono mu do ciała? Ale dlaczego? Po co?

– Pancierz... – odparł ork. – Wytrzymały, acz lekki. Sam widziałeś. – Brox wzruszył ramionami. – A może i po to, żeby się nie rozpęknąć...

– Ale ten ból! Widziałeś, jak głęboko go wbili! A sama płyta... była wciąż gorąca!

– Jest szalony... ale jego szaleństwo może się nam przysłużyć, druidzie.

To zainteresowało Malfuriona.

– Co masz na myśli?

Brox wskazał jaskinię.

– Gobliny...

Początkowo druid nie był pewny, o czym Brox mówi, ale zaraz zauważył, że wszystkie stwory przerwały wykonywane zajęcia, aby przyglądać się niesamowitym wydarzeniom. Trudno było je za to winić, ale przed towarzyszami otworzyła się szansa, na którą czekali.

– Musimy to zrobić, kiedy będą zajęci kolejnym bolcem – stwierdził Malfurion.

– Tak. Nie mamy wiele czasu, druidzie.

Gobliny ze szczypcami zdążyły już wrócić na miejsce, gdzie wyrabiano bolce. Chwyciły jeden z nich i zaniósły go do pieca. Nawet tam, gdzie stał,

Malfurion czuł bijący z niego żar i wcale się nie zdziwił, gdy stwory szybko wyciągnęły bolec, teraz rozżarzony do czerwoności.

– Przygotuj się – powiedział Brox.

Patrzyli, jak gobliny niosą bolec w stronę Nelthariona. Smok był całkowicie pochłonięty zamieszaniem wokół siebie. Wpatrywał się w bolec jak w kochankę.

– Szybciej... szybciej... – ryczał Strażnik Ziemi.

Gdy bolec uniesiono na wysokość otworu po drugiej stronie płyty, Malfurion i Brox spięli się w sobie. Kawalek metalu zbliżył się do otworu...

Gdy wsunął się częściowo do środka, ruszyli. Prowadził Brox, który wymienił sztylet na topór, aby być gotowym na ewentualne spotkanie z goblinami, które mogły wejść do pieczary z wielkiego tunelu. Pod nimi Meklo wydawał burkliwe rozkazy stworom obsługującym maszynę. Skrzypienie przesuwanego urządzenia skutecznie zagłuszało wszelkie odgłosy czynione przez intruzów.

Byli już prawie w połowie ścieżki, gdy gobliny umieściły maszynę we właściwym położeniu. W jaskini zapadła nagle cisza, więc Malfurion i jego towarzysz zamarli.

Nocny elf trzymał jedną dłoń na wybranej wcześniej sakiewce. Gdyby gobliny ich zauważyły, miał w środku komponenty pozwalające rzucić zaklęcie, które zajmie na jakiś czas stwory i ich pana.

Ale Meklo znów zaczął wydawać rozkazy i gobliny wzięły się z powrotem do pracy. Gdy przygotowywały młot, najpierw ork, a potem nocny elf dotarli do końca ścieżki.

Zza pleców znów dobiegł ich wysoki głos majstra:

– Ciągnąć!

Walenie młota wibrowało w czaszce Malfuriona, gdy razem z Broxem biegli korytarzem. Przed oczyma wciąż miał plugawe obrazy tego, co smok

kazał ze sobą zrobić. Neltharion naprawdę oszalał i imię, którym nazywali go Krasus i Rhonin, teraz wydawało się pasować do niego o wiele lepiej niż jego własne.

Skrzydła Śmierci.

Brox zwolnił, aby Malfurion mógł się z nim zrównać.

– Druidzie... teraz ty prowadzisz.

Nocny elf rozpoznawał już fragmenty tunelu na tyle, aby czuć się na siłach odszukać miejsce, gdzie został ukryty dysk. Co wcale nie oznaczało, że wszystko przebiegnie gładko: w kryjówce Strażnika Ziemi z pewnością czaiły się jeszcze inne niebezpieczeństwa.

Za ich plecami rozległ się kolejny brzęk, a zaraz potem mrozący krew w żyłach śmiech czarnego lewiatana. Zwłaszcza to ostatnie sprawiło, że Malfurion przyspieszył kroku.

Dotarcie do pierwszego zakrętu zajęło im znacznie więcej czasu, niż się spodziewał. Najwyraźniej nie wziął pod uwagę znacznie dłuższego kroku smoka, ani własnej zdolności – po przyjęciu sennej postaci – do szybowania w powietrzu dość szybko, by utrzymać tempo bestii. To oznaczało, że ich podróż znacznie się przedłuży.

Powiedział o tym orkowi, który w typowy dla siebie sposób wzruszył tylko ramionami i odparł:

– W takim razie biegnijmy szybciej.

I tak zrobili. Mimo to Malfurion miał wrażenie, że minęła cała wieczność, a nawet dłużej, nim dotarli do kolejnego skrętu. Otuchy dodawał mu jednak fakt, że coraz lepiej rozpoznawał okolicę. Byli już w przynajmniej połowie drogi do celu...

Brox chwycił go nagle za ramię i pociągnął w bok tunelu. Malfurion chciał coś powiedzieć, ale wojownik pokręcił głową.

Druid usłyszał grzmiące kroki, powód niepokoju orka. Gdy przycisnęli się do zakrzywionej ściany, z bocznego korytarza wyszła mroczna postać.

Szła na dwóch nogach, a kształtem przypominała nieco dwóch intruzów. Całe ciało miała pokryte sterczącymi wypustkami, a chód osobliwy. Głowa stwora była dziwacznie zniekształcona i z początku Malfurion nie dostrzegł oczu.

Kiedy się zbliżył, elf z trudem stłumił okrzyk.

Stwór był z kamienia, ale nie w taki sposób jak krasnoludy czy infernale. Istota, która przed nim stała, wyglądała, jak gdyby ktoś ułożył ją ze spiętrzonych na sobie głazów, tworzących coś w rodzaju prymitywnego posągu. Mimo to poruszała się na tyle szybko, by Malfurion zdał sobie sprawę, że jeśli ich zauważy, mogą mieć problemy z ucieczką.

Kamienna postać przystanęła, jak gdyby lustrowała okolicę. Miała jednak oczy, jeśli można tak było nazwać dwie czarne dziury w czymś, co uchodziło za głowę. Ślepiea zwróciły się ze szczególnym zainteresowaniem ku miejscu, gdzie ukryli się intruzi... po czym przesunęły się dalej.

Strażnik – stwór nie mógł być nikim innym – zrobił jeszcze dwa kroki, przez co znalazł się dokładnie na tej samej wysokości, co druid i wojownik. Wysoki jak smok górował nad nocnym elfem, który, widząc jak masywna stopa wznosi się i opada, wyobraził sobie, że miażdży go na naleśnik.

Przez kilka nerwowych sekund stwór przyglądał się badawczo otoczeniu. Malfurion był już pewny, że wykrył ich obecność, ale olbrzym ruszył w końcu dalej, kierując się w stronę, z której nadeszli dwaj intruzi. Kiedy zniknął im z oczu, druid i jego towarzysz wyczołgali się z ukrycia.

– Myślisz, że wróci? – zapytał Malfurion.

– Tak... musimy się pospieszyć.

Ruszyli dalej wijącym się korytarzem; nocny elf zatrzymywał się parę razy, by się upewnić, że podążają dobrą drogą. Raz przeszli kilka jardów

jakimś tunelem, zanim odkrył, że idą w złym kierunku.

W końcu dotarli do wąskiej pieczary, którą Malfurion tak dobrze zapamiętał. Elf zatrzymał się przy wejściu, oszołomiony, że wreszcie dotarli na miejsce.

– Jest tam. – Nocny elf wskazał fałszywy występ. – Dokładnie tam. Na lewo od rozpadliny.

Brox nic nie widział, ale kiedy przytaczał z powrotem topór, rzekł:

– Wierzę ci na słowo, druidzie.

Musieli się jednak do niego dostać. Po raz kolejny to, co wydawało się tak proste w krainie snu, teraz okazało się nie lada problemem. Dotarcie do miejsca, gdzie została ukryta Dusza Demona, wymagało porządnej – nie mówiąc już o tym, że niebezpiecznej – wspinaczki.

Zza pleców wciąż dochodził ich odgłos walenia młotem, a od czasu do czasu ryki smoka. Ponagleni nimi towarzysze zaczęli się wspinać. Malfurion, który był bardziej zwinny, początkowo wysunął się naprzód, ale siła i wytrzymałość Broxa sprawiły, że wkrótce posuwali się w górę w mniej więcej równym tempie.

– Pod miejscem, gdzie smok ukrył dysk, trochę na lewo, jest niewielka jama – zawołał druid. – Możemy w niej odpocząć.

– Dobrze – stęknął zielonoskóry wojownik.

Żaden z nich nie patrzył w dół w obawie przed utratą równowagi. Niewielka jama, mogąca ledwo pomieścić ich dwóch, zapraszała.

Bez żadnego ostrzeżenia w ich głowach rozległ się znajomy głos:

Uwaga na trolle!

Dopiero po chwili nocny elf zorientował się, że to głos Krasusa. Nie był zaskoczony tym, że starszy mag zachował z nim mentalną więź, ale ostrzeżenie nie miało żadnego sensu. Trolle? Co to miało znaczyć?

Na twarz osypał mu się pył, piekąc w oczy. Malfurion zamrugał. Łzawiącymi oczyma dojrzał podłużną, trupią głowę o uszach podobnych do uszu nocnego elfa i burzą włosów zwisających aż na czoło. Z paszczy sterczały dwa pozółkłe kły. Na środku czoła tkwił czarny, lśniący klejnot, bez wątpienia narzędzie, dzięki któremu Skrzydła Śmierci kontrolował swoich strażników. Stwór był znacznie wyższy od goblina, a nawet trochę wyższy od Malfuriona. Jego ciemnoszara skóra doskonale wtapiała się w skałę.

– Witaj, obiadku... – zadrwił troll. Wyciągnął łapsko w dół, najwyraźniej chcąc zepchnąć Malfuriona ze skały.

Druid cofnął się na tyle, na ile mógł, i ostre szpony trolla przejechały o włos od jego twarzy. Malfurion spróbował ominąć jaskinię, ale troll już z niej wypełzł i zwinnie jak pająk ruszył w ślad za ofiarą.

Druid usłyszał gniewne warknięcie Broxa i kątem oka dostrzegł pod orkiem następnego trolla. Na domiar złego z okolicznych jam wypełzły trzeci i czwarty, które też ruszyły ku intruzom.

– Będzie z ciebie piękna mokra plama, obiadku... – szydził pierwszy troll. – Zjem twój mózg na surowo, a z wątroby przyrządę jakiś specjał!

Znów się zamachnął i tym razem zdołał chwycić Malfuriona za nadgarstek. Z zaskakującą siłą spróbował oderwać druida od ściany. Żadne ze znanych druidowi zaklęć nie mogło mu się przydać. Robił, co w jego mocy, żeby się utrzymać, wbijając palce w skałę z siłą grożącą starciem ich do kości. Wrzask z dołu rozproszył nagle trolla. Brox zrobił dobry użytek ze swojego sztyletu, zatapiając go w ramieniu napastnika. Troll odpadł od ściany, ginąc na miejscu. Niestety, zabrał ze sobą ostrze orka. Ten, który złapał druida za przegub, z gniewnym warknięciem szarpnął jeszcze mocniej. Malfurion, walcząc, żeby nie spaść, zauważył drugiego

przeciwnika, który zachodził go od dołu, zapewne chcąc mu podciąć nogi. Gdyby mu się to udało, elf nie miał szans utrzymać się na ścianie.

Druid zauważył małego żuczka sunącego po skale tuż nad trollem. Skupił się szybko, modląc się, żeby nie spaść. Żuczek zawrócił i ruszył w stronę diabelskiego przeciwnika nocnego elfa. Mało tego, ze skały zaczęły wychodzić następne, zbierając się pod stworem. Początkowo przeciwnik Malfuriona nie zauważył niczego niepokojącego, ale zaraz potem zaczął się niespokojnie wiercić. Usiłował ignorować to, co się dzieje, ale w końcu okazało się to niemożliwe. Z poirytowanym sykiem troll puścił druida i zaczął strącać z siebie owady, które wdrapywały mu się już na pierś.

Malfurion walnął go pięścią. Trafił tylko w ramię, ale to wystarczyło. Troll, zmuszony przez żuki do przyjęcia niewygodnej pozycji, puścił wreszcie skałę.

Krzycząc, zaczął się zsuwać. Druidowi sprzyjało szczęście, bo zderzył się z towarzyszem w dole. Pod ciężarem, który zwałił się nań z góry, także drugi troll odpadł od skały. Malfurion odwrócił wzrok, gdy zderzyły się z ziemią, i popatrzył na orka.

– Idź! – ryknął Brox, starając się wyminąć ostatniego trolla. – Dysk! Zabierz dysk!

Po chwili wahania Malfurion niechętnie usłuchał. Widywał już Broxa w gorszych opałach. Walczył z demonami, poradzi sobie z ostatnim trollem.

Ostrożnie... rozległ się głos Krasusa. *Usunąłem kilka zaklęć ochronnych, ale zostały inne, z którymi musicie sobie poradzić!*

Druid już je wyczuwał. Niektóre były dość oczywiste, inne dobrze ukryte. Zbadał po kolei naturę każdego z nich, usuwając je lub rozbijając. Był zaskoczony, że tę część zadania udało mu się wykonać tak szybko. Spodziewał się po Skrzydłach Śmierci czegoś więcej.

Usłyszał kolejny wrzask, wrzask trolla. Nawet nie spojrział przez ramię, bo słyszał już stękanie Broxa wspinającego się w ślad za nim.

Fałszywy występ czekał na Malfuriona. Zapуścił weń sondę umysłu i odkrył kolejne zaklęcia, ale żadnych, z którymi nie potrafiłby sobie poradzić. Zerknął w dół i zobaczył, że Brox dotarł do jamy, w której mieli odpocząć. Ork zajrzał do środka.

– Powiew... może to droga na zewnątrz, druidzie.

Cieszyło go wszystko, co mogło skrócić ich pobyt w tym miejscu. Skinąwszy głową, Malfurion znów skupił uwagę na fałszywym występie. Już i tak sprzyjało im szczęście – zamieszanie spowodowane zabiegami wokół Skrzydeł Śmierci zagłuszyło krzyki umierających trolli, wiedział jednak, że fortuna nie będzie się do nich uśmiechać w nieskończoność...

Ominął ostatnią z magicznych osłon, po czym szarpnął za fałszywy występ. Był ciężki, tak jak się spodziewał, ale zdołał przesunąć go na tyle, by wśliznąć się do środka.

– Zaraz wróczę! – zawołał.

Brox kiwnął głową.

Malfurion spodziewał się, że w środku będzie ciemno, ale powitało go jasne światło, które najpierw poraziło jego wrażliwe oczy, a potem, jakimś cudem, uśmierzyło ból.

Kiedy jego wzrok oswoił się z blaskiem, zaledwie kilka jardów przed sobą zobaczył Duszę Demona. Spoczywała na królewskiej, czerwonej materii rozmiarów żagla, umoszczona w niej niczym noworodek. Dysk był tak mały, że nawet Malfurion mógł go zmieścić w dłoni. Wyglądał dość pospolicie mimo wspaniałego blasku, jakim emanował. Wiedząc jednak, jaka moc się w nim kryje, nocny elf traktował twór smoka z najwyższym szacunkiem i ostrożnością.

Druid zbadał siły otaczające Duszę Demona i nie zauważył niczego, co mogłoby mu zagrażać. Najwyraźniej Skrzydła Śmierci uznał, że jego zdobycz jest tu tak bezpieczna, że nie zadał sobie trudu nałożenia na nią dodatkowych zaklęć.

Malfurion nachylił się nad dyskiem. Tak wiele mocy w czymś tak małym. W smoczej łapie wydawał się większy, choć wiedział, że nie zmienia rozmiarów.

– Druidzie! – usłyszał nagle krzyk Broxa. – Ktoś nadchodzi! To chyba stwór z kamienia!

Wizja potwornego golema sprawiła, że Malfurion nie tracąc więcej czasu podniósł dysk jednym szybkim ruchem. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, jak straszliwy błąd popełnił. Pieczarę wypełnił harmider przypominający wrzaski setki konających smoków. Przygnieciony nim Malfurion padł na kolana. Miał wrażenie, że esencja każdego ze smoków, które brały udział w stworzeniu Duszy Demona, woła o uwolnienie – wiedział jednak, że to, co teraz słyszy, to ostatni, sprytny alarm, którym dysk był spowity w tak subtelny sposób, aby pozostać niewidzialnym nawet dla najbardziej wyostrzonych zmysłów. Gdy pierwsze wrzaski ucichły, przez jaskinie przetoczył się echem o wiele straszliwszy dźwięk.

Wściekły, oszalały ryk Skrzydeł Śmierci.

DZIEWIĘĆ



Ból sprawiał Neltharionowi przyjemność, bowiem każdy boleć wbity w jego łuski przybliżał go do boskości.

W zbroi i z dyskiem nic nie będzie mu straszne...

– Szybciej! – zażądał znowu smok. – Szybciej!

Gobliny już prawie ustawiły maszynę we właściwym miejscu. Meklo przylgnął do niej, kierując ostatnimi poprawkami przed kolejnym uderzeniem...

I wtedy w komnacie rozległ się dźwięk, którego Strażnik Ziemi miał nadzieję nigdy nie usłyszeć, dźwięk tak przerażający, że lewiatan bez chwili namysłu wierzgnął łapami, obalając maszynę i wyrzucając Meklo wraz z resztą goblinów w powietrze.

– Mój dysk! Moja Dusza Smoka! Ktoś próbuje ją ukraść! – Smok wydał z siebie budzący trwogę ryk, który sprawił, że reszta goblinów wycofała się z wielkiej kuźni.

Neltharion wstał. Trzecia płyta, tylko częściowo przytwierdzona, zakołysała się w przód i w tył, gdy okręcił się w stronę przejścia. Łapy i ogon czarnego olbrzyma rozrzucały stoły, ogniska kowalskie i formy

odlewnicze po całej jaskini. Wszędzie wybuchały płomienie, a jeden z pieców eksplodował, bombardując wszystko płonącymi pociskami.

Dla Nelthariona cały ten chaos i zniszczenia nie miały najmniejszego znaczenia. Ktoś próbował odebrać mu to, co dla niego najcenniejsze. Nie dopuści do tego! Intruzi zostaną złapani i zabici... ale powoli, w męczarniach. To najłżejsza kara, na jaką zasługiwali za podobny afront.

Fakt, że ktoś ominął wszystkie jego pułapki, strażników i zaklęcia rozsierdził potężnie Strażnika Ziemi. To był wspólny wysiłek, którego musiały się podjąć inne smocze stada. Sprawią, że będą cierpieć jak błękitne smoki. Wydając z siebie kolejny ryk, smok pospieszył w głąb tunelu.



Nadchodzi!, ostrzegł Krasus, choć nie było to wcale potrzebne.
Nadchodzi!

Nagle połączenie zostało gwałtownie przerwane. Malfurion wystraszył się, że Krasusowi przytrafiło się coś złego, ale wiedział, że nie może się teraz przejmować przyjacielem. Teraz liczyła się ucieczka z Duszą Demona.

– Druidzie! Chodź! Szybko!

Wsunął dysk do sakwy przy pasie. Gdy ją zamknął, blask przygasł. Kiedy wydostał się na zewnątrz, zobaczył Broxa czekającego niespokojnie na skraju jamy pierwszego z trolli. Nocny elf szybko ruszył w tamtą stronę. Brox wciągnął go do środka i nie dając mu czasu na złapanie oddechu, pociągnął w głąb jaskini.

– To może być wyjście! Powiew może oznaczać wyjście!

W jaskini trolla wały się kości i odpadki. Malfurion starał się nie patrzeć na te ostatnie, nawet jeśli należały do goblinów. Ale ich nadzieje okazały się płonne. Dwie kolejne komnaty nie prowadziły na zewnątrz, a prąd powietrzny, który wyczuł Brox, musiał pochodzić z drobnych szczelin.

– Wcale mnie nie dziwi, że smok nie zostawił drogi ucieczki nawet trollom – mruknął nocny elf. – Jesteśmy w pułapce...

Na zewnątrz rozległy się ciężkie kroki, ale nie były to kroki smoka. Malfurion wyjrzał zza skalnego wyłomu i dostrzegł zwałistą postać kamiennego golema.

– Skrzydła Śmierci musi być blisko... – Żaden inny tytuł nie pasował już do czarnego smoka, nie po tym, czego druid był świadkiem.

– W takim razie będziemy walczyć – odparł ze stoickim spokojem Brox.
– Niech się przekonają, że nie wiemy, co to strach.

Dysk... użyj dysku...

Malfurion się wzdrygnął. Głos urwał się tak szybko, że nie zdążył go rozpoznać, ale musiał należeć do Krasusa. Nocny elf wciąż się wahał, świadomy mrocznych mocy Duszy Demona. Widział, jak używanie dysku wpłynęło na czarnego smoka; czy i on nie odniósłby podobnego uszczerbku?

Jaskinią wstrząsnął ryk. Ze stropu posypały się kamienie, niektóre tak wielkie, że mogłyby wgnieść elfowi czaszkę. Nie mieli już czasu na zastanawianie się...

– Druidzie, co zamierzasz? – zapytał z niepokojem Brox, widząc, że Malfurion wyjmuje Duszę Demona. Jej blask zalał jamę i, niestety, wydostał się na zewnątrz. Jeśli golem nie wiedział wcześniej, gdzie są, teraz znał już z pewnością ich kryjówkę... a wkrótce miał ją poznać Skrzydła Śmierci.

– To nasza jedyna nadzieja... – Malfurion uniósł dysk w stronę najszerszej ze szczelin. Nie miał pojęcia, w jaki sposób działa Dusza Demona, więc po prostu spróbował wyobrazić sobie, że tworzy przejście dość szerokie, by zdołali nim uciec.

Nic się nie wydarzyło.

Musisz pozwolić mu zlać się z tobą... pozwól mu być tobą, a ty bądź nim...

Połączenie znów się urwało, ale teraz nocny elf miał przynajmniej jakiś punkt zaczepienia. Skupiając się na dysku, Malfurion zapuścił weń sondę umysłu.

Natychmiast poczuł jego niepokojącą naturę. Ten przedmiot nie należał do śmiertelnego planu. Siły, które wezwał Skrzydła Śmierci, pochodziły w większości *spoza* niego. Druid prawie się wycofał, ale wiedział, że nie powinien.

Zlej się z nim, powiedział Krasus. Malfurion spróbował się otworzyć na Duszę Demona, pozwolić, by jej moc dotknęła jego własnej.

I tak po prostu... udało mu się. Siła przepływająca przez nocnego elfa nappełniła go taką pewnością siebie, że mało brakowało, a byłby wymaszerował na zewnątrz, aby stawić czoła golemowi, Skrzydłom Śmierci i każdemu innemu smokowi we wnętrzu góry. Powstrzymała go wyłącznie świadomość, że jego śmierć pogrzebałaby wszelkie nadzieje tych, na których mu zależało.

Ork przyglądał mu się z rezerwą.

– Druidzie... dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest – prawie odburknął. Biorąc głęboki oddech, rzucił Broxowi przepaszające spojrzenie, po czym skupił moc Duszy Demona na szczelinach, którymi docierało świeże powietrze.

– Otwórz przejście... – wyszeptał nocny elf.

Blask otaczający dysk pojaśniał... i nagle skała nad nim stopiła się i zmieniła w parę. Nie został po niej żaden gruz, żaden ślad. Dusza Demona wypaliła kamień i ziemię bez najmniejszego wysiłku. Choć towarzysze nie widzieli magicznych sił, które to sprawiły, efekt ich działania zrobił na nich ogromne wrażenie. Nowy tunel biegł coraz wyżej i wyżej, znikając im z oczu.

– Ścieżka dociera aż do zbocza góry – rzekł Malfurion, choć sam nie wiedział, skąd to wie. – Powinniśmy ruszać.

Niewielką jaskinią zatrzęsł grzmiący huk. Brox szybko wyjrzał na zewnątrz.

– Kamienny golem próbuje się do nas dokopać!

Nie zwlekając, Malfurion rzucił się w głąb stworzonego przez magię tunelu, a Brox zaraz za nim. Góra wciąż dygotała od wysiłków ponurego strażnika.

Nim zdążyli zrobić więcej niż dwa kroki, usłyszeli tubalny głos smoka:

– Gdzie oni są? Obedrę ich ze skóry, powbijam igły w nerwy! Z drogi!

Malfurion domyślił się, że ostatnie słowa były skierowane do golema, którego smok odepchnął w bok.

– Ta góra będzie waszym grobem! – zaryczał Skrzydła Śmierci.

Rozległ się straszny hałas przypominający wybuch gejzeru, jakiego druid był kiedyś świadkiem, po czym temperatura zaczęła gwałtownie wzrastać.

– Schowaj się za mną! – krzyknął druid. Gdy Brox go wyminął, obrócił się i wyciągnął przed siebie Duszę Demona, narzucając ponuremu dyskowi całą swoją wolę.

W dół tunelu pomknął dziki podmuch lodowatego powietrza... napotykać wnet płomienną rzekę płynnej lawy. Potworny potop zwolnił... i zatrzymał się mniej niż jard od Malfuriona.

Dysząc i potykając się, nocny elf ruszył dalej. Brox pomógł mu się wdrapać w górę ścieżki. Ork sprawiał wrażenie onieśmiałego siłami, jakimi władał jego towarzysz, onieśmiałego i trochę zaniepokojonego.

– Bądź ostrożny, druidzie. Nie ufam tak wielkiej potędze zaklętej w tak mylącej postaci.

– Zgadzam się... całym sercem. – A jednak czuł uniesienie wyzwajając taką potęgę. Może się mylił, może powinien był zawrócić i stawić czoła czarnemu smokowi. Gdyby pokonał Skrzydła Śmierci, jedno z największych zagrożeń dla Kalimdoru zostałyby usunięte. Płonący Legion nie wydawałby się już taki straszny. Z Duszą Demona Neltharion pokonałby demony bez większych problemów.

Magia dysku nie przestawała ich zadziwiać. Przez całą wspinaczkę ziemia pod ich stopami układała się w stopnie. Dzięki temu uciekinierzy mogli podwoić wcześniejsze tempo.

– Czuję powiew – powiedział ostrożnie Brox. – Silniejszy powiew.

Z nową nadzieją przyspieszyli kroku. Malfurion usłyszał dźwięk, który z początku wziął za syk, ale zaraz się zorientował, że to powiew, o którym mówił ork.

– Tam! – wychrypiał nocny elf. – Otwór!

Rzeczywiście, Dusza Demona zrobiła dokładnie to, o co prosili. Z wnętrza piekielnej góry wydostali się na pochyły stok, gdzie owiał ich chłodny, acz przyjemny wiatr.

Ale wciąż nie byli bezpieczni. Prędzej czy później Skrzydła Śmierci zorientuje się, że są na zewnątrz. On i jego stado rzucą się w pościg.

– Lepiej go schowaj – podsunął starzejący się wojownik. – Jego blask przyciąga uwagę.

Malfurionowi nie chciało się tłumaczyć, że Skrzydła Śmierci będzie w stanie wykryć dysk nawet wtedy, gdy zostanie schowany do sakwy. Mimo

to ukrycie go dawało im minimalnie większe szanse. Niechętnie muskając Duszę Demona na pożegnanie, druid zawiązał ciasno torbę.

Brox znów prowadził. Ork stawiał ostrożne kroki w dół ośnieżonego zbocza, badając stabilność podłoża, dzięki czemu kilka razy uniknęli sturlania się na pewną śmierć. Topór miał na razie przytroczony na plecach. Jedno potknięcie mogło go kosztować jego utratę.

Na szczęście potrzeba korzystania z kuźni sprawiła, że Skrzydła Śmierci używał jaskiń położonych w dolnych partiach góry. Choć droga była niebezpieczna, przynajmniej nie musieli schodzić na dół z samego szczytu. Malfurion miał nadzieję, że dotrą do podnóża przed pierwszym brzaskiem.

Ale wkrótce szczęście znów ich opuściło – wysoko nad nim przemknął jakiś wielki kształt. Brox i Malfurion natychmiast padli w śnieg, usiłując się w niego zakopać i ukryć przed przelatującym smokiem.

Był to rzeczywiście Skrzydła Śmierci i jedyną rzeczą, która ich ocaliła, był jego własny obłąd. Neltharion przeszukiwał okolicę ogarniętą szaloną wściekłością, w przelocie wypluwając na mijane szczyty strumienie płynnej lawy. Każda z salw uderzała z taką siłą, że w powietrze wylatywały całe fragmenty gór, spadając w dół wielkimi skalnymi bryłami. Wyglądało na to, że smok nie lustruje okolicy swoimi magicznymi zmysłami, bo w przeciwnym wypadku z pewnością już by ich odnalazł.

Malfurion podniósł głowę.

– Chyba odlatuje w stronę...

Skrzydła Śmierci zawrócił gwałtownie, lecąc prosto na nich.

– Szybko! – warknął Brox.

Wyskoczyli z ukrycia, kierując się ku dużemu występowi skalnemu. Nocny elf dojrzał przez ramię rosnący szybko czarny kształt. Z wyrazu pyska nie sposób było odgadnąć, czy smok ich zauważył, ale z całą pewnością był zbyt blisko, by mogli czuć się bezpiecznie. Gdy skryli się za

występem, druid usłyszał ten sam straszliwy dźwięk zapowiadający plunięcie lawą.

– Tutaj! – Ork wskazał skalny nawis. Dawał pewną osłonę, ale czy to wystarczy?

Zbocze góry eksplodowało.

Ostroga zupełnie znikła, jej fragmenty rozsypały się na wszystkie strony. Temperatura wzrosła tak, że topniał śnieg. Wielkie bryły zmrożonego od dawna lodu zsunęły się i roztrzaskały o ziemię. Stok góry upstrzyły skwierczące kałuże.

Skrzydła Śmierci fruwał nad okolicą, przyglądając się zniszczeniom. Ogromna bestia podleciała bliżej, po czym prychnęła z niesmakiem. Z dzikim rykiem zawróciła i znów zaczęła się oddalać, tym razem okrążając górę, w której mieściła się jej siedziba.

Ukryci za szczątkami ostrogi, na wpół zagrzebani w gruzie i mokrym śniegu, Malfurion i Brox zaczęli się wygrzebywać. Nocny elf kaszlnął kilka razy, po czym natychmiast sprawdził sakwę. Gdy jego palce dotknęły znajomego kształtu dysku, odetchnął z ulgą.

Brox nie był aż tak radosny.

– Skrzydła Śmierci wróci, druidzie. Do tego czasu musimy się stąd wydostać.

Otrzepawszy się z błota, znów ruszyli w dół. Od czasu do czasu słyszeli rozwścieczone ryki smoka, ale czarny lewiatan nie wrócił. Mimo to nie zwolnili kroku. Gdy byli już prawie u podnóża góry, nocny elf spojrzął na dolinę pod nimi.

– Nie poznaję tego miejsca. Myślę, że jesteśmy daleko od Krasusa. – Zamknął oczy. – I nie jestem w stanie nawiązać z nim kontaktu.

– Możliwe, że osłonił się magią, gdy rozwścieczona czarna bestia opuściła górę.

– Ale musimy go jakoś znaleźć.

Postanowili zejść do samego podnóża góry, a potem się martwić. Krasus znajdował się prawdopodobnie w lepszej sytuacji niż oni.

W dolinie, w cieniu wysokich szczytów, panował wieczny mrok. Nocny elf prowadził, ale Brox trzymał się w pobliżu. Byli na tyle blisko władztwa Skrzydeł Śmierci, by musieć uważać na gobliny.

Aby dotrzeć do miejsca, gdzie zostawili Krasusa, powinni kierować się w lewo, ale już po kilku jardach drogę zagroziła im skalna ostroga wyrastająca z pobliskiej góry. Malfurion zastanawiał się, czy nie użyć Duszy Demona, ale podejrzewał, że takie zaklęcie z pewnością przyciągnęłoby uwagę Skrzydeł Śmierci. Poza tym za każdym razem, gdy używał dysku, było mu coraz trudniej go odłożyć.

– Wygląda na to, że jeśli pójdziemy w przeciwną stronę, dojdziemy tam okrężną drogą – zaproponował druid.

– Zgoda.

Musieli przedostać się przez skraj rumowiska, które powstało wskutek smoczej furii, ale na szczęście udało im się znaleźć prześwity między gruzem.

Kolejny ryk ostrzegł ich przed powrotem Skrzydeł Śmierci. Malfurion i ork przycisnęli się do skały, patrząc na przelatującego nad nimi olbrzyma. Skrzydła Śmierci lustrował uważnie okolicę, ale nadal ich nie widział. Pozostali w ukryciu, dopóki smok nie zniknął im z oczu.

– To dziwne, że widzieliśmy tylko jego. Gdzie reszta smoków?

Brox natychmiast znalazł odpowiedź.

– Gdyby znalazły dysk, mogłyby próbować odebrać mu przywództwo.

A więc to paranoja czarnego lewiatana działała teraz na korzyść dwóch umykających postaci. Skrzydła Śmierci bał się, że inny członek jego stada odnajdzie Duszę Demona przed nim. Z tego, co Malfurion wiedział o jej

mocy – a wiedział niewiele – mogła z powodzeniem pozwolić pomniejszemu smokowi pokonać potężną istotę.

Posuwali się naprzód w szybkim tempie, ale na drodze piętrzyły się przed nimi kolejne pułapki. Pomimo wysiłków oddalali się coraz bardziej od celu.

Druid zaczynał się irytować.

– Powinienem po prostu użyć tego przeklętego dysku, żeby przenieść nas do Krasusa!

– A zaraz potem przyleci tam czarny smok.

– Wiem... tylko...

Potworna, opancerzona postać zderzyła się z orkiem.

Jednocześnie podobny do wilka stwór wielkości nocnej pantery skoczył na druida. Z jego pleców wyrastała para paskudnych, wijących się macek, które natychmiast wyciągnęły się ku szyi czarodzieja.

Piekielna bestia.

Szczęk broni powiedział Malfurionowi, że nie może chwilowo liczyć na pomoc Broxa. Druid szamotał się w uścisku siedzącego na nim demona, który usiłował skrócić mu kark. Malfurion prawie się zadławił, tak obezwładniający był smród oddechu piekielnej bestii.

Rzędy żółtych kłów wypełniły pole widzenia nocnego elfa. Obryzgała go ślina potwora, której każda kropla paliła jak kwas. Malfurion jedną ręką nie pozwalał stworowi opaść na siebie całym ciężarem ciała, a drugą odpychał dwie żarłoczne macki. Ale jedna zdołała się w końcu prześliznąć. Okolone zębami wnętrze przyssawki przykleiło się do ciała elfa.

Malfurion wrzasnął, czując, jak zaczyna wysysać z niego moc. To, czy ktoś był czarodziejem, magiem czy druidem nie miało znaczenia, magia, jaką się posługiwał, szybko stawała się częścią bestii. Spijając ją z ofiar,

piekielna bestia wypijała również siły życiowe. Jeśli będzie miała dość czasu, zostanie z niego tylko wyschnięta łupina.

Nocny elf nie miał czasu na wybieranie zaklęć. Czując narastający ból, poszukał palcami pierwszej lepszej sakiewki. Korzystając z chwili nieuwagi ofiary, demon zdołał wpić w elfa drugą mackę. Malfurion prawie stracił przytomność, ale wiedział, że oznaczałoby to straszliwy koniec. Jego palce natrafiły na jedną z sakw – tę, w której ukrył dysk – i usłyszał w głowie szepty:

Weź go, użyj, wykorzystaj... mówią głosy. To twoja jedyna nadzieja, jedyna szansa... weź dysk... dysk...

Jeden z nich przypominał mu głos, który wcześniej wziął za głos Krasusa. Malfurion rozpaczliwie uchwycił sakiewkę, wysupłując z niej Duszę Demona. Natychmiast poczuł przypływ pewności siebie. Nocny elf popatrzył na diabelski pysk nad sobą.

– Chcesz magii... dam ci magię!

Dotknął Duszę Demona jednej z macek.

Piekielna bestia wybałuszyła ślepią. Jej cielsko wydeło się jak bukłak wypełniony nagle do granic możliwości. Rozpaczliwie oderwała macki od piersi Malfuriona.

Chwilę później eksplodowała.

Szczątki demona spadły na druida, ale ten nie zwracał na nie uwagi. Zerwał się z ziemi i użył mocy dysku, aby błyskawicznie oczyścić się z plugastwa. Rozejrzał się i zobaczył Broxa wciąż walczącego nie z jednym, ale z dwoma piekielnymi gwardzistami. Jeden z nich był ranny, ale wciąż mieli wyraźną przewagę nad orkiem.

Malfurion niedbale wycelował Duszę Demona w tego, którego widział lepiej. Z dysku wystrzelił snop złotego światła, które otoczyło demonicznego wojownika. Demon ryknął... i rozsypał się w kupkę prochu.

Drugi piekielny gwardzista się zawahał. Brox tylko na to czekał, Magiczne ostrze orka wbiło się głęboko w pierś demona, przecinając pancerz. Gdy padł drugi napastnik, Brox się okręcił. Malfurion, z zadowolonym uśmiechem na twarzy, ruszył w stronę towarzysza.

– Całkiem nieźle nam poszło – zauważył.

Ale Brox wcale nie wyglądał na zadowolonego. Jego wzrok pobiegł ku dyskowi.

To spojrzenie napełniło Malfuriona nagłą nieufnością. Głosy powróciły, silniejsze niż kiedykolwiek.

On pożąda dysku... chce go dla siebie... tylko ty możesz go używać, aby przywrócić porządek na świecie...

– Druidzie – powiedział ork. – Nie powinieneś go więcej używać. Jest zły.

– Właśnie ocalił nam obu życie!

– Druidzie...

Malfurion cofnął się, unosząc Duszę Demona.

– Pragniesz jego mocy! Chcesz mi go odebrać!

– Ja? – Brox potrząsnął głową. – Niczego od niego nie chcę.

– Kłamiesz! – Głosy ponaglały go, podpowiadając mu, co ma mówić. – Chcesz odebrać Płonący Legion Archimondowi i jego panu! Chcesz, aby podbił dla ciebie Kalimdor! Nie pozwolę na to! Prędzej świat stanie w płomieniach, niż ci na to pozwolę!

– Druidzie! Czy ty siebie słyszysz? Twoje słowa... nie mają sensu...

– Nie pozwolę ci go zabrać! – Malfurion wycelował dysk w orka.

Musi zostać zniszczony... wszyscy muszą zostać zniszczeni... każdy, kto pożąda dysku... kto zechce ci go odebrać...

Brox nawet nie drgnął. Nie rzucił się na nocnego elfa, nie uniósł nawet topora w obronie czy ataku. Po prostu patrzył i czekał, pozostawiając swój

los w rękach Malfuriona.

W końcu druid uprzytomnił sobie, co miał zamiar zrobić. Chciał właśnie zabić Broxa, aby móc zatrzymać Duszę Demona.

Wypuścił z obrzydzeniem dysk i się cofnął. Popatrzył znów na towarzysza, szukając sposobu, który pozwoliłby mu przeprosić go za to, do czego prawie doszło. Siwiejący wojownik potrząsnął głową na znak, że nie wini nocnego elfa.

– Dysk – warknął. – To dysk.

Malfurion wcale nie miał ochoty znów go dotykać, ale musieli go ze sobą zabrać. Krasus z pewnością będzie wiedział, jak obchodzić się z makabrycznym tworem czarnego smoka. Musieli go tylko odnaleźć.

Nocny elf odszukał luźny kawałek materiału i pochylił się, aby podnieść Duszę Demona. W głębi serca wiedział, że materia nie stanowi wystarczającej osłony przed pokusami dysku, ale nic więcej nie mógł zrobić. Aby je zwalczyć – i zagłuszyć podstępne głosy – spróbował się skupić na swoich najbliższych. Jeśli padnie ofiarą Duszy Demona, wszyscy zapłacą za to życiem. Przede wszystkim pomyślał o Tyrande, która już ucierpiała. Malfurion wątpił, by użycie Duszy Demona mogło ją w jakikolwiek sposób ocalić. Bardziej prawdopodobne było, że w końcu zabije ją tak, jak prawie zabił Broxa.

Podziękował Cenariusowi, którego mądre, wyważone nauki dały mu siłę, by przeciwstawić się głosom. Dusza Demona była ohydą plugawiącą oblicze tego świata i plugawiącą powołanie druida.

– Musimy stąd uciekać, Broksie – powiedział, prostując się. – Nie wiadomo, ile jeszcze demonów kręci się w okolicy...

Wytrzeszczył oczy, widząc groteskowe dłonie wyrastające ze skalnego podłoża przy swoich stopach. Z oszalamiającą szybkością chwyciły go za kostki, przygważdżając do ziemi.

Brox warknął i rzucił mu się na pomoc. Ale ledwie zrobił krok, jego własne stopy zostały unieruchomione w podobny sposób. Niezrażony, zamachnął się na jedną z nich toporem, roztrzaskując ją. Mimo to zdążył postąpić tylko jeden krok, nim dwie nowe ucapiły uwolnioną kończynę...

Tymczasem Malfurion stał rozdarty między użyciem Duszy Demona, która wciąż leżała w jego dłoni owinięta materiałem, a wezwaniem sił natury, których nauczył go używać Cenarius. Chwila wahania drogo go kosztowała. Na oczy spadła mu raptownie zasłona ciemności, a usta zamknęło mu coś, co przypominało żelazny zacisk. Z zaskoczenia wypuścił z ręki Duszę Demona, która spadła z brzękiem na ziemię.

Usłyszał ryk wściekłości Broxa i odgłos topora uderzającego o skałę. Potem rozległ się głuchy odgłos i zapadła przerażająca cisza.

Ciężkie oddechy nocnych panter ostrzegły druida, że napastnicy są blisko. Ale Płonący Legion nie używał panter. Z tego, co pamiętał, korzystał z nich tylko jego lud.

Ktoś z pałacu?

– Pozwoliłeś im żyć? Dlaczego? – zapytał głos, który rzeczywiście należał do nocnego elfa, ale brzmiał jak głos demona.

– Ci dwaj z pewnością zainteresują naszego pana...

Słyszając drugi głos, Malfurion drgnął. Czy to możliwe?

Usłyszał, jak coś ląduje miękko na ziemi, a potem zbliżające się kroki. Później usłyszał skrobnięcie, gdy stojąca obok postać podniosła z ziemi coś, co mogło być tylko plugawym dziełem smoka.

– Wygląda niepozornie – stwierdził osobnik stojący obok Malfuriona. Potem, jak gdyby po namyśle, wypowiedział słowa, które potwierdziły najgorsze obawy druida: – Witaj, braciszku...

DZIESIĘĆ



Krasus zaklął, czując, że w pieczarze czarnego smoka zaraz dojdzie do katastrofy. Zrobił, co w jego mocy, by wykryć każde skomplikowane zaklęcie rzucone przez Skrzydła Śmierci na miejsce ukrycia Duszy Demona i wiedział, że Malfurion postąpił podobnie, a jednak zostali przechytrzeni.

Co gorsza, połączenie z druidem i orkiem zostało zerwane i to nie za sprawą magii czarnego smoka. Jakaś siła, na swój sposób równie straszna jak moc Skrzydeł Śmierci, stanęła pomiędzy magiem a jego towarzyszami... i Krasus zaczął się domyślać, co może być jej źródłem.

Starożytni Bogowie byli legendą nawet dla większości smoków, które narodziły się u zarania świata. Krasus z racji swojej niepoahamowanej dociekliwości – albo, jak to ujął Rhonin, swojej niepoahamowanej wścibskości – wiedział, że są czymś znacznie więcej.

Legenda głosiła, że krwawym chaosem, jakiego nawet władcy Płonącego Legionu nie byli sobie w stanie wyobrazić, rządziły niegdyś trzy mroczne istoty. Władzały pierwotnym planem aż do przybycia stwórców świata. Potem doszło do wojny na kosmiczną skalę, w wyniku której Starożytni Bogowie upadli.

Trójkę bóstw skazano na wieczne uwięzienie, jego miejsce ukryto przed wszystkimi, a ich moce zostały spętane aż po kres czasu. Tak powinna się kończyć opowieść, ale Krasus podejrzewał, że Starożytni Bogowie znaleźli jakiś sposób sięgnięcia na plan materialny i odszukania czegoś, co ich wyzwoli.

Teraz to wszystko zaczyna mieć sens, uświadomił sobie mag, wdrapując się na skały w poszukiwaniu przyjaciół. Nozdormu... wyrwa w Czasie, podróż do ery nocnych elfów i Płonącego Legionu... Studnia Wieczności... a nawet wykucie Duszy Demona...

Starożytni tworzyli klucz, który otworzy bramy ich więzienia... a jeśli im się to uda, nawet Sargeras będzie błagał o śmierć.

Wystarczy wyrwa w Czasie, by wydostali się ze swojego więzienia. Być może planowali nawet cofnąć swoją wcześniejszą porażkę. Trudno mu było odgadnąć, jakie dokładnie mieli plany, bo był dla nich zaledwie robakiem. Ale przynajmniej ich początkowy cel był zrozumiały.

Muszę ostrzec Alexstraszę, pomyślał instynktownie. Aspekty były najpotężniejszymi istotami na całym śmiertelnym planie. Jeśli ktokolwiek miał jakieś szanse w starciu ze Starożytnymi Bogami, to tylko one. Przeklinał szaleństwo, które zmieniło Nelthariona Strażnika Ziemi w Skrzydła Śmierci Niszczyciela. Pięć Aspektów tworzyło siłę zdolną pokonać starożytne istoty. Gdyby nie Neltharion...

Krasus się poślizgnął, o mało nie spadając ze skalnego grzbietu, po którym się właśnie wspinał. Jakże pokrętne były plany Starożytnych! To oni przekabacili Strażnika Ziemi! To oni wypaczyli jego umysł – i to z kilku powodów! Starożytni Bogowie uczynili z niego bezwolną marionetkę, która pomoże im w ucieczce, ale i podzielili w ten sposób – a przez to osłabili – jedyne potencjalne zagrożenie. Bez Nelthariona cztery pozostałe Aspekty nie były już tak niebezpieczne.

Co gorsza, Nozdormu zaangażował się bez reszty w utrzymanie ciągłości czasu, co musiało być kolejnym poziomem ich planu. Krasus zatrzymał się i oparł plecami o skałę. Skała ich knowań była przytłaczająca. Mroczne bóstwa poświęciły im zbyt wiele czasu i wysiłku. Ustawiły zbyt wiele pionków we właściwym miejscu i przemyślnie ukryły swoje machinacje. Jak ktokolwiek – nie mówiąc już o nim – mógł zniweczyć ich nikczemne zamiary?

Jak?

Krasus był tak pochłonięty swoim oszałamiającym odkryciem, że nie zauważył ogromnego czarnego cienia, dopóki ten nie zaciemnił całej okolicy wokół niego.

Skrzydła Śmierci przykrył całe niebo.

– TY!

Potworny smok zionął ogniem.

Gdyby na miejscu Krasusa znalazł się ktokolwiek inny, skończyłby jako kupka zwęglonych kości zalana potokiem lawy. Ale Krasus, który znał Skrzydła Śmierci aż nadto dobrze, zdążył zareagować w ostatniej chwili.

Gdy smok wylewał na zakapturzoną postać całą swoją furię, mag wzniosł ścianę złotego blasku. Salwa spadła na pozornie delikatną tarczę bezlitosną ulewą, ale osłona wytrzymała. Krasus wyteżył siły, starając się utrzymać równowagę i pocąc się z wysiłku. Każde włókno jego jestestwa wołało, by się poddał, ale tego nie zrobił.

W końcu to skrzydlate monstrum dało za wygraną, ale tylko po to, by zebrać siły do kolejnej potężnej salwy. Ale ta chwila wahania wystarczyła Krasusowi.

Osoba, na której skupił się cały gniew Skrzydeł Śmierci, uniosła ramiona – i znikła.

Nie mógł stawić czoła straszliwemu behemotowi w walce jeden na jednego. Wynik takiego starcia był zbyt oczywisty. Nawet w pełni sił Krasus był tylko oblubieńcem Aspektu, a nie jednym z pięciu wielkich smoków. Męstwo było cenną cechą, ale nie w sytuacji, gdy był z góry skazany na przegraną.

Mag zmaterializował się obok góry położonej na południe od miejsca, z którego uciekł. Oparł się o głaz, z trudem łapiąc oddech. Wysięk, jakiego wymagało odparcie ataku przeciwnika i teleportacja straszliwie go osłabił. Prawdę mówiąc, zamierzał zmaterializować się o wiele dalej od smoka.

– Znajdę cię! – zawołał czarny lewiatan, a echo powtórzyło jego słowa.
– Nie uciekniesz mi!

Krasus wiedział, że na jego korzyść przemawia fakt, iż Skrzydła Śmierci wściekł się do tego stopnia, że nie skupiał swych mocy tak, jak powinien. Mag poczuł, jak jego przeciwnik sonduje otoczenie, ale badanie było pobieżne, a magiczna sonda przesuwała się tak szybko, że ofiara z łatwością była w stanie się przed nią osłonić.

Krasus zmusił się do dalszej wędrówki w dół. Im niżej zejdzie, tym lepiej dla niego. Nie wiedział, jaki los spotkał jego towarzyszy. Był jednak pewny, że udało im się uciec Skrzydłom Śmierci, inaczej czarny smok nie ścigałby jego. Skrzydła Śmierci wciąż polował na swój cenny dysk, a teraz uznał, że ma go Krasus. Z mozołem schodził z góry, mimo wyczerpania poruszając się znacznie zwinniej niż jakikolwiek nocny elf czy człowiek. Przez cały czas nasłuchiwał, czy Skrzydła Śmierci się nie zbliża, rejestrując wyczulonym słuchem, gdzie się akurat znajduje. W pewnym momencie czarny behemot przelatywał dokładnie nad nim, ale zakapturzona postać szybko przywarła do skalnego występu i olbrzym przeleciał nad nią. Skrzydła Śmierci strzelał lawą zupełnie na oślep, nie zdając sobie sprawy, że jego własna furia działa przeciwko niemu. Nagle smok zrobił dokładnie

to, czego obawiał się Krasus. Najwyraźniej uznawszy, że okolica została wystarczająco dokładnie zlustrowana, Skrzydła Śmierci przechylił się w locie i zawrócił w stronę swojego górskiego leża. Krasus wątpił, by dał tak szybko za wygraną, co oznaczało, że teraz miał zamiar szukać Duszy Demona gdzie indziej.

Pełen obaw o Malfuriona i Broxa, Krasus wbił wzrok w odlatujący kształt i skupił się. Wszędzie wokół niego rumosz powstały wskutek wcześniejszych salw uniósł się w górę, bombardując Skrzydła Śmierci. Ogromne skalne bryły, niektóre wielkości smoczego łba, uderzyły mocno. Skrzydła Śmierci wydał z siebie zaskoczony ryk, opadając szaleńczo w kierunku góry i dopiero w ostatniej chwili unikając zderzenia.

Krasus odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Wrzask, jaki dobiegł go z za pleców, nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że Skrzydła Śmierci połknął haczyk. Krasus nawet nie zadał sobie trudu, żeby spojrzeć przez ramię, zmysły już ostrzegały go, że czarny nadlatuje z powrotem.

Wszystko musiało się odbyć we właściwej chwili, aby plan Krasusa się powiódł. Musiał prawie poczuć na karku plugawy oddech Aspektu...

– Spalę cię na popiół! – ryczał jego potworny przeciwnik. – Na popiół!

Skrzydła Śmierci nie musiał się obawiać, że uszkodzi swoje drogocenne dzieło, bo Duszy Demona niegroźne były szalejące żywioły. Jak na ironię to smocza łuska okazała się słabością dysku: część Skrzydeł Śmierci była jedyną rzeczą, która mogła zniszczyć jego potworną zabawkę.

Krasus zastanawiał się nad sposobem unicestwienia Duszy Demona tutaj, w przeszłości, ale obawiał się, że już i tak napięta czasoprzestrzeń może tego nie wytrzymać. Lepiej pozwolić smokowi ją zatrzymać i mieć nadzieję, że historia potoczy się swoim torem – zakładając, że było to wciąż możliwe. Skrzydła Śmierci był coraz bliżej... Czarny smok chciał mieć

pewność, że nie chybi. Jeszcze chwileczkę, pomyślał mag, tężejąc i przygotowując się do działania.

Usłyszał dźwięk zapowiadający kolejną salwę.

Krasus zgrzytnął zębami...

Rozległ się syk... i teren, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się zakapturzona postać, utonął w dymiącej lawie.



Strażnik Ziemi wzbił się wysoko w powietrze, śmiejąc się opętańczo. Zatoczył koło nad okolicą, teraz rozświetloną przez płonące pomarańczowo skały. Pierwotne magiczne siły stanowiące integralną część płomiennej masy, którą z siebie wyrzucił, uniemożliwiły zlokalizowanie dysku, ale Neltharion mógł zaczekać.

Delektował się straszliwym końcem tajemniczego smoczego maga, pupilka Alexstraszy, który prawie pokrzyżował mu plany. Szkoda, że nic z niego nie zostało, bo czarny smok chętnie wziąłby sobie jakiś jego fragment na pamiątkę, aby pokazać go smoczycy, zanim uczyni ją swoją konkubiną. Neltharion wyczuł zażyłość łączącą tych dwoje, zupełnie jak gdyby traktowała Krasusa jak jednego ze swoich oblubieńców, zwłaszcza mdłego i irytującego Korialstrasza.

Ale przede wszystkim liczyło się to, że mag zginął, a on odzyska swój dysk. Po prostu musi być cierpliwy. Dusza musiała być gdzieś blisko, pogrzebana pod magmą, gdzie czekała na powrót do niego.

Nagle dokuczliwa myśl wytrąciła go z rozmarzenia. Neltharion zaczął się zastanawiać nad przebiegłością swojej ofiary i sposobem, w jaki ona i jej towarzysze zdołali w ogóle wykraść mu dysk.

Smok opadł niżej, próbując wyczuć swój ukochany twór poprzez chaos energii, który dopiero zaczynał przygasać. Wciąż nie mógł wyczuć dysku, który musiał gdzieś tam być. Musiał...



Krasus zmaterializował się w pewnej odległości od smoka, wciąż czując obezwładniający żar ataku Skrzydeł Śmierci. Rozpłaszczył się na ziemi, orientując się, że po raz kolejny nie oddalił się na tyle, na ile by sobie życzył.

Liczył na to, że czarny smok uzna, iż zginął, a Dusza Demona została pogrzebana wraz z nim. Sam będąc smokiem, Krasus wiedział, jakiego rodzaju energię wyzwalał jego współplemieńcy podczas ataku i wierzył, że powstrzyma ona na jakiś czas Skrzydła Śmierci przed szukaniem nocnego elfa i orka. Każda cenna minuta zwiększała ich szanse na sukces.

Jeśli chodzi o samego Krasusa, teraz, gdy jego wróg myślał, że został unicestwiony, mógł wreszcie odpocząć wystarczająco długo, aby zebrać siły i dołączyć do towarzyszy. Mag podziękował opatrności za to, że jego plan się powiódł, bo wątpił, by był w stanie zdziałać coś więcej, gdyby Skrzydła Śmierci przejrzał jego podstęp. Krasus podejrzewał, że w tej chwili miałby szczęście, gdyby był w stanie zapalić świeczkę, a co dopiero obronić się przed oszalałym Aspektem.

Wyczerpana zakapturzona postać leżała rozciągnięta na skalistej ziemi. Pierwsze promyki światła wyrzały zza skrawka horyzontu, który widział. W tym pogrążonym w mroku miejscu jedyne, na co było je stać, to zaznaczyć nikłą różnicę między nocą a dniem. A jednak ucieszyły Krasusa, bo jako członek czerwonego stada był istotą Życia, a Życie kwitło najbujniej w słonecznym świetle. Gdy jego oczy oswoiły się z tym nowym blaskiem, wreszcie pozwolił sobie na chwilę odpoczynku.

I właśnie wtedy głęboki głos ryknął triumfalnie nad jego głową:

– Aha! Jednak cię odnalazłem!



Tyrande zaczął doskwierać głód, co nie było dobrym znakiem. Księżycowa Matka troszczyła się o nią już wystarczająco długo, ale była tak potrzebna w całym Kalimdorze, że nie mogła koncentrować się na zwykłej kapłance. W razie potrzeby Tyrande zawsze była gotowa na ofiarę.

Nie czuła się zdradzona. Dziękowała Elune za to, co bogini dla niej zrobiła. Teraz wszystko zależało od nazbyt kruchego śmiertelnego ciała, ale była pewna, że szkolenie odebrane w zakonie jej pomoże.

Każdego wieczoru o zachodzie słońca jeden z Szlachetnie Urodzonych przynosił miskę jedzenia. Miska i jej zawartość – jakiś kleik składający się, jak podejrzewała, z resztek posiłków jej porywaczy – stała nietknięta na ziemi obok sfery. Tyrande musiała tylko powiedzieć jednemu z nich, że jest głodna, by sfera opadła w magiczny sposób. Potem łyżka z kości słoniowej,

która zawsze towarzyszyła misce, mogła przeniknąć wraz z zawartością przez barierę.

Zważywszy na fakt, że Lady Vashj pragnęła jej śmierci, Tyrande była podwójnie zadowolona, że do tej pory nic nie zjadła. Teraz jednak zimna, lepka masa wyglądała całkiem apetycznie. Pojedynczy kęs wystarczyłby, żeby zachowała siły na kolejny dzień; pełna miska pomogłaby jej przetrwać cały tydzień, może dłużej.

Ale nie mogła zjeść bez pomocy z zewnątrz, a nie miała zamiaru o nic prosić. Byłaby to oznaka słabości, którą demony z pewnością by wykorzystały.

Ktoś odemknął zamek. Tyrande szybko odwróciła wzrok od jedzenia, nie chcąc się zdradzić ze swoim coraz gorszym stanem. Drzwi otworzył ponury strażnik. Do środka wszedł jakiś Szlachetnie Urodzony, którego branka widziała pierwszy raz w życiu. Jego krzykliwe szaty wyglądały olśniewająco i bez wątpienia miał świadomość swojej urody. Inaczej niż większość członków jego kasty był atletycznie zbudowany. Ale najbardziej uderzająca była jego blada, fioletowa skóra oraz włosy – kasztanowe, poprzetykane złotymi pasemkami, co Tyrande widziała pierwszy raz w życiu. Jak wszyscy Szlachetnie Urodzeni miał wzgardliwy wyraz twarzy, szczególnie gdy zwracał się do straży.

– Zostaw nas.

Żołnierza nie trzeba było namawiać, żeby opuścił czarodzieja. Zamknął za sobą drzwi, po czym odmaszerował.

– Święta kapłanko – pozdrowił ją Szlachetnie Urodzony. W jego głosie słychać było tylko nutkę wyższości, z jaką potraktował strażnika. – Mogłabyś uczynić swoją sytuację znacznie znośniejszą.

– Szukam pocieszenia u Księżycowej Matki. Nie potrzebuję i nie pragnę niczego więcej.

Wyraz jego twarzy zmienił się nieznacznie, ale Tyrande dostrzegła w nim coś, co była bliska uznać za żal. Z trudem ukryła zaskoczenie. Zakładała, że wszyscy Szlachetnie Urodzeni stali się bezwolnymi sługami władcy demonów i Azshary, ale zachowanie jej towarzysza ujawniło, że może być inaczej.

– Kapłanko... – zaczął.

– Możesz mnie nazywać Tyrande – przerwała mu, chcąc, by się otworzył. – Tyrande Whisperwind.

– Pani Tyrande, jestem Dath'Remar Sunstrider – odparł Szlachetnie Urodzony nie bez pewnej dumy. – Służymy tronowi od dwudziestu pokoleń...

– Znamienity rodowód. Masz być z czego dumnym.

– I jestem. – Ale kiedy to mówił, przez jego twarz przemknął cień. – Powiniennem.

Tyrande dostrzegła okazję. Dath'Remar wyraźnie czegoś chciał.

– Szlachetnie Urodzeni zawsze byli godnymi strażnikami królestwa sprawującymi pieczę zarówno nad jego mieszkańcami, jak i Studnią. Jestem pewna, że twoi przodkowie nie potępiliby waszych wysiłków.

Przez twarz elfa znów przemknął cień. Dath'Remar rozejrzał się nagle.

– Przyszedłem sprawdzić, czy zdołam skłonić cię do zjedzenia czegoś, kapłanko. – Podniósł miskę. – Zaproponowałbym coś więcej, ale na więcej nie pozwalają.

– Dziękuję ci, Dath'Remarze, ale nie jestem głodna.

– Wbrew temu, czego mogliby sobie życzyć niektórzy, nie ma tu żadnej trucizny ani narkotyku, pani Tyrande. Mogę cię o tym zapewnić. – Pięknie odziany elf podniósł czubek łyżki do ust i zjadł odrobinę brunatnej substancji. Natychmiast się skrzywił. – Nie mogę jednak ręczyć za smak... za co przepraszam. Zasługujesz na coś lepszego.

Zastanawiała się przez chwilę, po czym postanowiła zaryzykować:

– Doskonale. Zjem trochę.

Na dźwięk jej słów sfera opadła na ziemię. Dath'Remar patrzył na to, nie odrywając oczu od kapłanki. Gdyby jej serce nie należało do innego, Tyrande uznałaby go za bardzo atrakcyjnego. Nie miał w sobie fircykowatości, jaka charakteryzowała wielu innych członków jego kasty.

Napełniwszy łyżkę, Dath'Remar wyciągnął ją w stronę Tyrande. Sztuciec i jego zawartość zafalowały lekko przenikając przez otaczającą elfkę zieloną zasłonę.

– Musisz się trochę nachylić do przodu – poinstruował ją. – Moja ręka nie może przejść przez sferę.

Kapłanka zrobiła, o co prosił. Dath'Remar mówił prawdę, gdy ostrzegał, że smakowi można wiele zarzucić, ale Tyrande była w głębi ducha szczęśliwa, że może coś zjeść. Miała wrażenie, że jej głód wzmógł się nagle dziesięciokrotnie, ale starała się to przed nim ukryć. Szlachetnie Urodzony mógł jej współczuć, ale wciąż służył władcy demonów i Azsharze.

Po drugiej łyżce ośmielił się znów odezwać.

– Gdybyś przestała się opierać, byłoby ci o wiele łatwiej. Inaczej znudzi ich w końcu twoja obecność. Gdyby do tego doszło, pani, obawiam się, że czekałby cię przykry los.

– Muszę postępować tak, jak oczekuje ode mnie Księżycowa Matka, ale dziękuję ci za serdeczną troskę, Dath'Remarze. To krzepiące spotkać się z czymś takim w pałacu.

Przekrzywił głowę w bok.

– Są i inni, ale znamy swoje miejsce i dlatego staramy się ważyć słowa.

Przyglądając mu się bacznie, Tyrande uznała, że czas go przycisnąć.

– Ale wasza lojalność wobec królowej pozostaje niekwestionowana.

Gość wyglądał na oburzonego.

– Oczywiście! – Ale zaraz dodał nieco przygaszonym tonem: – Obawiamy się jednak, że jej ocena sytuacji może nie być równie trafna jak kiedyś. Nie słucha nas, którzy rozumiemy dogłębnie Studnię i jej moc, lecz przybyszów. Odrzuciła całą naszą pracę tylko po to, by sprowadzić na nasz świat pana Legionu! Staraliśmy się tyle osiągnąć, chciałem...

Zacisnął usta, orientując się wreszcie, jaki ton przybrała jego przemowa. Z ponurą determinacją Dath'Remar karmił ją dalej w milczeniu. Tyrande nic nie mówiła, ale zobaczyła już wystarczająco dużo. Szlachetnie Urodzony przyszedł tu bardziej ze względu na siebie niż na nią. Dath'Remar potrzebował swego rodzaju wyznania, chciał podzielić się z kimś zamętem, jaki zapanował w jego umyśle.

Zanim się zorientowała, miska była pusta. Dath'Remar chciał ją już odłożyć, ale kapłanka, chcąc zatrzymać go jeszcze chwilę, zapytała szybko:

– Czy mogę jeszcze prosić o coś do picia?

Razem z posiłkiem przyniesiono od celi niewielki bukłak, ale Tyrande nie tknęła jeszcze jego zawartości. Z zapalem, który zdradzał chęć przedłużenia ich spotkania, Dath'Remar pochwycił naczynie. Po odkorkowaniu wyciągnął go w jej stronę, ale bariera nie pozwoliła mu przytknąć go do jej ust.

– Wybacz mi – mruknął. – Zapomniałem.

Szlachetnie Urodzony nalał trochę wody do miski, a potem napił ją łyżką. Tyrande odczekała chwilę, zanim odważyła się znów odezwać.

– To musi być dziwne, współpracować z satyrami, które kiedyś były nami. Muszę przyznać, że ich obecność trochę mnie niepokoi.

– To wybrańcy losu, którzy zostali wyniesieni przez Sargerasa, aby mu lepiej służyć. – Odpowiedź nadeszła tak automatycznie, że kapłanka nie mogła oprzeć się wrażeniu, iż Dath'Remar powtarzał ją już wiele razy... być może nawet przed samym sobą.

– A ty nie zostałeś wybrany?

Jego wzrok stwardniał.

– Odmówiłem, choć propozycja była... kusząca. Przede wszystkim służę królowej i tronowi. Nie pragnę być jednym z tych... jednym z nich.

Bez ostrzeżenia odłożył miskę i łyżkę. Tyrande przygryzła wargę, zastanawiając się, czy źle go oceniła. Ale nie miała innego punktu zaczepienia. Dath'Remar był jej jedyną szansą.

– Zasiedziałem się – oświadczył. – Muszę już iść.

– Będę czekać na twoją następną wizytę, panie.

Pokręcił gwałtownie głową.

– Nie wrócę. Nie. Wykluczone.

Dath'Remar odwrócił się do niej plecami, ale zanim zdążył wyjść, kapłanka powiedziała:

– Jestem uchem Elune, Dath'Remarze. Jeśli jest coś, co chciałbyś powiedzieć, zamieniam się w słuch. Nic nie wydostanie się poza ten pokój. Nikt inny się o tym nie dowie.

Czarodziej spojrzał na nią i choć z początku się nie odezwał, Tyrande widziała, że poruszyła w nim czułą strunę. W końcu, po długim wahaniu, Dath'Remar odpowiedział:

– Następnym razem postaram się przynieść ci coś smaczniejszego, pani Tyrande.

– Niech towarzyszy ci błogosławieństwo Księżycowej Matki, Dath'Remarze Sunstrider.

Nocny elf skłonił głowę, po czym wyszedł. Tyrande słuchała, jak jego kroki cichną w korytarzu. Potem czekała, aż zajrzą do niej strażnicy, ale kiedy wrócili, po prostu zajęli swoje zwykłe miejsca. Wtedy, po raz pierwszy od chwili, gdy została pojmana, Tyrande Whisperwind pozwoliła sobie na przelotny uśmiech.

JEDENAŚCIE



Dla orka nie istniało nic bardziej wiążącego niż krew. Krew pieczętowała przysięgi, powoływała do życia sojusze i odznaczała w walce prawdziwego wojownika. Skalanie więzów krwi było jedną z najgorszych wyobraźalnych zbrodni.

A teraz brat druida właśnie się jej dopuścił.

Brox patrzył na Illidana Stormrage'a z nienawiścią na jaką zasługiwały w jego oczach nieliczne istoty. Nawet demony szanował bardziej, bo były wierne swojej naturze, jak nikczemna i perwersyjna by nie była. A teraz miał przed sobą kogoś, kto walczył ramię w ramię z nim i resztą kto był bratem bliźniakiem Malfuriona, a więc powinien dzielić jego miłość i troskę o towarzyszy. Ale Illidan żył tylko dla władzy i nikt, nawet jego najbliższy krewniak, nie był w stanie tego zmienić.

Gdyby nie był ciasno skrupowany, z radością oddałby życie szarżując na czarodzieja i skręcając mu kark. Choć miał sobie wiele do zarzucenia, nigdy nie dopuściłby się zdrady.

Druid kuśtykał obok siwiejącego wojownika. Z rękami związanymi ciasno na plecach, wleczeni za nocnymi panterami, ledwo nadążali. Brat Illidana miał z tym jeszcze większe kłopoty, bo zdradziecki bliźniak nie

zdjął z niego zaklęcia ślepoty. Z oczami przykrytymi małymi czarnymi cieniami, których nie było w stanie przebić żadne światło, Malfurion zataczał się i upadał, co i rusz kalecząc się i raniąc, a raz nawet uderzył głową w skałę.

Czarodziej z przewiazanymi oczami nie zdradzał żadnych oznak współczucia. Za każdym razem, gdy Malfurion się potykał, Illidan szarpał tylko za postronek, dopóki druid się nie wyprostował. Potem strażnicy idący za jeńcami popychali ich do przodu i wędrówka trwała dalej.

Brox przyglądał się swojemu toporowi zwisającemu teraz z grzbietu kota dosiadanego przez oficera z blizną. Ork uznał kapitana Varo'thena za drugi główny cel ataku, gdyby jakimś cudem udało im się uwolnić. Demoniczni wojownicy byli groźni, to prawda, ale brakowało im diabelskiej przemyślności, jaką dostrzegał w tym nocnym elfie. Nawet Illidan ustępował mu pod pewnymi względami. Mimo to, jeśli duchy będą mu przychylne, zabije ich obu.

Potem, jeśli okaże się to w ogóle możliwe, trzeba będzie zrobić coś z Duszą Demona. Co ciekawe, to nie Illidan ją teraz przechowywał. Chwilę po tym, jak czarodziej odebrał ją bratu, kapitan podszedł do zdradzieckiego bliźniaka i zażądał, żeby mu ją oddał. Jeszcze dziwniejsze było to, że brat Malfuriona przystał na to bez słowa protestu.

Ale zielonoskóry wojownik nie miał głowy do takich tajemnic. Wiedział tylko, że musi zabić ich obu, a potem zabrać Duszę Demona trupowi Varo'thena. Oczywiście najpierw musiał oswobodzić się z więzów i pokonać demony.

Brox prychnął z goryczą. Bohaterom sag zawsze się takie rzeczy udawały, ale nie wierzył, że jemu również. Kapitan Varo'then miał talent do krępowania jeńców. Zrobił to aż za dobrze. Brnęli wciąż przed siebie, oddalając się coraz bardziej od kryjówki czarnego smoka. Jednak Broxowi

brakowało pewności siebie Illidana i kapitana. Był pewien, że Skrzydła Śmierci ich odnajdzie. Dziwne, że olbrzym jeszcze się nie pojawił. Czyżby coś go zatrzymało? Ork zrobił wielkie oczy i stęknął, zdumiony własną tępotą. Coś go zatrzymało... coś, a raczej ktoś. Krasus.

Brox zdawał sobie doskonale sprawę, jakiej ofiary mogło to wymagać od maga. *Czcigodny, życzę ci powodzenia. Będę o tobie śpiewał... przez ten krótki czas, jaki mi jeszcze został.*

– Ungh!

Brox odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć, jak Malfurion upada po raz kolejny. Jednak tym razem druid zdołał się obrócić i zamiast na twarzy, wylądował na boku. Uchroniło go to przed rozbiciem nosa, ale obił sobie z pewnością wszystkie kości. Choćby nie wiem jak się starał, ork nie był w stanie mu pomóc. Zgrzytając zębami, popatrzył spode łba na Illidana.

– Zwróć mu wzrok! Będzie mu się łatwiej szło!

Czarodziej poprawił szal noszony na oczach. Brox zdążył zauważyć tylko, że stało się z nimi coś strasznego.

– Zwrócić mu wzrok? A dlaczego miałbym to zrobić?

– Bestia ma rację – przerwał mu gwałtownie kapitan Varo'then. – Twój brat za bardzo spowalnia nam tempo. Pozwól mi rozplatać mu gardło tu i teraz, albo oddaj mu oczy, żeby widział drogę.

Illidan uśmiechnął się sardonicznie.

– Cóż za kuszący wybór! Doskonale! Podprowadźcie go!

Dwa demony popchnęły Malfuriona do przodu sztychami mieczy. Druid wyprostował się na tyle, na ile był w stanie i pomaszerował wyzywająco w stronę brata.

– Z moich oczu do twoich – wymamrotał Illidan. – Daję ci to, czego sam już nie potrzebuję.

Ściągnął szal.

Włoski na karku orka zjeżyły się, gdy po raz pierwszy zobaczył, co się kryje pod spodem. Brox klął się na duchy. Nawet potworni strażnicy obok niego poruszyli się niespokojnie. Cienie na oczach Malfuriona rozproszyły się. Zamrugął, a potem zobaczył Illidana. Druid popatrzył ze zgrozą na to, co stało się z oczami jego brata.

– Och, Illidanie... – zdołał wykrztusić. – Tak bardzo mi przykro.

– A to dlaczego? – Czarodziej z pogardą zawiązał szal na potwornych oczodołach. – Teraz mam coś znacznie lepszego! Zmysł wzroku, o którym możesz tylko pomarzyć! Niczego nie straciłem, rozumiesz? Niczego! – A do oficera zwrócił się z drwiną: – Teraz powinien iść szybciej. Myślę, że możemy nawet zwiększyć tempo.

Varo'then uśmiechnął się i dał rozkaz do dalszego marszu.

Malfurion zatoczył się w stronę orka. Brox pomógł mu odzyskać równowagę, po czym wymamrotał:

– Przykro mi z powodu twojego brata...

– Illidan wybrał własną ścieżkę – powiedział druid znacznie łagodniejszym tonem niż ork by użył.

– Zdradził nas!

– Czyżby? – Malfurion wbił wzrok w plecy bliźniaka. – Czyżby?

Ork potrząsnął głową, uznając to za pobożne życzenie i dał za wygraną. Szli przed siebie, a ponury dzień miał się ku końcowi. Ich porywacze nie wyglądali na zaniepokojonych, ale Brox cały czas zerkał na łańcuch górski, pewny, że lada chwila pojawi się Skrzydła Śmierci.

– Powiedz mi, czarodzieju – odezwał się oszepecony oficer po ponad godzinie milczenia. – Ten dysk. Potrafi to wszystko, o czym mówiłeś?

– To wszystko i jeszcze więcej. Wiesz, co zrobił z Legionem i nocnymi elfami... nie oszczędził nawet smoków.

– Tak... – Ork dosłyszał pożądanie w głosie Varo'thena. Dopiero teraz zauważył, że ręka kapitana głaszcze sakwę, w której schował Duszę Demona. – To wszystko prawda, co?

– Możesz zapytać Archimonda, jeśli chcesz.

Ręka Varo'thena odsunęła się od sakwy. Żołnierz miał dość oleju w głowie, by czuć respekt przed potęgą wielkiego demona.

– Powinien mieć dość mocy, by przekształcić portal zgodnie z wolą Sargerasa – podjął Illidan. – Wtedy reszta Legionu będzie mogła wkroczyć do Kalimdoru... z Sargerasem na czele.

Malfurion stłumił okrzyk, nawet Brox stęknął z odrazą. Popatrzyli po sobie z przerażeniem, doskonale zdając sobie sprawę, że żadna siła nie zdoła się oprzeć władcy demonów i jego całej armii.

– Musimy coś zrobić... – powiedział cicho ork, napinając mięśnie, ale sznury po raz kolejny okazały się silniejsze.

– Próbuję – odszepnął druid. – Odkąd Illidan zwrócił mi wzrok. Wcześniej nie mogłem się skoncentrować, bo ciągle się potykałem... ale teraz powinno mi się udać.

Upewniwszy się, że demony nie zwracają na nich uwagi, Brox warknął:

– Jak?

– Koty. Rozmawiałem z nimi. Przekonywałem je.

Ork zmarszczył czoło, przypominając sobie, że Malfurion nawiązywał już kiedyś mentalną więź ze zwierzętami.

– Będę gotowy, druidzie. Myślisz, że już niedługo?

– To trudniejsze niż sądziłem. One... zostały naznaczone obecnością Legionu, ale... myślę... tak... przygotuj się. Powinny zacząć działać lada chwila.

Z początku nic się nie działo, ale potem wierzchołek kapitana Varo'thena stanął jak wryty. Kapitan dźgnął go piętami, ale nocna pantera

nie chciała się ruszyć.

– Co się dzieje z tym przeklętym...

Varo'then nie zdołał dokończyć, bo pantera stanęła nagle dęba. Zaskoczony kapitan sturlał się z jej grzbietu.

Illidan zaczął się oglądać przez ramię, ale jego wierzchowiec poszedł w ślady pierwszego. Czarodziej był jednak lepiej przygotowany i choć zsunął się z siodła, nie wywinął kozła w tył.

– Ty głupcze! – zawołał, choć nie sposób było stwierdzić, do kogo skierowane były te słowa. – Ty głupi...

Brox przystąpił do działania w chwili, w której zwierzęta zwróciły się przeciwko jeźdźcom. Pobiegł w stronę wierzchowca kapitana Varo'thena, chcąc odzyskać swój topór. Nocna pantera poszła mu na rękę, odwracając się do niego właściwym bokiem... zapewne na rozkaz Malfuriona.

Okręciwszy się, Brox przytknął skrępowane ręce do główki topora. Ostra jak brzytwa, z łatwością przecięła więzy, drasnawszy tylko prawe ramię wojownika.

Brox chwycił oręż.

– Druidzie! Do mnie! Możemy odjechać na tych bestiach...

Ale nocna pantera minęła go wielkimi susami. Łbem wyrznęła piekielnego gwardzistę, który próbował przebić mieczem Malfuriona. Pozostałe demony natychmiast się cofnęły, nie wiedząc, co robić w tej szalonej sytuacji.

Tymczasem kot zaczął przegryzać więzy Malfuriona. Zerkając na Broxa, nocny elf krzyknął:

– Zapomnij o mnie! Sakwa, Broksie! Sakwa!

Ork spojrział tam, gdzie wylądował Varo'then. Oficer pałacowej gwardii siedział pocierając głowę, sakwa z Duszą Demona wciąż wisiała u jego pasa. Wydawał się nie widzieć stojącego w pobliżu Broxa.

Wznosząc wysoko topór, ork rzucił się na kapitana. Jednak oszpecony nocny elf zareagował szybciej, niż Brox liczył. Widząc szarżującą nań zieloną postać, szczupły wojownik natychmiast odtoczył się w bok. Zrywając się na równe nogi, dobył miecza.

– No chodź, ty niezdarny bydlaku – zaszydził. – Potnę cię na sztuki i nakarmię tobą koty... o ile zdołają cię strawić!

Brox opuścił topór... i gdyby trafił w elfa, rozplątałby go na dwoje. Ale kapitan poruszał się z szybkością błyskawicy. Broń orka wbiła się w twardą ziemię, zostawiając w niej bruzdę długą na ponad jard.

Varo'then przyskoczył, dźgając wroga mieczem. Ostrze zostawiło szkarłatną pręgę na lewym ramieniu Broxa. Ork zignorował pieczenie, wznosząc topór do kolejnego ciosu.

Kątem oka dostrzegł, że Malfurion skierował nocną panterę Varo'thena przeciwko piekielnej gwardii. Pierwszy demon cofnął się, nie wiedząc, czy atakować wierzchowca dowódcy. Chwila wahania drogo go kosztowała, bo sekundę później wielka pantera obaliła go na ziemię i rozszarpała mu gardło.

Brox usiłował wypatrzeć Illidana, ale musiał obserwować własnego przeciwnika. Miał nadzieję, że Malfurion ma oko na brata. Wystarczy jedno zaklęcie czarodzieja, a zginą. Zaryczał, gdy kapitan Varo'then zadał mu paskudny cios w zranione już ramię.

Nocny elf się wyszczerzył.

– Pierwsza zasada walki brzmi nie daj się rozproszyć...

W odpowiedzi ork zakreślił toporem przerażający łuk i mało brakowało, a skróciłby żołnierza o głowę. Varo'then, cofnął się, poważniejąc.

– Druga zasada – warknął Brox. – Tylko głupcy mieli ozorem na polu walki.

Poczuł nagle mrowienie w całym ciele. Poruszał się z trudem, każdy ruch wymagał od niego coraz większego wysiłku. Miał wrażenie, że otaczające go powietrze się zestaliło. Czarna magia...

Jego obawy potwierdziły się: Malfurion nie poradził sobie z Illidanem. Łączące braci więzy krwi sprawiły, że druid się wahał i teraz przyjdzie im za to zapłacić.

Kapitan Varo'then znów zaczął się uśmiechać. Ruszył bardziej pewnie w stronę ruszającego się coraz wolniej przeciwnika.

– Zwykle nie lubię iść na łatwiznę, ale tym razem zrobię wyjątek. – Wycelował mieczem w pierś Broxa. – Ciekawe, czy masz serce w tym samym miejscu co ja...

Ale kiedy się zbliżył, na obu padł ciemny cień. Brox chciał spojrzeć w górę, ale jego ruchy stały się już tak powolne, że wiedział, iż nocny elf wypatroszy go, zanim zdąży opuścić głowę. Jeśli tak miała wyglądać jego śmierć, miał zamiar patrzeć swojemu zabójcy prosto w oczy jak przystało na wojownika.

Ale sługa królowej Azshary nie patrzył już na orka. Teraz to on spoglądał w niebo, krzywiąc się gniewnie.

– Odsuń się od niego, łotrze! – zahuczał z góry głos.

Na oczach bezbronnego Broxa Varo'then odskoczył w tył. Mgnienie oka później miejsce, w którym stał zdradziecki nocny elf, stanęło w płomieniach.

Broxa najbardziej zaskoczyła precyzja, z jaką została oddana salwa, bo prawie nie poczuł żaru. Zdziwiło go to tym bardziej, że zakładał, słusznie zresztą, że mają nad sobą smoka... i to nie pierwszego lepszego.

Skrzydła Śmierci.

Ale gdyby rzeczywiście był to złowrogi czarny lewiatan, z pewnością nie starałby się ocalić Broxa. Orkowi przychodził do głowy tylko jeden

smok, któremu leżało na sercu dobro drużyny... Korialstrasz. W chaosie, który nastąpił po ucieczce z kryjówki Skrzydeł Śmierci, zupełnie zapomniał o czerwonym gadzie, ale wszystko wskazywało na to, że czerwony smok nie zapomniał o Malfurionie i o nim.

– Przygotuj się! – krzyknął Korialstrasz. – Nadlatuję!

Brox nie mógł wiele zrobić, spał się więc w sobie, zdając się na umiejętności Korialstrasza. Chwilę później wielkie szpony opasały jego ciało i porwały go w powietrze. Gdy poczuł na twarzy pęd powietrza, jego członki utraciły poprzednią sztywność. Akcja Korialstrasza albo szczęśliwy przypadek sprawiły, że spadło z niego zaklęcie Illidana. Dopiero teraz zauważył, że z drugiej łapy lewiatana zwisa Malfurion. Druid wyglądał na wyczerpanego, ale i jakby złego. Wskazywał na coś w dole, krzycząc coś do orka i smoka.

Brox zrozumiał w końcu jego słowa.

– Dysk! – wrzeszczał Malfurion. – Wciąż mają dysk!

Ork miał już odpowiedzieć, ale Korialstrasz wykonał gwałtowny zwrot i pomknął z powrotem ku miejscu potyczki. Smok zanurkował, przyglądając się każdej z postaci.

– Który to? – zaryczał olbrzym. – Który to?

Nie musiał pytać. Kapitan Varo'then, którego dłoń tkwiła już w sakwie, wyciągnął z niej Duszę Demona. Brox pamiętał, jakie kłopoty miał na początku Malfurion z jej uaktywnieniem i miał nadzieję, że oszpecony oficer napotka ten sam problem.

Wyglądało na to, że szczęście im sprzyja, bo Varo'then uniósł dysk z wyraźnymi wrogimi zamiarami... ale nic się nie wydarzyło. Rycząc, Korialstrasz zbliżał się do kapitana. Na twarzy Varo'thena odmalowało się przerażenie. I wtedy, wbrew wszelkiej logice, dysk zapłonął jasnym blaskiem. Znad głowy smoka odezwał się czyjś głos:

– Uciekajmy! Szybko, inaczej wszyscy...

To, co trafiło czerwonego smoka, było bez wątpienia tylko ułamkiem potęgi Duszy Demona, ale to wystarczyło. Nawet Brox poczuł falę uderzeniową, której ofiarą padł Korialstrasz. Smok zadygotał, jęknął... i przestał machać skrzydłami.

Lewiatan runął w dół. Ziemia wyskoczyła w ich stronę. Brox zaczął recytować imiona swoich przodków, wzywając ich, by przygotowali się na jego nadejście. Pole jego widzenia wypełnił nieustępliwy stok granitowej góry...



– Co zrobiłeś? – warknął Illidan.

– Użyłem dysku... – odparł kapitan Varo'then tonem pełnym nabożnego podziwu. Potem jak gdyby odzyskując świadomość, zaczął się przyglądać trzymanemu w dłoni przedmiotowi oraz swojemu towarzyszowi. – Miałeś rację! Jest tym wszystkim, o czym mówiłeś, a nawet czymś więcej! Jego posiadacz mógłby zostać imperatorem...

– Albo zostać żywcem obdarty ze skóry przez Sargerasa za samą myśl o tym.

Pokusa, która przemknęła przez twarz oficera, znikła.

– I słusznie, czarodzieju. Ufam, że nie przyszło ci do głowy nic równie niemądrego.

Bliźniak Malfuriona uśmiechnął się półgębkiem.

– Nie bardziej niż tobie, drogi kapitanie.

– Królową bardzo ucieszą rezultaty naszej wyprawy. Zdobyliśmy Duszę, wykazaliśmy jej moc na dorosłym czerwonym smoku i zlikwidowaliśmy dwie osoby, które jak dotąd ciągle krzyżowały nam plany.

– Mogłeś użyć dysku w inny sposób – zauważył czarodziej – tak by można było przesłuchać tę dwójkę.

Varo'then parsknął drwiąco.

– I co takiego mogliby nam powiedzieć? To wszystko – wyciągnął dysk w stronę Illidana – czego potrzeba nam do zwycięstwa. – Nocny elf nachylił się do przodu, a jego usta wykrzywił okrutny uśmiech. – Chyba że obudziły się w tobie wyrzuty sumienia w stosunku do brata? Czyżbyś czegoś żałował?

Illidan prychnął, poprawiając szal.

– Widziałeś, jak go traktowałem. Czy przypominało to miłość braterską?

– I wszystko jasne – powiedział po chwili jego towarzysz. Kapitan schował dysk z powrotem do sakwy. Robiąc to, zmarszczył lekko brwi.

– Coś nie tak, kapitanie?

– Nie... wydawało mi się... że słyszę głosy... nie... nic takiego. – Nie zauważył badawczego spojrzenia Illidana, które znikło w chwili, w której oficer podniósł na niego wzrok. – To nic takiego. A teraz w drogę. Koty zostały okiełznane. Musimy jak najszybciej dostarczyć dysk do Zin-Azshari, nieprawdaż?

– Oczywiście.

Varo'then przytrzymał swoją panterę i dosiadł jej. Illidan zrobił to samo, ale wspinając się na jej grzbiet, rzucił okiem na góry za plecami.

I skrzywił się gorzko.



Powinni już byli wrócić, pomyślał Rhonin, patrząc w kierunku, w którym odjechali Krasus i pozostali. Powinni już byli wrócić. Miał przeczucie, że stało się coś złego. Kiedy nocne pantery powróciły z wiadomością od starszego maga, w człowieka wstąpiła nadzieja. Korialstrasz umożliwił im odbycie podróży w o wiele krótszym czasie. Powinni już byli dotrzeć na miejsce, a Krasus z pewnością nie zwlekał z próbą zdobycia Duszy Demona.

Tak, wydarzyło się coś strasznego.

Nie wspominał o swoich obawach Jarodowi, który miał własne problemy. Rzecz nie w tym, że spotkanie w namiocie Blackforesta poszło źle – wręcz przeciwnie, Shadowsong, będąc po prostu sobą, umocnił swoją pozycję dowódcy. Podczas ostatniej bitwy w pewnej chwili były kapitan gwardii doszedł do punktu, w którym nie był już w stanie stać z boku i przyglądać się, jak głupie rozkazy, bez względu na kastę osoby, która je wydawała, uchodzą za mądre rady.

Kiedy jakiś szlachcic zaproponował manewr oskrzydający, który prawdopodobnie zakończyłby się rozczłonkowaniem armii, Jarod zabrał głos, wyjaśniając, dlaczego takie posunięcie zakończyłoby się katastrofą i klęską nocnych elfów. Człowieka zdumiewał fakt, że musiał to tłumaczyć osobom, które powinny należeć do najlepiej wykształconych przedstawicieli elfiej rasy. Na koniec Jarod zdołał pozyskać sobie wszystkich szlachciców, którzy z ogromną ulgą powitali wśród siebie kogoś, kto zdawał się być urodzonym taktykiem.

Początkowo Rhonin przypuszczał, że będzie musiał dyskretnie kierować Jarodem, ale młody nocny elf naprawdę wiedział, co robi. Czarodziej widział już osoby jego pokroju – obdarzone przyrodzonymi zdolnościami, z jakimi nie mogła się równać nawet największa wiedza – i dziękował Elune, i każdemu innemu bóstwu, że mają wśród siebie kogoś, kto mógł zająć miejsce Ravencresta. Ale czy to mogło wystarczyć, skoro sukces wyprawy po dysk stanął pod znakiem zapytania?

Jarod dołączył do czarodzieja. Nowy – nie do końca zachwycony tą pozycją – dowódca armii miał na sobie świeżo wypolerowany pancerz otrzymany od Blackforesta, wprawdzie bez herbu, ale ozdobiony czerwonymi i pomarańczowymi ornamentami biegnącymi wzdłuż obu boków aż do pasa. Płaszcz w podobnych barwach opływał go niczym zaborcza kochanka. Nosił też hełm z grzebieniem z ufarbowanego futra czarnej pantery, który zwisał mu poniżej karku.

Za nim podążała jego nieodłączna świta, podoficerowie i łącznicy różnych szlachciców. Jarod dał im znak, żeby się oddalili, zanim się odezwał.

– Kiedyś wydawało mi się, że nie ma większego zaszczytu niż uzyskanie uprzywilejowanej rangi i noszenie pięknych strojów odpowiednich do nowej pozycji – zauważył kwaśno Jarod. – Teraz mam wrażenie, że wyglądam jak błazen.

– Nie będę się z tobą spierał – przyznał Rhonin. – Ale robi wrażenie na pozostałych, więc będziesz musiał się z tym pogodzić, przynajmniej na razie. Kiedy zyskasz większy autorytet, będziesz mógł stopniowo rezygnować z tych oznak uprzywilejowania.

– Nie mogę się już doczekać.

Czarodziej odprowadził go na bok.

– Rozchmurz się, Jarodzie! Twój lud nie powinien oglądać swojej nowej nadziei w tak podłym humorze. Mogą zwątpić w swoje szanse.

– Obawiam się, że są nikłe, zwłaszcza po objęciu przeze mnie dowodzenia!

Człowiek nie miał zamiaru pozwolić mu na takie gadanie. Nachylając się blisko, warknął:

– To dzięki tobie żyjemy! Tak, ja też! Musisz się z tym pogodzić! Nie mieliśmy żadnych wieści od reszty, co oznacza, że ty, ja i żołnierze oddający życie w bitwie możemy być jedyną nadzieją Kalimdoru... jedyną nadzieją na przyszłość!

Nie kontynuował tematu, bo nawet niegdysiejszy oficer nie byłby w stanie pojąć prawdy... tego, że Rhonin pochodzi z epoki o dziesięć tysięcy lat późniejszej. Jak mógł mu wytłumaczyć, że walczy nie tylko dla tych, którzy żyli teraz, ale i dla tych, którzy mieli się dopiero narodzić, także tych, których kochał najbardziej.

– Nigdy o to nie prosiłem... – zaprotestował Jarod.

– Reszta z nas też nie.

Nocny elf westchnął. Zdjął krzykliwy hełm i otarł czoło.

– Masz rację, mistrzu Rhoninie. Wybacz mi. Zrobię, co w mojej mocy, nawet jeśli nie mogę obiecać, że będzie to wiele.

– Rób tylko dalej to, co robiłeś do tej pory. Jeśli staniesz się kolejnym Desdelem Stareye'em, będziemy zgubieni.

Nowy dowódca spojrzął na swój wspaniały strój, krzywiąc się na widok jego nienagannego stanu.

– Marne szanse, obiecuję.

Na twarzy czarodzieja zakwitł uśmiech.

– Dobrze to słyszeć.

Zagrał róg. Bojowy róg.

Rhonin obejrzał się przez ramię.

– Dobiegł z prawej flanki! Nie powinno tam być sił Legionu! Nie mogli się tam dostać bez naszej wiedzy!

Jarod wcisnął hełm na czoło.

– Ale wygląda na to, że się im udało! – Kiwnął na żołnierzy, by dołączyli do niego. – Wskakujcie na koty i przyprowadźcie mi moją panterę! I czarodzieja! Musimy sprawdzić, co się tam dzieje!

Rozkaz został wykonany ze sprawnością, jakiej Rhonin nigdy nie zauważył pod rządami Stareye'a. Żołnierze naprawdę szanowali Jaroda. Nie tylko dlatego, że cieszył się teraz poparciem wielu ważnych, nawet jeśli bezsilnych szlachciców. Rozeszły się już wieści o jego dokonaniach i o tym, jak przejął dowodzenie w chwili, kiedy wszyscy już myśleli, że sprawa jest przegrana.

Gdy kapitan – były kapitan, poprawił się w myślach czarodziej – dosiadł pantery, zaszła w nim kolejna zmiana. Na jego niewinnej niegdyś twarzy zagościł wyraz ponurej determinacji. Ponaglił nocną panterę, szybko wysforowując przed Rhonina i pozostałych.

Róg odezwał się ponownie. Czarodziej rozpoznał sygnał nocnych elfów. Jednym z pierwszych rozkazów Jaroda, którym udowodnił, że ma poparcie szlachciców, było wymieszanie elfów i ich sprzymierzeńców. Ludzie Hulna i Dungarda nie walczyli już oddzielnie. Teraz każdy element elfiego wojska miał swój własny kontyngent przybyszów, których umiejętności tylko wzmocniły armię. Nawet furbolgowie mieli swoją rolę do odegrania, wzmacniając kliny i roztrzaskując maczugami czaszki każdego piekielnego gwardzisty, który usiłował osiągnąć ukrytych w głębi czarodziejów i łuczników.

Wiele z tych zmian było prostych lub drobnych i Rhonin nie mógł się nadziwić, że sam na to nie wpadł. Ale teraz nadeszła godzina próby dla

zreorganizowanej armii. Nikt nie spodziewał się takiego wybiegu po Archimondzie.

Ale kiedy podjechali bliżej, zamiast na regularną bitwę natrafili na ogólne zamieszanie. Nocne elfy chciały użyć broni, ale taurenowie i Ziemni, których widział Rhonin, wydawali się nie przejawiać żadnego zainteresowania własną obroną. Stali beczynnie obok sojuszników, którzy rozpaczliwie usiłowali zatkać luki spowodowane ich beczynnością.

– Na Księżycową Matkę, co oni wyprawiają? – zapytał Jarod, nie kierując pytania do nikogo konkretnego. – Wszystko zepsują! Kiedy wreszcie udało mi się przekonać szlachtę o konieczności współpracy!

Rhonin miał już odpowiedzieć, ale nagle zauważył coś w oddali. Wróg był o wiele bliżej, niż sobie wyobrażał. Czarodziej rozróżniał już zwaliste kształty, skrzydlate stwory i przeróżne złowieszcze postacie, których on, choć walczył już z Legionem w przyszłości, nie potrafił zidentyfikować.

Co ciekawe, istoty szły prawie spacerkiem i nie wydawały mrozących krew w żyłach okrzyków bojowych. Były też wśród nich olbrzymy górujące nad każdym demonem, jakiego czarodziej znał. Skrzydlate kształty nie przypominały strażników zagłady, a choć wśród Płonącego Legionu było więcej latających potworów, nie przypominał sobie żadnych podobnych do tych.

Jarod zatrzymał nocną panterę obok taurena, który okazał się nikim innym jak Hulnem.

– Co się stało? Dlaczego nie walczyacie?

Przywódca taurenów zamrugał i spojrział na Jaroda tak, jak gdyby pytanie nie miało sensu.

– Nie będziemy z nimi walczyć! To nie do pomyślenia!

Dwóch stojących w pobliżu Ziemnych pokiwało poważnie głowami dla potwierdzenia jego słów. Jarod z początku sprawiał wrażenie

skonsternowanego, ale zaraz wróciła mu pewność siebie.

– Więc będziemy walczyć z nimi sami! – warknął, mijając taurenów.

Ale Rhoninowi ta powściągliwość sojuszników wydała się bardzo podejrzana.

– Zaczekaj, Jarodzie!

– Mistrzu Rhoninie, ty też?

Nadciągająca horda była już na tyle blisko, że czarodziej był w stanie rozpoznać rysy poszczególnych postaci... co tylko utwierdziło go w przekonaniu, że miał rację powstrzymując nocnego elfa.

Nabrał jeszcze większej pewności, kiedy zobaczył kto ich prowadzi – ogromna istota poruszająca się na czterech chyżych nogach, której kudłatą głowę wieńczyło wspaniałe poroże. Za gigantycznym stworem szły dziesiątki istot przypominających satyry o tyle, że górne połowy ich ciał należały do nocnych elfów, a dolne do faunów. Wszystkie były młodymi, pięknymi kobietami. Wydawały się być tyleż roślinami, co zwierzętami, bowiem ich skórę porastały lśniące, zielone liście. Choć wyglądały na delikatne, było w nich coś, co kazało mu podejrzewać, że każdy wróg pożałuje konfrontacji z nimi.

Pochłonięci przygotowaniami żołnierze nie zwracali uwagi na idącą na przedzie postać. Rhonin uzmysłowił sobie, że jeśli czegoś zaraz nie zrobi, dojdzie do straszliwej katastrofy.

– Jarodzie! Za mną, szybko!

Rudowłosey czarodziej, a za nim nocny elf minęli zaskoczonych żołnierzy. Jarod dogonił człowieka, wrzeszcząc:

– Oszalałeś? Co robisz?

– Zaufaj mi! To sprzymierzeńcy!

Idąca na przedzie istota nagle znalazła się tuż przed nimi. Zaskoczony Rhonin w ostatniej chwili wrył panterę.

– Witaj, Rhoninie Rudowłosa! – huknął rogaty stwór. Żeńskie istoty przyglądały się czarodziejowi z zaciekawieniem. – Przybywamy, aby dołączyć do walki o naszą ukochaną krainę... – Obrzucił Jaroda uważnym spojrzeniem. – Czy to z nim mamy uzgadniać nasze poczynania?

Człowiek zerknął na towarzysza, który siedział z rozdziawionymi ustami.

– Tak, to on. Wybacz mu! Sam jestem nieco zdumiony waszym przybyciem... Cenariusie.

– Cenarius... – wymamrotał Jarod. – Władca kniei?

– Tak i jak widzę sprowadził nam znakomite towarzystwo – dodał Rhonin, spoglądając nad ramieniem mitycznego strażnika lasu.

Czuł się tak, jak gdyby ożyły opowieści z jego dzieciństwa i być może był to najtrafniejszy opis. Rhonin i nocny elf patrzyli podnosząc głowy – czasem bardzo wysoko – na olbrzymy widywane przez śmiertelników tylko w snach. Choć ogromny, władca kniei nie dorównywał wzrostem niektórym ze swoich towarzyszy. Po obu jego bokach stały dwie wielkie jak góry, podobne do niedźwiedzi postacie, z których jedna przyglądała się Rhoninowi z wyjątkowym zainteresowaniem. Za nimi, tylko nieco mniejszy stwór przypominający wilkołaka o sześciu kończynach i zmijowym ogonie lustrował odległe pole walki. Dyszał żarłocznie, a jego potężne szpony orały ziemię, zostawiając szerokie bruzdy.

Nad wszystkimi górował jednak monstrualny odyniec z grzywą ostrych, zabójczych cierni. Rhonin przypomniał sobie imię poznane we wczesnych latach nauki... *Agamaggan*... półbóg pierwotnej furii...

Niektóre istoty nie były aż tak okazałe, ale wyglądały nie mniej oszałamiająco. Była wśród nich piękna, choć groźna kobieta-ptak, wokół której śmigały całe stada ptaków. Pomiedzy nogami olbrzymów przemykał

rudy lisek o chytrym, nieco gnomim pysku, a wokół półbogów roiło się od maleńkich skrzydlatych ludzików uzbrojonych w miecze... skrzatów.

Na granicy pola widzenia czarodzieja błysnął czystą bielą jakiś kształt. Natychmiast rozejrzał się za źródłem blasku, ale niczego nie dostrzegł. Jednak w umyśle odcisnął mu się obraz ogromnego jelenia o porożu, które wydawało się sięgać nieba...

I tak to szło. Męskie postacie o zakapturzonych twarzach, których ciała – a przynajmniej widoczne ich części – pokryte były dębową korą. W powietrzu latały hipogryfy i gryfy, a na wietrze kołysały się cierpliwie stwory przypominające gigantyczne patyczaki o humanoidalnych rysach. Dalej stanęły dziesiątki innych niezwykłych istot – z opisaniem niektórych z nich czarodziej miałby kłopoty nawet, gdyby na nie patrzył – ale wszystkie przypominały pod jakimś względem wybrany aspekt świata przyrody.

Nawet z miejsca, w którym stał, Rhonin wyczuwał energię otaczającą każdą z nich, naturalne siły świata ucieleśnione pod postacią tych, których stworzono, aby chronili go przed zagładą.

– Jarodzie Shadowsong... – zdołał wydusić czarodziej. – Pozwól, że przedstawię ci półbogów Kalimdoru... wszystkich.

– Do usług – dodał z szacunkiem Cenarius, klękając na przednie nogi. Istoty za jego plecami poszły w jego ślady.

Nowy dowódca armii przełknął z trudem ślinę, nie będąc w stanie wydobyć z siebie głosu. Rhonin zerknął za siebie. Wszędzie żołnierze, taureni, furbolgowie, Ziemni i inni przyglądali się tej scenie z nabożnym podziwem. Większość zorientowała się już, że nowoprzybyli to istoty pradawne i potężne... i wszystkie właśnie uznały Jaroda za swojego głównodowodzącego.

Cenarius podniósł się, patrząc na nocnego elfa jak na równego sobie.

– Czekamy na twoje rozkazy.

Były kapitan gwardii tym razem stanął na wysokości zadania – wyprostował się i odparł:

– Radzi jesteście waszemu przybyciu, czcigodny. Szczerze doceniamy waszą siłę. Przy odrobinie szczęścia mamy szansę, dużą szansę, by przeżyć.

Władca kniei kiwnął głową spoglądając ponad głowę Jaroda na pozostałych śmiertelnych obrońców. Na brodatej twarzy Cenariusza zagościła determinacja:

– Tak. Dobrze to ująłeś, lordzie Shadowsong... mamy szansę...

DWANAŚCIE



Gdy Malfurion odzyskał przytomność, zaatakował go ból promieniujący z każdego fragmentu ciała. Był tak dojmujący, że niewiele brakowało, a znów osunąłby się w niebyt, ale poczucie obowiązku mu na to nie pozwoliło. Powoli zaczął rejestrować dźwięki oraz, co równie znaczące, ich brak. Otworzył oczy i otoczyły go miękkie nocne cienie. Wdzięczny, że choć raz udało mu się uniknąć jaskrawego światła dnia, podniósł się z trudem do pozycji siedzącej.

Z jego ust wyrwał się stłumiony okrzyk.

Kilka jardów dalej, na wpół zagrzebany w kraterze, który musiał powstać wskutek kolizji, leżał nieruchomo smok Korialstrasz.

– On... żyje – zdołała wykrztusić wymięta postać powstająca niczym upiór z grobu. – Mogę cię o tym zapewnić.

– Krasus?

Mag pokuśtykał w stronę druida. Wydawał się jeszcze chudszy i bledszy niż zwykle.

– Nie tak... wyobrażałem sobie nasze spotkanie.

Malfurion podtrzymał starszego czarodzieja, podprowadził go do głazu i pomógł mu usiąść.

– Co się stało? Jak się tu znalazłeś?

Zakutana postać wzięła głęboki oddech i opowiedziała, jak skłoniła czarnego smoka do pościgu za sobą, aby dać czas na ucieczkę druidowi i orkowi. Mówiąc, Krasus wydawał się odzyskiwać siły, co nocny elf przypisał jego niezwykłemu pochodzeniu. Na wzmiankę o towarzyszu Malfurion nagle coś sobie przypomniał.

– Brox! – zawołał, rozglądając się dookoła. – Czy on...

– Ork żyje. Myślę, że ma skórę i czaszkę twardszą od smoka. Podszedł do mnie, gdy tylko się ocknąłem. Wydaje mi się, że stara się znaleźć coś do jedzenia i picia, bo nasze własne zapasy ucierpiały podczas zderzenia. – Krasus potrząsnął głową i ciągnął dalej: – Powinniśmy być wdzięczni Korialstraszowi za nasz stosunkowo dobry stan. Zrobił, co w jego mocy, żeby nas ochronić, zdążył nawet rzucić czar, za co słono zapłacił. – To ostatnie mag powiedział z dumą w głosie.

– Czy powinienem spróbować go uleczyć tak jak kiedyś?

– Nie... poprzednim razem czerpałeś z sił zdrowej przyrody. Tutaj musiałbyś wziąć na siebie zbyt wielkie obciążenie. Zrozumie to. Istnieje inny sposób. – Krasus nie wyjaśnił jednak jaki, tylko powiedział: – A jeśli chcesz wiedzieć, jak się spotkaliśmy, to Korialstrasz odnalazł mnie, gdy leżałem dochodząc do siebie po ucieczce czarnemu smokowi. Niewiele brakowało, a byłoby już po mnie. Zabił strażnika Skrzydeł Śmierci, a potem obawiał się, słusznie, jak się okazało, że nasz plan wykradnięcia dysku nie do końca się powiódł. Ze mną na grzbiecie, starając się unikać zarówno Skrzydeł Śmierci, jak i innych strażników, których ten mógł wysłać, poleciał okrężną drogą w ślad za charakterystycznym magicznym śladem Duszy Demona. Niestety, udało nam się was odszukać dopiero po tym, jak słudzy pałacu was pojмали i odebrali dysk. Był z nimi twój brat, mam rację, Malfurionie?

Druid zwiesił głowę.

– Tak. On... nie wiem, co ci powiedzieć, Krasusie.

– Illidan nosi piętno – powiedział znacząco mag. – Najlepiej będzie, jeśli dobrze to sobie zapamiętasz. – W tonie jego głosu było coś, co wskazywało na to, że wie coś więcej o bliźniaku Malfuriona, ale nic nie dodał.

– Co teraz zrobimy? Będziemy ścigać Duszę Demona?

– Myślę, że to konieczne... ale najpierw musisz mi opowiedzieć o wszystkim, co wydarzyło się przed moim przybyciem.

Malfurion kiwnął głową i opowiedział szczegółowo o ich pojmaniu, odebraniu im złowrogiego dysku i mozolnej podróży. Za każdym razem, gdy musiał wspomnieć o Illidanie, prawie się dławił.

Krasus słuchał z kamienną twarzą, nawet kiedy nocny elf opowiadał najwierniej jak potrafił o planach wroga wobec Duszy Demona. Odezwał się dopiero gdy Malfurion skończył.

– Nawet sobie nie wyobrażałem równie plugawego scenariusza... – wymamrotał na w pół do siebie. – Zaplanowali to... a jednak... jednak może jest w tym jakaś nadzieja.

– Nadzieja? – Malfurion nie widział żadnej nadziei w tym, co właśnie opowiedział towarzyszowi.

– Tak... – Krasus wstał. Oparł brodę na złożonych dłoniach i zastanawiał się dalej. – Jeśli tylko uda nam się je przekonać.

– Kogo?

– Aspekty.

Nocny elf nie dowierzał własnym uszom.

– Ale to niemożliwe! Odcięły się od nas, nawet od ciebie! Gdyby Korialstrasz był przytomny...

– Tak – przerwał mu smoczy mag. – I to właśnie Korialstrasz może nam częściowo pomóc w wywabieniu ich z ukrycia... o ile znam Tę, Która Jest

Życiem.

Jego słowa były niezrozumiałe dla Malfuriona, ale druid zdążył się już do tego trochę przyzwyczaić. Jeśli Krasus miał jakiś plan, zrobi, co może, żeby pomóc mu w jego realizacji.

Grzechot osuwających się kamieni oznajmił nadejście Broxa. Niestety, ork wrócił z pustymi rękami.

– Żadnego strumienia... nawet kałuży. Niczego do jedzenia... nawet owadów – doniósł wojownik. – Zawiodłem, czcigodny.

– Zrobiłeś, co mogłeś, Broksie. To ponura kraina, choć jesteśmy daleko od władztwa Skrzydeł Śmierci.

Wzmianka o czarnym niszczycielu sprawiła, że Malfurion stężał.

– Myślisz, że może nas wciąż ścigać?

– Byłbym zdumiony, gdyby było inaczej. Musimy spróbować coś zrobić, zanim do tego dojdzie. – Krasus spojrział przez ramię na nieruchomą postać Korialstrasza. – Dziękuję losowi, że ten kapitan Varo'then użył Duszy Demona w pośpiechu, inaczej zostałby z nas tylko popiół. Korialstrasz dojdzie do siebie, jestem tego pewny, ale nawiązanie kontaktu zależy od nas. A mówiąc nas, mam na myśli ciebie, nocny elfie.

– Mnie?

Gdy Krasus zmrużył oczy, Malfurion po raz pierwszy zauważył, jak bardzo są podobne do gadzich.

– Tak. Musisz znów wkroczyć w Szmaragdowy Sen. Musisz odszukać jego panią, Yserę.

– Przecież już próbowaliśmy to zrobić po tym, jak smoki zostały przegnane, a ona nie odpowiedziała.

– A więc tym razem masz jej powiedzieć, że Alexstrasza musi wiedzieć, że Korialstrasz jest umierający.

Przerażony Malfurion obejrzał się na wielkie cielsko, ale Krasus zaraz potrząsnął głową.

– Nie! Zaufaj mi... pierwszym bym się o tym dowiedział. Po prostu powiedz Yserze. Musi zawiadomić o tym Tę, Która Jest Życiem.

– Chcesz, żebym okłamał panią królestwa snu?

– Nie mamy innego wyboru.

Po zastanowieniu druid uznał, że jego towarzysz ma rację. Tylko ostrzeżenie tego kalibru mogło przykuć uwagę jednego z Aspektów. Uznają, że Malfurion nie może być aż tak głupi, aby narażać się na ich gniew opowiadając im zmyśloną historię.

Pozostawało tylko pytanie, co się stanie, kiedy smoczyca odkryje, że została okłamana.

Ale Malfurion nie mógł o tym myśleć. Ufał osądowi Krasusa.

– Zrobię to.

– Postaram się czuwać nad tobą. Broksie, tobie pozostawiam ochronę nas obu, gdyby okazało się to konieczne.

Ork się skłonił.

– To dla mnie zaszczyt, czcigodny.

Tak jak w przeszłości Malfurion usiadł ze skrzyżowanymi nogami i najpierw oczyścił umysł ze wszystkich zakłóceń z zewnątrz, a potem skupił się na uśmierzeniu bólu, jaki nękał jego członki. Gdy ból zelżał, skoncentrował się na mitycznej krainie.

Pomimo swojego obecnego stanu nocny elf wkroczył do Szmaragdowego Snu łatwiej niż kiedykolwiek. Jedynym niepokojącym doznaniem było uczucie ciepła w miejscach, gdzie na jego czole pojawiły się dwa małe guzy. Malfurion miał ochotę dotknąć ich, żeby sprawdzić, czy zaszły w nich jakieś zmiany, ale wiedział, że przede wszystkim musi odszukać Yserę.

Zastanawiał się, czy ma jej szukać wśród pierwotnego krajobrazu, ale zaraz uświadomił sobie, że zważywszy na to, kim była, teoretycznie wystarczy, jeśli ją po prostu zawoła. To, czy Aspekt odpowie, było zupełnie inną sprawą.

Pani Szmaragdowego Snu, zawołał w myślach Malfurion. *Ty, Która Śniesz... Ysero...*

Druid nie wyczuł obecności żadnej innej istoty, ale wiedział, że nie może dać za wygraną. Była tu gdzieś... albo wszędzie. Musiała go słyszeć.

Ysero... mam smutne wieści dla Tej, Która Jest Życiem... oblubieniec Alexstraszy... Korialstrasz... umiera... Malfurion wyobraził sobie tę scenę, starając się przekazać smoczycy obraz miejsca, gdzie leży smok. *Korialstrasz umiera...*

Czekał. Teraz pani krainy śnienia z pewnością się pokaże. Jak mogłaby przynajmniej nie sprawdzić, czy rzeczywiście doszło do takiej tragedii?

W Szmaragdowym Śnie pojawiła się jakaś mglista obecność, ale zaraz znikła. Malfurion czekał i czekał, ale nie wyczuł pojawienia się zielonej smoczycy.

W pewnym momencie doszedł do wniosku, że dłuższe czekanie byłoby szaleństwem. Przybity porażką, powrócił do swego ciała.

Napotkał zatroskane spojrzenie Krasusa.

– Odpowiedziała? – Nie... nic z tego.

Mag odwrócił wzrok, marszcząc brwi.

– Ale powinna była odpowiedzieć – wymamrotał na wpół do siebie. – Wie, co to oznacza dla Alexstraszy...

– Zrobiłem, jak kazałeś – upierał się druid, nie chcąc, żeby Krasus go obwiniał. – Powiedziałem wszystko, co zasugerowałeś.

Zakutana postać poklepała go po ramieniu.

– Wiem, Malfurionie. Pokładam w tobie całkowite zaufanie. To...

– Smok!

Ostrzeżenie Broxa usłyszeli na sekundę przed tym, jak behemot wyłonił się z chmur. Malfurion skupił się na obłokach w nadziei, że zdoła skłonić je do jakiejś akcji przeciwko napastnikowi.

Ale to nie czarny smok zbliżał się do nich. Sam jego widok sprawił, że Krasus roześmiał się serdecznie. Zarówno ork jak i druid popatrzyli z niepokojem na starszego towarzysza.

– Przyleciała! Powinienem być się domyślić, że sama będzie chciała sprawdzić prawdziwość tak strasznych wieści!

Nad nimi zawisała szkarłatna smoczyca wielkości Skrzydeł Śmierci. Malfurion przyglądając się jej rozpoznał pewne cechy charakterystyczne, które upewniły go, że widział już kiedyś tę olbrzymkę.

Alexstrasza, Aspekt Życia, wylądowała ostrożnie obok ciała Korialstrasza. Pomimo jej gadziego wyglądu nocny elf rozpoznał aż nazbyt oczywiste oznaki strachu i niepokoju.

– Nie może być martwy! – zaryczała. – Nie pozwolę na to!

Krasus podszedł do leżącego na brzuchu samca, pokazując się czerwonej samicy.

– I nie jest, o czym możesz się naocznie przekonać, moja królowo!

Konsternacja na jej pysku ustąpiła zmieszaniu, a potem złości. Łeb Alexstraszy wystrzelił w stronę drobnego maga, zatrzymując się o długość ramienia od jego ciała.

– Ty najlepiej ze wszystkich, którzy mnie znają, wiesz, jak gorzki był to żart! Bałam się... że ty... i on...

– Nie żeby Dusza Demona nie próbowała go uśmiercić – odparł. – Gdyby jej obecny właściciel nie był tak niewprawny w posługiwaniu się nią, zobaczyłabyś tu cztery trupy.

– Zaraz się wytłumaczysz – warknęła smoczyca. – Ale najpierw muszę go zobaczyć.

Nachyliła się nad Korialstraszem, rozpościerając szeroko skrzydła, aby objąć nimi całą postać samca. Wielki Aspekt otoczyła złota poświata, która wnet spowiła także Korialstrasza. Malfurion poczuł ciepło, które ukoiło jego stroskany umysł. Przyszło mu do głowy, że ma przed sobą istotę, która jest częścią jego powołania na równi z Yserą, a może nawet bardziej. Druidzi współpracowali z siłami przyrody, a kto reprezentował je lepiej niż Alexstrasza?

– Wiele wycierpiał – oznajmiła smoczyca, a wyraz jej pyska złagodniał.
– Dusza Demona, jak słusznie nazwałeś tę ohydę, wyrządziła mu wielką krzywdę... ale tak, dojdzie do siebie... jeśli będzie miał szansę.

Złota aura znikła. Odwróciwszy ogromny łeb ku niebu, Alexstrasza wydała z siebie głośny ryk.

Ku zaskoczeniu drużyny spomiędzy chmur opadły dwa kolejne czerwone olbrzymy. Zatoczyły nad nimi koło, po czym wylądowały po przeciwnych stronach Korialstrasza. Gdy znalazły się bliżej, okazały się mniejsze od swojej królowej, ale dorównywały rozmiarami nieprzytomnemu samcowi.

– Co rozkażesz, królowo?

– Zabierzcie go do gniazda i umieśćcie w Grocie Róży Cienia. Tam szybciej odzyska sprawność ciała i umysłu. Traktuj go delikatnie, Tyranie.

Większy z dwóch przybyszów pochylił z szacunkiem łeb.

– Oczywiście, moja królowo.

– Niewykluczone, że utracił część wspomnień – wtrącił się Krasus, na którym obecność tylu smoków nie zrobiła większego wrażenia. Ale przecież sam był jednym z nich, musiał sobie przypomnieć Malfurion. – Nigdy ich nie odzyska – dodał mag.

– Możliwe, że tak będzie lepiej – odparła smoczyca, spoglądając na drobniutką postać z najwyższą czułością.

– Tak jak myślałem.

Krasus się cofnął, gdy dwa samce – najwyraźniej inni oblubieńcy Alexstraszy – ostrożnie chwyciły Korialstrasza i wzbiły się w powietrze. A tymczasem Aspekt poświęcił całą swoją uwagę zakapturzonej postaci. Czułość mieszała się teraz z rozdrażnieniem.

– To był paskudny wybieg! Ysera natychmiast mnie powiadomiła i choć rozsądek podpowiadał mi co innego, przybyłam natychmiast, o czym dobrze wiedziałeś!

– Jeśli dopuściłem się nadużycia – odparł Krasus, kłaniając się głęboko – przyjmę twój gniew i karę.

Wielka smoczyca syknęła.

– Przyleciałam, a ty mówisz, że Dusza Demona wpadła w obce ręce! Jak to się mogło stać?

Mag od razu przeszedł do rzeczy. Wyraz pyska Alexstraszy zmieniał się kilka razy, złość częściowo z niej opadła. Pod koniec opowieści malowało się na nim niedowierzenie.

– Do samej kryjówki Nelthariona! To cud, że w ogóle żyjecie! – Przekrzywiła głowę, przyglądając się Krasusowi. – Ale z twojej strony takie poczynania przestają mnie już dziwić. Szkoda tylko, że mimo tak wielkich wysiłków dysk dostał się w ręce istot na swój sposób równie potwornych jak ta, którą stał się Strażnik Ziemi.

– A jednak ta potencjalna katastrofa otwiera przed nami możliwość uratowania choć części Kalimdoru, moja królowo. Ich głównym celem jest sprowadzenie do naszego świata swojego pana, Sargerasa...

– I wykorzystają w tym celu Duszę Demona?

– Tak... co oznacza, że podczas takiej próby nie będą mogli wykorzystać go w żadnym innym. – Krasus spojrzał jej wyzywająco w oczy. – Smoki nie będą musiały się jej obawiać. W takiej chwili Legion będzie najbardziej bezbronny...

– Ale dysk...

– To także twoja jedyna szansa na przejęcie go – zauważył. – A jeśli nie uda ci się go zniszczyć, z pewnością będziesz mogła go spętać w taki sposób, aby Skrzydła Śmierci już nigdy nie mógł go użyć.

– Skrzydła Śmierci – warknęła. – Cóż za adekwatne imię. Nie ma już Nelthariona, nie ma już Strażnika Ziemi. Zaprawdę, jest teraz Skrzydłami Śmierci... i masz rację, to nasza jedyna szansa dopilnowania, by jego plugawe dzieło już nigdy nam nie zagroziło.

Choć wyraźnie umknęło to uwadze Alexstraszy, Malfurion zauważył, że Krasus spochmurniał na moment. Mag nie był do końca szczery ze smoczycą. Nocny elf nic nie powiedział, przekonany, że jeśli Krasus zataił przed nią jakiś sekret, miał ku temu dobry powód.

– Z żalem muszę powiedzieć, że Malygos na nic się nam nie przyda – mruknęła czerwona olbrzymka. – Wiecznego wciąż nie ma, ale jego stado trzyma z nami. Stado Ysery i moje też nie zawiedzie... – Alexstrasza kiwnęła łbem. – Tak, to możliwe. Masz rację. Porozmawiam z nią i oblubienicami Nozdormu. Powinno mi się udać je przekonać.

– Szybko, mam nadzieję.

– Mogę tylko obiecać, że spróbuję. – Rozpostarła skrzydła, ale zanim wzbiła się w górę, Krasus ją zatrzymał. – Masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

– Tylko to: Prastarzy Bogowie też pragną użyć dysku i manipulują w tym celu Legionem.

Smoczyca zrobiła tak wielkie oczy, że Malfurion aż się zdziwił. Alexstrasza opanowała się, po czym zapytała:

– Jesteś tego pewny?

– Mam pewne wątpliwości... ale tak.

– Więc muszę się podwójnie przyłożyć do przekonania pozostałych. Czy to już wszystko, czy może masz dla mnie jeszcze jakieś niespodzianki?

Krasus potrząsnął głową.

– Ale kluczowe znaczenie ma nasz powrót do armii, musimy spróbować przekonać jej dowódcę, aby skoordynował swoje działania ze smokami. Inaczej plan może się nie powieść. Czy pomożesz nam odbyć tę podróż? Obawiam się, że w tej chwili nie mogę polegać na swojej mocy.

Królowa się zastanowiła.

– Tak, jest coś, co mogę szybko zrobić. Odsuńcie się, wszyscy.

Gdy Krasus i reszta wykonali jej polecenie, Alexstrasza ponownie rozpostarła skrzydła. Znow otoczyła ją złocista poświata, ale tym razem sto razy silniejsza i skupiona głównie za nią. Była tak jasna, że przed trójką towarzyszy kładł się jej wyraźny cień, zakrywając miejsce, gdzie jeszcze niedawno leżał Korialstrasz.

Smocza królowa wypowiedziała słowa, których Malfurion nie zrozumiał, choć czuł moc emanującą z każdej sylaby. Alexstrasza rzuciła bardzo potężne zaklęcie... ale w jakim celu?

Ziemia pod stopami nocnego elfa zagrzmiała. Brox stęknął, przyglądając się jej jak wrogowi. Nagle twarda skorupa zaczęła się unosić...

Z głośnym zgrzytem odłamała się z niej ogromna bryła. Druid odkrył w niej coś znajomego, ale dopiero kiedy w pewnej odległości z ziemi wyrwała się następna, podobna bryła, zrozumiał.

Były to skrzydła. Unosząca się ziemia pasowała idealnie do zarysu cienia Aspektu. Gdy tylko kamienne skrzydła zatrzepotały, dołączyła do

nich kolejna, bardziej żylasta bryła, która natychmiast otworzyła pysk, wydając ryk identyczny w tonie do tego, jaki wcześniej wydała z siebie Alexstrasza.

Kamienna replika smoczej królowej wydostała się z ziemi.

Jeśli nie liczyć koloru, była to idealna kopia wielkiej czerwonej smoczyca. Nawet z oczu wyzierała ta sama mądrość, ta sama troska, jaką widzieli w jej ślepiach.

Dwa olbrzymy stanęły obok siebie, kopia przyglądała się oryginałowi. Blask otaczający Alexstraszę zgasł, smoczyca znów popatrzyła na Krasusa.

– Zrobi dla ciebie wszystko to, co ja bym zrobiła.

Mag zrobił pokorną minę.

– Nie jestem ciebie godzien, moja królowo.

Alexstrasza prychnęła.

– Gdybyś nie był, nie byłoby mnie tu.

Kamienna wersja smoczyca uniosła łeb z widoczną wesołością i też spojrzała na Krasusa.

– Polecę teraz przekonać pozostałych – dodała czerwona. – Jestem pewna, że wszystko pójdzie po naszej myśli.

– Strzeż się! Skrzydła Śmierci wciąż pożąda swojego plugawego tworu.

Rzuciła mu znaczące spojrzenie.

– Znam go od dawien dawna. Nie pozwolimy mu się wtrącić.

To powiedziawszy, Alexstrasza wyskoczyła w powietrze. Okrążyła drużynę, patrząc przede wszystkim na Krasusa, a potem silnym machnięciem skrzydeł wzbiła się między chmury.

– Gdybym tylko mógł jej powiedzieć... – wyszeptała zakapturzona postać.

– Co takiego?

Krasus zmarszczył brwi, spoglądając na druida.

– Nic... nic, co śmiałym zmienić. – Na jego twarzy znów pojawiła się determinacja. – Możemy teraz wrócić szybko do naszych towarzyszy! Nie zmarnujemy tej szansy...

Ale Malfurion nie skończył.

– Krasusie... Kim są ci Prastarzy Bogowie, o których wspomniałeś?

– To straszliwe zło. Nie powiem nic więcej, ale wiedz jedno: jeśli pokonamy Legion, pokonamy również ich...

Malfurion wątpił, by to wszystko było takie proste, ale postanowił nie zadawać więcej pytań... przynajmniej na razie.

Kamienny smok pochylił się nisko, gdy trójka towarzyszy ruszyła w jego stronę. Malfurion podziwiał płynność jego ruchów, wdzięk, z jakim ta istota potrafiła naśladować prawdziwe życie. Stanowił dowód mocy Aspektu, umiejętności stworzenia tak cudownej imitacji samej siebie.

Krasus pierwszy, a za nim dwaj pozostali wdrapali się na grzbiet smoka w okolicy jego łopatek. Kiedy już się tam znaleźli, różnica wielkości między Alexstraszą a Korialstraszem stała się jeszcze bardziej oczywista.

– Przekonacie się, że łuski rozsuwają się z taką samą łatwością, jak u prawdziwego smoka – wyjaśnił Krasus. – Wsuńcie za nie stopy, żeby siedzieć pewniej, i złapcie się tak jak zwykle. Będzie lecieć szybciej od Korialstrasza.

Ich wierzchołek zaczekał, aż wszyscy trzej usadowią się wygodnie, po czym z rykiem godnym królowej smoków machnął ciężkimi skrzydłami i oderwał się od ziemi. Krasus nie przesadzał. Golem pokonał spory dystans, jeszcze zanim wyrównał lot.

Szybko zostawiali za sobą kolejne mile. Nocny elf, wciąż nienawykły do latania, zwłaszcza tak wysoko, zerknął nad ramieniem kamiennego lewiatana.

– Czy nie moglibyśmy dogonić Illidana i odebrać mu dysku? – zapytał maga.

– Nawet gdybyśmy ich dogonili, jest bardzo prawdopodobne, że spotkałby nas podobny, jeśli nie o wiele gorszy los niż ostatnim razem. Byłbym zaskoczony, gdyby nie dotarli jeszcze do ziem opanowanych przez Legion. Choć mówię to z wielką irytacją, nasze szanse znacznie wzrosną, gdy dostarczą Duszę Demona do pałacu.

Malfurion ucichł.

Wszystko, co mówił Krasus, miało sens, ale druid czuł ogromną odrazę na samą myśl, że pozwolą demonom zatrzymać dysk – choćby tylko po to, żeby uspić ich czujność.

Ale nawet to nie budziło w nim aż takiej odrazy jak fakt, że to jego własny brat osobiście umożliwił taki obrót sytuacji.



Jestem z was niezmiernie zadowolony... powitał go głos z wnętrza portalu. *Niezmiernie...*

Illidan i kapitan Varo'then klęczeli przed płomienną wyrwą. Brat Malfuriona słuchał pochwał władcy demonów nie zdradzając się z tym, co myśli. On i podwładny Azshary zostawili eskortę, gdy tylko znaleźli się na spustoszonych ziemiach podbitych przez Legion. Illidan aż do tego miejsca bał się użyć zaklęcia teleportującego, miał bowiem wielki respekt dla umiejętności czarnego smoka. Strażnik Ziemi mógłby przechwycić czar i sprowadzić ich do siebie, co nie było zbyt zachęcającą perspektywą.

Dwa elfy zmaterializowały się w komnacie przed zaskoczonym Mannorothem, którego skonsternowane spojrzenie wyraźnie ucieszyło nie tylko czarodzieja, ale i kapitana Varo'thena. Ale zanim zdziwienie Mannorotha przerodziło się we wściekłość, Sargerass sięgnął ku nim z zaświatów, pytając, czy jego słudzy wypełnili swą misję.

Gdy potwierdzili, Sargerass nie szczędził im pochwał. Te tylko jeszcze bardziej zirytowały porucznika władcy demonów, ale jego oddanie Sargerassowi – i strach przed nim – najwyraźniej wzięły górę nad animozjami. Mimo to, zapewne chcąc uszczknąć dla siebie odrobinę splendoru, Mannoroth huknął:

– Doskonała robota, śmiertelnicy! – Wyciągnął ogromne łapsko w stronę Varo'thena. – Wezmę go teraz, aby przygotować zaklęcie poszerzające portal.

Choć Illidan nie dał po sobie nic poznać, serce podskoczyło mu w piersi. Teraz bardziej niż kiedykolwiek nie chciał oddać dysku demonowi. Wciąż klęcząc, podniósł wzrok na czekającego olbrzyma i portal.

– Z całym szacunkiem, lordzie Mannorothu, ale ja, dzięki darowi naszego pana, lepiej poradzę sobie ze skomplikowaną magią tworu smoka i najlepiej ją rozumiem.

Dla podkreślenia swoich słów Illidan uniósł szal. Nawet Mannoroth skrzywił się na ten widok.

– Słuszne słowa – wtrącił się kapitan. – Ale jako obecny powiernik dysku śmiem zaproponować, by to prześwietny zdecydował, kto ma go dzierżyć, aby wzmocnić portal.

Czarodziej i demon popatrzyli z rozdrażnieniem na żołnierza, który wpatrywał się prosto w otchłań i nie zwracał uwagi na żadnego z nich.

– Oczywiście, że decyzja należy do Sargerasa – zgodził się szybko bliźniak Malfuriona.

– Nikogo innego – powtórzył jak echo Mannoroth.

Może być tylko jeden powiernik, oznajmił głos władcy demonów. I tym kimś będę... ja...

Tym stwierdzeniem zbił z pantałyku ich wszystkich, a zwłaszcza Illidana. To nie mogło się tak skończyć. Wszystko zależało od tego, czy to on będzie operował dyskiem.

W tej samej chwili, w której o tym pomyślał, sprawdził mentalne osłony, które wzniósł wokół swych najskrytszych myśli. Pewny, że Sargeraz niczego nie odkrył, skupił się na tym nowym problemie. Musiał być jakiś sposób...

– Z całym szacunkiem, prześwietny – ośmielił się odezwać czarodziej. – Portal został stworzony przez nocne elfy, a więc także operowanie dyskiem powinno...

Portal nie jest już istotny... teraz, gdy mam smoczą zabawkę...

Jego słowa rozbrzmiały w umyśle każdego z nich. Illidan, kapitan Varo'then i Mannoroth wpatrywali się, nic nie rozumiejąc, w potworną otchłań. Nawet Szlachetnie Urodzeni, którzy przez cały czas mozolili się nad podtrzymaniem portalu, prawie ustali w wysiłkach, tak byli zdumieni.

Dysk otworzy drogę zgodnie z planem, ale poprzez medium bardziej godne zaufania niż ta żałosna dziura... Wyrwa zapulsowała. Potężniejsze medium, które wytrzyma spętanie tym, co mi przynieśliście... mówię, rzecz jasna, o samej Studni...

TRZYNAŚCIE



Jarod Shadowsong nie czuł się jak bohater, ale wszyscy mijający go patrzyli na niego tak, jak gdyby nim był. Jego sława, która już i tak przerosła jego drobne sukcesy na polu walki, wzrosła po stokroć wraz z przybyciem tak mitycznych istot jak Cenarius i inni starożytni obrońcy świata. Opowieść o tym, jak Cenarius publicznie uznał go za swojego dowódcę podawano sobie w obozie z ust do ust, tak że wkrótce w niektórych jej wersjach Jarod był odziany w złoto, a przyjmując służbę władcy kniei pasował tego ostatniego na rycerza lśniącym, magicznym mieczem. Pomimo skandaliczności podobnych historii niewielu obrońców jawnie sobie z nich kpiło. Nawet rada szlachciców patrzyła na oficera z niskiej kasty z pewną rewerencją.

Jarod nie miał też z kim porozmawiać o swoich troskach. Najbliżej do powiernika było Rhoninowi, ale człowiek upierał się, że nocny elf powinien pogodzić się ze zmianami w swoim życiu.

Nawet nie śmiał udać się do kapłanek, gdzie mógłby poprzez rodzaj spowiedzi zrzucić z siebie brzemię trapiących go niepokojów. Jego siostra Maiev była prawie wysoką kapłanką, więc z pewnością dowiedziałyby się o wszystkim... a była to ostatnia rzecz, jakiej oficer by sobie życzył.

Jechał teraz samotnie przez obóz, co od chwili objęcia dowodzenia rzadko mu się zdarzało. Powiedział swoim adiutantom, że niebawem wróci, więc nie muszą mu towarzyszyć. Poza tym wszyscy wiedzieli już, kim jest. Wystarczyło tylko zapytać, aby go odszukać.

Co chwila ktoś mu salutował albo obdarzał go spojrzeniem pełnym wdzięczności. Nawet niektóre siostry Elune krzątające się wśród rannych podnosiły na niego wzrok, aby kiwnąć mu głową z szacunkiem. Na szczęście nie było wśród nich Maiev.

Jedna, nieco niższa kapłanka poprawiła hełm, zauważyła go i natychmiast do niego podbiegła. Jarod wstrzymał wierzchowca, bojąc się, że ma dla niego jakąś wiadomość wymagającą spotkania z siostrą, ale wiedząc, że nie może zawrócić i uciec.

– Dowódco Shadowsong! Miałam nadzieję, że znów cię zobaczę!

Jarod przyjrzał się twarzy kapłanki. Atrakcyjna, choć z bliska okazała się o wiele młodsza niż na pierwszy rzut oka. Ta twarz wydawała mu się znajoma, ale gdzie...

– Shandris... nazywasz się Shandris, prawda? – Sierota, którą mistrzyni Tyrande wzięła pod swoje skrzydła tuż przed tym, jak została porwana.

Jej oczy rozszerzyły się z uznaniem, gdy ją rozpoznał. Jarod poczuł się nagle bardzo nieswojo pod tym intensywnym spojrzeniem. Shandris brakowało roku lub dwóch do osiągnięcia wieku, w którym można mieć zalotnika, a choć nie był wiele starszy od niej, wciąż dzieliła ich przepaść rozmiarów Studni Wieczności.

– Tak! Dowódco, czy masz o niej jakieś wieści?

Teraz przypomniał sobie ich ostatnią rozmowę... i wszystkie poprzednie. Jej zaginiona wybawicielka była głównym tematem wszystkich ich spotkań. Jarod był dla niej uprzejmy, ale nigdy nie mógł jej udzielić odpowiedzi, na jaką liczyła. Nie podjęto żadnych prób oswobodzenia wysokiej kapłanki.

Jak mogło być inaczej? Z pewnością zabrano ją do pałacu, a skoro tak, wkrótce potem została zamordowana.

Ale Shandris nie chciała przestać wierzyć w powrót Tyrande. Nawet kiedy Malfurion, osoba, po której jako pierwszej można się było spodziewać prób jej uwolnienia, wyruszył ze swoją misją, Shandris wciąż wierzyła, że kiedy wróci, przywiezie ze sobą Tyrande. Jarod próbował jej to delikatnie wyperswadować, ale dziewczyna była uparta jak tauren. Kiedy już raz wbiła sobie coś do głowy, trzymała się tego, i był to jeden z powodów, dla których żołnierz zaniepokoił się, gdy zaczęła spoglądać na niego z zainteresowaniem.

– Nie. Przykro mi, Shandris.

– A Malfurion? Powrócił?

Jarod sposepniał.

– O nim też nie mamy wieści, maleńka, ale muszę ci przypomnieć, że wyruszył ze swoją misją w inne strony. Próba, jakiej podjęli się on i jego towarzysze, znaczy dla naszego ludu więcej, niż uratowanie kapłanki dla ciebie, a zwłaszcza dla druida. Wiesz o tym.

– Ona nie zginęła!

– Nigdy tak nie twierdziłem! – odburknął. – Shandris, marzę o tym, żeby mistrzyni Tyrande została ocalona, ale nawet ona zrozumiałaby, dlaczego tak się nie stanie.

Wyraz jej twarzy stężał na chwilę, a potem zmiękł.

– Przepraszam! Wiem, że masz tyle innych spraw na głowie! Nie powinnam zawracać ci tym głowy, Jarodzie.

Nie dbając o to, że zwróciła się do niego po imieniu, były kapitan gwardii spróbował ją udobruchać.

– Zawsze mam dla ciebie czas, Shandris...

W jej oczach pojawił się nagle blask, który ostrzegł go, że w swoich próbach ugłaskania jej posunął się o krok za daleko. Nowicjuszka znów patrzyła na niego w sposób, w jaki kobiety nie patrzyły zazwyczaj na Jaroda Shadowsonga.

– Naprawdę muszę już iść, Shan... – Ale reszta tego, co chciał powiedzieć, zamarła mu na ustach, bo w tej samej chwili odezwał się aż za dobrze mu znany głos rogów bojowych i tym razem wiedział, że nie obwieszczają przybycia mile widzianych posiłków. Nie, te rogi grały na linii frontu, a ryk, jaki się po nich rozległ, świadczył nader dobitnie o tym, że znów rozpoczął się rozlew krwi.

Kiedy zawracał wierzchowca, czyjaś smukła dłoń dotknęła jego kolana.

– Dowódco Jarodzie! – zawołała Shandris Feathermoon. – Niech towarzyszy ci błogosławieństwo Elune...

Jarod wbrew sobie uśmiechnął się z wdzięcznością, po czym ponaglił panterę. Choć nie obejrzał się za siebie, czuł na plecach wzrok dziewczyny.



Gdy tylko dotarł do swojego namiotu, ze wszystkich stron zaczęły napływać raporty. Na południowym grzbiecie pojawiły się demony, inne forsowały rzekę od północy. Główna część hordy atakowała centralnie, wcinając się nieubłaganie klinem w linie obrońców.

– Zwiadowcy zauważyli drugą watahę zaraz za pierwszą! – krzyknął nadjeżdżający żołnierz. – Przysięgają, że jest równie liczna, jeśli nie liczniejsza niż główne siły!

– Ile jest tych przeklętych potworów? – warknął jakiś szlachcic. – Czy wciąż nie przerzedziliśmy tej ich armii?

Odpowiedział mu nie Jarod, lecz Rhonin i nie była to odpowiedź, jaką którykolwiek z nich chciał usłyszeć:

– Owszem... ale bardzo nieznacznie.

– Na Księżycową Matkę, przybyszu, jak w takim razie mamy z nimi wygrać?

Czarodziej wzruszył ramionami i dał mu jedyną odpowiedź, jaką znał:

– Ponieważ musimy.

Wszyscy popatrzyli na Jaroda. Starając się nie przełykać z trudem śliny, omiótł wzrokiem zebranych i powiedział najsurowszym tonem, na jaki potrafił się zdobyć:

– Wszyscy wiecie, co macie robić! Musimy rozbić ten nowy klin! Do roboty!

Ta determinacja zaskoczyła nawet jego samego. Gdy pozostali się rozproszyli, zwrócił się do Rhonina:

– Obawiam się, że czekają z tą drugą hordą na moment, gdy klin przełamie nasze szeregi!

– Wyślij tam taurenów! – podsunął czarodziej.

– Ludzie Hulna są potrzebni tam, gdzie są. – Jarod usiłował coś wymyślić, ale niestety nie wyobrażał sobie wprowadzenia w czyn jedynej rzeczy, która przychodziła mu do głowy. Chociaż... – Muszę odnaleźć Cenarius! – oświadczył i puścił się biegiem.



Czas zakończyć tę farsę.

Tak myślał Archimond, badając zmysłami pole bitwy. Doszły go słuchy, że jego panu dostarczono potężny artefakt, dysk, dzięki któremu szalony smok mógł rozpętać tak zachwycającą masakrę. Sam Sargerass był pewien, że dysk otworzy mu drogę. Archimond, który widział dysk – i miałby ochotę wykorzystać go na polu walki – wierzył, że jego pan ma słuszość.

Ale skoro pojawienie się Sargerasa w Kalimdorze było już nieuniknione, dowódca demonów powinien dopilnować, aby świat był na nie gotowy... a to oznaczało, że musi odnieść zwycięstwo. Jego pan musi się przekonać, że Archimond jak zwykle rzuci mu podbity świat do stóp.

Dlatego z przebiegłością, którą zasłużył sobie na miejsce po prawicy Sargerasa, Archimond obmyślił szybko nowy plan walki, który ostatecznie unicestwi żalosne istoty broniące tej zacofanej krainy. Nie będzie ucieczki, ocalenia w ostatniej chwili. Wiedział, że teraz ma do czynienia ze znacznie bardziej niedoświadczonym przeciwnikiem, którego jedyną zaletą była odrobina rozsądku, jakiej nie posiadał dowodzący wcześniej armią błazen. Temu nowemu przywódcy wyraźnie sprzyjało szczęście, co początkowo nawet bawiło Archimonda, ale na dłuższą metę szczęście nie miało znaczenia.

Przyniosę ci nowe trofeum, panie, pomyślał, wyobrażając już sobie setki wyjątych ocalańców zawleczonych w łańcuchach przed oblicze pana Legionu. Dostarczę ci rozrywki, dodał Archimond, wyobrażając sobie straszliwe męczarnie, jakie czekały z rąk Sargerasa każdego więźnia.

Ofiaruję ci ten świat...



Klin demonów wrzynał się coraz głębiej mimo wyteżonych wysiłków elfów usiłujących go zatrzymać. Nawet pomoc Ziemnych i innych ras przemieszanych z obrońcami nie była w stanie spowolnić jego postępu.

Ostrze klina tworzyły infernale torujące sobie drogę z potworną skutecznością. Były doskonale chronione przez Eredarów, którzy stworzyli wokół nich tarczę, jakiej nie był w stanie przebić oręż żadnego śmiertelnika. Nawet młoty bojowe Ziemnych skrzesały wyłącznie iskry, a zaraz potem krasnoludy zostały zgniecione pod naporem kamiennych demonów.

Podczas gdy obrońcy w centrum na próżno usiłowali choćby przeszkodzić klinowi, horda demonów zdwoiła siłę ataku na tych znajdujących się tuż poza zasięgiem ataku infernali. Walczący tam żołnierze, już i tak rozproszeni, stanowili dla nich łatwy łup.

Z początku powoli, potem coraz pewniej, Płonący Legion zaczął rozcinać armię na dwoje. Nikt nie miał wątpliwości, że jeśli mu się to uda, ta bitwa – i cały świat – będą przegrane.

Rhonin i Księżycowa Gwardia robili, co w ich mocy, ale byli śmiertelni i wyczerpanie dokuczało im bardziej niż Eredarom i innym magom Legionu. Musieli przy tym uważać, żeby nie stracić życia, bo Archimond atakował ich bardziej zażarcie niż kiedykolwiek.

Elfi czarodziej z prawej strony Rhonina wrzasnął nagle, skurczył się i pomarszczył, jak gdyby wyssano z niego całą wilgoć. Drugi zginął w ten sam makabryczny sposób, jeszcze zanim czarodziej zauważył pierwszą śmierć.

Nagle poczuł intensywną suchość ogarniającą całe jego ciało. Dysząc z powodu błyskawicznego odwodnienia, z trudem zdołał wznieść osłonę przed zaklęciem. Jeden z księżycowych gwardzistów podtrzymał osłabionego czarodzieja i odciągnął go z pola walki.

– Wody... – zawołał Rhonin. – Przynieście wody!

Przynieśli mu bukłak, który opróżnił nie uroniwszy ani kropelki. Ale nawet wtedy czuł się tak, jak gdyby nic nie pił od poprzedniego dnia.

– Kir’altius też nie żyje – oznajmił czarodziej, który przyszedł mu z pomocą. – To stało się zbyt szybko, żebym mógł coś poradzić...

– Trzech tutaj... ilu poza tym? – Rudowłosy czarodziej się skrzywił. – Nie mamy wyboru! Nie będziemy w stanie zrobić nic dla żołnierzy, jeśli będziemy ginąć w ten sposób... ale jeśli będziemy bronić siebie, Legion złamie nasz front!

Towarzyszący mu nocny elf wzruszył bezradnie ramionami. Obaj wiedzieli, że nie mogą zrobić nic, aby to zmienić.

– Pomóż mi wstać! Musimy stworzyć matrycę! Może przynajmniej da nam lepszą osłonę! Może wtedy zdołamy...

Zza pleców usłyszał granie rogów wzywających armię do boju. Rhonin i czarodziej odwrócili się ze zdziwieniem, bo wszystkie nocne elfy były już na froncie.

I wtedy... nastąpiła szarża, jakiej w Kalimdorze nikt jeszcze nie widział. Atakowała nie kawaleria, nie regiment zaprawionych w boju wojaków. Wśród atakujących był tylko jeden nocny elf i był nim Jarod Shadowsong dowodzący szarżą z grzbietu nocnej pantery.

Rhonin potrząsnął głową, nie dowierzając własnym oczom.

– Prowadzi strażników Kalimdoru przeciwko klinowi!

Zaraz za nocnym elfem cwałował Cenarius, a za nim dwaj władcy niedźwiedzi – Ursoc i Ursol, jeśli Rhonin dobrze pamiętał. Nad nimi leciała

istota, w której dzięki opowieści Krasusa rozpoznał Avianę, Panią Ptaków. Za nią frunęła istota przypominająca skrzydlatą panterę o prawie ludzkich rękach, a dalej gadzi wojownik ze skorupą przywodząca na myśl żółwia. Była to tylko pierwsza fala kilkudziesięciu istot, z których wielu Rhonin nigdy wcześniej nie widział. Czarodziej nie znał ich imion i tytułów, ale wyczuwał lepiej niż inni, że cała ich moc jest skupiona na nacierających demonach.

Czując tę siłę, czarodziej uśmiechnął się z nadzieją.

– Musimy postawić Księżycową Gwardię w gotowości! – rozkazał. – Zapomnijcie o klinie! Skupcie się wyłącznie na magicznych atakach! – Rhonin uśmiechnął się szerzej. – Przeklęty Jarod! Tylko on mógł być tak naiwny, żeby nakazać półbogom iść za nim do walki, co na dodatek uszło mu na sucho! – Ale zaraz spochmurniał, przypominając sobie jakie siły Legion rzucił przeciwko obrońcom. – Mam nadzieję, że to wystarczy...



– Naprzód! – wrzasnął Jarod, choć nie było to potrzebne. Pole jego widzenia wypełniły infernale i inne demony. W duchu powierzył swoją osobę Elune i przygotował się na śmierć. Liczył wyłącznie na to, że jego szalona szarża powstrzyma napór nieprzyjaciela wystarczająco długo, by zdarzył się jakiś cud.



Infernale były ucieleśnieniem pierwotnej siły. Istotami, które istniały wyłącznie po to, aby miażdżyć, trawować i przedzierać się przez każdą przeszkodę – żywą lub martwą – która stanęła im na drodze. Zaklęcia warlocków i innych czarnoksiężników Legionu czyniły ich prawie niepowstrzymaną siłą.

Dopóki nie zderzyły się z szarżą Jaroda.

Czar osłaniający rzucony przez Eredarów nie mógł powstrzymać Cenariususa i jego pobratymców, którzy posługiwali się naturalną magią swojego świata niemal od jego zarania. Przedarli się przez tarczę jak przez powietrze... a potem przez ukryte za nią infernale.

Agamaggan wyprzedził towarzyszy, każdym ciosem orząc ziemię i roztrzając infernale. Odyniec okazał się mieć skórę twardszą niż kamienne demony, jego kły szlachtowały piekielnych gwardzistów i odrzucały na bok ich trupy. Zaroiło się nad nim od strażników zagłady, którzy próbowali zakłuć go lancami, ale zamiast tego sami ponabijali się na zabójczy las cierni porastający grzbiet Agamaggana.

Z martwymi demonami zwisającymi z grzywy, półbóg okręcił się, obalając kolejne infernale, które poszły w całkowitą rozsypkę, przestając siać miłe ich sercom spustoszenie. Ich odwrót spowodował dalsze zamieszanie wśród piekielnych gwardzistów, którzy jeszcze nigdy nie spotkali się z tak całkowitym rozbiciem swoich jednostek szturmowych.

Strażnicy zagłady wciąż smagali ich biczami, ale piekielni gwardziści ginęli jak muchy miażdżeni racicami półboga albo masakrowani jego kłami. Agamaggan kwitował wszystkie brawurowe ataki radosnymi

prychnięciami. Ślepią świeciły mu jasno, gdy torował sobie drogę, zostawiając za sobą ponure świadectwo własnej mocy. Wojownicy Płonącego Legionu padali pokotem. Agamaggan zatrzymywał się tylko wtedy, gdy w jego cierniach zebrało się tyle trupów, że strząśnięcie ich wymagało chwili. Odyniec otrząsał się wtedy jak mokry pies, ciskając poszarpane strzepy demonów na prawo i lewo. Gdy jego grzywa była już gotowa na przyjęcie kolejnych, półbóg rzucał się w powrotem w wir rozrywki.

Ale pomimo tak spektakularnych niepowodzeń demony wciąż napływały. Miecz Jaroda rozplątał łeb pierwszego, który przeżył szarżę Agamaggana. Cenarius chwycił kolejnego infernala, uniósł szamoczącego się potwora wysoko nad głowę i cisnął nim z powrotem pomiędzy jego braci. Infernale po raz pierwszy przekonały się, co to znaczy zostać staranowanym przez jednego z nich. Siła, z jaką półbóg rzucił pociskiem sprawiła, że demon wpadł na pozostałych, powodując reakcję łańcuchową sięgającą kilka szeregów w głąb.

Bliźniacze niedźwiedzie wołały bardziej bezpośredni styl walki. Ciężkimi łapami roztrącały szeregi demonów, odrzucając na bok infernale i piekielnych gwardzistów, jak gdyby strzepywały z ramion liście. Kilka piekielnych bestii wybiegło na czoło rozsypującego się klina i wczepiło w niedźwiedzia na przedzie. Ten się roześmiał i zaczął zdzierać z siebie ogary Legionu, gruchocząc im karki i miotając trupami w głąb armii Archimonda.

Klin się rozpadł. Z góry podlecieli strażnicy zagłady, próbując powstrzymać chaos, ale z nieba spadły na nich chyba wszystkie ptaki, jakie zamieszkiwały świat. Demony zawirowały w panice, gdy maleńkie wróbelki i olbrzymie drapieżniki zaczęły je dziobać do krwi. Wśród ptaków latała ich pani, Aviana, której delikatną twarz wykrzywił teraz drapieżny grymas. Szpony półbogini rozrywały skrzydła strażników zagłady, którzy

kołując, spadali w dół na niechybną śmierć. Innych chwyciła w swój nieodparty uścisk, po czym rozszarpała im gardła ostrym dziobem.

Brodaty wojownik odziany w brązową skórę i o połowę niższy od elfa wjechał między walczących na dwóch białych wilkach, którymi kierował wodzami trzymanymi w jednej dłoni. W drugiej śmiejący się osobnik dzierżył coś, co na pierwszy rzut oka przypominało sierp, którym ciskał w demony z zabójczą skutecznością. Wirujący sierp przemknął właśnie między Legionistami, skracając jakiegoś demona o głowę i otwierając pierś innemu, po czym wrócił w dłoń swojego pana. Powtarzało się to raz po raz i za każdym razem przysadzisty wojownik zbierał krwawe żniwo.

Napór demonów osłabł tak jak wtedy, gdy poraziła je moc dysku czarnego smoka. Jeszcze nigdy nie musiały się zmierzyć z tak potężnym wrogiem i nawet strach przed Archimondem nie był w stanie ich zmobilizować. Piekielni gwardziści zaczęli robić coś niewyobrażalnego...uciekać z placu boju.

Ale pierwsi, którzy popełnili ten błąd, zapłacili za niego życiem. Archimond nie tolerował odwrotów, ani teraz, ani kiedykolwiek, chyba że wpisywały się w jego strategię. Demony, przeciwko którym obrócił się jego gniew, stopiły się – pancerze i ciała spłynęły jak miękki wosk. Ich wrzaski przeszły w charkot i wkrótce nie zostało z nich nic prócz bulgoczących kałuż, w których unosiły się mizerne szczątki.

Ci, którzy chcieli pójść w ich ślady, otrzymali jasny przekaz: śmierć mogła przybrać wiele postaci, jedne bardziej przerażające od innych. Uciekający wojownicy zawrócili, aby stawić czoła półbogom w nagłym przyływie bitności, do której bodźca dodał im Archimond. Wiedząc, że zginą tak czy inaczej, rzucili się w wir walki nie zważając na własne bezpieczeństwo.

Ich maniakalny zryw wpłynął wreszcie na niesamowite siły Jaroda. Ostrza dziesiątki piekielnych gwardzistów okazały się za potężne dla wilkołakowatego strażnika, którego widział wcześniej Rhonin. Ale nawet gdy z setki głębokich pchnięć uchodziło życie, wilk nie przestał rozszarpywać napastników zębami i pazurami. Kiedy pierwszy z półbogów wreszcie poległ, kopiec pogrzebowy utworzyły ciała Legionistów spiętrzone wyżej jego głowy.

Wkrótce dołączyli do niego inni, wśród nich Pani Ptaków. Kierowani wolą Archimonda strażnicy zagłady lancami utorowali sobie do niej drogę wśród ptactwa. Po drodze zginęły dwa tuziny demonów, ale reszta osiągnęła swój cel, otaczając strażniczkę wszystkich skrzydlatych stworzeń Kalimdoru i zakłuwając ją długimi, kolczastymi włóczniami.

Ale nawet krew półbogini walczyła w jej imieniu, spływając po lancach jej zabójców i zalewając im dłonie. Gdy runęła w dół bez życia, jej mordercy zaczęli obdzierać się sami ze skóry, zaatakowani przez jej świętą krew. W końcu zginęli wszyscy co do jednego, rozszarpawszy się na sztuki w próbie ucieczki przed nieuniknionym.

Z grzbietów obu niedźwiedzi wystawały teraz włócznie i klingi, a całe ciało Cenariusza znaczyły paskudne rany. Wszyscy pozostali półbogowie nosili podobne świadectwa brutalnej siły Legionu, ale mimo to parli naprzód.

Wraz z nimi nacierały nocne elfy, taureni, furbolgowie, Ziemni... wszystkie śmiertelne rasy, które weszły w skład armii. Wszyscy czuli, że nadeszła decydująca chwila starcia o Kalimdor.



Rhonina nie opuszczała jednak obawa, że ostatnie słowo wciąż należy do Legionu. Nawet ze strażnikami świata w pierwszej linii armii nie udało się odnieść decydującego zwycięstwa. Jeśli nie pokonali Płonącego Legionu z takimi sojusznikami, czy mogli wciąż mieć nadzieję?

– Nadal potrzebujemy smoków... – wymamrotał, odpierając atak warlocka. Zanim on i księżycowi gwardziści doszli do siebie, zginęło trzech kolejnych czarodziejów i choć teraz stawiali opór, nie byli w stanie przełamać ofensywy przeciwnika.

– Nadal potrzebujemy smoków... – powtórzył Rhonin prawie jak mantrę. Ale wciąż nie mieli wieści od Krasusa i nawet czarodziej, który doskonale znał nieprzeciętne umiejętności i spryt maga, zaczynał się zastanawiać, czy jego dawny mentor nie zginął przypadkiem w pieczarze Skrzydeł Śmierci.

Nad polem bitwy przeleciał wielki ciemny kształt, ziszczając najgorsze obawy Rhonina. Skrzydła Śmierci! Mogło to oznaczać tylko jedno: Krasus i reszta zginęli, a teraz czarny smok miał zamiar zemścić się na wszystkich swoich wyimaginowanych wrogach.

Ale gdy wielka skrzydlata bestia zawróciła, czarodziej zauważył coś dziwnego. Smok nie był czarny, ale szary jak skała. Różnił się też pyskiem i sylwetką, a różnice te wydały się Rhoninowi jakby znajome. Przypominał mu innego smoka, który w jego czasach walczył z orkami. Wyglądał prawie jak... jak...

Alexstrasza!

Szary smok wylądował wśród demonów, zgniatając kilka swoim ciężarem. Jednym skrzydłem odrzucił w bok kolejny tuzin. Olbrzym zaryczał i chwycił w pysk kilku wrogów, miażdżąc ich szczękami, po czym pozwolił ich ciałom osunąć się na ziemię.

Dopiero wtedy Rhonin zauważył, że smok nie ma gardła.

Stwór był z kamienia.

Ogromny golem przedzierał się przez szeregi Legionu w bezlitosnym zapamiętaniu. Widząc, do czego jest zdolny, czarodziej znów zamarzył o powrocie prawdziwych smoków.

A zaraz potem zadał sobie pytanie, co takiego skłoniło fałszywą Alexstraszę, by ruszyć z pomocą obrońcom.

– Krasus? – zawołał, obracając się. – Krasus?

Zza grzbietu wzniesienia wyłoniła się wysoka, blada postać, którą tak dobrze znał. Obok Krasusa szli Malfurion i Brox, obaj wyraźnie zmęczeni, ale cali i zdrowi.

Odłączywszy się ostrożnie od walczących, Rhonin wybiegł im na spotkanie. Prawie ich wyściskał, tak wdzięczny był losowi, że może znów oglądać ich twarze.

– Chwałą bogom, że wszyscy żyjecie! – Uśmiechnął się. – Dusza Demona! Zdobyliście ją!

Gdy tylko to powiedział, zrozumiał, że jest w błędzie. Powiódł wzrokiem po towarzyszach, usiłując wyczytać z ich oczu przebieg wydarzeń.

– Zdobyliśmy ją – odparł Krasus. – Ale została nam skradziona przez agentów Legionu...

– W tym mojego brata – dodał Malfurion, potrząsając głową i patrząc na Krasusa, który wyraźnie chciał zataić tę informację przed Rhoninem. – Nie ma sensu tego ukrywać! Illidan sprzymierzył się z pałacem! – Druid trząśł się z frustracji. – Z pałacem!

– Ale... ten smok! Co to znaczy... i gdzie jest Korialstrasz? W przesłanej mi wiadomości pisałeś, że się spotkaliście!

– Nie ma czasu na wyjaśnienia! Musimy się przygotować!

– Na co?

Brox wskazał nagle toporem coś za ich plecami.

– Patrzcie! Na kamiennego smoka!

Podążyli za jego spojrzeniem: wokół ożywionej repliki Alexstraszy roило się od demonów, które rąbały jej ciało w podobny sposób jak Ziemni infernała. Inne atakowały jej nogi ostrymi klingami, próbując je podciąć.

Czarodziej nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

– Dlaczego ona nie odlatuje?

– Ponieważ zaklęcie zaraz przestanie działać – powiedział Krasus ze smutkiem w głosie.

– Nie rozumiem...

– Spójrz. Już słabnie.

Ruchy golema stały się ślamazarne, chociaż odniesione rany były w najgorszym wypadku powierzchowne. Kamienna smoczyca zdołała strząsnąć ze skrzydeł kilka demonów, wyrzucając je wysoko w powietrze. Był to jednak jej ostatni wysiłek.

– Co się dzieje, Krasusie?

– Miała za zadanie przynieść nas tutaj, tego życzyła sobie ta, której jest zaledwie cieniem. Ale cienie blakną, Rhoninie, a jej misja dobiegła końca. Możemy być tylko wdzięczni, że została wśród nas wystarczająco długo, aby dokonać takich zniszczeń.

Choć powiedział to chłodnym tonem, jego oczy zdradzały głęboki smutek. Rhonin zrozumiał. Dla Krasusa przykry był już sam widok cierpiącego sobowtóra jego ukochanej królowej.

Fałszywy smok zaryczał żałośnie. Demony obsiadły już prawie całe jego ciało oprócz głowy. Lewe nogi wyprostowały się wyzywająco, ale prawe były nieruchome.

– To koniec... – zaczął Krasus.

Wtem, bez żadnego ostrzeżenia, fałszywa Alexstrasza przechyliła się w prawo. Skrzydło z tej strony skuliło się, a lewe uniosło ku niebu. Smoczyca

znieruchomiła. Z oczu golema znikły iskierki życia. Pod tak ogromnym ciężarem prawo skrzydło opadło. Demony, które oblazły posąg, uczepliły się go kurczowo, gdy ten runął w dół... miażdżąc wszystkie potwory, które wciąż siedziały mu na grzbiecie.

Pierś Krasusa wypięła się dumnie.

– Godna mojej królowej w każdym calu, nawet jeśli była tylko jej cieniem!

Z miejsca, w które upadł gigantyczny posąg, uniósł się obłok kurzu. Na oczach towarzyszy nogi i lewe skrzydło dołączyły do reszty cielska. Demoniczni wojownicy rozbiegli się na wszystkie strony, uciekając przed odłamkami skał.

– Ale co teraz? – zapytał człowiek. Powrót towarzyszy sprawił, że znów wstąpiła weń nadzieja, ale jeśli nie mieli dysku ani magicznego konstruktu, cała ich podróż poszła na marne.

Słowa Krasusa nie dodały mu otuchy.

– Co teraz, młodzieńcze? Walczymy jak dotąd i czekamy. Czekamy, aż moja dobra królowa skrzyknie swych pobratymców i sprowadzi ich na pole bitwy. Dusza Demona chwilowo nie stanowi dla nich zagrożenia. Będą mogły działać.

– A jeśli odmówią? Jeśli będą się zbyt długo wahać jak poprzednio?

Jego dawny mentor nachylił się tak blisko, żeby tylko czarodziej mógł go usłyszeć.

– Wówczas Sargeraz będzie wreszcie mógł wkroczyć do Kalimdoru... a kiedy tylko znajdzie się w naszym świecie, napisze od nowa historię liczącą dziesięć tysięcy lat.

CZTERNAŚCIE



Nad Studnią Wieczności szalała burza, czarne wody kotłowały się szaleńczo. Fale wyższe od pałacu rozbiły się o brzeg. Wyjący wicher miotał w powietrzu wszystkim, co udało mu się porwać, niczym zabójczymi pociskami.

Błyskawica oświetliła procesję nadchodzącą od strony zwieńczonej wieżami budowli. Brała w niej udział nawet królowa – oczywiście w otoczeniu dam dworu – choć podróżowała w srebrnej lektyce niesionej przez piekielnych gwardzistów.

Prowadził Mannoroth, za którym szli Illidan i kapitan Varo'then. Następnie kroczyło kilku Szlachetnie Urodzonych czarodziejów i satyry – obie grupy osobno – a jeszcze dalej oddział straży pałacowej. Na samym końcu wspaniałej procesji maszerowało w podwójnym szeregu dwustu demonicznych wojowników.

Mannoroth stał na brzegu Studni z wyciągniętymi przed siebie rękami, upajając się rozpościerającym się przed nim chaosem. Dzięki „darowi” Sargerasa Illidan podziwiał siły działające nad ogromnym zbiornikiem wodnym i wewnątrz niego. Nic, czego dotychczas doświadczył, nawet moc

władcy demonów, nie mogło się równać z tym, co kryła w swych odmętach święta Studnia.

– Zaprawdę, wykorzystujemy zaledwie ułamek jej możliwości – szepnął do kapitana.

Varo'then, ślepy na taką wspaniałość, wzruszył tylko ramionami.

– Teraz posłuż nam do sprowadzenia do nas naszego pana Sargerasa.

– Ale nie natychmiast – przypomniał mu czarodziej. – Nie natychmiast.

– A jakie to ma znaczenie?

Ucichli, gdy skrzydlaty demon się odwrócił. Wyciągnął rękę do oficera i zgrzytnął:

– Dysk! Już czas!

Varo'then z kamiennym wyrazem twarzy wyjął Duszę z sakwy przy pasie i podał ją Mannorothowi. Demon przez chwilę wpatrywał się w twój smoka z nieskrywaną pożądlivością, ale zaraz odrzucił pomysł zatrzymania go dla siebie. Obrzucił gniewnym spojrzeniem Szlachetnie Urodzonych i satyry, po czym warknął:

– Zajmijcie miejsca!

Czarodzieje wykonali polecenie, lawirując między szczątkami domostw i połamanymi kośćmi. Rzeź, która pochłonęła większość Zin-Azshari, dotarła aż nad sam brzeg Studni. Illidan dowiedział się, że kilka walecznych nocnych elfów próbowało w tym miejscu dać odpór przeciwnikowi w nadziei, że będą w stanie czerpać moc ze źródła magii swego ludu. Nadzieja ta okazała się jednak płonna i demony z radością rozerwały je na strzępy.

Ironia losu polegała na tym, przynajmniej w mniemaniu bliźniaka Malfuriona, że ich założenie było słuszne, tylko plan został źle wykonany. On sam dostrzegał tysiące sposobów manipulowania ogromnym

potencjałem Studni i rozumiał lepiej niż kiedykolwiek, co zamierza władca Legionu.

Czarodzieje i satyry ustawili się zgodnie ze wskazówkami Sargerasa. Mannoroth przyjrzał się uważnie ich pozycjom, groźbą zmuszając do ich zmiany tych, którzy popełnili błąd. Kiedy w końcu pokryty łuską behemot był zadowolony, odsunął się w tył.

– Czy dobrze rozumiem, że nie ujrzymy jeszcze naszego pana Sargerasa, drogi kapitanie? – dobiegł ich z lektyki senny głos Azshary.

– Nie teraz, o Światło Świateł... ale już niedługo. Kiedy droga będzie stabilna, przedostanie się tutaj.

Kiwnęła głową, nie podnosząc powiek.

– Ufam, że zostanę powiadomiona o jego przybyciu.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecał Varo'then.

Illidan zastanawiał się, czy królowa naprawdę wierzy, że zostanie oblubienicą władcy demonów. Bardzo wątpił, by podobny pomysł pasował do planów Sargerasa.

Ale pragnienia Azshary wyleciały mu z głowy, gdy tylko czarodzieje przystąpili do pracy. Pomiędzy nimi pojawiła się skwiercząca kula błękitnego blasku. Co jakiś czas w stronę którejś z postaci wystrzelała miniaturowa błyskawica, lecz choć Szlachetnie Urodzeni i satyry wzdrygali się lekko, nawet na moment nie przerywali czarów.

Powietrze wypełniły szepty, każdy głos wypowiadał odrobinę inne zaklęcie. Kombinacja różnych inkantacji zaczęła czerpać energię ze Studni. Illidan patrzył, jak różne rodzaje energii, tak odrębne jak ci, którzy je przyzywali, scalały się wokół sfery. Z każdą kolejną błyskawicę stawały się coraz jaśniejsze, coraz silniejsze.

Nagle wewnątrz sfery... pojawiła się znajoma wyrwa.

Czarodzieje otworzyli ponownie portal wiodący do piekielnej krainy Legionu w pobliżu Studni Wieczności, aby Sargeras mógł czerpać z tej ostatniej. Illidan wyczuł nagłą bliskość władcy demonów.

Uwolnijcie ją... rozkazał głos w ich głowach.

– Zróbcie to! – ponaglił nocne elfy i satyry Mannoroth, pochylając się nad nimi.

Magowie stojący w kręgu jednocześnie przestali mamrotać i zacisnęli pięści.

Sfera – oraz portal wewnątrz niej – poszybowała nad wzburzoną wodą, szybko znikając im z oczu.

A teraz... dysk...

Illidanowi serce podskoczyło w piersi. Miał ochotę wyrwać dzieło smoka Mannorothowi, ale zdrowy rozsądek kazał mu zachować kamienną twarz i trzymać ręce przy sobie. Teraz nie zabierze Duszy Smoka – czy Duszy Demona, jak nazywał ją jego brat.

Ale jeśli nadarzy się okazja...

Illidan natychmiast odpędził od siebie podobne myśli. Na szczęście nawet Sargeras był zbyt zajęty rozgrywającymi się wydarzeniami, by zwrócić uwagę na zdradzieckie zamiary czarodzieja, nawet jeśli nocny elf odsłonił przed nim swój umysł.

Przyglądał się uważnie, jak Mannoroth unosi wysoko dysk. Skrzydlaty demon coś szeptał, ale jego słowa porwał wiatr.

Zielony ogień otoczył złoty przedmiot. Dusza Demona – tak, ta nazwa była znacznie bardziej odpowiednia, uznał brat Malfuriona – uniosła się nad dłonią Mannorotha... a potem, tak samo jak sfera mieszcząca portal, poszybowała nad spienionymi wodami Studni.

– To już wszystko? – zapytała Azshara z lekkim dąsem.

Zanim kapitan Varo'then zdołał ją udobruchać, wiatr zamarł. Burza też jak gdyby ucichła, choć ciemne, złowieszcze chmury wciąż kłębiły się i wirowały jak tysiąc wijących się zmij.

Illidan jako pierwszy wyczuł, co się zaraz wydarzy.

– Radziłbym waszej wysokości kazać tragarzom zanieść się na szczyt wzniesienia, z którego zeszliśmy.

Aby pokazać, że nie żartuje, sam odwrócił się i ruszył z powrotem. Kapitan popatrzył na niego ze złością, jak gdyby podejrzewał jakiś fortel, po czym rozkazał swoim żołnierzom zrobić to samo.

Pełnym wdzięku gestem królowa poleciła swoim piekielnym gwardzistom pójść w ich ślady.

Gdzieś ze środka Studni dobiegł ich dźwięk przypominający ryk tysiąca nocnych panter. Illidan obejrzał się przez ramię na czarne wody, przyspieszając kroku.

Czarodzieje i satyry rzucili się w końcu do ucieczki, ich zadanie nie wymagało już, żeby przebywali tak blisko brzegu. Został tylko Mannoroth, który rozpostarł ramiona, jak gdyby chciał objąć kochankę.

– Zaczyna się! – ryknął prawie wesoło. – Zaczyna się!

Nad terenem, na którym stał demon, przetoczyła się fala wielka jak smok.

Cała linia brzegowa znikła pod nieubłagany przybojem, który nie płynął w głąb lądu, lecz wzdłuż wybrzeża. Zrujnowane budowle zostały zmyte jak zamki z piasku. Straszliwe fale raz po raz przelewały się nad lądem, огоłacając go do cna. Kamienne obeliski zostały oderwane od fundamentów, a brukowane drogi rozbite w drobny mak. Polegli, których nie pochowano, zostali porwani w mroczne odmęty, gdzie też nie mogli liczyć na godny spoczynek.

Gdy czarodziej wspiął się na szczyt grzbietu, zobaczył wreszcie, co się właściwie dzieje ze Studnią. Nawet jego oszołomiła magia, jaką władał z taką łatwością przebywający w oddali Sargerass.

Całe jezioro ogarnął teraz ogromny wir.

Nie widział go, rzecz jasna, w całości, ale sam fakt, że rozciągał się od brzegu, na którym wzniesiono stolicę, hen, aż po horyzont, świadczył aż nadto wyraźnie o jego ogromie. Illidan zorientował się, że choć raz oszalałe moce Studni działały w jednym celu... i wszystkie zdążyły ku jej środkowi.

W dole, obmywany siłami działającymi na skraju Studni, stał roześmiany Mannoroth. Nic sobie nie robił z przerażających fal, które wrywały kawałki kamieni i bryły ziemi większe od niego. Mannoroth upajał się chwałą potęgi swego pana, zagrzewając Sargerasa okrzykami.

Illidan, bezpieczny na brzegu, ośmielił się zbadać dokładniej zakłęcie. Jego wyższe zmysły przeniosły go nad wodą tak szybko, że wkrótce zostawił ląd daleko w tyle za sobą. Jednocześnie umysł czarodzieja uniósł się wyżej, aby zyskać pełniejszy obraz dokonań Sargerasa.

Miał rację zgadując, że wir ogarnął całą Studnię Wieczności. Nawet teraz, choć widział tylko fragment całej panoramy, było dla niego jasne, że żadna jej część nie pozostała nienaruszona.

Nagle jego uwagę przykuł migoczący blask. Wyteżając zmysły do granic możliwości, Illidan dostrzegł Duszę Demona unoszącą się wysoko nad powierzchnią jeziora. Niepozorny dysk promieniował złotym światłem, które skupiało się głównie na wodach w dole. Illidan wiedział już o Duszy Demona wystarczająco dużo, by domyślić się, że Sargerass włada nią z wprawą godną czarnego smoka, a może nawet większą. Nawet z odległej krainy, gdzie czekał, manipulował niewiarygodną mocą dysku w idealnej harmonii z pierwotnymi siłami Studni.

Ale gdzie był portal? Choć Illidan bardzo się starał, nie był w stanie wyczuć go w pobliżu Duszy Demona. Gdzie w takim razie Sarger...
Sarger...

Przeklinając własną ignorancję, czarodziej spojrział w dół w sam środek wiru. Spojrział w dół... i okazało się, że patrzy na ścieżkę prowadzącą poza rzeczywistość, ścieżkę do królestwa Płonącego Legionu.

Illidan myślał, że większość demonów przedostała się już do ich świata, ale teraz widział, że te, które się pojawiły, stanowiły zaledwie ich ułamek. W zaświatach czekały nieprzeliczone szeregi dzikich, rogatych wojowników żądnych krwi. Ciągnęły się jak okiem sięgnąć, a były wśród nich demony, jakich Kalimdor jeszcze nie widział. Niektóre skrzydlate, inne pełzające, ale wszystkie przepełniała ta sama przemożna żądza mordy jak te, z którymi miał już do czynienia.

Nagle... Illidan wyczuł obecność władcy demonów. Wyczuł jedynie jej cień, ale samo to wystarczyło, by oderwał wzrok od piekielnego królestwa. To, czego do tej pory doświadczył, uświadomił sobie poniewczasie, było jedynie bladym cieniem jego prawdziwej osoby. Tutaj, gdzie pan Legionu istniał w swej fizycznej postaci, żadna magiczna osłona nie była w stanie ukryć przed nim myśli brata Malfuriona.

A jeśli Sarger... Sarger... pozna plany Illidana, los, jaki spotkał mieszkańców Zin–Azshari, będzie w porównaniu z losem czarodzieja przyjemną i spokojną śmiercią...

– Co cię trapi, czarodzieju? – zazgrzytał Varo'then.

Illidan z trudem powstrzymał drżenie, gdy jego umysł powrócił do ciała.

– To... oszalamiające... – powiedział szczerze. – Po prostu oszalamiające.

Nawet kapitan nie mógł się z nim nie zgodzić.

Mannoroth brnął w górę grzbietu, cztery nogi grube jak pnie drzew pozostawiały krater w już i tak zoranej ziemi. Jego potworne ślepie miały fanatyczny wyraz, jakiego Illidan nigdy wcześniej u niego nie widział.

Choć przerażającą postać zalały wody, był zupełnie suchy. Taka była natura Studni, bo choć przypominała płyn, była czymś znacznie więcej.

– Wkrótce... – prawie zagruchał Mannoroth. – Wkrótce nasz pan przedostanie się do Kalimdoru! Wkrótce nadejdzie...

– A wtedy uczyni z Kalimdoru raj! – szepnęła Azshara ze swej lektyki. – Raj!

Oczy dowódcy demonów zapłonęły oczekiwaniem... i czymś jeszcze, na co Illidan natychmiast zwrócił uwagę.

– Tak... Kalimdor zostanie odmieniony.

– Jak szybko? – zapytała królowa. Miała rozchylone wargi i przyspieszony oddech. – Niedługo?

– Tak... bardzo niedługo... – odparł Mannoroth. Minął ją kierując się w stronę pałacu. – Bardzo niedługo...

– Cudownie! – Azshara klasnęła w dłonie. Lady Vashj i pozostałe dwórki powtórzyły jej radosny gest.

– A więc możemy wracać – warknął kapitan Varo'then, który wydawał się rozdarty między pragnieniem, by Sargeras wreszcie przybył, a zazdrością o każdą istotę, która mogła go okraść z uczuć królowej. – Wracać do pałacu! – rozkazał żołnierzom i demonom. – Wracać do pałacu!

Szlachetnie Urodzeni i satyry nie potrzebowali ponagleń, większość już ruszyła za Mannorothem. Tylko Illidan pozostał w tyle, rozmyślając nad tym, co wyczytał ze słów i miny tego ostatniego, oraz tym, co udało mu się zobaczyć w krainie władcy demonów.

Brat Malfuriona obejrzał się na ryczący wir, którym stała się Studnia Wieczności... obejrzał się i po raz pierwszy poczuł, jak opuszcza go nadzwyczajna pewność siebie.



Tkwiąca w celi Tyrande zdawała sobie sprawę, że coś się dzieje, coś niezwykle ważnego, ale nie wiedziała co to mogło być,. Elune wciąż zapewniała jej pewną ochronę przed dręczycielami, ale nic więcej. Kapłanka nie miała pojęcia, co się dzieje w zewnętrznym świecie. Domyślała się, że jej lud został pokonany, a Płonący Legion maszerował teraz bez przeszkód przez Kalimdor, zrównując z ziemią to, co zostało z pięknej niegdyś krainy.

Spod jej drzwi usunięto strażę – podstępny kapitan Varo'then uznał, że nie ma sensu marnować ludzi na więźniarkę, która nigdzie się nie wybiera. Tyrande nie mogła go za to winić; zdążyła udowodnić, że nie stanowi żadnego zagrożenia dla pałacu.

Jej uwagę przykuł nagle dźwięk kroków. Nie była to pora posiłku. Poza tym od czasu, gdy przyjęła jedzenie i wodę od Dath'Remara, nic nie jadła ani nie piła. Szlachetnie Urodzony błagał ją o to podczas dwóch kolejnych wizyt, ale odmówiła, nie chcąc uzależnić się od tych, którzy ją uwięzili.

Drzwi uchyliły się z krótkim skrzypnięciem. Ku jej zaskoczeniu był to Dath'Remar i jeszcze jeden Szlachetnie Urodzony. Ten ostatni zajrzał tylko do środka, omiótł wzrokiem więźniarkę, po czym wysunął się z powrotem na korytarz.

– Dath'Remar! Co cię tu spro...

– Sza, pani! – Rozejrzał się po celi, jak gdyby spodziewał się zastać w niej piekielnych gwardzistów. Widząc, że są sami, Dath'Remar podszedł do sfery.

Z szat wyjął złowieszczy artefakt, za pomocą którego uwolniła ją na chwilę lady Vashj. Tyrande stłumiła okrzyk – pierwsze, co przyszło jej do głowy, to że czarodziej planował dla niej ten sam los, co służka Azshary.

– Przygotuj się! – wyszeptał Dath'Remar.

Powtórzył te same czynności co Vashj. Sfera opadła w dół, a niewidzialne okowy znikły. Zesztywniała Tyrande prawie upadła. Szlachetnie Urodzony podtrzymał ją jedną ręką, przysuwając jej artefakt do gardła.

– Moja śmierć nie na wiele ci się zda – powiedziała elfka.

Wyglądał na zaskoczonego. Spojrzał na to, co trzymał w dłoni, i z najwyższym wstrętem odrzucił na ziemię.

– Nie przyszedłem tu, aby popełnić tak niegodziwy uczynek, pani! A teraz nie podnoś głosu, jeśli chcesz uciec z tego miejsca!

– Uciec? – Serce Tyrande zabiło szybciej. Czy to jakiś nowy, okrutny żart?

Dath'Remar spojrzał jej w oczy.

– To nie podstęp! Długo i zażarcie nad tym dyskutowaliśmy! Nie możemy już dłużej znosić tych bezceństw! Królowa... – Prawie się zadławił, wyraźnie rozdarty między oddaniem Azsharze, a obrzydzeniem do wszystkiego, co się wydarzyło. – Królowa... oszalała. Nie ma innego wytłumaczenia. Odwróciła się od swojego ludu dla istoty zdeprawowanej i krwiożerczej. Ten Sargeraz obiecuje doskonały świat, gdzie my, Szlachetnie Urodzeni, będziemy rządzić, ale niektórzy z nas widzą tylko ruinę wszystkiego wokoło! Jaki raj można zbudować na skrwawionych kamieniach i wyschniętej ziemi? Uważamy, że żaden!

Nie była całkowicie zaskoczona jego wyznaniem. Już w ich poprzednich rozmowach zdradził się przed nią ze swoimi obawami. Początkowo dziwiło ją, że w pałacu ostała się jakakolwiek niezależna myśl – władca demonów z

pewnością wymagał całkowitego oddania – ale być może Sargeraz przekroczył w końcu pewną granicę.

Bez względu na powody, wysoka kapłanka podziękowała Księżycowej Matce za tę okazję. Była pewna, że może zaufać Dath'Remarowi.

– To nasza jedyna szansa – podkreślił czarodziej. – Słudzy władcy demonów wyruszyli nad brzeg Studni, żeby rzucać jakieś czary. Będą zajęci wystarczająco długo. Pozostali czekają na dole, w stajni.

– Pozostali?

– Nie możemy zostać tu dłużej, zwłaszcza gdy odkryją twoje zniknięcie. To postanowione. Zaplanowałem wszystko tak, żeby większość tych, którzy pragną uciec, nie musiała towarzyszyć demonom... a ci, którzy musieli wziąć udział w czarach, będą zaszczytzeni mogąc poświęcić się dla reszty z nas.

– Niech Księżycowa Matka ma ich w swojej opiece – wyszeptała Tyrande. Czekał ich los niegodny pozazdrosczenia, gdy Mannoroth i jego pan odkryją dwulicowość nocnych elfów. – A co ze strażnikami?

– Kilku z nich trzyma z nami, ale większość to psy kapitana Varo'thena! Musimy na nich uważać! A teraz chodź! Koniec pytań!

Wyprowadził ją na korytarz, gdzie czekał jego towarzysz. Tyrande zawahała się, nagle zaskoczona tym, że znalazła się poza celą. Dath'Remar rzucił jej niecierpliwe spojrzenie i pociągnął za sobą.

Pospieszyli w górę długich schodów, prowadził towarzysz jej sprzymierzeńca. Nigdzie nie było widać strażników, co, jak uznała kapłanka, musiało oznaczać, że czarodzieje dołożyli wszelkich starań, by oczyścić im zawczasu drogę.

Schody kończyły się żelazną bramą, na środku której widniała podobizna rozanielonej Azshary. Na jej widok Tyrande wzdrygnęła się

mimowolnie. Dwaj Szlachetnie Urodzeni popatrzyli na nią ze współczuciem.

– Za tymi drzwiami znajduje się korytarz, który zaprowadzi nas prosto do stajni. Pozostali powinni już byli przygotować wierzchowce. Kiedy brama się otworzy, pognamy przed siebie jak wiatr.

– A co z... co z demonami?

Wyprostował się dumnie.

– Jesteśmy, bądź co bądź, Szlachetnie Urodzonymi! Najlepszymi czarodziejami w królestwie! Ugną się przed naszą potęgą! – A potem, już bez takiego zadęcia, Dath'Remar dodał: – Wielu z nas pewnie polegnie...

– Wyczuwam, że droga jest wolna – wtrącił się drugi czarodziej z aroganckim uśmiechem. – Zakłęcie rozpraszające wciąż działa na kundle Varo'thena.

– Ale niedługo przestanie. – Dath'Remar pchnął delikatnie drzwi. Na korytarzu nie było ani jednego ponurego strażnika.

– Jesteśmy już prawie przy stajniach – powiedział drugi Szlachetnie Urodzony z powiększającą się pewnością siebie. – Widzisz, Dath'Remarze! Tak się przejmować nic nie wartą bandą...

Jego słowa przeszły w charkot, gdy w szyję wbił mu się bełt, przechodząc na wylot. Krew obryzgała Tyrande i Dath'Remara. Gdy martwy czarodziej zwałił się na posadzkę, na korytarz wypadło kilku strażników.

– Zatrzymać się! – rozkazał podoficer w hełmie z pióropuszem.

W odpowiedzi Dath'Remar machnął gniewnie jedną ręką.

Niewidzialna siła uderzyła w strażników, którzy wylecieli w powietrze i zderzyli się ze ścianami jak liście miotane wiatrem. Huk poniósł się echem po całym korytarzu.

– To ich oduczmy ataków na Szlachetnie Urodzonych z Elitarnego Kręgu!
– warknął elf.

– Hałas przyciągnie uwagę – zauważyła kapłanka.

Trzeba mu było przyznać, że zdawał sobie sprawę ze swojej nadgorliwości. Z grymasem pociągnął Tyrande dalej.

Wkrótce potem znaleźli się w stajniach, gdzie na Tyrande czekał niezwykle widok. Z opisu towarzysza wywnioskowała, że będzie tu sporo Szlachetnie Urodzonych, ale nie aż tak wielu, jak widziała teraz przed sobą. Czekala tu co najmniej trzecia część kasty, w tym całe rodziny.

– Gdzie jest...? – zaczęła jedna z elfek, ale jedno spojrzenie Dath'Remara wystarczyło, by ją uciszyć.

– Słyszeliśmy odgłosy walki na górze i wyczuliśmy zmianę w rozkładzie magicznych sił – dodał jakiś mężczyzna. – Demony też ją wyczuły.

– Było to konieczne. – Dath'Remar wyprowadził Tyrande naprzód. – Masz szybkiego wierzchowca dla kapłanki, Quin'thatano?

– Najszybszego.

– Doskonale. – Czarodziej odwrócił się do niej. – Pani Tyrande, chcemy, abyś przemówiła w naszym imieniu, kiedy dołączymy do armii. Zdajemy sobie sprawę, że pozostali żywią do nas urazę...

– Zmusimy ich do wysłuchania naszych racji! – powiedziała Szlachetnie Urodzona. – Mamy dość mocy...

– I zostaniemy zabici! – warknął Dath'Remar. – Zrobisz to dla nas? – zapytał jeszcze raz Tyrande.

– Co za pytanie! Oczywiście, że tak! Przysięgam na Księżycową Matkę!

Wydawało się, że ta odpowiedź go zadowoliła, nawet jeśli nie usatysfakcjonowała części jego towarzyszy. Wszystko wskazywało na to, że w kwestiach spornych Dath'Remar Sunstrider ma decydujący głos.

– A więc dobrze! Słowo wysokiej kapłanki powinno wszystkim wystarczyć! – Wskazał nocne pantery. – Wsiadajcie! Nie mamy chwili do stracenia!

Uciekający Szlachetnie Urodzeni nie mieli wielu bagaży, co świadczyło o pośpiechu. Tyrande spodziewałaby się, że przyzwyczajeni do wszelakich wygód, zabrali ze sobą całe domostwa.

Jakiś czarodziej podał kapłance wodze lśniącej, gibkiej samicy. Z boku zwierzęcia zwisał długi, solidny miecz, zapewne skradziony żołnierzom kapitana Varo'thena. Skinąwszy głową z wdzięcznością, wspięła się na grzbiet zwierzęcia i czekała.

Dath'Remar rozejrzał się, sprawdzając, czy wszyscy są gotowi, po czym wskazał wielkie, drewniane drzwi prowadzące na zewnątrz.

– Jedziemy razem! Niech nikt się nie odłącza! Ci, którzy się odłączą, poniosą konsekwencje swojej nieostrożności. Demony są wszędzie. Będziemy musieli walczyć w trakcie jazdy, prawdopodobnie przez kilka dni. – Wyprostował się. – Ale jesteśmy Szlachetnie Urodzonymi, głównymi powiernikami darów Studni! Dzięki nim utorujemy sobie drogę i pozostawimy za sobą ciała tych, którzy będą próbowali nas zatrzymać.

Mina Tyrande niczego nie zdradzała. Nawet Szlachetnie Urodzeni musieli wiedzieć, że wielu z nich zginie, i to brutalną śmiercią. W duchu modliła się do Elune, aby pomogła jej poprowadzić nowych towarzyszy. Ci Szlachetnie Urodzeni szukali odkupienia za swój udział w sprowadzeniu Legionu do Kalimdoru; Tyrande miała zamiar dopilnować, żeby mieli okazję otrzymać wybaczenie.

Dath'Remar wskazał wyjście.

– Niech wrota staną otworem!

Wielka brama wybuchła.

– W drogę!

Tyrande ponagliła swojego wierzchowca.

Pierwszy ze Szlachetnie Urodzonych wypadł przez strzaskane drzwi, jego nocna pantera z łatwością przeskoczyła nad ich szczątkami. W pobliżu walały się trupy kilku demonów, które padły ofiarą eksplozji.

– Mannoroth i reszta powinni być wciąż przy Studni! – krzyknął Dath'Remar. – To nasza szansa!

Wzmianka o Studni przypomniała Tyrande o Illidanie. Jakże pragnęła, aby znalazł się wśród tych próbujących uciec przed niegodziwością pana demonów, a nie tych, którzy byli za nią odpowiedzialni.

Złowróźbna mgła spowijająca Zin–Azshari nie zatrzymała jeźdźców – Szlachetnie Urodzeni musieli już się z nią oswoić. Kapłanka skupiła się na tym, by nie stracić z oczu swoich wybawicieli i czekała.

Czekała na pierwszą przeszkodę na ich drodze.

Kiedy się pojawiła, pojawiła się pod postacią piekielnych bestii, które skoczyły na jeźdźców w środku kawalkady, zabijając dwóch i niemal patrosząc trzeciego. Macki demonów wczepiły się w ciała ofiar, wysysając je ze smakiem.

Jedna z czarodziejek rzuciła w nie czymś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak patyczek. Ale kiedy uderzyło w cel, rozciągnęło się w dzidę, która przeszła pierś piekielnej bestii.

Pozostałe demoniczne ogary zginęły w podobny sposób, a ostatnie z nich uciekły, wyjąc głośno i rozpaczliwie. Dath'Remar cisnął za nimi błyskawicą, uśmiercając dwa, których szczątki zasypały pierzchających Szlachetnie Urodzonych. Trzeciej piekielnej bestii udało się uciec.

– Z pewnością wiedzą już o naszej ucieczce! – warknął czarodziej. – Szybciej!

W oddali rozległo się głębokie, żalosne granie rogu. Chwilę później zawtórowały mu następne, dobiegające z kierunku, w którym zmierzali.

Tyrande modliła się żarliwie do Elune, wiedząc, że nocne elfy będą zaraz walczyć o życie.

– Sarath’Najak! Yol’Tithian! Do mnie! – Wezwana dwójka zrównała się z Dath’Remarem. Każdy z magów wzniósł, pięść i zaczął recytować.

Przed jeźdźcami na czele pojawił się ostry, ciągły rozbłysk szkarłatnej energii. Nawet Tyrande poczuła potężne siły wezwane ze Studni.

I wtedy... z mgły wyłonił się mur gigantycznych rogatych wojowników, których opancerzone postacie były otoczone zielonymi płomieniami. Na renegatów sunęli piekielni gwardziści uzbrojeni w klingi długości ciała Tyrande.

Ale pierwsi, którzy zetknęli się ze szkarłatną barierą, spłonęli. Ich własne płomienie nabrały takiej samej barwy jak te stworzone przez czarodziejów, po czym ich pochłonęły. Potworni wojownicy wrzasnęli i polecieli na boki. W ciągu jednego uderzenia serca z ofiar nie zostało nic prócz kilku przypalonych fragmentów zbroi.

Ale demony wciąż napierały i wkrótce otoczyły uciekinierów. Pojedynczy magowie zaczęli rzucać własne zaklęcia, ale z różnym powodzeniem. Nie byli w stanie pokonać wszystkich atakujących demonów, i te, którym udało się prześliznąć, siały spustoszenie wśród nocnych elfów. Jedna z elfek zginęła, gdy jej wierzchołek padł pod nią z rozplatanym gardłem. Zanim zdołała się podnieść, piekielny gwardzista, który zabił jej kota, skrócił ją o głowę. Inny Szlachetnie Urodzony został wyłuskany z siodła i przebiły na wylot, a jego ciało rzucone bezceremonialnie pod łapy pędzących nocnych panter.

Jeden z ogromnych wojowników zdołał wśliznąć się za plecy Dath’Remara. Tyrande dobyła miecza, modląc się do Elune, by poprowadziła jej dłoń. Miecz rozjarzył się bladym, srebrzystym blaskiem jej patronki, przecinając pancerz demona jak powietrze.

Piekielny gwardzista stęknął i zaczął się odwracać w stronę Tyrande, ale górna połowa jego ciała zsunęła się z dolnej. Demon runął na ziemię. Cios kapłanki został zadany z tak chirurgiczną precyzją, że ofiara nawet się nie zorientowała, że jest martwa.

Nieświadomy tego, że otarł się o śmierć, Dath'Remar krzyknął coś do dwóch towarzyszy. Tyrande nie widziała, co robią, ale tarcza, którą stworzyli, nie tylko rozpostarła się szerzej, ale zmieniła kolor na intensywnie niebieski.

Rozległ się trzask i pierwszy demon, który zderzył się z nowym zaklęciem został odrzucony w tył jak z katapulty. Wpadł na towarzyszy, a jego ciało obróciło się w proch.

Nowe zaklęcie okazało się o wiele skuteczniejsze. Choć pierwsze natarcie demonów znacznie przyhamowało uciekających Szlachetnie Urodzonych, teraz odzyskali prędkość. Jednak za plecami zostawili ponad tuzin towarzyszy, w większości rozniesionych na ostrzach przez demony. Pozbawione jeźdźców nocne pantery, o grzbietach przesiąkniętych krwią, nie oderwały się od stada.

Jakaś młoda elfka obok Tyrande wrzasnęła, po czym uniosła się w powietrze i znikła we mgle. Sekundę później jej krzyk urwał się jak ucięty nożem, a jej zmasakrowane ciało spadło pomiędzy uciekające postacie.

Nocne elfy zaczęły spoglądać ku górze i rozglądać się z konsternacją. Tyrande obejrzała się przez ramię i zobaczyła – zbyt późno – szponiaste dłonie, które pochwyciły starszego wiekiem elfa i uniosły go z pola widzenia.

– Strażnicy zagłady! – krzyknęła. – Strzeżcie się! Strażnicy zagłady we mgle nad nami!

Kolejna para szponów zanurkowała obok niej. Tyrande machnęła mieczem. Usłyszała dzikie warknięcie i strażnik zagłady wycofał się... bez

jednej ręki.

Dwaj magowie w powłóczystych szatach unieśli ramiona. Coś przypominającego aureolę pojawiło się najpierw nad nimi, a potem rozciągnęło nad resztę uciekinierów.

Ale zanim zdolali dokończyć rzucane zaklęcie, zatrząsł nimi wybuch. Ich nocne pantery zatoczyły się, zrzucając obu Szlachetnie Urodzonych na ziemię.

Z samego środka eksplozji powstał infernal. Tyrande nie wiedziała jakim cudem demon spadł niezauważenie pomiędzy jeźdźców, ale w tej chwili nie miało to większego znaczenia. Infernal zaczął taranować nocne elfy, roztrącając dorosłe pantery i nawet nie gubiąc przy tym kroku.

Dwóch kolejnych Szlachetnie Urodzonych zostało porwanych z siodeł przez strażników zagłady. Kapłanka spojrzała na Dath'Remara, ale nie mogła liczyć na pomoc ani wskazówki z jego strony. Dowódca już i tak z trudem powstrzymywał gęstniejące szeregi piekielnych gwardzistów, którzy próbowali samą swoją liczebnością przełamać czar rzucony przez niego i jego towarzyszy. Z każdym krokiem uciekali coraz wolniej i Tyrande obawiała się, że wkrótce staną w miejscu.

Wstrzymawszy wierzchowca, przysunęła miecz do twarzy i ponownie wezwała moc, jaką obdarzała ją Księżycowa Matka. Bez względu na to, czy samej uda jej się przeżyć, nie mogła siedzieć beczynn timer, gdy inni ginęli.

– Proszę, Księżycowa Matko. Wysłuchaj mnie, Księżycowa Matko – szeptała kapłanka.

Poświata emanująca z jej klingi otoczyła ją, nabierając jednocześnie intensywności. Tyrande pomyślała o oczyszczającym blasku lunarnej bogini, który ukazywał wszystko takim, jakim było naprawdę.

Srebrzysta aura rozbłysła jasno.

W blasku Elune mgła się rozwiała. Demonów na ziemi i w powietrzu już nie przesłaniało. Mało tego, wszystkie skuliły się i odwróciły wzrok, nie będąc w stanie znieść boskiej iluminacji.

Cofając się, otworzyły drogę jeźdźcom.

– Tam, Dayh'Remarze! – krzyknęła Tyrande. – Jedź tamtędy!

Nie potrzebował zachęty. On i jego dwaj towarzysze oświetlili ścieżkę, która ukazała się po modlitwie kapłanki. Demony przed nimi, w większości oślepienie, nie stawiały większego oporu.

– Naprzód! Naprzód! – ponaglał dowódca Szlachetnie Urodzonych. Napastnicy przepuścili ich, żaden nie był w stanie oprzeć się światłu.

Pokrzepiona Tyrande entuzjastycznie podążyła ze resztą. Otaczający ją blask sięgał nieco poza skraj grupy. W duchu raz po raz dziękowała Elune za ten cud...

Ale gdy mijała szeregi Legionu, pochwyciły ją szponiaste łapy, ściągając z grzbietu nocnej pantery. Z okrzykiem zaskoczenia poleciała ku górze, oddalając się od towarzyszy.

Tyrande z wysiłkiem popatrzyła w wykrzywiony pysk strażnika zagłady. Oczy demona były przymknięte, a nierówny oddech świadczył o bólu, jaki sprawiała mu otaczająca ją jasność.

Bez wahania cięła mieczem opancerzoną postać. Cios poszedł bokiem, ale zaskoczył napastnika, który rozluźnił uchwyt jednej ręki. Tyrande nie miała okazji spojrzeć w dół, żeby przekonać się, jak wysoko nad ziemią się znajduje. Mogła się tylko modlić, by Elune zamortyzowała upadek. Z ponurą determinacją wbiła ostrze w pierś strażnika zagłady.

Demon targnął się, wydzierając jej miecz i wypuszczając ją z rąk. Tyrande próbowała uchwycić się trupa, chcąc wciągnąć go pod siebie, gdy zderzą się z ziemią. Niestety, wijący się w przedśmiertnych drgawkach strażnik zagłady znalazł się poza jej zasięgiem. Zacisnęła powieki. Modliła

się do swej bogini, ale jej ostatnie myśli pobiegły ku Malfurionowi. Będzie obwiniał się za jej śmierć, jeśli teraz zginie, a nie chciała obarczać go takim brzemieniem. To, co ją spotkało, zrzędzili bogowie, on za to nie odpowiadał. Tyrande zdawała sobie sprawę, że Malfurion zrobił wszystko, co w jego nocy, ale los ich ludu był ważniejszy niż jej marna osoba.

Gdyby tylko mogła spojrzeć mu jeszcze raz w twarz...

Tyrande uderzyła o ziemię... ale nie tak wyobrażała sobie zderzenie. Lekko się tylko zatrzęsła, choć mogło się skończyć na połamanych kościach i rozłupanej czaszce. Dotknęła palcami błota. Bez wątpienia wylądowała... ale skoro tak, jakim cudem była wciąż w jednym kawałku? Przetoczyła się do pozycji siedzącej i rozejrzała. Aura wokół niej zgasła, otaczała ją tylko mgła i była sama, jeśli nie liczyć zmasakrowanych ciał elfów i demonów. Nie, nie sama. Z napływającej mgły wyłoniła się wysoka, tak dobrze jej znana postać, na widok której elfka oblała się rumieńcem.

– Malfurion!

Ale w tej samej chwili, w której wymówiła jego imię, zorientowała się, że wybrała niewłaściwe. Illidan, starając się ukryć grymas, nachylił się nad kapłanką.

– Ty głuptasie... – Wyciągnął do niej rękę. – No i co? Chodź ze mną... jeśli chcesz pożyć wystarczająco długo, żeby zobaczyć, jak ocalam świat!

PIĘTNAŚCIE



Nad samym środkiem Studni Wieczności płonęła jasnym blaskiem Dusza Demona. W otchłani utworzonej przez zakłęcie Sargerasa kotłowały się siły przebudzone przez Duszę i Studnię, tworząc powoli stabilny portal. W swoim potwornym królestwie pan Legionu przygotowywał się do najnowszego podboju. Wkrótce usunie z Azeroth wszelkie życie, wszelkie istnienie... a potem przeniesie się do następnego dojrzałego świata.

Ale i inni czekali z zapartym tchem, inni, których marzenia były jeszcze starsze niż pragnienia władcy demonów. Czekali już od bardzo dawna na okazję ucieczki, sposobność odzyskania tego, co kiedyś do nich należało. Każdy sukces Sargerasa na drodze do wzmocnienia portalu był ich sukcesem. Dzięki Studni, Duszy Demona i potędze pana Legionu otworzą okno w swoim wiecznym więzieniu.

A kiedy okno zostanie otwarte, nie będzie już można go zamknąć. Prastarzy Bogowie czekali. Czekali już od tak dawna, że mogli poczekać jeszcze trochę dłużej.

Ale tylko trochę...



Kiedy przybycie Sargerasa stało się nieuniknione, Archimond rzucił do walki wszystkie siły. Ściągnął wojowników ze wszystkich stron, wiedząc, że klęska armii obrońców będzie oznaczać klęskę tego świata.

Obrońcy walczyli, bo nie mieli innego wyboru. Nocne elfy, taurenowie i pozostałe rasy wiedzieli, że poddanie się oznacza podłożenie karku pod ostrza demonów. Mogli przegrać, ale najpierw mieli zamiar dać z siebie wszystko.



Malfurion starał się wywiązać ze swojego zadania. Jego zaklęcia przyzywały trąby powietrzne, które unosiły w powietrze wojowników i bestie, a potem upuszczaly ich z wysoka na pewną śmierć. Nasiona ciśnięte przez niego na wiatr rozrastały się w brzuchach demonów, rozrywając je na strzępy. Martwe ciała spadały z góry na Legion, powodując dalsze spustoszenia.

Głęboko pod ziemią druid odnalazł ryjące stworzenia, robaki i inne, którym do tej pory udawało się ukryć przed złem. Ponagłone przez niego, zaczęły się kłębić pod ziemią, wzruszając ją i czyniąc niestabilną. Rogaci wojownicy zapadli się pod nią nagle jak na ruchomych piaskach, a ci, którzy ugrzęźli, stali się łatwym celem dla łuczników i oszczepników.

Na niebie demony utrzymywały przewagę, ale wysokim kosztem. Łucznicy Jaroda prawie całą uwagę poświęcali strażnikom zagłady i innym latającym bestiom. Choć skrzydlate furie siały straszliwe spustoszenie, wiele z nich skończyło z bełtami w karku.

Księżycowa Gwardia walczyła mężnie z Eredarami, infernalami i, co gorsza, upiornymi władcami. Nocne elfy miały wsparcie nie tylko Rhonina i Krasusa, ale także szamanów taurenów i furbolgów. Szamani działali w znacznie subtelniejszy sposób, ale o ich skuteczności świadczył fakt, że atakowani przez nich warlockowie padali martwi albo po prostu znikali.

Ale zabite demony wciąż były zastępowane przez nowe.

Brox stał w pierwszej linii wraz z Jarodem i legendarnymi strażnikami Kalimdoru. Ork wydawał się równie niesamowitą istotą jak te, u których boku walczył. Brox nie śmiał się tak od dnia bitwy, w której on i jego towarzysze spodziewali się zginąć bohaterską śmiercią. Siwiejący wojownik był przygotowany na śmierć, a jego topór wciąż siał popłoch wśród demonów, przebijając się przez szeregi wroga, jak gdyby łaknął ich mięsa. Działo się tak nie tylko za sprawą magii, jaką został nasycony, ale też wprawy, z jaką posługiwał się nim ork. Brox był mistrzem w swoim fachu i właśnie dlatego jego wódz, Thrall, powierzył mu tę misję.

Nagle stado piekielnych bestii zaskoczyło jednego z niedźwiedzi, wskakując na niego i błyskawicznie go obalając. Jeszcze zanim ich gigantyczny przeciwnik dotknął ziemi, do stada dołączyły kolejne ogary. Ich macki natychmiast przyssały się do kudłatego ciała i potwory zaczęły żarłocznie spijać wrodzoną magię strażnika... a wraz z nią jego życie.

Bliźniak powalonego ryknął gniewnie, gdy zobaczył, co się stało. Roztrzając na boki piekielnych gwardzistów, rzucił się na straszliwe pijawki. Półbóg odrywał je jedną po drugiej od nieruchomego ciała,

urywając łby i łamiąc karki. Ale kiedy przedostał się do brata, natychmiast stało się jasne, że pomoc nadeszła za późno.

Unosząc wysoko głowę, strażnik lasu zaryczał z bólu, po czym odwrócił się w stronę armii demonów i zaszarżował na nie tak, jak gdyby były zrobione z papieru. Choć włócznie i inna broń wbijały mu się w boki, wdzierał się coraz dalej w głąb Płonącego Legionu, szybko zostawiając towarzyszy daleko w tyle, aż w końcu zniknął im z oczu. Brox i Jarod, walczący najbliżej linii frontu, usłyszeli jego ostatni, pozbawiony skruchy ryk... a potem ponuro przyjęli ciszę, jaka po nim nastąpiła.

Jak okiem sięgnąć, wszędzie po ziemi wały się trupy i nierzadko przeciwnicy ścierali się stojąc na ciałach swoich poprzedników. Półbogowie walczyli obok nocnych elfów, nocne elfy walczyły obok taurenów, taurenowie walczyli obok furbolgów, Ziemnych i innych ras. Na wszystkich twarzach gościł ten sam wyraz ponurej determinacji.

Legendarnymi strażnikami Kalimdoru wciąż dowodził Cenarius, który przedzierał się przez szeregi demonów z dzikością szokującą nawet Rhonina i Krasusa. Jego sękate szpony przebijały pancerze i ciała, rozrzucając po polu bitwy wnętrzności potwornych wojowników. Władca kniei walczył jak opętany, a ze śmiercią każdego kolejnego strażnika jego wysiłki stawały się coraz bardziej przerażające i niezmordowane. Wydawało się, że chce zastąpić każdego z poległych, bez względu na to, ile go to będzie kosztowało.

A strażnicy ginęli. Osaczony przez piekielnych gwardzistów jak zwierzyna nękana przez psy gończe, wielki odyniec, Agamaggan, zaczął w końcu słabnąć. Wpadł jak taran na kilka piekielnych bestii, wyrzucając je w powietrze albo przebijając kłami, ale w końcu ciężar tak wielu demonów okazał się zbyt wielki. Półbóg padł na kolana i wtedy jego niezmordowani przeciwnicy zasypali jego pierś gradem ciosów. Wielka bestia spróbowała

zrzucić z siebie część z nich, ale był to jej ostatni wysiłek. Brocząc krwią z setki głębokich ran, stęknął... i ucichł. Ale nawet wtedy zaciekle ataki na jego ciało nie ustały – demony były tak pochłonięte rzezią, że jeszcze nie zauważyły, iż go zabiły.

Ta ostatnia śmierć jeszcze bardziej rozjuszyła Cenariususa. Spadł na demony siekące mieczami okaleczonego trupa, miażdżąc im gardła lub nabijając je na kolczastą grzywę martwego półboga. Wstąpiła weń taka furia, że w końcu stał się głównym celem ataków Płonącego Legionu. Niewidzialna dłoń Archimonda popychała najpotężniejsze demony ku władcy kniei.

Krasus i reszta walczyli o własne przetrwanie, nie mogli więc nic zrobić. Przerażający wojownicy coraz liczniej otaczali mentora Malfuriona, aż w końcu poroże Cenariususa ledwo było widać.

I wtedy, gdy wydawało się, że on również zaraz polegnie, pojawił się rozbłysk białego światła, które Rhonin już kiedyś widział. Gigantyczna czworonożna postać zderzyła się czołowo z hordą demonów. Poroże kilka razy większe od rogów władcy lasu odrzuciło płomiennych wojowników od słabnącego Cenariususa. Ogromne kopyta gruchotały twarde czaszki i wgniatały opancerzone piersi. Zęby odgryzały kończyny i rozrywały gardła.

Dopiero wtedy niesamowita istota ukazała się w całej swej krasie. Nad osłabionym Cenariususem stał wspaniały, śnieżnobiały jeleń, który bronił demonom dostępu do niego. Jego sierść lśniła tak jasno, że słudzy Płonącego Legionu byli na wpół oślepieni, co czyniło ich łatwym łupem.

Jeleń raz po raz robił użytek z poroża, oczyszczając z nieprzyjaciół krwawe pole przed sobą. Nic, nawet infernale, nie było w stanie go powstrzymać. Oczyszczył z demonów nie tylko otoczenie powalonego władcy kniei, ale i pobliskich obrońców.

Nagle przytłaczające spojrzenie jelenia padło na Broxa i Jaroda. Olbrzymia istota nie przemówiła do nich, a jednak wiedzieli, że mają zabrać Cenariususa z pola bitwy. Zajęli się tym, mimo że runęła na nich kolejna fala potwornych napastników. Ale w konfrontacji z jeleniem nic nie mogło się długo ostać. Szeregi demonów atakowały z dobytą bronią, aby chwilę później zostać rozszarpanym na strzępy.

Ale nawet jeśli ostrza Legionu nie były w stanie poradzić sobie z tym nowym przeciwnikiem, horda dysponowała innymi, groźniejszymi narzędziami. Z nieba spadła nagle czarna błyskawica, która wypaliła ziemię wokół jelenia. Zaraz po niej pojawiły się ciemnozielone płomienie, które osmały nieskazitelnie czystą sierść półboga. Zwęglona ziemia uniosła się, tworząc szponiaste łapy, które zacisnęły się mocno na czterech kopytach. Szeregi demonów rozstały się... i naprzód wyszedł sam Archimond.

Archimond rósł z każdym krokiem w stronę jelenia, aż w końcu dorównywał mu wzrostem. W odróżnieniu od swoich szalonych wojowników dowódca demonów zachował kamienny, niemal analityczny wyraz twarzy. Nie miał żadnej broni, ale jego zaciśnięte pięści emanowały takim samym potwornym ogniem, jaki płonął wokół jelenia.

Półbóg otrząsnął się, zrzucając z siebie wyrosłe z ziemi szpony. Potem, prychnąc wyzywająco, pochylił poroże i runął na arcydemonia.

Ich zderzeniu towarzyszył huk i wstrząs, który obalił na ziemię walczących w promieniu wielu metrów. Demony i nocne elfy uciekały przed budzącą grozę furią ich pojedynku. Tam, gdzie kopyta jelenia uderzały o twardą ziemię, leciały w niebo iskry. Stopy Archimonda wbijały się głęboko w glebę, pozostawiając rozpadliny i wypiętrzając pagórki wyższe od jego wojowników.

Pazury demona zostawiały na skórze jelenia krwawe blizny. Lśniące punkty ziejące zielonym ogniem znaczyły miejsca, gdzie poroże przeszło

pozornie nieprzenikalną skórę Archimonda. Demon i półbóg zmagali się ze sobą i żadna żywa istota nie ważyła się stanąć im na drodze.

Tymczasem Jarod i Brox, do których w połowie drogi dołączył Ziemny Dungard, zawlekli powalonego Cenariususa do miejsca, gdzie stał Krasus. Narażając się na atak Eredarów, Krasus przerwał walkę, by zbadać stan władcy kniei.

– Odniósł wiele ciężkich ran – mruknął Dungard, wyjmując fajkę.

– Jest w ciężkim stanie – przyznał mag, przesunawszy dłońmi wzdłuż piersi Cenariususa. – Trucizna, która jest częścią wszystkich demonów, ma na niego o wiele większy wpływ niż na innych, być może z powodu więzi łączącej go z Kalimdorem. – Krasus się skrzywił. – Ale myślę, że przeżyje...

W tej samej chwili półbóg coś wymamrotał. Krasus ukląkł na tyle blisko, żeby słyszeć wyraźnie jego słowa, a kiedy podniósł głowę, na jego obliczu malował się smutek.

– O co chodzi? – zapytał Jarod.

Ale zanim Krasus zdążył odpowiedzieć, z pola bitwy dobiegł ich straszliwy krzyk. Gdy wszyscy odwrócili się w stronę, z której dobiegł, zobaczyli, jak Archimond, z jednym ramieniem wokół szyi jelenia, drugim przekręca jego pysk w przeciwną stronę. Głowa jelenia tkwiła już pod nienaturalnym kątem – to on wrzasnął.

Krasus zerwał się na równe nogi.

– Nie! Nie wolno mu!

Ale było już za późno. Demon, wciąż z obojętnym wyrazem twarzy, wzmocnił nacisk. Po całej okolicy rozszedł się echem rozgłośny trzask, który sprawił, że na krótką chwilę ucichły wszystkie inne hałasy. W uścisku Archimonda mężny obrońca Cenariususa padł bez życia. Z rażącą obojętnością arcydemon odrzucił przeciwnika tak, jak odrzuca się jakiś

śmieć. Potem wytarł ręce i popatrzył na oszołomionych obrońców. Nagle spod pozornie martwej ziemi wystrzeliły w górę pnącza, oplatając członki Archimonda i zaciskając się mocno. Niezrażony tym demon zerwał kilka z nich, ale kiedy próbował je odrzucić, owinęły mu się wokół nadgarstka. Kolejne zajęły miejsce tych usuniętych.

Malfurion Stormrage wystąpił naprzód, stając naprzeciw oddalonego demona ze wzrokiem tak martwym jak wtedy, gdy po raz pierwszy powiedział pozostałym o porwaniu Tyrande. Otoczony przez wyładowania elektryczne, nieprzerwanie szeptał coś nad drobnym przedmiotem, w którym Krasus rozpoznał liść podobny do tych porastających pnącza.

Wyraz twarzy Archimonda nie zmienił się, ale jego ruchy stały się gorączkowe. Pnącza okrywały już trzy czwarte jego ogromnej postaci i wszystko wskazywało na to, że zaraz przykryją resztę.

Być może arcydemon zdał sobie z tego sprawę, bo przestał się szarpać z dławiącymi go roślinami. Zmrużył oczy i uwolnił ręce na tyle, by zetknąć je dłońmi. Przerazający dowódca Legionu zaplótł palce... i znikł w rozbłysku zielonych płomieni. Malfurion wydał stłumiony okrzyk. Druid padł na jedno kolano, kręcąc głową.

– Zawiodłem go... – Usłyszeli jak Brox i mag szepczą równocześnie. – Zawiodłem swojego shan'do, kiedy najbardziej mnie potrzebował...

Ork i Ziemny popatrzyli na Krasusa, oczekując wyjaśnień. Okutana postać zacisnęła na chwilę usta, a potem spokojnie wytłumaczyła:

– Matką Cenariusza, władcy kniei, jest wielka zielona smoczyca, Aspekt zwany Yserą.

Dungard, który pykał fajkę, zmarszczył brwi, a potem powiedział:

– Mój lud zawsze sądził, że władcę lasu zrodziła Elune...

– Prawda jest dość skomplikowana – odparł Krasus.

Brox nie odzywał się, wiedząc, że mag jeszcze nie skończył.

– Jego ojcem... – podjął mag – jego ojcem jest prastary leśny duch, Malorne...

Po chwili ork zapytał w końcu:

– Więc?

– Malorne... zwany też Białym Jeleniem.

Dungard prawie wypuścił fajkę z ust. Brox ze świstem wciągnął powietrze w płuca. Rozumiejąc już, popatrzył ku miejscu, gdzie wielkie poszarpane ciało leżało rozciągnięte sromotnie pośród innych trupów. Ojciec przybył ocalić syna za cenę własnego życia, co każdy ork dobrze rozumiał.

– Zawiodłem go... – powtórzył Malfurion, podnosząc się z trudem. Popatrzył na Krasusa. – Od ciebie dowiedziałem się, że Ysera jest matką mojego shan'do, co samo w sobie było zaskoczeniem, ale znałem już prawdę o Malornie. Cenarius wyjawiał mi podczas nauk, że jest potomkiem Białego Jelenia... – Nocny elf zacisnął pięść. – A kiedy zobaczyłem, co Archimond zrobił temu, który był dla mnie jak rodzic, niczego nie pragnąłem bardziej niż wycisnąć życie z tego nikczemnika.

Krasus położył druidowi rękę na ramieniu, chcąc go pocieszyć.

– Nie trać ducha, młodzieńcze. Zmusiłeś Archimonda do opuszczenia pola bitwy, to nie lada wyczyn... – Mag zmrużył oczy, spoglądając w stronę masakry. – Przynajmniej zyskaliśmy na czasie...

Malfurion otrząsnął się ze smutku.

– Przegrywamy, prawda?

– Obawiam się, że tak. Mimo wszystkich sił, które przeciw nim rzucamy, demony są wciąż zbyt silne. Byłem pewny... sądziłem... – Krasus splunął. – Ośmieliłem się odwrócić bieg Czasu, zlekceważyłem własne przeczucia... a efektem jest katastrofa za katastrofą!

– Nie rozumiem...

– Wiedz jedno: jeśli smoki nie pojawią się i to szybko, zginiemy. Jeśli nie od ostrzy Płonącego Legionu, to od zła mroczniejszego i znacznie starszego, które manipuluje nawet straszliwym Sargerasem! Wiesz, o kim mówię! Poczuleś ich obmierzłą obecność! Wiesz, co chcą uczynić z tym światem! Chcą...

Krasus zawył.

– Co... – zaczął druid.

Krasus zgiął się do ziemi. Pozostali patrzyli z przerażeniem, jak jego kończyny zaczynają zmieniać się w kamień.

– Eredarowie! – krzyknął Malfurion. Poczul, jak jego własne nogi zaczynają się wykrzywiać, co zapowiadało taki sam tragiczny los, jaki spotkał maga. – Brox! Odszukaj Rhonina...

Ale ork wcale nie był w lepszym stanie niż nocny elf. Choć Archimond został ranny, było jasne, że to on zaplanował zdradziecki atak wymierzony tylko w nich. Dowódca Sargerasa wiedział dobrze, że uśmiercenie Krasusa i jego towarzyszy zlikwiduje ostatnią przeszkodę, która dzieliła Płonący Legion od zwycięstwa. Ucierpiał nawet Jarod.

I kiedy już wszyscy czuli, że kamień zgniata im płuca i wyciska z nich ostatni oddech, usłyszeli w myślach kobiecy głos, który przyniósł im pokrzepienie i wolę walki: *Nie bójcie się... i oddychajcie swobodnie...*

Krasus, Malfurion, Brox i Jarod z wdzięcznością wciągnęli powietrze w płuca. Jednocześnie zauważyli, że zerwał się wiatr, a nad nimi przeleciał ogromny kształt.

– Przyleciała! – ryknął Krasus, wznosząc ręce ku niebu. – Przyleciały!

Na niebie zaroilo się od smoków.

Były wśród nich smoki czerwone, zielone i brązowe – stada Alexstraszy, Ysery i nieobecnego Nozdormu. Dwa Aspekty zdominowały cały szyk, ich

ogromne skrzydła miały rozpiętość kilkukrotnie większą niż skrzydła największych z pozostałych smoków.

Lewiatany zanurkowały równocześnie ku demonom, które były wciąż skupione na wrogach na ziemi.

– Jarod! – zawołał Krasus, obracając się do dowódcy obrończej armii. – Każ dąć w rogi tak głośno i długo, żeby nie było żadnych wątpliwości co do naszych zamiarów! Wciąż możemy zwyciężyć!

Jarod dopadł najbliższej nocnej pantery i odjechał. Kiedy zniknął w oddali, atak smoków rozpoczął się na dobre.

Rząd szkarłatnych olbrzymów otworzył potężne pyski, rozpętując piekło. Ogień zalał pierwsze szeregi Legionu, w mgnieniu oka spopielając kilkaset demonów.

Nad rzędami demonów przemknęły brązowe smoki... i potworni wojownicy zaczęli się cofać. Lecz choć dla nich czas zaczął biec wstecz, dla tych za ich plecami wciąż biegł naprzód, co doprowadziło do gigantycznej kolizji. Wśród wojowników Archimonda zapanował całkowity chaos.

Jeden z brązowych smoków spadł w dół zniekształcony nie do poznania, gdy Eredarowie i Nathrezimowie próbowali zatrzymać ten imponujący atak. Ale gdy stado Ysery zawisło nad nimi, ich zaklęcia zamiast na wrogach, skupiły się na nich samych. Zamknięte, senne ślepie zielonych smoków sprowadziły na czarodziejów koszmary. Warlockowie patrzyli na siebie i widzieli wszędzie dookoła tylko wrogów.

Zareagowali zgodnie z przewidywaniami. Eredar zabijał Eredara, a Nathrezimowie chętnie przyłączyli się do rzezi. Demony uwięzione w mrocznych snach na jawie były dla siebie bezlitosne i nawet Archimond nie był w stanie wyprowadzić ich ze śmiertelnego błędu.

Alexstrasza opadła na ziemię na tyłach tego zamętu, w miejscu, gdzie czekali na nią Krasus i pozostali. Ysera miała zamiar zrobić to samo, ale nagle, ku zdziwieniu tych, którzy ją znali, oczy Aspektu otworzyły się szeroko uderzone straszliwym widokiem na środku pola bitwy. Piękne, lśniące ślepia barwy jadeitu wpiły się w białego, rogatego trupa.

Trupa Malorne'a.

Smoczyca wydała z siebie skowyt – nie ryk, ale bardzo żalony skowyt – i pomknęła ku poległemu jeleniowi. Demony, które wciąż znajdowały się w pobliżu, padły ofiarą jej wzburzenia. Kilka zabiła kłapnięciem szczęk, inne zmiażdżyła, a resztę posłała w powietrze uderzeniem potężnego ogona.

Kiedy nie było już nikogo, na kim mogłaby wylądować swoją żalność, Ta, Która Śni opadła na ziemię obok jelenia i oparła brodę na jego zgruchotanej głowie. Całym jej ciałem wstrząsał szloch.

– Wiedzieliśmy, że się spóźnimy... – zdołała wykrztusić Alexstrasza, przyglądając się towarzysze z pełnym zrozumieniem. – Ale nie aż tak bardzo...

– Cenarius wciąż żyje – przypomniał Krasus. – Trzeba jej to uświadomić.

Skinąwszy łbem, Aspekt Życia zamknęła na moment oczy. Chwilę później Ysera uniosła głowę i spojrzała w ich stronę. Dwa olbrzymy popatrzyły na siebie, a potem Ysera wzbiła się w powietrze znad ciała Malorne'a.

Pozostali cofnęli się, gdy wylądowała obok nieprzytomnego Cenariususa. Z niezwykłą delikatnością wzięła leżącego na brzuchu władcę kniei między przednie łapy.

– Będą ich nawiedzać takie koszmary, że to, co mają w miejscu serc, wybuchnie... – zgrzytnęła. – Sprowadzę na nich ich własne demony, które

doprowadzą ich do takiego szaleństwa, że będą w stanie myśleć wyłącznie o śmierci... ale nie pozwolę im się obudzić na dość długo, by się zabić...

Ciągnęłaby dalej – i spełniłaby swoją obietnicę – ale Krasus ośmielił się jej przerwać.

– Sprowadź na Legion los, na jaki zasłużył, o Ty, Która Jesteś Śnieniem, ale nie zapominaj, że przyszłość Kalimdoru, za którą tak mężnie walczyli Malorne i Cenarius, wciąż wisi na włosku! Sargerias szuka drogi na śmiertelny plan... a Prastarzy Bogowie chcą się nim posłużyć, aby uciec!

– Jesteśmy tego świadomi – wtrąciła Alexstrasza, zanim rozkojarzona Ysera zdążyła odburknąć coś magowi. – Co takiego powinniśmy zrobić?

– Walka musi się nadal toczyć tutaj, ale musi też objąć Zin–Azshari... i Studnię. Muszą w niej wziąć udział smoki i śmiertelnicy, bo trzeba będzie stawić czoła wielu żywiołom.

– Powiedz nam, jaki masz plan.

Ysera prawie zaprotestowała, ale Alexstrasza nie miała zamiaru pozwolić nawet na chwilę zwłoki.

– Znasz go! Musisz tylko w niego wejrzeć, aby przekonać się, że należy go słuchać!

Szmaragdowa smoczyca kiwnęła w końcu łbem.

– Byle tylko demony cierpiały.

– Wszyscy będziemy cierpieć – rzekł zakapturzony mag. – Jeśli pozwolimy, aby portal osiągnął pełne rozmiary... – Krasus spojrział w kierunku odległego Zin–Azshari. – Co nastąpi już niebawem, jeśli przeczucie mnie nie myli...



Sargeraz wyczuwał skrywany niepokój Archimonda. Władca demonów był rozczarowany swoim najbardziej zaufanym sługą, który nigdy dotąd go nie zawiódł, ale miał zamiar ukarać go później. Portal był już prawie gotowy. Sargeraz zastanawiał się, dlaczego obmyślenie tego planu zajęło mu tyle czasu. Wszystko okazało się tak proste.

Ale na dłuższą metę nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, że wkrótce wkroczy do Kalimdoru, a kiedy do tego dojdzie, wszystkie smoki świata nie będą w stanie go przed nim ocalić...



Czuli, że chwila wydostania się na wolność zbliża się wielkimi krokami. Paradoksalnie ten, który był kiedyś jednym ze znienawidzonych Tytanów, stanie się narzędziem ich wyzwolenia! Potrzeba było połączonych sił wielu Tytanów, aby ich uwięzić; po ich triumfalnym powrocie wystarczy niewielki wysiłek, aby zlikwidować tę arogancką istotę i zmusić jej niewolników, aby służyli teraz ich sprawie.

Portal był coraz mocniejszy. Chwila, w której będą mogli go przejść, była coraz bliżej. Najzabawniejsze było to, że te żalosne stworzenia walczące z wojownikami upadłego Tytana myślały, że zdołają odebrać mu dysk. Nawet teraz uwięzione istoty czuły jak smoki – psy Tytanów – zbliżają się do Studni.

Czekała je zabójcza niespodzianka.

SZESNAŚCIE



Nad Studnią szalała burza tak potężna, że Malfurion bez trudu widział ją nawet z tak dużej odległości. Nie była to zwykła nawałnica, nawet nie jedna z tych, które często nawiedzały te tajemnicze wody. Tę burzę wywołały siły, które nie należały do śmiertelnego planu, siły zbyt podobne do tych uwolnionych przez Płonący Legion.

Płonący Legion... i kogoś jeszcze.

Druid nie rozumiał do końca, kim lub czym była Trójka, mimo że dotknęło go ich prastare zło. Prawdę mówiąc, Malfurion nie chciał wiedzieć więcej. To, co zdołało wkraść się do jego umysłu podczas wyprawy do kryjówki Skrzydeł Śmierci, wystarczyło, żeby przekonać go, że takim istotom nigdy nie powinno się pozwolić dostać do Kalimdoru... o ile – podobnie jak powstrzymanie pana Legionu – było to w ogóle możliwe.

Podniósł głowę i rozejrzał się wokół siebie. Nadzieja ich świata. Tuzin smoków z Alexstraszą i Yserą na czele. Zaraz za nimi leciała kolejna samica reprezentująca smoki brązowe. A potem trzy smoki, po jednym z każdego stada, będące oblubieńcami Aspektów, w tym oblubienica Nozdormu, o której wspominał wcześniej Krasus.

Smoczy mag siedział na barkach czerwonej olbrzymki i wydawał się napawać pędem wiatru. Malfurion, który wiedział, kim Krasus jest naprawdę, podejrzewał, że mag wyobraża sobie, że jest jednym z tuzina lewiatanów mknącym na własnych skrzydłach przez przestworza.

Brox dosiadał przywódcę brązowych, a Rhonin jednego z partnerów Alexstraszy. Starszy oblubieniec czerwonego Aspektu – Tyranastrasz – dowodził smokami w bitwie z Archimondem, ale pozostali – oprócz powalonego Korialstrasza – towarzyszyli smoczycy. Malfurion miał zaszczyt dosiąść Ysery. Właściwie to ona nalegała, aby go nieść.

– Jest z ciebie dumny – powiedziała do druida, mając na myśli Cenariususa – a za to, co próbowałeś zrobić dla niego i Malorne’a, jestem ci to winna...

Nie potrafiąc znaleźć stosownej odpowiedzi, Malfurion po prostu się przed nią uklonił, a potem wspiął na jej grzbiet. Chwilę później tak po prostu wzbili się w powietrze, aby stawić czoła przerażającej potędze władcy demonów i tych, którzy nim manipulowali.

Tak po prostu... mając świadomość, że wszyscy mogą zginąć. Ale sytuacja Malfuriona była jeszcze bardziej skomplikowana. W tej chwili nie bał się wcale własnej śmierci – był gotów na każde poświęcenie, aby zapobiec tak straszliwemu zagrożeniu – za to martwił się o innych. Gdzieś w pobliżu celu ich podróży, niedaleko Zin–Azshari lub w samym mieście, miał nadzieję odnaleźć Tyrande i Illidana.

Wciąż nie mógł wybaczyć sobie tego, co przydarzyło się Tyrande, i nie mógł też winić jej, jeśli nie będzie potrafiła wybaczyć jemu. Pozwolił, aby spotkał ją niewyobrażalnie straszny los, aby wpadła w szpony Legionu. Nie, jeśli elfka wciąż żyła, nie spodziewał się z jej strony niczego prócz nienawiści i wzgardy.

Czego spodziewał się po sobie w razie spotkania z bratem, nie był sobie nawet w stanie wyobrazić, ale coś trzeba było z nim zrobić.

Coś.



– Illidanie, proszę! Musisz mnie wysłuchać! – zawołała Tyrande, gdy czarodziej pociągnął ją za sobą. Nie był to pierwszy taki jej wybuch, ale miała nadzieję, że może tym razem potraktuje jej słowa poważniej. – Nie wkraczaj na tę ścieżkę! Pomyśl! Posługując się mocą Legionu przesiąkasz coraz bardziej jego złem!

– Nie opowiadaj bzdur! Mam zamiar ocalić Kalimdor! Zostanę jego ubóstwianym bohaterem! – Odwrócił się do niej. – Nie rozumiesz? Nic innego nie odniosło skutku! Walczyliśmy i walczyliśmy, a demonów było coraz więcej! W końcu uświadomiłem sobie, że jedynym sposobem pokonania demonów jest zrozumienie ich tak, jak tylko one same siebie rozumieją! Musimy wykorzystać tę wiedzę przeciwko nim! Dlatego tu zawędrowałem i udałem, że wstępuję w ich szeregi! Nawet ich pana oszukałem do tego stopnia, że obdarzył mnie swoim największym darem...

– Darem? Nazywasz to, co zrobił z twoimi oczami, darem?

Brat Malfuriona nachylił się nad nią – w tej chwili wyglądał bardziej jak demon niż jak nocny elf.

– Gdybyś mogła zobaczyć to, co ja... – Z uśmiechem, który przyprawił ją o dreszcz, Illidan znów pozwolił jej popatrzeć na jamy, które kiedyś były jego oczami. Nie zauważył, że Tyrande cofnęła się tak samo jak za pierwszym razem, gdy pokazał jej, jak straszny los go spotkał. Zawijając

z powrotem szal, dokończył: – Tak, największym darem... i najpotężniejszym orężem przeciwko Płonącemu Legionowi...

Czarodziej znów pociągnął ją za sobą i choć kapłanka mogła mu się wyrwać, tak naprawdę nie chciała go zostawić. Bała się o niego, martwiła się o jego serce i umysł i chciała zrobić wszystko, co w jej mocy, aby ocalić pogubionego maga. Tylko częściowo kierowała się naukami Elune; Tyrande Whisperwind wciąż doskonale pamiętała młodszego Illidana, Illidana pełnego marzeń, nadziei i dobroci.

Modliła się w duchu, aby choć część tego młodszego Illidana przetrwała w tym zblazowanym osobniku o wygórowanych ambicjach, który włókł ją przez pogrążoną w mroku krainę.

Pamiętając opancerzone monstra, z którymi niedawno walczyła, Tyrande rozejrzała się wokół siebie. Wędrowali przez zrujnowane miasto i kapłanka w każdej chwili spodziewała się, że spomiędzy zgłiszcz wyskoczy i zaatakuje ich jeden z potwornych wojowników. Mannoroth musiał się już dowiedzieć o zdradzie Illidana. Widząc jej ukradkowe spojrzenia, a może nawet odczytując jej myśli, odziany na czarno mag poinformował Tyrande:

– Całą uwagę Mannorotha zaprzętają czary nad Studnią, poza tym nie ma o mnie zbyt wysokiego mniemania. Rzuciłem iluzję, że wróciłem do swojej kwatery i medytuję. – Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu. – Poza tym są teraz zajęci ucieczką grupy Szlachetnie Urodzonych, do której przyłączyła się kapłanka Elune.

W oddali rozległ się znów odgłos rogów dających sygnał do pościgu. Tyrande modliła się do Księżycowej Matki, aby miała w swej opiece Dath'Remara i jego towarzyszy. Czekala ich długa droga, na której musieli się zmierzyć z wieloma demonami. Lekceważąc jej niepokój o Szlachetnie Urodzonych, Illidan uśmiechnął się i dodał:

– Tak, powinienem mieć dość czasu.

– Czasu na co? – Już zadając to pytanie Tyrande dojrzała w oddali czarne, złowróżbne wody. – Dlaczego kierujemy się w stronę Studni?

– Ponieważ zamierzam zmienić portal Sargerasa w wir co się zowie, który wysie demony z Kalimdoru z powrotem do ich świata! Całkowicie odwrócę efekt działania smoczego dysku! Pomyśl tylko! Jednym zaklęciem ocalenie tylko nasz lud, ale cały świat!

Wyraz jego twarzy się zmienił, wydawało się, że liczy na słowa uznania. Ale kiedy Tyrande nie wyraziła natychmiast aprobaty, Illidan znów zrobił się szorstki.

– Nie wierzysz, że jestem do tego zdolny! Może gdybym był twoim drogim Malfurionem, podskakiwałabyś z uciechy w górę i w dół, oklaskując mój spryt!

– To zupełnie nie o to chodzi, Illidanie! Ja tylko...

– Nieważne! – Rozejrzał się po targanej nawałnicą okolicy, szukając czegoś. Jego potworny wzrok padł na powalony nadrzewny dom. Kąt, pod jakim leżał martwy dąb, pozwalał wspiąć się do środka, skąd roztaczał się wspaniały widok na Studnię Wieczności. – Idealnie! Wchodź do środka!

Popchnięta do przodu kapłanka przedostała się do wnętrza zrujnowanego domu. Czarodziej szedł zaraz za nią, szturchając ją przynaglająco. Gdy wdrapała się do przewróconego budynku, kopnęła coś nogą.

Czaszka.

Stała pośród sterty kości należących do przynajmniej pięciu, sześciu osób. Żaden ze szkieletów nie był cały, a większość kości znaczyły długie, charakterystyczne zadrapania i wyłobienia. Tyrande wzdrygnęła się, mając nadzieję, że piekielne bestie posiliły się trupami, a nie żywymi, bezbronnymi ofiarami, ale bogatsza o doświadczenia, obawiała się najgorszego.

– Będziesz mogła się za nich modlić, kiedy już ocalę nas wszystkich – powiedział pogardliwie Illidan. – Tamten punkt wydaje się najlepiej...

Z cienia wyskoczył potwornie znajomy kształt.

Powalił bliźniaka Malfuriona, zanim ten zdążył zareagować. Tyrande wrzasnęła, a potem wezwała moc Elune.

Ale zanim zdołała cokolwiek zrobić, piekielna bestia, szukając już mackami piersi Illidana, zawyła boleśnie. Czarodziej wstał spokojnie i pochylił się nad wijącym się demonicznym ogarem. W prawej ręce ścisnął obie macki.

– Mógłbym użyć magii, którą się obzerałeś... – zwrócił się niemal bez troski do stwora.

Nocny elf przycisnął lewą dłoń do przyssawek. Ale piekielna bestia nawet nie próbowała wyssać energii z niedoszłej ofiary. Zamiast tego usiłowała, choć na próżno, cofnąć obmierzłe wąsy.

Lewa dłoń Illidana rozjarzyła się niesamowitą zielenią, w której Tyrande rozpoznała barwę straszliwych płomieni, jakie otaczały demony. Brat Malfuriona zrobił wdech... i Tyrande zobaczyła ze zgrozą, jak demon dosłownie obraca się w proch, skamłając do ostatniej chwili. Jego esencja została wessana w dłoń czarodzieja.

Tyrande patrzyła na Illidana z coraz większym przerażeniem. Chociaż zasłonił oczodoły szalem, widziała straszliwy ogień, który pod nim płonął. Na jego twarzy pojawił się szeroki, niemal nieprzytomny uśmiech, otoczyły go zielone płomienie równie intensywne jak te spowijające demony. Illidan wydawał się rosnąć...

Płomienie zgasły nagle, a czarodziej wrócił natychmiast do swojego dawnego wyglądu. Otarł rękę do czysta, po czym roztrącił nogą kupkę popiołu – wszystko, co zostało z piekielnej bestii. Wygladzając włosy, obdarzył Tyrande kolejnym pewnym siebie uśmiechem.

– Idziemy?

Kapłanka ukryła szok najlepiej jak potrafiła. To już nie był Illidan, z którym dorastała. Ten elf napawał się rzezią tak samo jak demony. A entuzjazm, z jakim przyjął w swoje ciało skazę Legionu, wzbudził w Tyrande odrazę, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczyła.

Księżycowa Matko, poprowadź mnie! Powiedz mi, co mam robić! Czy mogę go jeszcze ocalić?

– Tam – poleciał jej towarzysz. – Z tamtego miejsc na dachu będę widział środek Studni.

Minęli kości i wspięli się na elegancki niegdyś taras. Na ziemi w dole leżały połamane fragmenty balustrad ukształtowanych z żywego drzewa, a perłowy posąg Azshary – o dziwo, wciąż cały – zaplątał się w martwą koronę drzewa podtrzymującego dom.

Illidan zapałł się o posadzkę, którą kiedyś pokrywała mozaika. Ocalały z niej fragmenty leśnego krajobrazu przedstawiające dziwaczne zwierzęta, sielankową scenerię i bujną roślinność. Na środku zachowało się wniebowzięte oblicze królowej Azshary. Brat Malfuriona oparł głowę o jej pełne, choć teraz spękane usta.

– Już prawie czas – wymamrotał bardziej do siebie niż do niej. – Z sakwy przy pasie wyjął długą, wąską fioletkę. Choć szkarłatne szkło ukrywało jej zawartość, Tyrande miała wobec niej złe przeczucia. Jej niepokój wzrósł.

– Illidanie... co jest w tej buteleczce?

Nie oderwał wzroku od fioletki.

– Odrobina Studni.

– Co takiego? – Jego słowa, wypowiedziane z taką bez troską, wstrząsnęły nią do głębi. Illidan ośmielił się zaczerpnąć odrobinę źródła

mocy nocnych elfów? – Ale... nikt... to zakazane... nawet Szlachetnie Urodzeni nie śmieliby...

Czarodziej kiwnął głową.

– Nie... nawet oni. To taka interesująca cecha naszego ludu, nie uważasz, Tyrande? Ale z pewnością taki pomysł przyszedł już do głowy komuś przede mną... być może stąd się wzięły legendy o naszych największych czarodziejach. Być może w sekrecie zaczerpnęli ze Studni dla jakiegoś wyjątkowego zaklęcia czy dwóch! To prawdopodobne. – Illidan wzruszył ramionami, a wyraz jego twarzy znów stwardniał. – Ale nawet jeśli nikt do tej pory tego nie zrobił, nie widzę powodu, który miałby mnie powstrzymać. To było jak olśnienie. Wziąć dla siebie odrobinę wody ze Studni, a nie będzie rzeczy, której nie byłbym w stanie osiągnąć.

– Ale Studnia... nawet jej kropla... – Tyrande musiała sprawić, żeby przejrzał na oczy! Zabawy z wodami Studni prosiły się o katastrofę dorównującą przyjęciu mrocznej magii Legionu.

– Tak... wyobraź sobie, jaką moc zawiera cała ta fiolka... – Gdyby Illidan wciąż miał prawdziwe oczy, zapłonęłyby na myśl o spodziewanych sukcesach. – Powinna pozwolić mi ocalić świat!

Ale kapłanka nie była wcale taka pewna. Jako akolitka Elune znała legendy o Studni i jej historię o wiele lepiej od swojego towarzysza.

– Illidanie... wykorzystanie Studni przeciwko niej samej w taki sposób... to może rozpętać totalny chaos! Pamiętasz opowieść o Aru–Talis...

– Aru–Talis jest tylko mitem.

– A czy ziejący krater, od tyłu pokoleń zarośnięty zielskiem, też jest mitem?

Zbył jej ostrzeżenie machnięciem ręką.

– Nikt nie wie, co spotkało to miasto, ani nawet czy w ogóle kiedykolwiek istniało! Oszczędź mi swoich opowiastek o mądrości i

strachu...

– Illidanie...

Zasłoniętą szalem twarz wykrzywiła rosnąca wściekłość.

– Masz być cicho... *już!*

Żaden dźwięk nie wydobył się z ust Tyrande pomimo jej wytężonych wysiłków. Nawet kiedy kaszlnęła, stało się to w całkowitej ciszy.

Illidan ponownie wstał, obserwując sam środek Studni. Nawałnica rozszalała się do tego stopnia, że zrujnowany nadrzewny dom trząsł się pod podmuchami wzmagającej się wichury. Mannoroth nie mógł być aż tak ślepy, jak sądził bliźniak Malfuriona. Ale oprócz ogara nie natknęli się na żadne demony oprócz dwóch piekielnych gwardzistów, których Illidan odesłał w inną stronę prostym machnięciem ręki.

Nocny elf dotknął palcem zatyczki, która, co Tyrande zauważyła dopiero teraz, była maleńką, kryształową figurką królowej. Azshara okręciła się trzy razy, jak gdyby tańczyła dla czarodzieja, i Zatyczka wyskoczyła. Illidan złapał ją z łatwością.

– Patrz, Tyrande... patrz, jak robię to, czego twój drogi Malfurion nie potrafił zrobić...

I szybkim gestem wylał na siebie zawartość buteleczki.

Ale woda ze Studni nie zachowywała się jak zwykła woda, przynajmniej nie w zetknięciu z Illidanem. Elf nie zamókł, jedynie na krótką chwilę zrobił się wilgotny. Nic dobrego nie wróżył też fakt, że wszędzie tam, gdzie woda go dotknęła, zaśnił przez chwilę intensywną czernią. Potem niepokojąca aura wsiąkła w czarodzieja, tak jak wcześniej energia skradziona piekielnym bestiom.

– Na bogów... – wyszeptał. – Wiedziałem, że coś poczuję... ale to... to jest cudowne.

Kapłanka potrzęsnęła gwałtownie głową, ale Illidan zignorował jej niemy protest. Chciała ruszyć w jego stronę, ale odkryła, że stopy wrosły jej w ziemię. Księżycowa Matko!, pomyślała. Czy nie możesz mi pomóc? Ale Elune nie odpowiadała i Tyrande mogła się tylko dalej przyglądać Illidanowi.

Elf wyciągnął ramiona w stronę Studni i zaczął szeptać pod nosem. Czarna aura znów się pojawiła, tym razem skupiając się wokół jego rąk i z każdą sekundą nabierając intensywności. Przez szal widać było, że jego oczodoły płoną jak ogień. Nawet materiał wyglądał tak, jak gdyby zaczął się tlić. Ale kiedy Illidan zaczął czarować, wyostrzone zmysły Tyrande wyczuły obecność jakiejś obcej istoty. Kapłanka znów spróbowała go ostrzec, ale stał plecami do niej. Poczowała, jak niewidzialna obecność spowija niespodziewającego się niczego czarodzieja i zdała sobie jednocześnie sprawę, że nie jest to dotyk jednej, lecz wielu istot. Gdy ta straszna świadomość do niej dotarła, odniosła również wrażenie, że natura owych istot jest równie mroczna jak – nie, mroczniejsza nawet niż natura Sargerasa, który w Zin–Azshari dotknął ją swym plugawym umysłem. Zdumiało ją, że Illidan nic nie wyczuł. Przekonana, że musi to być kolejna podstępna sztuczka Płonącego Legionu, czekała, aż brat Malfuriona zostanie śmiertelnie porażony.

Ale zamiast tego zauważyła ze zdumieniem, że tajemnicze istoty wzmocniły zakłęcie Illidana, przydając mu niezwykłej potęgi, jakiej sam elf nie potrafiłby weń wsączyć. Czarodziej się roześmiał, gdy zakłęcie było już prawie gotowe, wyraźnie przeświadczony, że zawdzięcza to wyłącznie sobie.

Kapłanka zrozumiała nagle, że to, iż po drodze do Studni na nikogo się nie natknęli, nie było do końca zasługą Illidana. Coraz bardziej gorączkowo zanosila do Elune modlitwę za modlitwą. Musiała ostrzec przyjaciela, że

ktoś próbuje go wykorzystać. Była pewna, że jego wspaniałe zaklęcie spowoduje tylko jeszcze większą katastrofę.

Księżycowa Matko! Wysłuchaj moich prośb.

Tyrande napełniło boskie ciepło. Poczwała, że spada z niej zaklęcie nałożone przez Illidana. Znów wstąpiła w nią nadzieja.

– Illidanie! – zawołała natychmiast kapłanka. – Illidanie! Strzeż...

Ale czarodziej obracając się w jej stronę zetknął dłonie... i wystrzelił z nich promień czarnego blasku, który pomknął w burzowe niebo nad Studnią Wieczności. Tyrande poczuła, że istoty się wycofują. Co gorsza, wyczuła również ich ogromne zadowolenie.

Jej ostrzeżenie nadeszło zbyt późno.



Sargeras poczuł, że ostatnie bastiony oporu nagle padły. Portal, na którym tak mu zależało, był już prawie gotowy. Wkrótce będzie mógł wkroczyć do tego skażonego życiem świata...



Krasus się targnął.

– Co się stało? – zawołała Alexstrasza.

Zakapturzona postać patrzyła w stronę miniaturowego z tej odległości Zin–Azshari... i potężnej burzy szalejącej nad Studnią Wieczności, wzdrygając się.

– Obawiam się, że mamy jeszcze mniej czasu, niż sądziłem...

– W takim razie musimy się jeszcze bardziej spieszyć! – Wielka czerwona smoczyca zaczęła machać mocniej skrzydłami, napinając mięśnie z wysiłku.

Oglądając się za siebie, Krasus stwierdził, że pozostałe smoki poszły w jej ślady. Wszyscy czuli, że teraz bardziej niż kiedykolwiek czas działa na ich niekorzyść. Mag zaklął w duchu. Nie powinno było do tego dojść. Nawet jego pobratymcy zbyt długo debatowali nad tym, co powinno być oczywiste. Gdyby tylko posłuchali...

Krasus nie potrafił przestać myśleć, że jeśli im się nie uda, los, jaki spotka nie tylko nocne elfy, ale i przyszłe pokolenia, będzie w ogromnym stopniu jego winą. To on obawiał się igrać z Czasem, a później, kiedy wreszcie zmienił zdanie, to on przekonywał innych, żeby nie ścigać Illidana. Ze wszystkich, którzy zetknęli się z Duszą Demona, mag znał najlepiej jej przekłętą właściwość. Gdyby spróbował wytropić tych, którzy odebrali ją Malfurionowi, może wciąż mieliby szansę odzyskać dysk. Ale teraz nie miało to już znaczenia. Najważniejsze było przywrócenie historii na dawne tory.

– Musimy być gotowi! – zawołał do Alexstraszy. – Choć będziemy omijać pałac, nie wolno nam lekceważyć Mannorotha ani Szlachetnie Urodzonych! Będą atakować z twierdzy Azshary! I nie wolno nam zapominać, kto jeszcze pragnie użyć portalu, jaki tworzą Studnia i Dusza! Oni też zrobią wszystko co w ich mocy, by nie pozwolić nam przejąć dysku.

– Jeśli ocalenie Kalimdoru będzie od nas wymagało ofiary z własnego życia, wypełnimy nasz święty obowiązek! – odparła smoczyca.

Krasus zacisnął zęby. Przyszłość, jaką znał, wciąż była możliwa, ale równie prawdopodobna – zakładając, że im się powiedzie – była taka jej wersja, w której któreś z nich albo wszyscy nie będą istnieć. Był w stanie zaakceptować własną śmierć. Ale widzieć, jak jego ukochana królowa umiera...

Nie! Ona nie umrze! Mag się przygotował. Bez względu na cenę, postara się dopilnować, żeby Alexstrasza przeżyła... nawet bez niego.

Smoki znalazły się nad przedmieściami Zin–Azshari, i mimo że Krasus wiedział o rzezi zgotowanej elfom przez Płonący Legion po wkroczeniu na śmiertelny plan, to, co zobaczył, wzbudziło w nim odrazę. Powróciły wspomnienia drugiej wojny, w wyniku której Dalaran i inne narody ugięły się przed demonami.

W dole niekończące się szeregi demonów patrzyły na nich, rycząc wyzywająco. Smoki przeważnie je ignorowały, gdyż piekielni gwardziści i im podobni byli przykuci do ziemi, a więc nie stanowili zagrożenia. Większe zainteresowanie wzbudzili strażnicy zagłady, którzy wylecieli im naprzeciw w wielkiej liczbie, dzierżąc płomienne włócznie i klingi.

Alexstrasza patrzyła, jak zbliża się do nich spora grupa, a potem wygięła łeb w tył i zionęła fontanną ognia.

– Komary... – mruknęła. – To tylko komary...

Nagle jeden z zielonych smoków ryknął zaskoczony, trafiony kilkoma wielkimi, okrągłymi pociskami. Krasus nie musiał przyglądać się im z bliska, żeby rozpoznać infernale. Nawet łuski wielkiego smoka nie były odporne na wszystko. Rany, jakie odniósł zielony lewiatan, były powierzchowne, ale powtórne ataki musiały w końcu odnieść skutek.

– Wykorzystajmy te plugawe kreatury! – syknęła Ysera. Skupiła spojrzenie przymkniętych oczu na kolejnej fali napastników.

Kolejna grupa infernali zwolniła. Wciąż opadali w dół, ale z dala od zamierzonego celu. Krasus obliczył tor ich nowego lotu i uśmiechnął się ponuro. Pałac miał się zaraz przekonać na własnej skórze o skali zniszczeń, do jakich dopuścił w Kalimdorze.

Ale chwilę później ostrzeżenie Krasusa przed zagrożeniem ze strony Szlachetnie Urodzonych i Mannorotha okazało się prorocze, bo nagle burzowe niebo zasypało ich gradem straszliwych, czarnych błyskawic. Smoki, które znalazły się w samym centrum ostrzału, zostały zmuszone do złamania szyku.

Ale nie wszystkie zdążyły. Zielony samiec, być może wciąż rozkojarzony po ataku infernali, zawahał się. Ponad tuzin gromów uderzyło w niego z całą mocą. Błyskawice przepaliły mu lewe skrzydło, a potem osmałyły straszliwie ogon i pierś.

Lecz choć pioruny przestały bić, najgorsze miało dopiero nastąpić. Każda z ran zapłonęła jasno i na oczach Krasusa obrażenia rozprzestrzeniły się gwałtownie po całym ciele smoka. Osłabiony zielony lewiatan stał się jeszcze łatwiejszym celem dla kolejnych piorunów Szlachetnie Urodzonych. Usiłującego utrzymać się w powietrzu samca trafiło sześć następnych. Smok ryknął z bólu, jego śmiertelny skowyt zadzwonił Krasusowi w uszach.

Zielony samiec runął w dół.

Jego ogromne cielsko uderzyło mocno w ciemną taflę Studni. Ale nawet tak gigantyczna istota była niczym kamyk dla skłębionego wiru. Zielone wody zmarszczyły się tylko lekko, gdy zapadał się w złowieszczą toń.

Ich uszy wypełnił złowróżbny grzmot.

– Trzymaj się mocno! – rozkazała Alexstrasza, odwracając się.

Na smoki spadła kolejna szaleńcza salwa. Wszędzie były czarne błyskawice i tym razem żaden smok nie wyszedł z ataku bez uszczerbku. Nawet Alexstrasza zadygotała, trafiona piorunem w prawe biodro.

– Nie pali! – zawołała. – Jest strasznie zimny! Mrozi do kości!

– Spróbuję coś na to poradzić!

– Nie! – Zerknęła na niego przez ramię. – Musimy zachować siły do chwili ataku...!

Smoczyca przechyliła się gwałtownie w bok, w ostatniej chwili uchylając się przed dwoma piorunami, które niechybnie zabiłyby nie tylko ją ale i Krasusa. Na całym niebie smoki zwiły się w makabrycznym tańcu. Krasus się rozejrzał i odkrył, że wszyscy jego towarzysze wciąż siedzą na smoczycich grzbietach. Obawiał się, że zmuszone do umykania przed magicznymi błyskawicami smoki nie będą w stanie utrzymać ich na sobie, ale nawet w takich warunkach starożytne lewiatany dbały o podopiecznych.

Ale to nie mogło trwać w nieskończoność. Mrużąc oczy, Krasus popatrzył ku środkowi Studni. Tak... wyczuwał obecność Duszy Demona. Czuł też, że portal jest już prawie gotowy.

– Na środek! – zawołał zakapturzony mag. – Mamy niewiele czasu!

Alexstrasza natychmiast skręciła w tamtą stronę. Krasus nachylił się do przodu. Pomimo ogromu Studni, wystarczyło kilka uderzeń skrzydeł, aby ich cel znalazł się w zasięgu wzroku.

Tam, wysoko nad ziejącym lejem wiru, unosiła się Dusza Demona. Obmierzła czarna aura, która ją otaczała, osłaniała dysk przed przerażającym magicznym sztormem.

– Będzie chroniona! – przypomniał smoczycy Krasus.

– Będę działać razem z Yserą i pierwszą oblubienicą Nozdormu!

Kiwnął głową.

– Rhonin i ja będziemy czekać na reakcję Sargerasa albo Prastarych Bogów!

Smoki bez jeźdźców wycofały się, aby obserwować, czy nie nadciąga atak z Zin–Azshari. Trzy smoczyce okrążyły złowieszczy dysk; poprzednie spotkanie z nim sprawiło, że były nadzwyczaj ostrożne. Alexstrasza popatrzyła na towarzyszki, po czym kiwnęła głową.

Każda zionęła złotym światłem.

Ich zaklęcia dotknęły jednocześnie Duszy Demona, otaczając ją. Ich moc przytłumiła jej plugawą aurę. Dysk zaczął drżeć...

Bez żadnego ostrzeżenia ich zaklęcia zostały odepchnięte. Uderzenie było tak silne, że wszystkie trzy smoczyce zostały odrzucone w tył. Jeźdźcy z trudem utrzymali się na ich grzbietach.

Uczepiony swojej królowej Krasus krzyknął:

– O co chodzi? Co się stało?

Alexstrasza zdołała wrócić do poziomu. Wzrok miała wbity w Duszę Demona, która teraz znalazła się nieco dalej.

– Prastarzy Bogowie! Poczułam ich! Ale wewnątrz dysku! Dusza Demona nosi w sobie cząstkę nie tylko naszej, ale i ich egzystencji!

Ta wiadomość nie była dla Krasusa specjalnym zaskoczeniem. Ale najwyraźniej wkład, jaki Prastarzy Bogowie mieli w stworzenie dysku, nie upośledzał ich aż tak, jak smoków. Z pewnością zamierzali się nim posługiwać, do czego smoki nie były zdolne. Skrzydła Śmierci musiał przy tworzeniu dysku włączyć ich w jakiś inny sposób... o ile w ogóle zdawał sobie z tego sprawę.

– Jesteś w stanie przebić się przez ich zaklęcia?

– Nie wiem... naprawdę nie wiem!

Krasus zaklął. Po raz kolejny nie docenił Trójki.

Zobaczył, że Rhonin daje mu jakieś znaki. Czarodziej wskazywał Zin-Azshari. Krasus popatrzył w stronę legendarnego miasta...

...i zobaczył, że w ich stronę mknie ponad dwadzieścia cienistych potworów, każdy wielkości smoka.

SIEDEMNAŚCIE



Azshara robiła się na bóstwo.

Och, nie dlatego, że nie była już wcieloną doskonałością – nawet ona o tym wiedziała – ale dlatego, że choć raz znalazła kogoś godnego wysiłku z jej strony. Mój pan Sargeras przybywa! Wreszcie ktoś zasługujący na nazwanie go mężem! Azshara nawet przez chwilę nie poddała w wątpliwość zasadności swoich przekonań. Ta, która hipnotyzowała swoich poddanych, została teraz zahipnotyzowana przez pana Legionu. W tej samej chwili pałac zatrzęsł się w posadach. I to nie po raz pierwszy. Odrywając się od wspaniałego widoku w zwierciadle, królowa obróciła się.

– Vashj! Vashj! Kto odpowiada za ten okropny hałas?

Pierwsza dama dworu wpadła do komnaty.

– To hołota podjęła nieudolną próbę powstrzymania tego, co nieuniknione, tak poinformował mnie kapitan Varo'then, o Światło Świateł.

– A co nasz drogi kapitan robi z tą obrazą dla mych uszu?

– Lord Mannoroth przydzielił jemu i wybranym przez niego żołnierzom odpowiednie wierzchowce. Kapitan wyruszył już, aby zająć się tymi kreaturami.

– A więc wszystko przebiega zgodnie z planem? Przybycie naszego pana się nie opóźni?

Lady Vashj skłoniła się z wdziękiem.

– Lord Mannoroth niczego takiego nie przewiduje. Hołota jest bezradna wobec zaklęcia.

– Wyśmienicie... – Królowa Azshara powróciła do podziwiania się w lustrze. Naprawdę nie była już w stanie zrobić nic, żeby wyglądać jeszcze piękniej. Jedwabna suknia ciągnęła się za nią po marmurowej posadzce, cienka jak babie lato materia niewiele zasłaniała. Bujne włosy były spiętrzone wysoko i ozdobione w strategicznych miejscach migoczącymi diamentkami.

Kolejny wstrząs był już znacznie bliższy. Azshara usłyszała krzyki dobiegające z komnat swoich dworek i zobaczyła pęknięcia rozbiegające się po ścianie.

– Sprawdź, czy żadnej nic się nie stało, Vashj – rozkazała. Gdy ta ruszyła wykonać rozkaz, władczyni nocnych elfów dodała: – Jeśli tak, zwolnij je z obowiązków i odeślij do rodziny. Od tych, które mnie otaczają, oczekuję doskonałości w każdym calu.

– Tak, Światło Świateł.

Gdy Azshara spojrzała ponownie w zwierciadło na przeciwnej ścianie, powitał ją zniesmaczony grymas. Królowa natychmiast wyobraziła sobie, jak wita lorda Sargerasa. Na jej oblicze powrócił uśmiech.

– Tak... teraz musimy jeszcze trochę poczekać... – Dalej przyglądała się sobie, marząc o świecie, który stworzy wraz ze swym nowym oblubieńcem. Świat równie idealny jak ona.

Świat, który będzie jej godzien.



Malfurion potrząsnął głową, starając się zwalczyć zawroty głowy, o jakie przyprawił go koziołkujący lot Ysery. Był zdumiony, że w ogóle ma czym potrząsać – kilka razy zawisł na samych rękach nad ziejącą dziurą w samym środku mrocznych wód Studni.

– Co się stało? – zapytał, nieświadomie powtarzając pytanie Krasusa.

Ysera odpowiedziała mu mniej więcej to samo, co Alexstrasza magowi. Nocny elf słuchał z coraz większym zniechęceniem. Znaleźć się tak blisko, by wszelkie nadzieje zostały zniweczone...

Potem tak jak Rhonin i Krasus dostrzegł straszliwe postacie nadlatujące znad miasta. Widział, że poczwary przypominających nietoperze utkane z cienia dosiadają żołnierze. Nie miał wątpliwości, że ponurą bandą dowodzi kapitan Varo'then.

I rzeczywiście, chwilę później druid rozpoznał znajomą postać oficera z blizną. Z mieczem w dłoni, Varo'then krzyknął coś do zbrojnych za sobą. Żołnierze natychmiast podzielili się na trzy grupy, po jednej na każde stado. Malfurion dopiero teraz się zorientował, że źle ocenił ich liczebność. Na każdego smoka przypadały co najmniej trzy bestie.

Alexstrasza nie marnowała czasu. Czerwona smoczyca zionęła strumieniem ognia, który przeleciał przez potwora na samym przedzie i pomknął dalej, aż w końcu się rozmył. Nawet żołnierz dosiadający bestii sprawiał wrażenie nietkniętego.

– To niemożliwe! – wyrwało się Malfurionowi.

– Niemożliwe... tak... – Oczy Ysery poruszały się gwałtownie pod zamkniętymi powiekami. – Nasze postrzeganie tych diabłów jest...

zaburzone...

– Co masz na myśli?

– Że nie są tym, czym wydają się być, ani *tam*, gdzie wydają się być.

Ale jeśli była to prawda, Varo'then i jego żołnierze tworzyli bardzo namacalną iluzję. Dwa cieniste stwory rzuciły się na smoczycę dosiadaną przez Broxa, szarpiąc jej skrzydła. Krwawe rozdarcia, jakie zostawiły na jej twardej, pokrytej łuską skórze, były wystarczającym dowodem na to, że są śmiertelnie groźne. Ale kiedy brązowa smoczyca próbowała odpowiedzieć na atak, jej wysiłki spełzły na niczym.

Ysera też padła ich ofiarą. Jeden przeleciał obok jej gardła i rozorał je zakrzywionymi, czarnymi szponami, którymi zakończone były jego skrzydła. Ysera kłapnęła szczękami, ale chwyciła tylko powietrze.

– Wiem, gdzie powinny się znajdować! – warknęła, tracąc cierpliwość, co rzadko jej się zdarzało. – Ale kiedy próbuję atakować, już ich tam nie ma!

Co gorsza, jedna z bestii skupiła całą swoją uwagę na Malfurionie i Aspekcie... ta niosąca na grzbiecie kapitana Varo'thena.

– Tak myślałem! – zadrwił oszpecony nocny elf. – Równie nieuchwytny jak brat! Ostrzegałem ich! Wiedziałem, że nie można mu ufać!

Malfurion nie miał szansy zapytać, co oznaczają te słowa, bo w następnej sekundzie kapitan i jego plugawy wierzchowiec spadli na druida i smoczycę. Otoczył ich tak wielki fetor, że nawet Ysera zmarszczyła nos. Potwór mógł być nieuchwytny, ale roztaczał wokół siebie smród tak potężny, że uderzył druida jak pięścią.

Tylko szyderczy śmiech ostrzegł Malfuriona przed atakiem kapitana. Klinga Varo'thena wyciągnęła się na nadnaturalną długość, mierząc w odsłoniętą klatkę piersiową elfa.

Druid uchylił się przed mieczem, przechylając się w prawo, przez co prawie stracił równowagę. Złapał się kurczowo grzbietu smoka, ale Varo'then już ponawiał atak.

Ysera nie była w stanie nic zrobić, bo atramentowy kształt nietoperzowatej istoty otoczył ją ze wszystkich stron. Jednocześnie drugi potwór chwycił Tę, Która Śni za tylne łapy.

Nagle Malfurion przypomniał sobie coś, czego nauczył go Cenarius. Druid sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął małe, kolczaste nasionko. W przeciwieństwie do tych, których używał przeciwko Płonącemu Legionowi, to miało kolce zbyt delikatne, by siać spustoszenie pośród wrogów. Miało jednak tę właściwość, że przyczepiało się do wszystkiego, czego dotknęło.

Wyrzucił w powietrze dwa ziarenka, które pod wpływem zaklęcia zamieniły się w cztery, cztery w osiem, osiem w szesnaście i wciąż podwajały swoją liczbę. W mgnieniu oka w powietrzu znalazły się ich setki, a potem tysiące. Nie przyklejały się jednak, choć powinny, do smoków ani towarzyszy Malfuriona, bo druid sobie tego nie życzył. Za ich pomocą miał zamiar odkryć tajemnicę napastników.

Pierwsze przeleciały przez nietoperzowate stwory, ale inne, o dziwo, zaczęły się przyklejać do pustej przestrzeni. Co raz to kolejne szły w ich ślady. W powietrzu zaczęły się pojawiać kształty.

Sekret nietoperzy wyszedł wreszcie na jaw. Potworne wierzchowce zmieniały nieustannie położenie, znikając z oczu co kilka sekund i pojawiając się niemal natychmiast w innym miejscu. Walka z nimi była wciąż utrudniona, ale obrońcy mieli teraz o wiele lepsze pojęcie, co atakować, a niczego więcej nie potrzebowali.

Najszybciej zareagowała brązowa samica, być może dlatego, że należała do stada Aspektu Czasu. Z wielkim entuzjazmem rzuciła się na nietoperza, który zmaterializował się tuż obok niej. Malfuriona zaskoczyła jej szybkość

i gwałtowność. Rozdarła gruby kark stwora, po czym posłała go wraz z oszalałym ze strachu jeźdźcem w czarną otchłań w dole.

– A niech to!

Słyszając przekleństwo, Malfurion obejrzał się przez ramię i zobaczył, że mają kapitana Varo'thena dosłownie na ogonie. Oszpecony nocny elf pchnął i tym razem zdołał drasnąć druida w nogę. Udo zakłuło i Malfurion cisnął w przeciwnika pierwszą rzeczą jaką wymacał w sakwie.

Przeciwnik kichnął, jego obmierzły wierzchowiec również. Wykorzystując to chwilowe rozkojarzenie, Ysera zanurkowała w stronę potwora, gryząc i szarpiąc z takim zapamiętaniem, że utraciła wszelkie oznaki wyższej inteligencji. Stała się dziką bestią walczącą z taką samą pierwotną furią jak jej nieprzyjaciel.

Ale cienisty potwór nie był bezbronny. Wciąż miał szpony równie ostre jak smok, a długie kły wyglądały na zdolne do przegryzienia się przez twarde łuski. Z dziwnym zawrotem głowy rzucił się żarłocznie na Yserę.

Początkowo dwaj jeźdźcy mogli tylko trzymać się kurczowo grzbietów swoich wierzchowców. Malfurion próbował skupić się na zaklęciu, ale uniemożliwiały mu to nerwowe ruchy dwóch zmagających się behemotów.

Ysera smagnęła ogonem stwora koło swoich tylnych łap. Cios był celny i bestia poleciała w tył, dzięki czemu walka z wierzchowcem Varo'thena stała się bardziej wyrównana.

Kapitan schował miecz do pochwy i dobył sztyletu, a Malfurion podejrzewając, że przeciwnik ma wprawę w ciskaniu nim, przylgnął do karku smoczy. Oficer uśmiechnął się ponuro, spokojny mimo krytycznej sytuacji.

Ysera się targnęła. Druid spojrział w dół i zobaczył, że druga bestia powróciła... a zaraz za nią była trzecia. Krzyknął ostrzegawczo.

Rycząc, zielona olbrzymka użyła swych niesamowitych skrzydeł, aby odepchnąć się od przeciwnika. Zaskoczyło to i bestię, i Varo'thena. Umożliwiło też Yserze zwrot w stronę drugiego napastnika. Przestała bić skrzydłami i spadła na nietoperza i jego jeźdźca całym ciężarem potężnego cielska. Pazurami poszarpała na strzępy oblepione nasionami skrzydła i wgryzła się głęboko w byczy kark.

Monstrum wydało z siebie przenikliwy pisk i zwiotczało w jej łapach. Ysera natychmiast porzuciła trupa, pozwalając mu spaść do Studni. Malfurion nie widział nigdzie dosiadającego go żołnierza, więc domyślił się, że musiał zginąć, gdy wylądowała na nich smoczyca.

Kiedy zielona olbrzymka cofnęła się, by zorientować się w sytuacji, nocny elf zdołał rzucić okiem na pozostałych. Trzy nietoperzowate stwory nękały Broxa i brązową smoczycę. Na oczach Malfuriona ork zatopił topór w barku najbliższego z nich. Magiczna broń przecięła kości i ścięła, wychodząc z drugiej strony.

Potwór przekrzywił się niezdarnie, z trudem utrzymując się w powietrzu. Ale brązowa smoczyca nie pozwoliła mu uciec. Zionęła ogniem w uciekające postacie... i wierzchowiec wraz z jeźdźcem zmienili się w rozkładające się trupy, które chwilę później rozsypały się w proch. Porywisty wiatr szybko rozniósł go nad mrocznymi wodami.

Kilka nietoperzy zginęło, ale zginęło też parę smoków. W powietrzu został jeszcze tylko jeden zielony, brakowało też jednego brązowego. Te, które ocalały, broczyły krwią co w połączeniu z urazami spowodowanymi przez błyskawice musiało je osłabić.

Ale najgorsze było to, że tak długo, jak musieli odpierać ataki napastników, nie mogli się zająć Duszą Demona i portalem. Już teraz ogromny wir w dole nabrał na obrzeżach wyraźnie zielonego zabarwienia

zbyt podobnego do płomieni Płonącego Legionu, by mógł to być przypadek.

– Dusza Demona! – krzyknął Malfurion. – Musimy coś z nią zrobić! Portal jest już prawie gotowy!

– Jestem otwarta na propozycje, śmiertelniku, o ile poradzisz mi, jak się pozbyć tej zarazy!

Płomienny rozbłysk oświetlił na chwilę okolicę. Malfurion zdążył kątem oka dostrzec spadające do Studni szczątki płonącego nietoperza. Tuż nad nim unosili się Alexstrasza i Krasus. Druid rozpoznał rękę maga. Wiedział, że w końcu uda im się pokonać wojowników Varo'thena, ale wtedy będzie już za późno. A nawet jeśli nie będzie, przekonali się już, że połączone moce Alexstraszy i Ysery nie wystarczą do przełamania osłon chroniących dysk. Musieli wymyślić jakiś inny sposób... ale jaki?

Wokół nich wciąż śmigwały smoki i nietoperze. Szanse były teraz bardziej wyrównane, ale wciąż nie na tyle, by mogli się skupić na Duszy Demona. Cieniste nietoperze nie przestawały nękać smoków. Jeden z czerwonych, broczący już krwią z kilku ukąszeń, padł ofiarą ataku pary demonów. Brązowa smoczyca przegryzła skrzydło napastnika, ale kły potwora tkwiły głęboko w jej barku. Rhonin i Krasus nie przestawali rzucać czarów – z różnym powodzeniem – a Brox siekł z wprawą każdego wroga, który znalazł się w jego zasięgu.

Obok przemknął czarny jak heban kształt. Malfurion wziął go za jednego z nietoperzy, ale dostrzegł znajomy, gadzi zarys smoczej sylwetki. Odwrócił wzrok, ale zaraz popatrzył z powrotem z szeroko otwartymi ustami.

Był to rzeczywiście smok... ale smok tak czarny jak demoniczne istoty, z którymi walczyli, z żelaznymi blachami przytwierdzonymi do boków.

Skrzydła Śmierci.



Myśleli, że uda im się ukryć przed nim jego ukochane dzieło. Ośmielili się myśleć, że się nie dowie, dokąd zostało zabrane. Ich zuchwałość budziła w nim wściekłość. Gdy tylko odzyska swój wspaniały dysk, ukarze ich wszystkich. Świat będzie lepszym miejscem, jeśli zostaną na nim wyłącznie smoki... i to tylko te, które się z nim zgadzały.

Przyzywany przez Duszę, Neltharion leciał nad kipiącą Studnią, nie zwracając uwagi na to, co się z nią dzieje. Wszystko inne miało drugorzędne znaczenie. Dla czarnego smoka istniał tylko dysk.

Minął Yserę i Alexstraszę, zaszczycając je jedynie przelotnym spojrzeniem. Gdy odzyska dysk, pokona je, a potem uczyni z nich swoje oblubienice. Ich moc wzmocni jego moc.

Dusza unosiła się w powietrzu przed nim, jak gdyby czekała cierpliwie na ratunek. Potworny pysek Nelthariona rozciągnął się w szerokim uśmiechu. Wkrótce znów się zjednoczą...

Nagle jakaś siła uderzyła go z taką mocą, że został odrzucony z powrotem pomiędzy walczących. Zderzył się z jednym z nietoperzowatych stworów, którego jeździec spadł z krzykiem na pewną śmierć. Neltharion ryknął, oburzony niespodziewanym atakiem. Szukając kogoś, na kim mógłby wyładować wściekłość, złapał oszołomionego nietoperza i porwał go na strzepy. Kiedy to go nie uspokoiło, zwrócił złowrogie spojrzenie ku dyskowi, szukając wyostrzonymi zmysłami tego, co nie dopuszczało go do zdobyczy.

Zaklęcia, jakie wykrył wokół Duszy, były misterne, bardzo misterne... i jakby znajome. Jednak Neltharion nie potrafił połączyć głosów słyszanych

w myślach z tym, z czym miał się teraz zmierzyć. Nawet teraz, kiedy te same głosy zaczęły namawiać go, żeby oddalił się od obiektu pożądania, do smoka nie docierało, że jest zabawką w czyichś rękach.

Neltharion potrząsnął łbem, odpędzając głosy. Jeśli namawiały go, żeby porzucił dysk, były równie niegodne zaufania jak Alexstrasza i reszta. Nie liczyło się nic, absolutnie nic prócz odzyskania Duszy.

Czarny olbrzym znów zanurkował.

Ale tak jak przedtem został odrzucony, jak gdyby nic nie znaczył. Smok walczył nie tylko z mocą głosów, ale i potęgą pana Legionu. Z rykiem oburzenia i bólu Neltharion odleciał daleko poza pole bitwy, zatrzymując się wreszcie na północnym brzegu Studni. Walcząc z bólem, rozwścieczony olbrzym popatrzył nienawistnie na targany burzą wir.

Nie da się znów odrzucić. Nieważne, jakie czary rzucili na Duszę jego wrogowie, przedrze się przez nie. Dysk będzie należał do niego...

A potem wszyscy oni zapłacą...



Płonący Legion zmagał się z przytłaczającą potęgą smoków i armii obrońców. Strażnicy Zagłady opadli chmarą lewiatany, próbując przyszpilić je włóczyniami. Nathrezimowie i Eredarowie rzucali potworne zaklęcia, ale musieli dzielić uwagę pomiędzy obronę przed smokami a walkę z Księżycową Gwardią. Warlockowie nie byli w stanie robić dwóch rzeczy naraz, więc ginęli częściej niż zabijali, głównie od ognia smoczych oddechów.

Mimo to Archimond nie zdradzał żadnych oznak niepewności. Zdawał sobie sprawę, że to, co się tu teraz dzieje, jest nieistotne i liczy się tylko o tyle, że zajmuje śmiertelników i sojuszników do chwili pojawienia się Sargerasa. Archimond był pogodzony z faktem, że on i Mannoroth zostaną ukarani za to, że nie przygotowali Kalimdoru na przybycie swego pana, ale kara była zasłużona. Teraz liczyło się wyłącznie granie na zwłokę: jeśli oznaczało to śmierć większej liczby piekielnych gwardzistów i Eredarów, niech tak będzie. Na ich miejsce znajdą się kolejni, zwłaszcza ci, którzy tylko czekali, żeby wmaszerować na ten plan wraz z Sargerasem.

Ale nie oznaczało to bynajmniej, że Archimond po prostu przyglądał się i czekał. Skoro miał zostać ukarany, miał zamiar wyładować część skrywanej furii na tych, którzy się do tego przyczynili. Olbrzymi demon uniósł rękę, wskazując brązowego smoka unoszącego się nad prawym skrzydłem Legionu. Smok systematycznie rozszarpywał wojowników w dole, przekopując się przez ich szeregi jak ryjące zwierzę przez miękką ziemię.

Archimond zacisnął dłoń. Smok w oddali zadygotał... i wszystkie łuski oderwały się od jego ciała. Brocząc krwią, obdarty ze skóry olbrzym zaryczał w szoku, po czym runął między swoje ofiary. Demoniczni wojownicy natychmiast obskoczyli jego odsłonięte ciało, dźgając je bronią, dopóki nie skonał.

Wciąż nieusatysfakcjonowany, Archimond rozejrzał się za następną ofiarą. Jakże żałował, że wśród obrońców nie ma Malfuriona Stormrage. Poprzednie spotkanie z druidem drogo go kosztowało, ale czuł, że Malfurion znajduje się wśród tych, którzy polecili ku Studni. Kiedy Sargeras będzie już po tej stronie, druida spotka los znacznie gorszy niż ten, jaki planował dla niego Archimond.

Było jednak tylu innych, na których mógł sobie ulżyć. Z zimną i wyrachowaną miną arcydemon skupił się na grupie ludzi-byków, których, jak słyszał, nazywano taurenami. Stanowiliby wspaniały nabytek w szeregach Legionu, ale ten konkretny oddział miał nie dożyć tego wspaniałego dnia... ani końca swojego świata...



Wygrywali... wygrywali...

Zawdzięczali to smokom, Jarod miał tego świadomość. Bez nich armia zostałaby rozgromiona. A tak demony stanęły przeciwko jedynej sile, której nie mogły pokonać. To prawda, część smoków zginęła – jeden tuż przed chwilą w wyjątkowo makabryczny sposób – ale obrońcy parli naprzód, a demony szły w coraz większą rozsypkę.

Mimo to niepokoił się. Wiedział, że tym razem zamęt wśród demonów nie jest podstępem. Ale spodziewałby się czegoś więcej po Archimondzie. Jakiegoś mistrzowskiego przegrupowania. Archimond jednak wydawał się grać na zwłokę, jak gdyby na coś czekał... Nocny elf przeklął własną głupotę. Oczywiście, że Archimond na coś czekał... a raczej na kogoś.

Na swojego pana, Sargerasa.

A skoro arcydemon sądził, że przybycie pana Legionu jest bliskie, nie wróżyło to niczego dobrego tym, którzy wyruszyli zdobyć Duszę Demona i zamknąć portal.

Jaroda ogarnęło na chwilę zwątpienie, ale zaraz wyraz jego twarzy stwardniał i oficer rzucił się w wir walki z jeszcze większym zapałem. Jeśli

obrońcy przegrają, nie stanie się to za sprawą żadnego niedociągnięcia z jego strony. Jego lud – jego świat – z pewnością upadnie, jeśli się teraz zawahają. Jarod mógł mieć tylko nadzieję, że Krasus, Malfurion i pozostali zdołają wypełnić swoją misję.

Nad jego głową wciąż przemykały smoki szukające wroga lub starające się pomóc obrońcom tam, gdzie wróg najmocniej ich przycisnął. Z prawej strony dowódcy Ziemi rąbali toporami zdemoralizowanych piekielnych gwardzistów. Jakiś furbolg wgniół czaszkę piekielnej bestii.

To wszystko napawa optymizmem, pomyślał Jarod, zdając sobie sprawę, że jest dokładnie na odwrót. Zauważył oddział żołnierzy Hulna torujący sobie drogę toporami. Towarzyszyła im grupa kapłanek Elune i Jarod dostrzegł na ich czele swoją siostrę Maiev. To, że jedzie na przedzie, wcale go nie zdziwiło. Choć w duchu martwił się o nią, nie było sposobu, by odciągnąć ją z pola bitwy. Doszedł do wniosku, że Maiev próbuje udowodnić współwyznawczyniom, na co ją stać, aby naprawiły swoje ewidentne przeoczenie i uczyniły ją wysoką kapłanką. To, czy wolno było żywić takie ambicje w zakonie Księżycowej Matki, było wątpliwe, ale Maiev była Maiev.

Jarod, który dosiadał już trzeciej nocnej pantery tego dnia, wypatroszył kolejnego rogatego wojownika. Pancierz, uszkodzony ciosami przeciwników, wisiał na nim w strzępach. Miał na ciele przynajmniej pół tuzina ran, ale żadna nie zagrażała na szczęście jego życiu, ani nie groziła znacznym wpływem krwi. Będzie mógł odpocząć, kiedy bitwa się skończy... albo gdy będzie martwy.

Nagle od strony taurenów dobiegły go wrzaski. Nocny elf patrzył ze zgrozą, jak kilku pobratymców Hulna pali się, jak gdyby polano ich jakimś żrącym kwasem. Ich włosy skwierczały, a ciało odchodziło płatami od kości.

Kapłanki usiłowały im pomóc, ale na te na czele spadł nagły atak piekielnych gwardzistów. Demony nie dbały o to, czy przeciwnik jest mężczyzną czy kobietą. Z bestialską furią nabijały na dzidy taurenów i odcinały głowy kapłankom.

Jarod wiedział, że powinien zostać tam, gdzie jest, ale Maiev, mimo swoich wad, była jego jedyną krewną. Kochał ją bardziej niż ośmielał się okazać. Upewniwszy się szybko, że jego własny teren nie zostanie zajęty, gdy tylko go opuści, obrócił wierzchowca i ruszył ku przerażającej scenie.

Kilku taurenów wciąż trzymało się na nogach – część była poważnie ranna, ale byli w stanie utrzymać w rękach topory i dzidy. Oni i ocalałe kapłanki z oddziału Maiev zostali otoczeni przez demony. Zanim Jarod znalazł się w połowie drogi, dwóch kolejnych obrońców zginęło od ich ostrzy.

Nagle Maiev się pośliznęła. Wielki piekielny gwardzista zamachnął się na nią. Zdołała odbić jego atak, ale niewiele brakowało.

Jarod zawył i wjechał w sam środek walczących. Jego kot powalił demona atakującego jego siostrę. Inny demon ciął go mieczem, ale trafił w bark panterę. Jarod wbił mu klingę w gardło.

Demony nagle skoncentrowały ataki na Jarodzie. Nie przyszło mu do głowy, że mogą wiedzieć, kim jest, choć wskazywała na to determinacja, z jaką się na niego rzuciły. Ignorowały inne liczące się cele, byle osiągnąć dowódcy.

Jego nocna pantera powaliła dwa kolejne demony, ale zaraz potem, dźgnięta włóczniami, otrzymała kilka głębokich ran. Pieszko nie miał wielkich szans w starciu z tyloma górującymi nad nim postaciami, ale nie miał wyboru. Trzy kolejne pchnięcia dobiły szlachetne zwierzę i Jarod mógł tylko zeskoczyć albo uwięznąć pod trupem. Wylądował w przykłęku obok siostry, która chyba dopiero teraz rozpoznała swojego wybawcę.

– Jarod! Nie powinno cię tu być! Potrzebują cię!

– Choć raz przestań mi rozkazywać i schowaj się za mną! – Bezceremonialnie wepchnął siostrę za siebie, bo zbliżały się do nich dwie rogate postaci. Choć do tej pory sprzyjało mu szczęście, nie wierzył, że jego mały miecz zda się na cokolwiek w starciu z dwiema ogromnymi klingami.

Ale kiedy szykował się do ostatniej walki, rozległo się granie rogu i w pobliżu zaroilo się od żołnierzy i taurenów. Huln wpadł na dwa demony i zanim się zorientowały, że ktoś je atakuje, skrócił jednego o głowę, a drugiemu zmiażdżył klatką piersiową. Obok Jaroda przejechał jeździec w płaszczu, w którym rozpoznał lorda Blackforest.

Ich nagłe przybycie mogło być spowodowane tylko jednym. Widzieli, że Jarod rzucił się na odsiecz siostrze... i wierzyli w niego na tyle, by ruszyć mu z pomocą.

Posiłki zepchnęły Płonący Legion w tył, dzięki czemu Jarod i Maiev mieli czas się wycofać. Oficer odciągnął siostrę z pola walki, a pozostałe kapłanki ruszyły za nimi.

Jarod zmusił ją, żeby usiadła na kamieniu. Maiev podniosła na młodszego brata pytające spojrzenie.

– Jarodzie... – zaczęła.

– Wymówki możesz mi robić później, siostro! – warknął. – Nie będę tu tkwił, podczas gdy ci, którzy przyszli mi na ratunek, walczą z wrogiem w moim imieniu.

– Nie miałam zamiaru robić ci... – Więcej nie zdążyła powiedzieć, bo znalazł się już poza zasięgiem jej głosu. Teraz, gdy jego siostra była względnie bezpieczna, liczyli się tylko jego towarzysze. Nawet Blackforest, jeden z najbardziej prominentnych szlachciców, walczył mężnie. On i jemu podobni uczyli się na błędach lorda Stareye'a. To była walka o przetrwanie, a nie zabawa ku uciesze wyższych kast.

Znalazłszy się w pobliżu Hulna, Jarod przyskoczył do demona usiłującego trafić taurena w bok. Huln zauważył to i prychnął z aprobatą.

– Wyryję twoje imię na mojej włócznie! – huknął. – Należy ci się zaszczytne miejsce wśród pokoleń moich przodków!

– Będę zaszczycony, o ile uda mi się przeżyć!

– Ha! Taka mądrość u tak młodej osoby!

Smoczyca ze stada Alexstraszy zanurkowała w dół, zionąc oczyszczającym czerwonym ogniem, który na zawsze zgasił wiele zielonych płomieni. Jej atak poprawił sytuację oddziału Jaroda. Dowódca armii mógł trochę odetchnąć.

Ale sekundę później ta sama smoczyca runęła w dół na tyłach elfiej armii z pierśią skwierczącą od spalonych łusek i wyszarpanymi wnętrznościami. Ziemia zadrżała od zderzenia z nią. Jarodowi wystarczyło przelotne spojrzenie, by przekonać się, że już nigdy nie wzbije się w powietrze.

Wraz ze smokiem zginął tuzin żołnierzy, których zwęglone ciała poleciały w tył. Padały też demony, jak gdyby atakujący nie dbał o to, kto ginie, tak długo jak nic nie zostało się na jego drodze.

Huln zasłonił Jaroda ramieniem.

– To nie infernal ani Eredarowie! Wygląda na to, że chce...

Potężny podmuch rozrzucił walczących obu stron jak zabawki. Nie oparły mu się także pantery, Blackforest i jego kot podzieli ich los. Huln zdołał utrzymać się w miejscu sekundę dłużej, ale nawet upór taurena nie był w stanie przeciwstawić się tej nieprawdopodobnej wichurze. Przeleciał obok Jaroda, walcząc z wiatrem, i zniknął mu z oczu.

Ale Jarod Shadowsong nie czuł nic, nawet najbliższego powiewu. Został zupełnie sam, gdy z pyłu poderwanego przez wiatr wyszedł olbrzym o

ciemnej skórze pokrytej tatuażami, w których nawet Jarod wyczuwał złowrogie magiczne siły.

– Tak... – zastanawiała się na głos postać, mierząc nocnego elfa wzrokiem. – Skoro nie mogę mieć druida, rozerwę się dzięki żalosnemu nieszczęśnikowi, który uchodzi za nadzieję tej skazanej na klęskę armii.

Jarod dobył miecza, wiedząc, że w starciu z tym przeciwnikiem nie ma szans, ale nie zamierzał poddać się bez walki.

– Czekam na ciebie, Archimondzie.

Arcydemon wybuchnął śmiechem.

OSIEMNAŚCIE



Brox był tylko prostym wojownikiem, ale wiedział, kiedy przegrywa. Nie chodziło o to, że on i pozostali nie byli w stanie pokonać tych uzbrojonych nocnych elfów i ich wierzchowców z piekła rodem, ale każda sekunda zmarnowana na walkę z nimi przybliżała chwilę, w której portal będzie gotowy. Już teraz wokół gardzieli wiru pojawiła się złowróźbna zielona aura. Ork znał się na magii na tyle dobrze, by wiedzieć, że wkrótce droga będzie wystarczająco stabilna dla zła pragnącego się tu dostać – czy będzie to Sargerias, czy Prastarzy Bogowie, o których wspomniał Krasus.

Włócznia z zadziarami świsnęła obok jego głowy, zdzierając z niej płat skóry, ale nie czyniąc zaprawionemu w boju orkowi większej krzywdy. Wykrzywiony żołnierz, który ją dzierżył, skierował swojego nietoperza w bok, chcąc ominąć szpony brązowej smoczy i dźgnąć ponownie zielonego wojownika.

Smoczyca wczepiła się w cienistego nietoperza. Dwa olbrzymy zaszamotały się, przez co nocny elf chybił. Zamiast nadziać orka na dzidę, trafił go w ramię. Brox warknął, gdy kolczaste ostrze wydarło kawał mięsa. Nie zważając na ból, nachylił się do przodu i rozrąbał włócznię na pół.

Klnąc, żołnierz dobył miecza. Ale Brox, odrzucając ostrożność, uniósł się i skoczył na przeciwnika.

Wylądował w klęku, przytrzymując się ucha nietoperza. Ten brawurowy wyczyn tak zaskoczył nocnego elfa, że wciąż siedział z rozdziawionymi ustami, gdy ork jedną ręką zatopił topór w jego opancerzonej piersi. Żołnierz zwałił się z grzbietu wierzchowca.

Ale swoją porywczosć Brox prawie przypłacił życiem. Zamierzał wybić się z grzbietu nietoperza, żeby przeskoczyć z powrotem na smoka, ale skóra stworza okazała się dziwnie śliska. Kiedy puścił ucho, pośliznął się. Nie wypuszczając topora, zsunął się w stronę ogona w ślad za trupem nocnego elfa. Pole jego widzenia wypełniła rozrastająca się brama. Wyczuł pęczniejące w niej zło... W chwili, w której zaczął spadać, chwyciła go para szponów, i usłyszał krzyk Rhonina:

– Mamy cię, Broksie!

Czerwona smoczyca służąca magowi za wierzchowca wykręciła się tak, żeby ork mógł wdrapać się na jej grzbiet. Rhonin wyciągnął do niego rękę i pomógł mu usiąść za sobą.

– To było dość ryzykowne nawet jak na orka, co?

– Możliwe – przyznał Brox, myśląc o portalu. Choć uważał się za odważnego, cieszył się, że w niego nie wpadł. Im dalej się od niego trzymał, tym lepiej.

Czarodziej zeszywniał nagle.

– Uwaga! Nadlatują dwa kolejne!

Zbliżały się do nich dwa nietoperze. Dłoń Rhonina rozbłysła, gdy zaczął przygotowywać zaklęcie. Brox uniósł topór, gotowy dać z siebie wszystko. Cieszyło go pojawienie się nowych przeciwników, nawet jeśli tylko dlatego że dzięki nim mógł oderwać myśli od portalu.

Portalu i zła, które budziło strach nawet w nim.



Widok Skrzydeł Śmierci odrzuconego przez czar otaczający dysk zaskoczył i zniechęcił Malfuriona. Jeśli nawet czarny smok nie był w stanie sforsować czarnej magii, jakie szanse mieli on i jego towarzysze?

Ale nie miał czasu martwić się dłużej dyskiem, bo na Yserę spadł groźny kształt. Zielona smoczyca ryknęła, gdy kły nietoperza wbiły jej się w bark obok kręgosłupa. Nocny elf zsunął się w bok, aby nie zostać zmiażdżonym przez nietoperza. Koło jego głowy świsnął miecz, o mały włos nie odcinając mu ucha.

– Szczwany głupiec! – syknął Varo'then. Oficer Azshary znów pchnął i tym razem drasnął Malfuriona w policzek, po czym złożył się do następnego ciosu. – Kolejnym odrąbię ci głowę!

Druid wepchnął dłoń do sakwy. Wiedział, czego szuka i modlił się, żeby to znaleźć. Znajomy dotyk uspokoił go. Wyciągnął nasiona.

Kapitan Varo'then zmienił pozycję. Wredny uśmiech zrobił się jeszcze szerszy. Demony znalazły w sadystycznym żołnierzu idealnego podkomendnego. Gdy klinga opadała, Malfurion wrzucił nasiona do paszczy nietoperza.

Bestia natychmiast zwinęła się w konwulsjach. Sztych miecza, mierzący w gardło druida, zostawił krwawą, ale płytką kreskę na obojczyku. Malfurion stęknął z bólu, ale nie spadł. Wierzchowiec Varo'thena rozjarzył się płomiennym blaskiem. Kapitan usiłował opanować stwora, ale na próżno. Nietoperz miotał się jak wściekły, skrzecząc.

Chwilę później stanął w płomieniach.

Malfurion korzystał już z żar-nasion we wcześniejszych bitwach. Ale ponieważ zostało mu ich tylko kilka, nie chciał ich używać tutaj w obawie, że się zmarnują. Tylko dlatego, że nietoperz znalazł się tuż nad nim, mógł mieć pewność, że wszystkie trafią prosto do celu – w gardło stwora.

Płomienny spektakl był tak jasny, że Malfurion musiał odwrócić wzrok. Usłyszał krzyk Varo'thena, ale słowa były niezrozumiałe. Z ostatnim przenikliwym wrzaskiem podpalona bestia runęła w dół.

Malfurion przylgnął do Ysery, z trudem łapiąc oddech. Smoczyca nie mogła zrobić nic dla swojego jeźdźca, bo już atakował ją kolejny nietoperz. Druid trzymał się jej kurczowo, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Rany piekły go niemiłosiernie, a świadomość, że dysk jest dla nich wciąż nieosiągalny, osłabiała go jeszcze bardziej.

Kostkę u nogi przeszył mu ostry ból.

Malfurion krzyknął i prawie się puścił. Do buta pociekła mu strużka krwi. Zaczął konwulsyjnie kopać nogą. Popatrzył na nogę i źródło bólu załzawionymi oczami.

Kapitan Varo'then trzymał się kurczowo dolnej części grzbietu Ysery, stękając i podciągając się w górę łuska za łuską. Źródło bólu – zakrzywiony sztylet oficera – tkwił między jego zębami. Krew Malfuriona ciekła mu po spiczastej brodzie.

Jakim cudem Varo'thenowi udało się złapać Ysery, gdy jego płonący wierzchołek runął w dół, Malfurion nie wiedział, ale po raz kolejny nie docenił oficera. Znów kopnął najmocniej jak potrafił, ale kapitan z łatwością uchylił się przed ciosem. Podczas gdy on sam z trudem utrzymywał się na grzbiecie walczącej Ysery, Varo'then, mający większe doświadczenie bojowe, posuwał się z wprawą w stronę wroga. Zmrużonymi oczami mierzył Malfuriona jak drapieżnik gotujący się do mordowania...

Druid sięgnął do sakwy... i jednocześnie Varo'then uniósł lewą dłoń.

– Aaaa! – Malfuriona oślepił szkarłatny błysk. Zbyt późno przypomniał sobie, że kapitan posiadał pewne magiczne umiejętności. Nie dość zaawansowane, by stanowić istotne zagrożenie, ale wystarczające, by zdezorientować ofiarę, gdy sam szykował się do zadania śmiertelnego ciosu.

Malfurion uniósł wolną rękę, co prawdopodobnie uchroniło go przed śmiercią. Spadła na niego ciężka, metaliczna postać – opancerzone ciało Varo'thena – i druid poczuł na twarzy jego ciężki oddech.

– Światło Świateł sowicie mnie za to wynagrodzi! – wychrypiął kapitan tonem szaleńca. – Mannoroth nie dał ci rady! Archimond nie dał ci rady! Taka mdła kreatura, a przechytryłeś ich obu! Wielkich dowódców Sargerasa! Ha! Dzięki tobie powrócę do jej łask i wkradnę się w jego łaski! Ja! Lord Varo'then!

– Sargeras chce zniszczyć Kalimdor, a nie odnowić go! – krzyknął Malfurion, usiłując przemówić przeciwnikowi do rozumu.

– Oczywiście! Już dawno do tego doszedłem! Phi! A co mnie obchodzi ten płachetek ziemi? Tak długo, jak mogę służyć królowej i dowodzić żołnierzami w jej imieniu, nie obchodzi mnie, gdzie będę to robił! Kto wie, może Sargeras uczyni mnie swoim głównodowodzącym! Za to i za podziw Azshary mogę patrzeć, jak Kalimdor obraca się w proch!

Varo'then oszalał. Malfuriona ogarnęło nagle oburzenie, że jakikolwiek nocny elf może tak beztrąsko mówić o końcu wszystkiego, a zwłaszcza tak drogiego druidowi świata, który zrodził ich rasę. Było to wbrew temu wszystkiemu, czego uczył go Cenarius i w co zawsze wierzył.

– Kalimdor to nasza krew, nasz oddech, nasze istnienie! – krzyknął Malfurion z rosnącą furią. – Jesteśmy jego częścią tak samo jak drzewa, rzeki, a nawet skały! Jesteśmy jego dziećmi! Zabiłbyś matkę, która wydała cię na świat! – Poczuł, że pali go czoło.

– Jesteś żalony! Żyjemy na kamyczku, który jest jednym z wielu! Kalimdor jest niczym! Dzięki Legionowi i mojej królowej przemierzę tysiąc światów, które zmiażdżymy pod stopami! Potęga, druidzie! Potęga jest moją krwią, moim oddechem, rozumiesz? – Kapitan Varo'then wykręcił rękę, w której trzymał sztylet, poza zasięg Malfuriona. – Ale jeśli zagłada Kalimdoru tak cię martwi, wyświadczę ci przysługę i wyślę cię w zaświaty, gdzie będziesz mógł osobiście powitać jego cień!

Wściekłość Malfuriona sięgnęła granic. Wlepił w Varo'thena płomienne spojrzenie.

– Pragniesz mocy? Poczuj moc świata, który masz zamiar zdradzić, kapitanie!

Energia przepływała przez druida równie naturalnie jak jego własna krew. Czuł, jak napływa ze źródła... Kalimdoru. Sam świat nie był rozumny, ale był żywy i wreszcie poprzez Malfuriona mógł odpowiedzieć na atak.

Z druida wystrzelił snop miękkiego błękitnego światła, który uderzył Varo'thena w sam środek piersi. Wypuściwszy sztylet ze zwiotczącej dłoni, kapitan poszybował bezradnie nad Studnią Wieczności. Teraz blask nie tylko otaczał Varo'thena, ale przeszywał go na wylot. Jego ciało, ścięgna, organy i szkielet były widoczne pod rozżarzoną pancerzem. Głowa wrzeszczącego oficera zmieniła się pod przezroczystą skórą w czaszkę.

Varo'then odrzucił wszystko, co wiązało się z Kalimdorem... a teraz, poprzez Malfuriona, Kalimdor odrzucił wszystko, co miało związek z nim. Blask wciąż otaczający kapitana zakreślił nad Studnią łuk, po czym opadł gwałtownie w lej wiru i zgasł.

Niczym infernal spadający na ofiary w Suramarze to, co zostało z kapitana Varo'thena, runęło w krystalizujący się portal.

Moc, która wezbrała w Malfurionie, odpłynęła równie gwałtownie, jak się pojawiła. Odczuwał stratę, ale równocześnie pokrzepienie płynące z

faktu, że świat nie był jeszcze całkowicie bezbronny. Wciąż zwisając z grzbietu Ysery patrzył tam, gdzie zniknął Varo'then.

– Zobaczymy, czy po czymś takim pan Legionu nadal będzie chciał cię nagrodzić, kapitanie...

Nagle szarpnięcie sprawiło, że niewiele brakowało, a poszybowałby w ślad za Varo'thenem. Ysera trzymała go po nietoperzu w obu przednich łapach i choć właśnie rozszarpała jednemu z nich gardło, drugi rozdarł jej skrzydło.

Malfurion zdołał usadowić się nieco pewniej, po czym wyjął z jednej z sakw odrobinę balsamu, który wcześniej przygotował. Balsam został sporządzony z wybranych ziół, lecz choć druid wypróbował go już na polu bitwy, nie był wcale pewny, czy jest wystarczająco silny, żeby pomóc takiemu olbrzymowi jak Ysera.

Ale już w chwili, w której wtarł go w nasadę skrzydła, efekty znacznie przekroczyły jego wyobrażenia. Odrobina balsamu rozlała się na resztę skrzydła, pokrywając je w całości. Rozdarcia błyskawicznie się zagoiły i po paskudnych ranach nie został nawet ślad.

– Czuję przyływ sił! – ryknęła Ta, Która Jest Śnieniem, rozszarpując drugiego stwora. Ysera obróciła łeb ku Malfurionowi. Choć miała zamknięte powieki, poczuł intensywność jej spojrzenia. – Cenarius dobrze cię wyszkolił... – Urwała nagle i zamrugła. – Ale możliwe, że uznanie należy się w dużej mierze więzi, jaka łączy cię z mocą, którą władasz. Tak, na pewno...

Druid zorientował się, że gdy otworzyła oczy, zerknęła na czubek jego głowy. Uniósł rękę... i odkrył, że wyrostki urosły o dobre trzy cale.

Zaczęło mu rosnać poroże takie jak miał jego *shan'do*.

Zanim przetrawił to nowe odkrycie, okolicą zatrzęsł straszliwy ryk, który zagłuszył nawet nawałnicę.

Z burzowych chmur spadł Skrzydła Śmierci.

Czarny lewiatan rzucił się po raz kolejny na nieprzeniknione zaklęcia. W miejscach, gdzie rozdarcia w skórze nie zostały jeszcze przykryte płytami, jego ciałem nieustannie wstrząsały wybuchy. Ślepią miał wybałuszone z wściekłości. Mknął ku Duszy Demona z szybkością, która odebrała Malfurionowi dech.

Powietrze wokół dysku zaskwierczało nagle, żółte i czerwone rozbłyski ostrzegły przed mocą ukrytą w skradzionym dziele smoka. Malfurion wyczuł działanie nowych sił, mocy wpojonej w matrycę zaklęcia, aby wzmocnić jego władzę nad Duszą Demona.

Skrzydła Śmierci zderzył się z matrycą. Niebo wokół niego eksplodowało surową energią, która powinna była spalić szalony Aspekt, lecz choć jego łuski i ciało wyraźnie płonęły, Skrzydła Śmierci nadal parł naprzód, rycząc wyzywająco na potężne siły, które wystawiono przeciwko niemu. Jego pysk wykrzywił się w obłąkanym, gadzim uśmiechu, który robił się coraz szerszy z każdym pchnięciem, które zbliżało go do celu.

– Jego obsesja nie ma granic... – powiedziała Ysera, nie mogąc się nadziwić.

– Myślisz, że może mu się udać?

– Właściwe pytanie brzmi... czy chcemy, żeby mu się udało?

Z okaleczonego cielska czarnego smoka odrywały się łuski. Skwierczące pioruny były teraz już tylko w niego, przypalając go raz po raz. Lecz choć wzdrygał się pod ich kanonadą, nie rezygnował.

Czerwona smoczyca, na której grzbiecie siedzieli Rhonin i Brox, minęła Malfuriona. Głosem wzmocnionym zaklęciem czarodziej zawołał:

– Krasus ostrzega, że musimy być gotowi! Uważa, że Skrzydła Śmierci może przełamać zaklęcie! Musimy być gotowi na jego atak, gdy tylko tego dokona!

– Skrzydła Śmierci... – mruknęła Ysera. – Gdy widzę go w takim stanie, jakże trafne wydaje się to imię... – A do Rhonina ryknęła: – Będziemy gotowi!

Musieli uderzyć równocześnie. Mieli tylko tę jedną szansę... i to niewiele większą od samodzielnej próby wydarcia dysku z mocy zaklęcia. Nocnemu elfowi nie podobały się ich nikłe szanse, ale miał zamiar wezwać na pomoc całą potęgą Kalimdoru, jaką zdoła.

Wiedząc, że to może być ostatnia szansa dla wszystkich, których kocha, myślnie instynktownie wybiegł ku Tyrande. Nie Illidanowi, lecz Tyrande. Chciał porozmawiać z nią jeden ostatni raz, dowiedzieć się, czy będzie żyć... nawet gdyby on sam miał zginąć.

Malfurionie?

Druid prawie ześliznął się z grzbietu Ysery. W pierwszej chwili uznał głos w swoim umyśle za iluzję, albo ponury fortel mrocznych mocy, z którymi walczyli, ale serce podpowiadało mu, że nie może to być nikt inny niż Tyrande.

Pamiętał, że to ona pomogła wezwać go z powrotem, kiedy nie był w stanie powrócić do swojego ciała. Łącząca ich więź była znacznie silniejsza niż sobie kiedykolwiek wyobrażał i w tej samej chwili, w której to pomyślał, wyczuł, że ona też to zauważyła.

Malfurionie!, powtórzyła z większą nadzieją. *Och, Malfurionie! To ty!*

Tyrande! Ty żyjesz! Czy ty... czy oni...

Kapłanka szybko go uspokoiła.

Księżycowa Matka, niech będzie pochwalona, opiekowała się mną, pomogli mi też Szlachetnie Urodzeni pragnący powrócić do naszego ludu! Wiem, że zrobiłeś to, co musiałeś zrobić! Ale posłuchaj! Twój brat...

Mój brat... Gdy tylko wspomniała o Illidanie, druid wyczuł blisko Tyrande obecność kogoś bardzo podobnego do siebie. Tak blisko, że

musieli się dotykać.

Bracie... zaczął Illidan.

Ty! Coś wyrwało się z niego, coś, co musiał natychmiast pohamować. Ale pomimo wysiłków nie do końca mu się to udało.

Malfurionie!, zawołała błagalnie Tyrande. Przestań! Zabijesz go!

Nie miał pojęcia, co właściwie robi Illidanowi, ale skupił się, usiłując powściągnąć to, co wyzwolił. Ku jego uldze Illidan szybko doszedł do siebie.

Nigdy... nigdy nie sądziłem, że potrafisz się na to zdobyć... bracie...

Choć ton Illidana był jak zwykle pogardliwy, stan jego umysłu zdradzał, że jest oszołomiony faktem, iż brat, którego uważał za słabeusza, wcale nim nie jest.

Musisz się wytłumaczyć z wielu rzeczy, Illidanie!

Jeśli wszyscy przeżyjemy, stawię czoło zarzutom...

Miał rację. Jaki sens miało potępienie go, skoro wszyscy mogli zginąć? Poza tym Malfurion uzmysłowił sobie, że marnuje na niego cenną moc.

Odpychając od siebie myśli o bracie, druid znów dotknął umysłem Tyrande.

Dobrze się czujesz? Nic ci nie zrobił?

Nic, Malfurionie. Przysięgam na Elune... ale teraz ukrywamy się w ruinach w pobliżu Studni i nawet nie śmiemy użyć magii! Demon Mannoroth ma wszędzie swoich wojowników! Wydaje mi się, że podejrzewają, gdzie jesteśmy, mimo zaklęć Illidana i moich modlitw...

Chciał znaleźć się przy niej, ale to też nie było możliwe. Malfurion zaklął.

Jeśli uda nam się...

Ale zanim zdołał powiedzieć coś więcej, Skrzydła Śmierci wydał z siebie straszliwy ryk. Ból we wrzasku smoka był tak dojmujący, że

przerwał kontakt z Tyrande i Illidanem i wymazał wszystko inne z umysłu Malfuriona.

Nocny elf patrzył na smoka, który cierpiał niewyobrażalne męki, ale miał taką obsesję na punkcie tego, czego pożywał, że żaden ból nie był w stanie go zniechęcić. Część płyt przytwierdzonych do jego cielska spaliła się na żużel, a fragmenty skóry zostały obdarte z łusek. Spod spodu wyzierało surowe mięso – nadpalone albo poszarpane. Skrzydła lewiatana były podarte w kilku miejscach i Malfurion dziwił się, że szalony Strażnik Ziemi jest wciąż w stanie latać. Szpony Skrzydeł Śmierci były zwichrowane i powyłamywane, jak gdyby drapał jakiś nieprzepuszczalny obiekt.

A potem dostrzegł, jak niewiele dzieli go już od wytęsknionej zdobyczy.

– Na Stwórców! – ryknęła Ysera. – Nic nie jest w stanie go powstrzymać!

Druid kiwnął głową w milczeniu, a potem uświadomił sobie, jak złowieszcze są w rzeczywistości jej słowa. Wyglądało na to, że w każdej chwili Skrzydła Śmierci może dokonać niemożliwego... a wtedy ci, którzy chcieli skraść mu dysk, będą musieli zrobić to samo.



Precz... precz... żądały głosy, które kiedyś zachęcały smoka na każdym kroku. Teraz, tak jak wszyscy inni, okazały się zdradzieckie. Zaprawdę, Neltharion nie mógł zaufać nikomu prócz siebie.

– Dostanę ją! Dusza jest moja! Niczyja inna!

Wyczuł ich wzburzenie, gdy nie zechciał ich posłuchać. Zaatakowali dziko jego umysł, wzmacniając jednocześnie bombardujące go zaklęcia Płonącego Legionu. Czarny smok jeszcze nigdy tak nie cierpiał, ale miało mu się to opłacić. Chociaż posuwał się naprzód cal za cal, robił postępy. Dysk był już prawie w jego zasięgu.

Precz... powtarzały głosy. Precz...

Ale pod powierzchnią wzburzenia Neltharion wyczuł też narastający niepokój, a nawet strach. Głosy wiedziały, że już prawie dosięgnął swego tworu. Być może zdawały sobie sprawę, że gdy znajdzie się znów w jego posiadaniu, ukarze je tak jak całą resztę.

Nagle w grę wszedł jeszcze jeden czynnik. Pan demonów sięgnął ze swojej krainy, wzmacniając straszliwe siły wplecione w matrycę zaklęcia. Neltharion znów zaryczał, gdyż cierpienia, jakie do tej pory znosił, były zaledwie ułamkiem tego, co czuł teraz.

Ale to tylko dodało mu sił. Z pyskiem wykrzywionym w smoczej wersji śmiertelnego grymasu, lewiatan zaśmiał się w głos z tych wszystkich, którzy chcieli odmówić mu tego, co do niego należało. Roześmiał się i pokonał ostatnie kilka jardów dzielących go od dysku.

– Jest mój! – zaryczał triumfalnie. – Mój!

Jego łapa zamknęła się wokół Duszy Demona.



– Musimy uderzyć teraz! – ostrzegł Alexstraszę Krasus. – Musimy uderzyć teraz, jeśli chcemy...

Świat eksplodował.

Albo tak się przynajmniej wydawało zakapturzonej postaci. Krasusa załapała szalona powódź barw. Usłyszał zaskoczony ryk bólu Alexstraszy. Uderzyła w nich jakaś potworna siła. Krasus próbował się przytrzymać swojej królowej, ale był to zbyt wielki wysiłek dla śmiertelnej powłoki, jaką nosił.

Spadł.

Obok niego przelatowały różne rzeczy. Piszczący, zwęglony nietoperz. Drobną postać mogącą być jego jeźdźcem albo jednym z towarzyszy maga. Kilka fragmentów smoczych łusek spalonych do tego stopnia, że nie dało się rozpoznać ich koloru.

Krasus koziółkował, mimo użytych zaklęć nie będąc w stanie się zatrzymać.

Przegraliśmy!, zdołał pomyśleć. To już musi być koniec!

A potem pochwyciła go czyjaś wielka łapa i usłyszał ochryply krzyk Alexstraszy:

– Udało mu się! Udało mu się!

Poprzez łyż mag zdołał dojrzeć Skrzydła Śmierci i Duszę Demona.

Czarny smok ryczał z całych sił, wrywając dysk z mocy zaklęcia. Jego ciało stało w płomieniach i Krasus nie mógł się nadziwić, że nawet istota tak potężna jak Aspekt mogła przeżyć z takimi obrażeniami. Lewiatan uniósł wysoko swoje dzieło, śmiejąc się triumfalnie pomimo ewidentnego bólu.

I wtedy z głębin Studni wystrzelił snop czarnej energii, który trafił prosto w Skrzydła Śmierci.

Odrzucił smoka w tył, uderzając z taką gwałtownością że ten poleciał daleko, daleko poza Studnię. Daleko poza jej brzeg. Koziółkujący Skrzydła Śmierci zniknął w chmurach...

A Dusza Demona, którą wypuścił, runęła w dół ku wirowi.

– Musimy przejąć nad nią kontrolę, zanim Sargeras albo Prastarzy Bogowie wplotą ją z powrotem w matrycę zaklęcia! Myślę, że mimo czaru Skrzydeł Śmierci uda mi się ją utrzymać wystarczająco długo dla osiągnięcia naszego celu! Ale musimy dotrzeć do niej pierwsi!

– Zrobię, co w mojej mocy... – wysapała Alexstrasza.

Dopiero teraz Krasus zauważył, jak bardzo jego królowa ucierpiała od sił wyzwolonych przez szalone poczynania Skrzydeł Śmierci. Aspekt Życia z trudem utrzymywała się w powietrzu.

Ale nagle minął ich ogromny smok, znajomy zielony lewiatan, na którego grzbiecie siedział elf jedyny w swoim rodzaju.

– Malfurion... – mruknął Krasus, przyglądając się druidowi, który teraz miał na głowie parę rogów podobnych do poroża jego nauczyciela. – Tak, to on musi spróbować...

Ale to nie wykluczało wysiłków ze strony pozostałych. Alexstrasza nie zwolniła pomimo ran, a po prawej ręce Krasusa lecieli na grzbiecie czerwonego samca Rhonin i Brox. Towarzyszyła im też brązowa samica, ale bez jeźdźca mogła tylko czuwać nad resztą.

Smoczyca Malfuriona zbliżała się do spadającego dysku, który mknął w dół zostawiając za sobą jasnozłotą smugę. Krasus patrzył, jak druid otwiera dłoń... i bezbłędnie łapie plugawy artefakt. Nocny elf przycisnął go do piersi.

Z portalu rozległ się potworny ryk, który zatrzęsł duszą smoczego maga. Spojrzał ze zgrozą w dół, na straszliwy sztorm kotłujący się w samym środku Studni.

Sargeras usiłował przejść przez prawie gotowy portal.



Brox był wojownikiem i znał dobrze swoje ograniczenia. To był czas magów i czarodziejów. Nie było tu wrogów z mieczami i toporami, już nie.

Malfurion patrzył na budzący grozę przedmiot szeroko otwartymi oczyma. Brox był świadomy uwodzicielskiej mocy dysku i szybko krzyknął przez Rhonina:

– Druidzie! Nie możesz mu ufać! Jest w nim zło!

Nocny elf oderwał wzrok od dysku i skinął towarzyszowi w zdecydowany sposób. Brox odetchnął z ulgą, ale oddech uwiązł mu w gardle, gdy tak jak pozostali usłyszał piekielny krzyk dobiegający ze Studni. Krzyk rozwścieczonego boga.

Krzyk Sargerasa, pana Płonącego Legionu.

– Władca demonów próbuje wkroczyć do Kalimdoru – ryknął karmazynowy samiec. – Portal jest już prawie gotowy! Może mu się udać... a jeśli tak, wszyscy jesteśmy zgubieni!

Brox wbił wzrok w zieloną burzę w dole. Kurczyła się, przekształcając w mniejszą, niemal idealnie ośmiokątną lukę.

– Co się dzieje? Brama się kurczy, zamiast rosnąć?

– Sargeras próbuje zwiększyć swoje szanse poprzez centralizację zaklęcia! Kiedy już znajdzie się po tej stronie, bez problemu znów rozszerzy portal! W ten sposób ma tylko większe szanse powodzenia!

Przerażony ork oderwał wzrok od potwornej burzy... i odkrył, że ich położenie jest jeszcze bardziej tragiczne. Znad Zin–Azshari unosiły się setki, a może tysiące skrzydlatych postaci.

– Patrzcie! Tam!

Demon Mannoroth pozwolił kapitanowi Varo'thenowi i jego żołnierzom zaatakować drużynę, gdy wydawało się, że wystarczy tylko grać na zwłokę. Ale teraz, po tym, czego dokonał czarny smok, plan najwyraźniej uległ zmianie. Mannoroth z pewnością zdał sobie sprawę, że Legionowi grozi realne niebezpieczeństwo. Dlatego wezwał przeciwko obrońcom świata wszystkich strażników zagłady i inne demony, które miał pod ręką.

Broxa aż świerzbiły palce, by użyć topora w walce z nadlatującą chmarą, ale wiedział, że jego wysiłki byłyby śmiechu warte w porównaniu z możliwościami Rhonina i Krasusa. To prawda, mógł towarzyszyć czarodziejowi walczącemu z nimi z grzbietu czerwonego samca, ale co by im z tego przyszło?

Alexstrasza i Krasus, którzy zostali nieco w tyle, już się odwrócili, by stawić czoła hordzie skrzydlatych demonów. Czerwony samiec oddalał się od środka Studni. To oznaczało, że sprawowanie pieczy nad Duszą Demona i zapieczętowanie portalu pozostawiono Malfurionowi... pod warunkiem, że będzie miał dość czasu. Nawet Brox wyczuwał złowieszczą energię narastającą wewnątrz skondensowanego zaklęcia. Sargeras był już prawie po drugiej stronie...

Orkowi przyszła do głowy tylko jedna rzecz, jaką mógł zrobić. Jakaś jego część nazwała to szaleństwem, ale inna upierała się, że tak właśnie należy postąpić.

– Żegnaj, czarodzieju! – wrzasnął. – To był dla mnie zaszczyt, móc walczyć u twojego boku!

Rhonin obejrzał się na niego.

– Co zamierzasz...

Brox skoczył.

Czerwony smok spróbował go złapać, ale zaskoczenie sprawiło, że nie zdążył. Ork przeleciał między jego szponami, spadając nieubłaganie ku

środkowi Studni Wieczności... i oszalałej nawałnicy, która właśnie osiągnęła punkt kulminacyjny.

Brox był z podniecenia, czując, jak wiatr smaga go po twarzy. Ścisnął topór tak mocno, że pobiełały mu knykcie. Wyszczrzył się tak jak wtedy, gdy wraz z towarzyszami stał gotów bronić przełęczy za cenę życia.

Gdy zbliżył się do portalu, zmieniła się jego perspektywa. Dostrzegł w środku poruszenie. Całe szeregi demonów przygotowujących się, by wkroczyć w ślad za swoim panem na śmiertelny plan. Rzędy demonów ciągnące się w Nieskończoność. Samego Sargerasa nigdzie nie dostrzegł, ale wiedział, że przerażający władca demonów musi być bardzo, bardzo blisko.

A potem... ork przeleciał przez portal.

DZIEWIĘTNAŚCIE



Malfurion nie widział skoku Broxa, całkowicie pochłonięty czekającym go zadaniem. Teraz, gdy miał już dysk, zorientował się, jak beznadziejna jest jego sytuacja. Miał nadzieję, że ktoś inny, przede wszystkim Krasus, przechwyci Duszę Demona, ale zlekceważenie zaklęcia i szokujący wyczyn czarnego smoka wywróciły sytuację do góry nogami. Teraz wszystko zależało od niego, a on nie miał pojęcia, co dokładnie powinien zrobić.

W tej samej chwili znów wyczuł w myślach obecność Tyrande. Sięgając ku niej instynktownie, odkrył ze zgrozą, że grozi jej niebezpieczeństwo.

Tyrande! Co...?

Malfurionie! Wszędzie są demony! Illidan i ja sądzymy, że Mannoroth próbuje cię dopaść poprzez nas!

Szybko odszukał połączenie z bratem bliźniakiem. Pierwszy kontakt z przepełnionym żądzą krwi Illidanem zaszokował Malfuriona. Poprzez łączy druid poczuł, jak jego brat uderza w Płonący Legion. Przed odzianym na czarno czarodziejem piętrzyły się ciała płomiennych wojowników.

Illidan nagle wykrył jego obecność.

Bracie?

Illidan! Dacie radę uciec?

Jesteśmy otoczeni, a Mannoroth z pewnością niecierpliwie czeka na użycie przeze mnie zaklęcia teleportującego, aby nas stąd uprowadzić! Natychmiast je przejmie, ściągając nas w swoje kochające ramiona...

Malfurion się wzdrygnął.

Wyruszam! Pomogę wam!

Ale już mówiąc to, druid wiedział, że nie może opuścić Studni. Portal musi zostać zniszczony, nawet jeśli oznacza to poświęcenie brata i Tyrande.

Jakże modlił się o powrót dawnych czasów, sprzed przybycia Legionu. Czasów, gdy walczyliby z bratem ramię w ramię. W młodości byli w stanie pokonać wszystkie przeszkody, ponieważ stanowili jedność.

Gdyby mogło tak być choć jeszcze jeden raz, pomyślał z rozpaczą druid. Gdybym tylko mógł stanąć obok Illidana, a on obok mnie, razem stawilibyśmy czoła temu złu...

Zbyt późno zauważył, że Dusza Demona rozbłysła.

Uderzyło go dziwne wrażenie przeniesienia się w inne miejsce. Jego spojrzenie na chwilę straciło ostrość. Stękając, Malfurion potrząsnął głową... i odkrył, że stoi obok Illidana w ruinach Zin–Azshari.

– Malfurionie! – zawołała Tyrande. Wyciągnęła rękę, chcąc go dotknąć, ale jej dłoń przeszła przez niego.

Ale kiedy Malfurion wyciągnął rękę w stronę brata bliźniaka, poczuł ciało. Illidan wzdrygnął się, zaskoczony.

Malfurion zamrugał... i znów leciał na smoku nad Studnią Wieczności.

Ale tym razem... Illidan siedział obok niego.

Czarodziej patrzył na Malfuriona zza swojego szala z podejrzliwością i z trudem skrywanym podziwem.

– Co zrobiłeś, bracie?

Druid spojrział na Duszę Demona i przypomniał sobie swoje życzenie. Plugawy dysk je spełnił.

On i Illidan znajdowali się w dwóch miejscach jednocześnie.

Niech więc tak będzie. Bez względu na to, jak bardzo nikczemna jest Dusza Demona, dała mu szansę, której potrzebował.

– Wesprzyj mnie, Illidanie! – rzucił mu wyzwanie Malfurion. – Tutaj... – znów znaleźli się w Zin–Azshari – ...i tutaj!

Musiał przyznać bratu, że natychmiast kiwnął głową ze starym, dobrym, znajomym uśmiechem. W zasnutym plugawą mgłą mieście bracia stanęli ramię w ramię przeciw nawale usiłujących ich dosięgnąć demonów, które przedzierały się hurmą przez gruzy miasta. Dziesiątki zginęły, gdy Illidan stworzył z czarnej energii długie na jard miecze, a Malfurion przeobraził siły natury w deszcz, którego krople topiły pancerze i skórę demonów. Tyrande stała obok nich, wzywając czysty blask swej bogini i oślepiając, a nawet paląc nim atakujące potwory.

Przez cały ten czas Malfurion i Illidan siedzieli na grzbiecie Ysery, zmagając się z zaklęciem podtrzymującym portal. Obaj byli zdziwieni, że Sargerias jeszcze go nie przekroczył, ale nie poddawali w wątpliwość tego chwilowego ocalenia.

Ale nawet z Duszą Demona nie udało im się nic osiągnąć. Na niebie już roilo się od strażników zagłady, szukających tych, którzy bronili ich panu wstępu do Kalimdoru. Krasus, Rhonin i smoki zabijali ich tuzinami, ale ich szeregi wydawały się wciąż tak samo liczne. Nigdzie nie było widać śladu Broxa, jednak druid nie miał teraz czasu, by martwić się o orka.

Ysera parowała atak za atakiem, ale Malfurion zdawał sobie sprawę, że nie będzie ich bronić w nieskończoność. Jednak pomimo prób użycia Duszy Demona przeciwko portalowi on i Illidan ponosili same porażki. Wtedy nasunęła mu się odpowiedź. Malfurion spojrzał w osłonięte oczodoły brata.

– Robimy wszystko na opak! Używamy dysku, by wzmocnić nasze zaklęcia!

– Oczywiście! – odburknął Illidan. W jednej chwili znów znaleźli się w Zin–Azshari, gdzie czarodzieje wypruwali flaki piekielnym gwardzistom. – Jak inaczej mielibyśmy go używać?

Znów otaczała ich Studnia i zapełnione demonami niebo. Druid popatrzył na obmierzłe dzieło Skrzydeł Śmierci. Nienawidził się za to, co miał zaraz zaproponować.

– Dusza Demona stanowi nadal część matrycy! Zamiast z niej czerpać, powinniśmy wlewać w nią moc! Powinniśmy działać poprzez dysk, a nie posługiwać się nim jak mieczem czy toporem!

Illidan otworzył usta, żeby zaprotestować, ale natychmiast je zamknął. Słowa jego brata miały sens.

Malfurion znów zobaczył Zin–Azshari. Natychmiast wyczuł wśród demonów w mieście jakąś nową siłę, która przesuwała się nieubłaganie ku ruinom, gdzie schronili się razem z Tyrande. Nosila znajome piętno... i odór.

– Satyry!

Podobne do kozłów istoty będące kiedyś nocnymi elfami wyprzedziły demony, przygotowując zaklęcia. Śmiały się przy tym jak szalone, a niektóre nawet beczały.

Ale kiedy monstra zbliżyły się do trójki towarzyszy, Malfurion po raz kolejny znalazł się na grzbiecie Ysery. Ciągłe zmiany miejsca pobytu rozpraszały go i podejrzewał, że w ten czy inny sposób stracą wkrótce zdolność przebywania w dwóch miejscach równocześnie.

– Wesprzyj mnie, Illidanie! Zrób to!

Pomimo osobistych uraz, czarodziej się nie zawahał. Ich umysły się połączyły, zlewając się niemal w jedno. Malfurion wyczuł nieprzemyślane plany brata, aby zostać wybawcą Kalimdoru, i natychmiast zorientował się, że to ponure siły, które niemal skłoniły jego samego do przywłaszczenia

sobie dysku, wykorzystały arogancję Illidana, aby wpleść w tę mieszankę własne czary.

Zapomniał o Prastarych Bogach, którzy jednak nie dali za wygraną; portal Sargerasa wciąż stanowił klucz do ich wolności. Teraz lepiej niż kiedykolwiek rozumiał, że musi użyć Duszy Demona, jeśli chcą zniszczyć bramę.

Bądź gotów!, rozkazał Illidanowi.

Malfurion wezwał siły drzemiące w przyrodzie Kalimdoru, te same, które pomogły mu pozbyć się cynicznego kapitana Varo'thena. Teraz będzie musiał zażądać od nich o wiele większego poświęcenia. Większego niż wtedy, gdy wykorzystał je, aby uratować od śmierci smoka, co zrobił w swej naiwności dla Krasusa i Korialstrasza. Prosząc swój świat o tak wielką moc, mógł sprowadzić na niego taki sam los, jaki szykował dlań Płonący Legion.

Gdy wzywał Kalimdor, prosząc, aby użyczył mu raz jeszcze swych sił, poczuł, jak Illidan czerpie z energii Studni. Gdy prośby ich obu zostały spełnione, bracia złączyli ze sobą obie siły – czyniąc z nich jedną – i nakarmili nimi Duszę Demona.

Obaj się szarpnęli, gdy ich magia połączyła się z mocą kryjącą się w głębi dysku. Druid powrócił na chwilę do Zin-Azshari... gdzie jeden z satyrów rzucił się właśnie na Tyrande. Zapominając o sobie, druid ciął rogatego stwora mieczem zrobionym z liścia o poszarpanej krawędzi. Łeb satyra potoczył się po ziemi...

Malfurion powrócił na swoje miejsce nad Studnią Wieczności. Zacisnąwszy zęby, wtłoczył swe zmysły z powrotem w Duszę Demona.

On i Illidan stali się częścią dysku. Stali się Duszą Demona...



Płynęli ku niemu niekończącym się strumieniem skończonego zła pragnącego jego śmierci.

– Chodźcie! – ryknął Brox, kopniakiem odpychając odrąbaną nogę kolejnego demona, który okazał się na tyle głupi, żeby znaleźć się w zasięgu jego topora. Ork stał na szczycie piramidy trupów swoich ofiar. Ciało siwiejącego wojownika było zbroszone jego własną krwią, ale przepelniała go siła, jakiej nie czuł od wielu, wielu lat.

Samotnego strażnika otaczał dziki chaos, szaleństwo domeny Płonącego Legionu. Nie było tu ziemi ani nieba, wyłącznie szaleńczy wir płomiennych kolorów i sił. Ork podejrzewał, że gdyby nie był tak całkowicie skupiony na przeciwnikach, zdążyłby już oszaleć.

Za jego plecami płonął zapraszająco portal. Zielone płomienie tańczyły jak demony i wydawały się przyciągać Płonący Legion niczym zmysłowe usta. Brox spodziewał się, że zostanie natychmiast pokonany, ale nie dość, że dotrwał do tej chwili, to nie pozwolił ani jednemu demonowi dotrzeć do portalu.

Starzejący się wojownik nie wiedział, jak długo uda mu się wytrwać. Miał nadzieję, że tak długo, jak będzie istniał portal. Magiczny topór dawał mu przewagę nad demonami i Brox robił z niego świetny użytek, ale oręż mógł mu służyć dopóty, dopóki nie opadnie z sił. Kątem oka dostrzegł z prawej strony plamę rozmazanej czerni. Odwrócił się instynktownie w jej stronę...

I został stratowany przez siłę, przy której potęga demonów, z którymi walczył do tej pory, wydawała się niczym. Pękł mu bark, żebra wbiły się w

trzewia. Poczł ostry, rozdzierający ból.

Spróbował się podnieść, ale znów został obalony. Miał zmiżdżone nogi i złamaną szczękę. Czuł znajomy smak własnej krwi. Jedno oko miał zapuchnięte tak, że nie mógł go otworzyć, oddychał z wielkim trudem.

Ale drugą, zdrową ręką wciąż ściszał topór. Przewyciężając agonię, Brox zamachnął się, próbując trafić napastnika.

Ostrze napotkało na opór i w pierwszej chwili w Broxa wstąpiła nadzieja. Jednak pisk, jaki się zaraz potem rozległ, powiedział ciężko rannemu orkowi, że trafił jedynie piekielną bestię, która rzuciła się chętnie na łatwą zdobycz.

Co za szkoda...

W strasliwym głosie dudniącym mu w głowie z pewnością nie było współczucia. Na orka padł ogromny cień.

Szkoda marnować tak wyśmienitą maszynę do zabijania...

Z wysiłonym rykiem Brox zdołał się wyprostować. Zawinał młyńca toporem. Tym razem wiedział, że trafił kogoś więcej niż ogara demonów. Donośny ryk oburzenia ogłuszył rannego wojownika. Tym, co zostało ze zdrowego oka, Brox dojrzał olbrzymią rogatą postać w czarnym pancerzu z lawy, której gęstą grzywę i brodę wydawały się tworzyć roztańczone dziko płomienie. Ork nie widział wyraźnie rysów twarzy giganta, ale coś mówiło mu, że muszą być cudownie idealne i straszliwie okropne zarazem.

Tytan uniósł jedną rękę i Brox zobaczył w niej długi miecz o ułamanej górnej połowie klingi. To, co z niej zostało, było zębate i wciąż jak najbardziej nadawało się do zabijania. Poprzez powybijane zęby ork rozpoczął przedśmiertną recytację.

Ułamany brzeszczot przeszył go na wylot, przebijając kręgosłup. Ciało Broxa zadygotało w niekontrolowany sposób, światło w jego oczach

przygasało. Topór wysliznął się z bezwładnych palców. Z westchnieniem ork wreszcie dołączył do towarzyszy z przeszłości.



- Za dużo ich! – krzyknął Rhonin.
 - Musimy robić, co w naszej mocy! Malfurion musi mieć czas! – odkrzyknął Krasus z grzbietu Alexstraszy.
 - Czy jest w stanie coś zdziałać?
 - Stanowi część Kalimdoru! Musi! Ma największe szanse! Uwierz w to!
- Rhonin nie powiedział nic więcej, kiwnął tylko głową i posłał kolejną dziesiątkę demonów do piekła, jakie czekało na nie w zaświatach.



Hałas na zewnątrz i w środku nie ustawał nawet na chwilę. Królowa Azshara straciła cierpliwość. Odziana w swój najlepszy strój, aby zaprezentować się wielkiemu Sargerasowi w pełnej krasie, Światło Świateł weszła do Sali, a za nią jej przyboczna gwardia demonów. Mijani przez nią strażnicy stanęli nerwowo na baczność.

- Vashj! Lady Vashj!

Pierwsza dama Azshary nadbiegła z przeciwnej strony i padła plackiem przed monarchinią.

– Tak, pani! Jestem tu, by ci służyć!

– Jesteś tu, aby odpowiadać na moje pytania, Vashj! Zapewniono mnie, że wszystko jest w porządku, ale to, co się dzieje w pałacu i na zewnątrz brzmi bardzo chaotycznie! Ten hałas jest obrażą dla mej wrażliwości! Żądam, aby przywrócono porządek, rozumiano? Co sobie pomyśli nasz pan Sargerass?

Vashj zachowała kamienną twarz przez całą długość wspaniałej marmurowej posadzki, której każda płyta nosiła stylizowany profil Azshary.

– Jestem tylko twoją pokorną służką, Światło Świata! Próbowałam zapytać o wieści lorda Mannorotha, ale odprawił mnie, grożąc odarciem mnie z mięsa do kości!

– Zuchwalec! – Azshara spojrzała w stronę wieży, gdzie pracowali demony i Szlachetnie Urodzeni. – Przekonamy się! Chodź, Vashj!

Królowa ruszyła do góry, a jej zaniepokojona towarzyszka w ślad za nią. Fakt, że nie wezwała reszty dwórek, aby zrobić wrażenie swoim wejściem, był oznaką jej niezadowolenia. Lady Vashj i jej przyboczni musieli wystarczyć.

W drzwiach zagrodziło jej drogę dwóch piekielnych gwardzistów i dwie piekielne bestie.

– Z drogi! Rozkazuję wam!

Ogary zaskowytały, wyraźnie pragnąc usłuchać, ale dwaj potworni wojownicy pokręcili bezczelnie głowami.

Azshara spojrzała na własny orszak. Uśmiechając się do towarzyszących jej demonów, rozkazała:

– Proszę, usuńcie ich z moich oczu.

Jej strażnicy bez wahania zaatakowali towarzyszy. Przebywali w towarzystwie królowej wystarczająco długo, by paść ofiarą jej sztuczek. Mając przewagę liczebną, szybko uporali się z demonami blokującymi przejście i ogarami. Jeden z nich zginął, ale czym był strażnik w porównaniu z życzeniem Azshary? Kiedy z drogi usunięto trupy, królowa ruszyła naprzód. Vashj otworzyła drzwi, po czym wsunęła się z powrotem za jej plecy.

W komnacie wrzała praca. Wychudzeni magowie mozolili się w pocie czoła pod groźnym okiem Mannorotha. Satyry, Eredarowie i Nathrezimowie też trudzili się nad zaklęciami, których efekty musiały być widoczne poza murami pałacu.

Nie zważając na to, że musi to być dla magów kolosalny wysiłek, Azshara podeszła do gigantycznego demona. Mannoroth, który też brał udział w wytężonej pracy, początkowo nie zauważył jej obecności, którą to obrazę królowa wybaczyła z dużym trudem.

– Lordzie Mannorothu – zaczęła lodowato. – Jestem rozczarowana nieporządkiem, jaki tu panuje tuż przed przybyciem Sargerasa...

Obrócił się w jej stronę, a na jego żabiej twarzy odmalowało się zdumienie.

– Mizerna istoto, lepiej będzie, jeśli sobie stąd pójdziesz! Moja cierpliwość się kończy! Za samo przerywanie mi w takiej chwili powinienem oderwać ci głowę i pożreć twoje wnętrze!

Azshara nic nie powiedziała, mierząc tylko demona władcym spojrzeniem.

Mannoroth z sykiem sięgnął wielkim łapskiem w jej stronę. Jego zamiary były jasne – jak dla niego nocna elfka mogła już nie żyć.

Lecz choć był bliski zabicia jej, w ostatniej chwili zrezygnował. Nie dlatego, że Sargeraz mógłby sobie życzyć, aby srebrzystowłosa istota żyła.

Mannoroth odkrył, że ma przed sobą siłę, w starciu z którą zwyciężyć mogli tylko jego pan i Archimond. Choćby nie wiem jak się starał, demonowi łatwiej byłoby udusić siebie niż królową.

W końcu się cofnął, rozdarty pomiędzy nagłym niepokojem, jaki wzbudziła w nim ta, którą tak zlekceważył, a niebezpieczeństwem grożącym portalowi.

– Ze względu na naszego pana Sargerasa – oświadczyła władcym tonem Azshara – wybaczę ci ten wybuch... tym razem.

Ukrywając zaniepokojenie, Mannoroth szybko się od niej odwrócił.

– Nie mam na to czasu! Musimy chronić portal...

Nie widział, że uniosła brew.

– Portal jest zagrożony? Przez kogo?

Zgrzytając poźółkłymi kłami, demon huknął:

– Przez rozpaczliwe działania garstki ocalałej hołoty! Wszystko będzie dobrze, ale tylko pod warunkiem, że nikt nie będzie nam już przeszkadzał!

Azshara zamknęła usta słysząc ten obraźliwy ton, ale jego słowa miały sens.

– Doskonale, lordzie Mannorothu! Powrócę do mych komnat... ale oczekuję, że ten incydent zostanie szybko opanowany, aby Sargerass mógł wreszcie do mnie przybyć. Wychodzimy, Vashj.

Królowa nocnych elfów opuściła komnatę. Mannoroth odprowadził ją wzrokiem, wciąż niedowierzając. Ale zaraz przywołał się do porządku i wrócił do pracy. Rebelianci zostaną zmiażdżeni, a droga dla pana Legionu otwarta. Już teraz czuł, że Sargerass zbliża się do bramy, która wciąż istniała, mimo że druid i jego przyjaciele skradli smoczy dysk.

Niedługo... już bardzo niedługo.



Malfurion i Illidan wciąż walczyli z demonami w ruinach, jednocześnie wlewając siebie w dysk. Illidan chciał to zrobić z całym impetem, ale na szczęście Malfurion hamował jego zapędy. Należało to zrobić w wykalkulowany sposób, nawet jeśli sekundy były równie cenne jak ostatni oddech.

W końcu byli gotowi, by uderzyć.

Ale kiedy Malfurion zaczął tkać ostatnie zaklęcie, poczuł, że jakieś potężne zło dotyka jego umysłu, zło, które nie było Sargerasem. W głowie szeptały mu głosy, obiecując wszystko. Mógł władać Kalimdorem, uczynić Tyrande swą królową, a Płonący Legion swoją armią. Wszyscy ugną się przed jego wspaniałością. Musi tylko zmienić odrobinę swój czar.

Druid walczył z podszeptami, świadomy, czego tak naprawdę pragną właściciele głosów. Tkał dalej czar...

Ale Illidan uczynił to, o co prosiły głosy. Czarodziej padł ofiarą uwodzicielskich słów, przed którymi obronił się druid.

Illidanie! Malfurion uderzył brata myślą w sposób przypominający fizyczny cios. Poczuł, że mroczna siła, która zapanowała nad Illidanem, ustępuje. Jego bliźniak sapnął...

Znów jestem sobą, zapewnił go Illidan chwilę później.

Choć Malfurion nie do końca mu ufał, tkał dalej zaklęcie. Zostało im niewiele czasu. To cud, że władca demonów jeszcze nie wkroczył do Kalimdoru. Co gorsza, choć starożytne istoty zostały odepchnięte, nie miał wątpliwości, że jeśli portal pozostanie otwarty, znajdą sposób, by przedostać się w ślad za Sargerasem na śmiertelny plan.

Świadomy losu, jaki czeka wtedy Kalimdor, Malfurion rzucił zaklęcie. Szkody, jakie mogło wyrządzić, bledły w porównaniu z prawdziwym zagrożeniem.

W powietrzu zapadła martwa cisza. Zupełnie jak gdyby na całym świecie nie istniał żaden dźwięk. Wiatr ucichł i nawet znad targanej wichrem Studni nie dolatywał choćby najcichszy pomruk.

Nagle... straszliwe wycie wstrząsnęło Studnią, Zin–Azshari i prawdopodobnie całą resztą Kalimdoru. Za plecami Malfuriona zerwał się straszliwy wichur, ale Ysera szybko złapała z powrotem równowagę. Nowy wichur wzmagął się z furją, jakiej druid jeszcze nigdy nie doświadczył. Porozrzucał na wszystkie strony zaskoczone smoki, ale te wyrównały lot zdumiewająco szybko, jak gdyby wichura ustała.

Nie można było tego powiedzieć o strażnikach zagłady i im podobnych. Skrzydlate demony miały się w niekontrolowany sposób, nie będąc w stanie walczyć z tym nowym i przerażającym wiatrem. Kilka zderzyło się ze sobą, rozbijając czaszki i łamiąc kończyny, lecz choć wiele demonów zginęło, wiatr był tak potężny, że ich bezwładne trupy zamiast spaść wirowały nad Studnią jak w jakimś makabrycznym tańcu.

Wichura wzmogła się dziesięciokrotnie, stukrotnie, lecz smokom i ich jeźdźcom wydawała się nieco silniejszym wiatrem. Ale nie ich rozgorączkowanym wrogom. Setki strażników zagłady wirowało wciąż i wciąż...

A potem portal zaczął ich wsysać.

Ci, którzy nie stracili tchu, wyli, wrzeszczeli i zgrzytali zębami, ale byli dla wichury niczym kurz. Ze wszystkich stron potworni wojownicy spadali nieubłaganie ku bramie, przez którą chcieli się wydostać ich pobratymcy.

– To działa! – krzyknął Illidan, śmiejąc się triumfalnie. – To działa!

Ale Malfurion nie pozwalał sobie nawet na chwilę odprężenia, czując, że zakłęcie napotyka na opór. Nie potrafił w tej chwili powiedzieć, czy była to sprawka Prastarych Bogów, czy pana Płonącego Legionu. Wiedział tylko, że jeśli osłabnie, wszystko, co osiągnął, zostanie zaprzepaszczone.

Nienaturalny wiatr wciąż się wzmaczał, ściągając demony z nieba prosto w wir na środku Studni. W ciągu kilku sekund niebo zostało oczyszczone z plugastwa, ale wichur nadal dął.

Malfurion, wciąż w dwóch miejscach jednocześnie, patrzył teraz z podziwem, jak horda zbliżająca się do miejsca, gdzie stał razem z Illidanem i Tyrande, zwalnia nagle w panice. Ogromni piekielni gwardziści i potworne ogary zaczęli się łapać pokrytej gruzem ziemi. Jakiś dziki infernal zdołał zrobić dwa kroki w stronę trójki towarzyszy, ale potem nawet on nie był w stanie iść dalej.

Młóćąc powietrze łapami i ogonami, pierwsza piekielna bestia poleciała w górę i zniknęła nad Studnią z żalosnym skowytym.

Zaraz za nią poleciała następna, a potem kilku olbrzymich wojowników. I nagle, jak gdyby otwarto tamę, dziesiątki demonów zaczęło spadać w górę jakimś dziwnym odwrotnym deszczem. Płynęli wartko nad czarnymi wodami i Malfurion zauważył, że ich ciała stały się bardziej płynne, niemal niematerialne.

Nagły zawrót głowy sprawił, że nocny elf prawie stracił panowanie nad zaklęciem. Przestał widzieć Zin–Azshari. Odwrócił się szybko w bok i odkrył, że Illidan nie siedzi już obok niego. Połączenie między nimi nie zostało zerwane, ale osłabło.

Druid pozostał skupiony. Czuł, jak napełniają go siły przyrody. Drzewa, trawa, skały, zwierzęta... wszystkie poświęcały część siebie, aby dać mu moc, której potrzebował. Zdawał sobie niejasno sprawę, że to, co teraz robi, wykracza znacznie poza nauki, jakie odebrał od Cenariususa, i wszystko to,

czego dokonał do tej pory. Magia Illidana wciąż splatała się z jego czarami, potęgując ich moc.

Krzyknął nagle – miał wrażenie, że tysiąc igieł wbija mu się w umysł. Nie było żadnych wątpliwości, że atakującym jest Sargerias. Obecność władcy demonów napełniła go, grożąc pochłonięciem druida od środka.

Malfurion wytężył siły, walcząc z bólem. Kalimdor wciąż tłoczył w niego energię, dając z siebie wszystko. Zawierzył Malfurionowi swoją przyszłość, swój los. Był teraz jego strażnikiem, bardziej niż Cenarius, Malorne czy nawet smoki. Teraz wszystko zależało tylko i wyłącznie od niego.

Był sam... przeciwko Płonącemu Legionowi i Prastarym Bogom.



– Do roboty, psy! – ryknął Mannoroth na czarodziejów i demony. – Nie lenić się!

Jeden ze Szlachetnie Urodzonych zgarbił się nagle. Tak jak z pozostałych został z niego właściwie szkielet. Wystawne szaty zwisały teraz na jego ciele jak barwny całun pogrzebowy. Kaszlnął, a potem – zbyt późno – zauważył nad sobą potworny cień.

– Lordzie Mannorothu! Proszę, potrzebuję tylko...

Jedną ręką demon chwycił go za głowę, miażdżąc czaszkę i jej zawartość na krwawą miazgę. Mannoroth potrząsnął obwisłym ciałem, aby nastraszyć kulące się nocne elfy i warlocków.

– Do roboty!

Pomimo wycieńczenia czarodzieje natychmiast zdwoili wysiłki. Ale nawet to nie zadowoliło Mannorotha. Odrzucił na bok makabryczne szczątki i podszedł do kręgu. Jeśli chciał odnieść sukces, musiał ponownie się do niego włączyć.

Ale kiedy odpychał na bok tych, którzy stali mu na drodze, nagle poczuł się dziwnie nie na miejscu. Jego ruchy stały się powolne, a kiedy popatrzył na jednego z Eredarów, odkrył, że dzieje się z nim to samo. Nocne elfy wydawały się być w lepszym stanie, ale nawet one poruszały się coraz wolniej i wolniej.

– Co... się... dzieje? – zapytał wszystkich i nikogo.

Bijąc ciężkim ogonem o posadzkę, Mannoroth próbował powrócić do czarów, ale na widok własnej skrwawionej ręki, wytrzeszczył ślepie. Pokryta łuską skóra zrobiła się przezroczysta. Demon widział własne ścięgna i kości, ale nawet one przybrały niematerialny wygląd.

– To niemożliwe! – zagrzmiał skrzydlaty behemot. – Niemożliwe!

Ściana wieży od strony Studni Wieczności roztrzaskała się.

Demony porwała jakaś ogromna siła. Ci najbliżej poszarpanej dziury polecili natychmiast w ślad za wielkimi bryłami kamienia ku ciemnym wodom, szybko znikając w oddali. Wojownicy w ciężkich pancerzach zostali porwani w górę, jak gdyby byli lekcy jak piórka.

Krąg się rozpadł. Pomimo strachu przed Mannorothem nocne elfy rzuciły się do ucieczki, co było katastrofalne w skutkach. Eredarowie, którzy osiągnęli granicę swych możliwości, próbowali pójść za przykładem magów, ale zostali porwani przez ten sam straszliwy wiatr, który porwał piekielnych gwardzistów. Wyjął dziko, warlockowie zniknęli w wyrwie.

W końcu został tylko Mannoroth. Niewiarygodna siła i ogrom wciąż pozwalały skrzydlatemu demonowi opierać się żarłocznej wichurze. Zwierzęce ślepie Mannorotha wbiły się w słabnący wzór. Ruszył ku jego

środkowi. Pozostało w nim dość magii, by własną mocą zdołał stworzyć wokół siebie ochronną tarczę, która pozwoli mu przetrwać ten atak.

Każdy krok okupiony był wielkim mazołem, ale Mannoroth brnął naprzód. Jedna noga podobna do słupa znalazła się wewnątrz wzoru, potem druga. Bił skrzydłami jak szalony, pomagając sobie jak mógł. Trzecia stopa demona znalazła się w środku... i z triumfalnym uśmiechem rozlewającym się na straszliwym obliczu Mannoroth postawił wewnątrz także czwartą.

Uniósł w górę szponiaste dłonie i wezwał moc otaczającej go matrycy. Nawet poruszanie rękami było prawie nie do zniesienia, ale olbrzym sobie poradził.

Demona otoczyła płomienna zielona kopuła. Ssanie ustało. Mannoroth odwrócił się twarzą do strzaskanej ściany i roześmiał. Wiatr mógł pokonać pomniejsze demony, ale on był Mannorothem! Mannorothem Obdzierającym Ze Skóry! Mannorothem Niszczycielem! Jednym z wybrańców Sargerasa!

Płomienie kopuły wygięły się w stronę uszkodzonej ściany... i ku zgrozie demona jego schronienie zostało zassane.

Gdy próbował się odwrócić od ściany, porwał go wiatr. Lecąc w tył, rozdziawił usta, oderwany z łatwością od posadzki. Zaryczał z frustracji, uderzając o potrzaskane kamienie i zrzucając w dół kolejne bryły.

Zdołał się uchwycić występu i na krótką chwilę wstąpiła weń nadzieja. Ale był to zbyt duży wysiłek dla jego grubych palców i potężnych pazurów. Nadaremnie drapiąc paznokciami kamień, oderwał się w końcu od wieży.

Wciąż rycząc, Mannoroth został Ciśnięty nad Studnię Wieczności.

DWADZIEŚCIA



Po twarzy Jaroda Shadowsonga ciekła krew. Lewą rękę miał złamaną, tego był pewien. Nie był tylko pewny, czy któryś z jego żywotnych organów został uszkodzony w skutek potężnych ciosów, które wgniotły mu w kilku miejscach napierśnik. Miał pewne kłopoty z oddychaniem, ale na razie trzymał się na nogach... jakoś. Z trudem unosząc miecz, znów spojrzął w twarz przeciwnikowi.

Archimond wyglądał doskonale. Jarod nawet nie drasnął ponurego demona, nie udało mu się nawet raz go dotknąć, jeśli nie liczyć okrutnych razów, jakie od niego dostawał.

Sytuację pogarszała jeszcze świadomość, że olbrzymi demon tylko się z nim bawi. Archimond mógł zabić swojego maleńkiego przeciwnika już z tuzin razy, ale stwór czerpał sadystyczną przyjemność z możliwości powolnego zatłuczenia nocnego elfa. Mimo to Jarod wiedział, że już niedługo otrzyma śmiertelny cios. Niewiele więcej był w stanie zrobić ze zmaltretowanym żołnierzem. Ale jakaś wewnętrzna siła kazała mu być gotowym na dalsze katusze.

Byli sami w tej części pola bitwy, choć z oddali przyglądano się rozwojowi sytuacji. Demony obserwowały, jak ich dowódca masakruje

nocnego elfa z koszmarną uciechą i zachęcały Archimonda wrzaskiem. Podkomendni Jaroda z pewnością się zorientowali, jak żałosny jest w rzeczywistości dawny oficer straży. Z pewnością zastanawiali się, jak mogli kiedykolwiek podkładać w nim jakieś nadzieje.

Zerwał się porywisty wiatr, wzbijając kurz. Jarod zmrużył oczy, żeby nie zostać oślepionym. Ruchy Archimonda zrobiły się wolniejsze, choć wyraz twarzy pozostał kamienny. Elf wyobrażał sobie, że mroczny olbrzym zastanawia się, jak dobić swoją ofiarę.

Ale skoro miał umrzeć, postanowił przynajmniej zachować pozory dalszej walki. Ściskając miecz w obu dłoniach, Jarod wrzasnął i rzucił się na Archimonda.

Poprzez wzbity wiatrem pył zobaczył, że Archimond uśmiecha się na taką zuchwałość. Ale kiedy oficer się zbliżył, uśmiech zamarł demonowi na ustach i ku zaskoczeniu zdesperowanego oficera Archimond *zesztywniał*.

Potężna wichura prawie rzuciła Jarodem do przodu. Obnażywszy zęby, nocny elf skoczył ku brzuchowi przeciwnika. Było to jedyne miejsce, którego był w stanie dosięgnąć, i które mogło – tylko mogło – ustąpić pod jego słabym ostrzem. Gdyby tylko mógł naznaczyć Archimonda, zanim olbrzym go zgniecie...

Kurz i łyzy przesłaniały Jarodowi oczy, nadając demonowi niemal widmowy wygląd. Archimond wyciągnął ku niemu rękę i nocny elf przygotował się na jakiś obmierzły czar, który stopi mu ciało albo zmieni kości w olej. Ale nic takiego nie nastąpiło. Zamiast tego, kuląc się nieco, Archimond zrobił krok w tył. Zupełnie odsłonił przy tym tors.

Jarod pchnął, przygotowując się już na porażkę. Był pewien, że jego klinga złamie się na skórze Archimonda, jeśli w ogóle w niego trafi.

Trafił jednak i ku jego dalszemu zdumieniu miecz zatopił się głęboko w brzuchu olbrzymiego demona. Co ciekawe, nie napotkał żadnego oporu,

zupełnie jak gdyby Archimond był duchem. Jarod natarł ponownie, cały czas spodziewając się śmierci.

Zamiast tego... demon poleciał w tył, jak gdyby coś go mocno uderzyło. Nie wylądował jednak, jak można by się spodziewać, ale leciał dalej. Młóćąc powietrze rękami i nogami, dowódca demonów wniósł się wysoko w niebo i dopiero wtedy Jarod zorientował się, że został porwany przez wiatr.

Mknący coraz wyżej w niebo Archimond stracił całkowicie panowanie nad sobą. Jego twarz wykrzywił groteskowy grymas bardziej pasujący do tak przesiąkniętej złem istoty. Demon wrzasnął z wściekłości... i zniknął za horyzontem.

Jeszcze zanim do znużonego oficera dotarło, że przeżył ten niewiarygodny pojedynek, zobaczył, że wiatr atakował teraz cały Legion. Demony usiłowały utrzymać swoje pozycje, ale były porywane w górę jak kurz i miotane wichurą. Potworne ogary przewracały się w tył w pół skoku, po czym, poobijawszy się najpierw o ziemię, poszybowały w ślad za Archimondem. Piekielni gwardziści byli wyrywani z szeregów jeden po drugim i choć wielu stało twarzą w twarz z obrońcami, ani jeden nocny elf, tauren ani inny mieszkaniec Kalimdoru nie podzielił ich zdumiewającego losu.

Infernale spadające z nieba zakręciły gwałtownie, a tor ich lotu odzwierciedlał teraz lot ich utraconego dowódcy. Jeden znalazł się nawet zaledwie kilka cali nad ziemią zanim zmienił kierunek.

Smoki, co dziwne, też nie padły ofiarą rozszalałych żywiołów. Po kilku sekundach wyrównały lot, po czym rozsądnie opadły na ziemię i stamtąd obserwowały dalszy upadek Legionu.

Niebo zapełniło się wijącymi, parskającymi demonami, które na próżno usiłowały powrócić na ziemię. W dole żołnierze wpatrywali się z otwartymi

ustami i opuszczonym orężem, jak wróg zagrażający ich krainie, ich światu ulatuje w przestworza. Nawet trupy zabitych dawno demonów dołączyły do potworów w górze, ubarwiając spektakl.

– To cud! – krzyknął ktoś za plecami Jaroda. Obejrzał się przez ramię – część tych, którzy zostali odrzuceni w tył przez Archimonda, zaczęła wracać. Wielu wciąż obserwowało niebo, ale spora część obrońców wpatrywała się w Jaroda, jak gdyby tylko on był odpowiedzialny za tak niezwykle rozwój wydarzeń.

Szeregi demonów były wyrywane z Kalimdoru jeden z drugim, aż w końcu przed obrońcami rozciągało się jałowe pustkowie. Nie ostał się ani jeden demon. Mało tego, nie zostały się nawet żadne szczątki jakiegokolwiek demona.

Wiele nocnych elfów padło z ulgą na kolana. Ale mimo tego, co się stało, Jarod miał niepokojące przeczucie, że to jeszcze nie koniec walki. To nie mogło być aż tak proste...

– Wstawać, wszyscy! – ryknął. Zdrową ręką złapał oszołomionego herolda i rozkazał: – Każ dąć w rogi! Armia ma znów stanąć w szyku! Musimy być gotowi do wymarszu!

Podeszła do niego kapłanka Elune, aby obejrzyć jego rękę. W tym czasie Jarod zbierał myśli.

– Ruszamy w pogoń? – zawołał jakiś szlachcic, zbyt ochoczo jak na gust Jaroda.

– Nie! – odburknął dowódca, nie bacząc na różnicę kasty. – Czekamy na wieści od maga Krasusa albo któregoś z jego towarzyszy. Dopiero wtedy wyruszymy... i czy będziemy atakować Zin–Azshari, czy uciekać, aby ujść z życiem, musimy być gotowi, by zrobić to jak najszybciej!

Gdy oddalili się wykonać rozkazy, Jarod, pozwalając kapłance zająć się ręką spojrzał ponownie w kierunku, w którym odleciały demony, w

kierunku stolicy i Studni.

To nie mogło się zakończyć tak prosto, o nie...



W całym Kalimdorze odrywane od ziemi demony mknęły bezradnie w kierunku Studni Wieczności. Mimo szamotaniny nie mogły się oprzeć wichrowi i na oczach Krasusa oraz pozostałych wirowały nad jeziorem niczym gigantyczny rój pszczoł, po czym spadały w wir.

– To wszystko? To już koniec? – krzyknął Rhonin.

– Może... a może nie! – A do Alexstraszy Krasus zawołał: – Leć do Malfuriona!

Kiwnęła łbem, skręcając w stronę druida i Ysery. Rhonin na czerwonym samcu leciał zaraz za nim.

Malfurion i jego wierzchowiec unosili się nad wir, nocnego elfa spowijał złoty blask Duszy Demona. Jego ciemna normalnie skóra wydawała się teraz niemal tak blada jak cera Krasusa. Spojrzał niespokojnie na maga.

– On wciąż próbuje się przedostać! – Twarz druida postarzała się. Okryły ją zmarszczki, a oczy zapadły się nieco. – Nie wiem, czy moje zaklęcie go powstrzyma!

Krasus popatrzył w dół, jego wyczulone zmysły pozwalały mu zajrzeć daleko w głąb Studni.

W głąb portalu...

I tak oto ujrzał Sargerasa, pana Legionu.

Tytan zakuty był od stóp do głów w pancerz z zastygłej lawy, a jego furia była tak wielka, że od samego patrzenia na nią maga paliły oczy. Walcząc z bólem, Krasus ośmielił się spojrzeć w twarz złu – potwornemu wypaczeniu doskonałości. Kiedyś była to przystojna, może nawet piękna istota należąca do rasy tych, którzy, jak Krasus wiedział, stworzyli ten świat. Ale teraz piękno to zostało skażone. Jego twarz była twarzą śmierci, a oczy płomienną pustką całkowitego chaosu. Zamiast zębów Sargeras miał kły. Z pleców wyrastał mu długi, graby ogon, z którego końca wystawały ostre łuski. Ręce kończyły się paskudnymi, zakrzywionymi szponami, w jednej z nich dzierżył potworny miecz o pękniętej klindze, ale poszarpane ostrze mogło wciąż siał spustoszenie.

To, co Krasus odkrył zaraz potem, sprawiło, że zadławił się z przerażenia. Na końcu potwornego oręża tkwiło wbite drobne, zielone ciało.

Brox.

W całym tym zamieszaniu mag zupełnie zapomniał o orku. Teraz jednak pojął, dlaczego jego drużyna zyskała cenne – bardzo cenne – sekundy. Ork złożył swoje życie w ofierze, aby opóźnić nadejście Legionu.

Sargeras stał u bramy. Choć niewiarygodne siły wpychały jego horde z powrotem do jego krainy, pan Legionu parł naprzód. Powoli, pewnie, dosięgnął portalu...

Ale kiedy się zbliżał, Krasus zauważył zdumiewającą rzecz. Władca demonów, choć powierzchownie, był ranny. Jego prawą nogę znaczyło drobne rozcięcie, w którym bystre oczy Krasusa rozpoznały ślad topora.

Topora Broxa. Choć wydawało się to niemożliwe, magiczny oręż drasnął Sargerasa. Rana była zbyt powierzchowna, by zagrozić mu w jakikolwiek sposób, ale to, że w ogóle istniała, stworzyło wyjątkową okazję.

– Rhoninie! Alexstraszo! Musimy działać równocześnie! Malfurionie! Bądź gotów! Będziesz miał swoją szansę zniszczenia portalu, ale musisz się spieszyć!

Pozostali oddali mu przywództwo. Krasus poczuł, jak jego królowa i jego dawny protegowany pozwalają mu ukierunkować swoją moc. Czerwony samiec i Ysera też ich wspomogli. Malfurion czekał na dogodny moment do ataku, ale wiedział, że jeśli ta ostatnia próba się nie powiedzie, żadne z nich nie przeżyje.

Z oczyma płonącymi mocą Krasus skupił połączoną magię drużyny na bramie. Powodzenie rozpaczliwego pomysłu opierał na intensywnym skupieniu władcy demonów.

W porównaniu z Sargerasem Archimond i Mannoroth byli niczym wszy. Potęga setki smoków byłaby dla niego niczym. Gdyby Krasus próbował uderzyć bezpośrednio w niego, w pierś lub głowę, efekty byłyby śmiechu warte. To, że Brox zdołał przeprowadzić swój niesamowity atak świadczyło dobitnie o mocy wsączzonej w oręż przez druida i jego *shan'do*.

Nie, zamiast tego mag wlał całą moc powierzoną mu przez pozostałych w niepozorną ranę, jaką zdołał zadać topór Broxa – ucieleśnienie magii Kalimdoru.

I wtedy to się stało. Krasus wyczuł, że koncentracja Sargerasa osłabła na chwilę. Nie z bólu – na to nie mogli liczyć – ale po prostu ze zdziwienia.

Krasus tylko na to czekał.

– Teraz, Malfurionie!

Ściskając mocno Duszę Demona, druid zaatakował portal.

Krasus liczył na to, że zadana magicznie rana będzie na tyle tkliwa, żeby przykuć na moment uwagę władcy demonów, jeśli zostanie ponownie trafiona. Wszystko, czego zdołali dokonać, to spowodować drobne

zadrażnienie, na którym Sargerass skupił się instynktownie zamiast na portalu.

Brzegi leja zadrżały, po czym straciły spójność. Wir eksplodował ze swych głębin wybuchem energii.

Portal zaczął się walić.

Jeden po drugim, jego płomienne brzegi zapadły się w siebie. Sargerass próbował go zrekonstruować, ale teraz wykraczało to już nawet poza jego możliwości. Jedna cenna sekunda kosztowała władcę demonów zwycięstwo.

I wtedy zdarzyło się coś, w co Krasus nigdy by nie uwierzył. Sargerass, nie chcąc się pogodzić z porażką, wkroczył w walący się portal, usiłując go odbudować i jednocześnie przedostać się na drugą stronę. To pragnienie go zgubiło. Gdy portal implodował, władca demonów znalazł się w pułapce. Nie był w stanie uciec, nie był w stanie się wycofać. Upuszczając miecz, tytan zaczął okładać bramę pięściami, lecz na próżno. Korytarz pomiędzy światami kurczył się gwałtownie, aż w końcu zaczął go miażdżyć. Sargerass zaryczał, a jego głos odbił się echem w głowach wszystkich.

Nie pozwolę się zbyć! Nie pozwolę!

Ale brama wciąż się kurczyła, a Sargerass wydawał się kurczyć wraz z nią. Usiłował zapobiec zamknięciu się portalu, którego wewnątrz stanęło w płomieniach od jego tytanicznych wysiłków.

I nagle, choć władca demonów wciąż wrzeszczał z wściekłości i okładał pięściami jego ściany... portal przestał istnieć.

Sargerass przestał istnieć.

– Udało się! – krzyknął Malfurion. – Udało...

Ale głos zamarł mu w gardle, bo choć portal znikł, wir w samym środku Studni wciąż kłębił się jak oszalały. Co gorsza, wydawało się, że rośnie,

pęcznieje. Na oczach druida jego krawędzie zaczęły pożerać brzegi Zin–Azshari.

Nocny elf popatrzył na Krasusa.

– Co się dzieje?

Krasus zbył go machnięciem ręki.

– Musimy stąd uciekać! Musimy zabrać wszystkich jak najdalej od Studni!

Alexstrasza i pozostałe smoki szybko zawróciły, kierując się ku lądowi. W ciemnych wodach i wokół nich aż skwierczała surowa energia. Całe Zin–Azshari dygotało, a gdy smoki przelatywały nad nim, mag wypatrzył ogromne uskoki za granicami miasta.

– Zaczęło się... – wyszeptał do siebie Krasus. – Niech stwórcy mają nas w swojej opiece... zaczęło się i nie jesteśmy w stanie nic zrobić...

Drużynę zaatakowała kolejna nawałnica, rozpraszając smoki mimo ich potęgę. Skrzydlate lewiatany przegrupowały się i znów zbiły w stado... prócz jednego.

Ysera – a więc również Malfurion i dysk – zniknęli.

Krasus omiótł wzrokiem niebo, ale nigdzie nie było widać Aspektu. Dopiero gdy spojrział w dół, zobaczył, dokąd poleciała.

Z powrotem w stronę Studni Wieczności.

– Nie! – Nawet Ysera nie zdawała sobie sprawy, jaki los miał spaść na tę krainę. Co gorsza, nie wiadomo było, co się stanie z Czasem, jeśli Dusza Demona zaginie w odmętach dogorywającej Studni. – Musimy wracać! Musimy po nich wrócić!

Alexstrasza natychmiast zawróciła. Czerwony samiec Rhonina i pozbawiony jeźdźca brązowy smok ruszyły w ślad za nią ale Krasus dał im znak, by uciekały. Skupiwszy się, zdołał dostać się do umysłu Rhonina, choć przekaz zakłócały tysiące magicznych sił.

Musisz lecieć do naszych wojsk! Musisz ostrzec Jaroda, że wszyscy mają uciekać jak najdalej od Studni. Uciekajcie na Górę Hyjal!

Nie musiał tłumaczyć niczego więcej, bo z nich wszystkich człowiek rozumiał najwięcej. Będąc dzieckiem przyszłości, Rhonin wiedział równie dobrze jak jego mentor, co się zaraz wydarzy. Czarodziej nachylił się do przodu, mówiąc coś swemu wierzchowcowi i sekundę później czerwony smok zawrócił. Brązowy się zawahał, ale poszedł w jego ślady.

Z grzbietu Alexstraszy ścigającej Yserę Krasus przyglądał się mijanemu w dole krajobrazowi. Tam, gdzie kiedyś znajdowały się bramy miasta, teraz ziała wielka rozpadlina szerokości skrzydła pałacu królowej. Część budynków, których nie zdemolowały demony, teraz trzęsła się gwałtownie, a kilka zawaliło się, gdy nad nimi przelatywali. To nieuniknione. Smoczy mag patrzył przed siebie, usiłując wypatrzeć Yserę i druida. Kalimdor czeka Rozbicie...



Żyrandol runął na marmurową posadzkę, roztrzaskując się w drobny mak. Kilka kryształów spadło z szybkością pocisków. Jedna z dwórek Azshary upadła z pięknym, lśniącym odłamkiem wystającym z czoła.

Królowa, przytrzymując się kolumny, żeby nie upaść, zmierzyła trupa wzrokiem pełnym frustracji. Ale nikt nie miał głowy do usunięcia ciała. Cała reszta, nawet Vashj, biegła w panice, gdy ściany drżały, a posadzka pękała. Zapominając, że nikt nie ma prawa dotykać królowej bez pozwolenia, Vashj złapała Azsharę za rękę.

– Światło Świąteł! Musimy uciekać z pałacu! Musiało się wydarzyć coś strasznego! Wszyscy wojownicy Prześwietnego zniknęli, a czarodzieje uciekli z wieży! Jeden z nich, którego udało mi się zatrzymać, twierdził, że straszliwa wichura porwała nad Studnię nawet lorda Mannorotha!

Azshara wiedziała już o zniknięciu wojowników Płonącego Legionu, jej własna straż przyboczna została na jej oczach porwana z zajmowanych pozycji i wessana przez dziurę w ścianie jej komnaty. Ale nawet to zdumiewające widowisko nie osłabiło ani trochę jej wiary w przybycie Sargerasa i miała zamiar być przygotowana na to wspaniałe wydarzenie.

Vashj wciąż szarpała ją za ramię. Bezgraniczna cierpliwość Azshary miała jednak jakieś granice. Królowa bez ostrzeżenia spoliczkowała damę dworu.

Pozostałe dwórki stanęły jak wryte, zapominając, że pałac może się im zaraz zawalić na głowę. Były przekonane, że ich pani zaraz dokona egzekucji Vashj. Ale Azshara rozkazała swoim najbardziej władczym tonem:

– Macie wszystkie pamiętać, kim jesteście! Oczekuję, że będziecie wypełniać rozkazy, jakie wam wydam! Będziemy się nadal przygotowywać na przybycie naszego pana Sargerasa...

Dla podkreślenia swoich słów podeszła do jednego z krzeseł. Pierwszy wstrząs przewrócił je, ale Vashj szybko je podniosła i wytarła siedzenie skrajem szaty.

Kiwnąwszy głową z uznaniem, Azshara usiadła. Jej dwórki natychmiast zajęły przypisane im miejsca, a Vashj nalała królowej kielich wina, jakimś cudem unikając rozlania go, mimo że pałac wciąż się trząsł.

– Dziękuję ci, lady Vashj – powiedziała łaskawie królowa nocnych elfów. Upiła łyczek, po czym usadowiła się w wyczekującej pozie. Bez względu na to, ile czasu zajmie Sargerasowi przybycie, ona będzie na nie

gotowa. Stanie przed nią i zostanie oszołomiony jej doskonałością – tak jak wszyscy.

Bądź co bądź, była Azsharą.



Gdy Ysera dotarła na brzeg, Malfurion, przyciskając Duszę Demona do piersi, ze zgrozę omiół wzrokiem stolicę nocnych elfów. Zestrojony z siłami przyrody Kalimdoru, natychmiast rozpoznał nieuchronną katastrofę. I uświadomił sobie, że musi działać.

– Mój brat i Tyrande! Są wciąż w Zin–Azshari! Proszę! Nie mogę ich zostawić!

– Wiesz, gdzie są?

– Tak!

Wielka zielona smoczyca kiwnęła łbem.

– Wskazuj mi drogę, ale spiesz się!

Zmienili kierunek lotu nie ostrzegając pozostałych. Malfurion powiódł wzrokiem wzdłuż wybrzeża. Ysera leciała tak szybko, że musieli się trochę cofnąć, ale druid czuł, że dwójka nocnych elfów jest już niedaleko.

Tam! Tyrande zamachała do niego, a jej widok był tak cudowny, że Malfurion zapomniał na chwilę, że przyleciał tu też po brata. Dopiero gdy sobie o tym przypomniał, zauważył, że Illidana nigdzie nie widać.

Ysera wylądowała. Rozejrzała się wokół zamkniętymi oczyma, jak to miała w zwyczaju, ale Malfurion zdążył się już przekonać, że wbrew pozorom widzi znacznie lepiej od większości istot.

Zeskoczył na ziemię. Tyrande rzuciła mu się na spotkanie i przyłgnęła do niego z taką mocą, że przez chwilę był w stanie tylko odwzajemnić jej uścisk. Dopiero gdy smoczyca chrząknęła lekko, dwójka elfów oderwała się niechętnie od siebie.

– Malfurionie... – zaczęła kapłanka.

Przyłożył palec do jej ust.

– Cii, Tyrande. Gdzie Illidan?

Oczy elfki rozszerzyły się na chwilę. Obejrzała się przez ramię.

– Nad samym brzegiem.

Druid zaklął i minął ją biegiem. Illidan musiał wiedzieć, że ziemia wokół niego się zapada. Jak mógł być tak szalony?

Omijając zrujnowaną wieżę, Malfurion prawie zderzył się z bratem bliźniakiem. Illidan wbił w niego spojrzenie zakrytych szalem oczodołów.

– Bracie... wróciłeś w samą porę...

– Illidanie! Studnia wymknęła się spod kontroli...

Czarodziej kiwnął głową.

– Tak! Zwichrowały ją i wypaczyły zbyt liczne zaklęcia! To, co zrobiliśmy, zwłaszcza ty, z Duszą Demona, przebrało miarę! Ten sam czar, który wysłał Piekielny Legion z powrotem do ich plugawej krainy, teraz działa na Studnię! Pożera sama siebie, pochłaniając przy tym wszystko wokół! – Odwrócił się w stronę czarnego jeziora. – Fascynujące, nie uważasz?

– Nie, jeśli nas też pochłonie! Dlaczego nie uciekaliście?

Illidan otarł dłoń. Dopiero teraz Malfurion zauważył, że otacza ją lekki blask mocy. Zauważył też wilgoć.

– Po co zanurzyłeś rękę w Studni, Illidanie?

W tej samej chwili potężny wstrząs powalił oba elfy na kolana.

– Jeśli wiesz, jak nas stąd wydostać, zrób to! – krzyknął Illidan. – Próbowałem teleportować siebie i Tyrande, ale Studnia ciągle fluktuuje!

– Tędy! – Malfurion złapał brata za ramię i pociągnął ku pozostałym. Tyrande już siedziała na grzbiecie Ysery. Pomogła wdrapać się nań Illidanowi, a potem Malfurionowi.

W tej samej chwili zawisł nad nimi wielki kształt. Druid instynktownie pomyślał o jakimś skrzydlatym demonie, ale zaraz przekonał się, że to nie kto inny jak Krasus i Alexstrasza.

– Dusza Demona! – zawołał mag. – Wciąż ją masz?

Nocny elf poklepał się po jednej z sakw przy pasie. Ukrył w niej dysk tuż przed tym, jak Ysera wylądowała.

Krasus kiwnął głową z ulgą.

– Więc się pospieszcie! Musimy lecieć szybko i daleko! Nawet w powietrzu nie będzie bezpiecznie!

Domyślając się, że mag wie o wiele więcej, niż przyznał do tej pory, Malfurion przytrzymał się mocno. Ysera wzbijała się ponad ruiny w ostatniej chwili – pomiędzy jej łapami otworzyła się właśnie kolejna rozpadlina.

– Zin–Azshari upada... – zawołał zakapturzony mag – a to dopiero początek!

Oba smoki machały skrzydłami najmocniej jak potrafiły, ale posuwały się tak, jak gdyby leciały przez smołę. Malfurion obejrzał się i zobaczył, że nieba nad Studnią już nie widać. Wszystko przesłonił wielki obłok w kształcie leja. Illidan miał, jak się wydawało, sporo racji. Poddawaną działaniu magii demonów, prastarych bogów i czarów samych obrońców Studnię Wieczności manipulowano zbyt często.

Czyżby ocalił wraz z przyjaciółmi świat tylko po to, by go teraz zniszczyć?

Druidem zatrzęsł huk, który w pierwszej chwili wziął za ogłuszający grzmot. Przycisnął dłonie do uszu, czekając, aż minie.

– Patrz! – krzyknęła Tyrande, której usta znajdowały się na tyle blisko jego uszu, że ją usłyszał. – Miasto!

Patrzyli... patrzyli, jak grunt pod Zin–Azshari rozpęka się na dwoje, tworząc wąwóz głęboki na wiele mil. Cała stolica zaczęła się zsuwać ku Studni.

– Przyciąganie... jest... coraz... silniejsze! – zaryczała Ysera.

Studnia wciągała otaczające ją ziemie w swoją paszczę, dosłownie pożerając Kalimdor. Zin–Azshari unosiło się teraz na czarnych wodach niczym wyspa podskakująca na falach. Jak na ironię pałac pozostał cały, choć wieża, gdzie przenieśli się Szlachetnie Urodzeni po zniszczeniu ich poprzedniej siedziby, przechyliła się niebezpiecznie.

Wokół miasta sunącego ku gardzieli wiru szalały złowieszcze wyładowania elektryczne. Ale inaczej niż inne płachetki ziemi wyrwane Kalimdorowi, Zin–Azshari zmierzało w sam jego środek. Malfurion poczuł, że Tyrande ściska go mocniej, prawie boleśnie.

– Tonie... – wyszeptała. – Tonie...



Otoczające Azsharę dwórki wrzasnęły. Vashj uczepiła się jej nogi. Królowa trzymała w dłoni pusty kielich, nie chcąc przyjąć do wiadomości tego, co się dzieje z jej pałacem. Była Azsharą, Światłem Świąteł, najwyższą władczynią swego ludu! Nie zezwoliła na to!

Sargeraz nie przybędzie. Azshara pojęła to, choć nie powiedziała tego swoim służkom. Nie chciała, żeby wiedziały, iż zdaje sobie sprawę z własnego błędu. Jakimś cudem ta hołota przeszkodziła jego przybyciu do Kalimdoru... do niej.

Huk narastał. Pałac otoczyła nagle ciemność, w której nawet nocne elfy nic nie widziały. Jedyne oświetlenie dawały nieposkromione siły Studni. Do pałacu zaczęła się wlewać czarna woda, porywając dwie dwórki. Ich krzyki szybko umilkły.

Jestem Azshara!, powtórzyła w myślach z niezmiennym wyrazem twarzy. Jedną myślą królowa utworzyła osłonę, która otoczyła ją i pozostałe przy życiu damy dworu. Moje życzenie jest rozkazem!

Jej moc broniła wodzie przystępu, ale wysiłek, jakiego wymagało utrzymanie osłony szybko stał się uciążliwy. Azshara zmarszczyła brwi, a na jej czole pojawiły się krople potu – pierwsze krople potu w jej życiu.

Nagle... z mroku rozległy się głosy, głosy wołające ją, obiecujące jej ucieczkę.

Jest sposób... istnieje sposób... staniesz się kimś więcej, niż kiedykolwiek byłaś. Możemy pomóc... możemy pomóc...

Królowa nie była głupia. Wiedziała, że jej osłona długo nie wytrzyma. Wtedy Studnia pochłonie ją i jej dwórki.

Srebrzystowłosa elfka kiwnęła głową.

– Uuurgh! – Kielich wypadł jej z dłoni. Całym ciałem targnął ból. Poczowała, jak jej kończyny się skręcają, zwijają. Miała wrażenie, że jej kręgosłup robi się płynny, jak gdyby się topił...

Będziesz czymś więcej niż kiedykolwiek byłaś... obiecywały głosy. A kiedy nadejdzie czas, za to, co ci oferujemy... będziesz nam dobrze służyć...

Zaklęcie ochronne wreszcie zawiodło. Azshara wrzasnęła, ogarnięta przez wodę. W tle słyszała krzyki pozostałych... dwórek, strażników i

reszty służących jej Szlachetnie Urodzonych.

Studnia wypełniła jej płuca...

Ale królowa nie utonęła.



Krasus też obserwował, jak ogromne miasto, szczytowe osiągnięcie cywilizacji nocnych elfów, zostaje wessane w gardziel malstromu. Wzdrygnął się, nie tylko z powodu zniszczeń, jakich był świadkiem, ale wiedzy, co przyniesie przyszłość. Smoczy mag miał nadzieję zobaczyć Zin-Azshari zniszczonym, nim zatonie, ale ta część historii się potwierdziła. Miasto miało utonąć w odmętach... i w następnych wiekach stać się kolebką nowej zarazy.

Teraz nie mógł nic na to poradzić. Odwrócił wzrok od Studni, od spustoszenia rozprzestrzeniającego się we wszystkich kierunkach. Ogromne fragmenty Kalimdoru odrywały się i wpadały do Studni i nic nie wskazywało na koniec kataklizmu. Jediną pozytywną rzeczą był fakt, że Płonący Legion już dawno temu przepędził z okolic wszystko, co żywe. Na razie ofiarą żywiołu padała tylko wypalona ziemia i kości umarłych, ale Krasus zastanawiał się, czy cokolwiek ocaleje, jeśli nawałnica nie ustanie...

Przecież musi!, upierał się. Potwierdza to historia!

Wiedział jednak aż za dobrze, że materia Czasu uległa już zbyt wielkim zmianom... i że sam ponosił za to częściową odpowiedzialność.

Krasus mógł się tylko modlić...

DWADZIEŚCIA JEDEN



Rhonin dziękował gwiazdom, że w drodze powrotnej nie mijali nikogo żywego. Dwa smoki i znużony czarodziej nie byłyby w stanie ocalić nikogo tak blisko Studni. Jedyne osoby, jakie widzieli, była duża grupa Szlachetnie Urodzonych jadących co tchu w stronę obrończej armii. Na szczęście zdążyli już prawie dotrzeć na miejsce, gdy smoki się na nich natknęły.

Szybkie lądowanie i jeszcze szybsza rozmowa ujawniła zaskakującą prawdę. Dowódca uciekinierów, Dath'Remar Sunstrider, opowiedział o próbie ucieczki wraz z Tyrande. Jego żal z powodu rozstania z nią był szczery i Rhonin, który wyczuł, że Malfurion nawiązał z dziewczyną kontakt, poinformował czarodzieja, że przeżyła ucieczkę. Nie mógł potwierdzić, że Tyrande wciąż żyje, choć wątpił, by Malfurion pozwolił, aby cokolwiek jej się przytrafiło, kiedy wreszcie znów się spotkali.

Rhonin i smoki odeskortowali Szlachetnie Urodzonych do armii, nie dopuszczając przy tym do wybuchu walki między dwiema frakcjami. Brązowy smok pozostał na straży elfów – dla ich własnego bezpieczeństwa – a człowiek i jego wierzchowiec ruszyli odszukać Jaroda.

Dowódca siedział już na swojej nocnej panterze, wyczekując niecierpliwie wieści. Rhonin uśmiechnął się z ulgą, odkrywając, że nocne elfy i ich sojusznicy są już gotowi do wymarszu. Nie zsiadając z czerwonej smoczy, przywitał się szybko z Jarodem i powiedział:

– Armia musi wynosić się stąd jak najszybciej! Aż na Górę Hyjal! Portal został zniszczony, ale magia wokół Studni wywołała całkowity chaos! Studnia pożera samą siebie i wszystko, co ją otacza!

– Bogowie... – Jarod szybko otrząsnął się z szoku, a jego wrodzone poczucie odpowiedzialności wzięło górę. Wezwał herolda, którego, uświadomił sobie Rhonin, trzymał pod ręką właśnie w takim celu. – Daj sygnał do zmiany kierunku! – Wezwawszy jeszcze dwóch jeźdźców, Jarod dodał: – Powiadom oficerów i szlachciców! Ruszamy jak najszybszym tempem na Górę Hyjal! Żadnych postojów! Ci, którzy potrzebują pomocy, otrzymają ją, ale niech nikt się nie waha i nie zostaje w tyle! Jedź!

– Będziemy mieć na was oko z góry – powiedział czarodziej.

– A co... co z tymi, którzy mogli się zapodziać?

Rhonin miał ponurą minę.

– Płonący Legion wybił wszystkich na swojej drodze. Jeśli ktokolwiek ocalał, to znajduje się tak daleko od Studni, jak sami chcielibyśmy dotrzeć. Stawiliśmy, bądź co bądź, najsilniejszy opór.

– Możemy więc tylko życzyć im jak najlepiej.

– I modlić się za nas samych.

Jak gdyby dla podkreślenia jego słów ich uwagę przykuł odległy pomruk. Czarodziej i żołnierz popatrzyli w tamtą stronę... i zobaczyli na horyzoncie nieprzeniknioną czerń.

– Każ im wyruszać, Jarodzie! Prędko!

Armia ruszyła w stronę Hyjalu zaledwie kilka minut później, ale dla Rhonina wciąż nie dość szybko. Za każdym razem, gdy spoglądał w tył,

ciemność wydawała się puchnąć. Człowiek przełknął ślinę, wiedząc, co się właśnie dzieje i zastanawiając, czy kataklizm pochłonał już Krasusa i resztę.

Po przebyciu niewielkiej odległości nocne elfy i ich sprzymierzeńcy zaczęli sobie uświadamiać grożące im niebezpieczeństwo. Utrzymanie ich w nieświadomości byłoby niemożliwe, zresztą ani Rhonin, ani Jarod nie mieli takiego zamiaru. Liczyło się tylko zachowanie jakiegoś porządku i Jarod Shadowsong udowodnił, że ma w tym wprawę. Pomagały mu smoki, podlatujące w dół i zawracające tych, którzy odłączyli się od kolumny.

Rhonin nie przestawał oglądać się za siebie, wypatrując Krasusa i reszty, lecz na próżno. Ciemność nadciągała w nieprawdopodobnym tempie, a złowieszczy pomruk stawał się coraz głośniejszy.

Dogania nas! Czarodziej popatrzył przed siebie. W oddali wznosiła się góra Hyjal, kusząco bliska, a jednocześnie tak odległa.

Czy dotarcie tam wystarczy? Tak uważał Krasus, potwierdzała to też wiedza historyczna Rhonina, ale tyle rzeczy uległo zmianie...

Vereeso... zrobiłem, co w mojej mocy...

Ciemność była coraz bliżej. Ryk ziemi odrywanej i wsysanej przez Studnię dudnił mu w uszach. W dole wielu uciekinierów rzuciło się z krzykiem do biegu...

I wciąż nie było śladu Krasusa ani pozostałych.



Zbocza wzgórz odrywały się z hukiem. Całe połacie ziemi spadały w wirującą, żarłoczną gardziel, błyskawicznie w niej znikając. Wysoko z góry Krasus patrzył, jak całe osady – na szczęście już dawno opustoszone przez wojnę – znikają w mgnieniu oka. Nic nie mogło przetrwać przedśmiertnych konwulsji Studni. Rzeź, jaką sprawił nocnym elfom Płonący Legion bladła... nie, nie mogła się nawet równać z tym, co się teraz działo.

W oddali zamajaczył wreszcie Hyjal. Mag widział z wysoka masę ludzi posuwającą się rozpaczliwie w jego stronę. Jeśli się nie pomylił, zdążą się na nim schronić w ostatniej chwili.

Jeśli ktokolwiek oprócz nich przeżył wojnę, Krasus nie mógł nic dla niego zrobić. Mógł tylko znów podziękować gwiazdom, że tak niewiele ostało się na terenach, przez które przemaszerował Legion.

Wciąż miał nadzieję, że kataklizm wkrótce się skończy, że przynajmniej w tym przypadku wszystko pójdzie tak, jak mówiła historia. Zdobyli Duszę Demona, co miało niebagatelne znaczenie i...

Nagle intuicja ostrzegła go przed niebezpieczeństwem. Szybko obejrzał się za siebie.

Z głębin Studni wystrzeliła potworna, czarna macka... która pomknęła ku niespodziewającej się niczego Yserze i trójce dosiadającej jej elfów.

Prastarzy Bogowie! Powinienem był się domyślić!

– Zawracaj! Prastarzy Bogowie wciąż próbują zdobyć Duszę Demona! To ich ostatnia szansa, zanim znów zostaną odcięci!

Alexstrasza zmieniła gwałtownie kierunek lotu. Ysera zauważyła ten nagły zwrot, ale w tej samej chwili macka jej dosięgła... i ściągnęła druida z grzbietu smoczycy.

– Malfurion! – krzyknęła Tyrande. Kapłanka usiłowała go złapać, ale znalazł się już poza jej zasięgiem.

Marszcząc brwi, Illidan też wyciągnął rękę do Malfuriona. Na czubkach jego palców pojawiły się szpony szkarłatnej energii, które natychmiast spróbowały uchwycić druida za ramię. Niestety, pokonały tylko połowę dzielącej je od niego odległości, po czym gwałtownie się rozplynęły – Studnia rozproszyła zaklęcie czarodzieja.

Malfurion patrzył ze zgrozą, jak Macka porywa go z powrotem. Alexstrasza zabiła mocniej skrzydłami. Krasus skoncentrował się, skupiając myśli na druidzie i dysku. Wiedział, że musi spróbować odzyskać przynajmniej Duszę Demona. Nie była to decyzja podjęta na zimno – śmierć druida byłaby ogromną stratą, ale zdobycie dysku przez straszliwych starożytnych byłaby katastrofą.

Dziki, nieokiełznane magiczne siły targają Krasusem i jego królową. Zaklęcia, które próbował rzucać, nie trafiały w cel. Plugawa Macka przyciągnęła Malfuriona nad gardziel Studni.

I wtedy to, o co Krasus się modlił, ale w tej chwili się bał, że już się nie wydarzy, ocaliło nocnego elfa. Studnia Wieczności wreszcie zakończyła swe męki. Teraz nie pożerała już Kalimdoru, a tylko siebie. Krasus patrzył, jak z szybkością, z jaką nie mogły się równać nawet mroczne istoty, rozległy czarny zbiornik zapada się w sobie. Utonęła w nim nawet szalejąca nad jeziorem nawałnica. Alexstrasza biła skrzydłami jak szalona, ledwo unikając podobnego losu.

Czarne wody cofnęły się, wlewając się w gardziel Studni. Macka próbowała wycofać się jeszcze szybciej, ale zanim zdążyła... resztki Studni Wieczności zapadły się w jej własną gardziel.

Macka rozwiała się jak dym. Krasus poczuł, jak złowroga obecność Prastarych Bogów znika wraz z nią.

Młóćąc rękami powietrze, druid zaczął gwałtownie spadać ku nowemu zagrożeniu. W dole, wypełniając pustkę, jaką pozostawiła apokaliptyczna

żarłoczność Studni, napłynęły morza Kalimdoru. Wielkie fale wysokie na tysiąc stóp rozbijały się o siebie, zalewając setkami ton wody to, co stanowiło kiedyś środek kontynentu.

Krasus obserwował z nabożnym podziwem, jak Rozbicie dobiega końca i powstaje Wielkie Morze.

Lecz choć widok był fascynujący, nie zapomniał o Malfurionie i Duszy Demona. Wraz ze zniknięciem Studni ustały nieokiełznane wyładowania energii. Teraz Krasus znów władał w pełni swą mocą...

Ale zanim zdążył jej użyć, jak spod ziemi pojawił się wspaniały brązowy smok, ogromny samiec, który skrzył się mimo resztek mroku wciąż zasnuwającego niebo.

– Nozdormu! – zawołał mag.

Aspekt Czasu zanurkował, chwytając nocnego elfa wraz z dyskiem. Potem poszybował szybko ku Alexstraszy i Yserze, ale jego złote oczy utkwione były w Krasusie.

– Rychło w Czas... – huknął tylko. Potem minął ich, kierując się ku Hyjalowi z Malfurionem i dyskiem wciąż ściśniętymi w ogromnej łapie.

Pozostałe Aspekty natychmiast ruszyły w ślad za nim. Krasus patrzył na Nozdormu, który leciał, jak gdyby nic takiego nie stało się ze światem.

Mag potrząsnął w końcu głową i po raz pierwszy od chwili, gdy znalazł się w przeszłości, odetchnął nieco lżej.



Ocalali obrońcy nie odetchnęli lżej, jeszcze nie, bo choć niebezpieczeństwo minęło, wiedzieli też, że ich świat uległ nieodwracalnej przemianie. Wielu po prostu wpatrywało się pustym wzrokiem w nowe morze. Wody uspokajały się już, fale zaczynały delikatnie omywać spustoszone wybrzeże.

Tak wielu straciło swoich bliskich. Skutki tego będą odczuwać w nadchodzących tygodniach, miesiącach, a nawet latach. Jedną z osób, które najlepiej zdawały sobie z tego sprawę, był Jarod Shadowsong. Pomimo wstrząsających przeżyć dla dobra swego ludu emanował pewnością i zdecydowaniem. Nawet szlachta zwracała się ku niemu, szukając pokrzepienia. Spośród tych, którzy wydawali mu się najbardziej oddani, wyznaczył dowódców dbających o potrzeby armii.

Hyjal stał się miejscem mobilizacji, gdyż nie dotknęła go wojna, ani kataklizm, który po niej nastąpił. Jarod rozkazał wykonać nowe proporce ze szczytem na środku – nowa flaga na nowy początek.

Nocne elfy otrzymały pomoc od taurenów i innych ras, których nie dotknęła tak bardzo ruina Kalimdoru. Wszyscy ucierpieli, ale tylko ojczyzna rasy Jaroda została tak całkowicie spustoszona. Oficer przyjął pomoc ludu Hulna i cieszył się, że tak rzadko zdarzały się przypadki uprzedzeń innych nocnych elfów wobec wsparcia z zewnątrz. Jak długo miało to trwać, zależało od przyszłości uchodźców. Nie mieli już swoich eleganckich, niezwykłych miast – miast z wielkimi nadrzewnymi domami i magicznie ukształtowanym terenem zarezerwowanych tylko dla nich – skąd mogli patrzeć z góry na wszystkich innych. Większość w ogóle nie miała dachu nad głową, bo brakowało namiotów. Jarod przekazał swój własny namiot sierotom wojennym.

Niestety, niebawem pierwsze zagrożenie dla stabilności wojska uniosło swój szkaradny łeb. Po zniknięciu Studni pozostałe nocne elfy nie czuły już

takiego respektu przed Szlachetnie Urodzonymi. Uchodźcy zaczęli szemrać, tym głośniej, im bardziej Szlachetnie Urodzeni rzucali się w oczy.

– Zaraz dojdzie do kolejnej wojny – ostrzegł Jaroda Krasus. – Musisz z tym skończyć.

– Niektórzy nigdy nie zapomną, jaki koszmar na nas ściągnęli. – Wzrok oficera powędrował ku nowemu morzu. Na jego dnie legły ruiny utraconego Suramaru. – Nigdy.

Błada postać stanęła naprzeciw niego.

– Musicie zapomnieć o różnicach, Jarodzie Shadowsong, jeśli chcesz, by wasz lud przetrwał!

Nocny elf zebrał się w sobie, po czym wezwał szlachciców i innych wysokich rangą wojskowych. Wezwał też Dath'Remara Sunstridera oraz najwyższego rangą Szlachetnie Urodzonego. Obie frakcje spotkały się pod starą chorągwią lorda Ravencresta, której Jarod miał zamiar używać do czasu, gdy zostaną wykonane nowe. Ten ostatni pomysł podsunął mu Krasus – obaj zdawali sobie sprawę, że pamięć zmarłego szlachcica szanowali zarówno arystokraci, jak i pałac.

– Jesteśmy tu wbrew własnej woli – warknął Blackforest, mierząc wzrokiem postacie w długich szatach. Jego dłoń w bojowej rękawicy spoczywała na głowicy miecza. – I nie ścierpimy długo tak obmierzonego towarzystwa...

Dath'Remar pociągnął wzgardliwie nosem, ale nic nie powiedział. Jego zdanie na temat szlachty było jasne.

– Czy niczego was to nie nauczyło? – zapytał ostro Jarod. Wskazał na morze. – Czy to nie wystarczy, by położyć kres waśniom? Czy obaj zamierzacie dokończyć to, co zaczęły demony?

– I w czym ci tutaj chętnie uczestniczyli! – zauważył inny szlachcic.

– Nie szukamy dla siebie usprawiedliwień – odparł wyzywająco Dath'Remar. – Ale próbowaliśmy się zrehabilitować. Czy nie zastanowiło was, dlaczego ustabilizowanie portalu trwało tak długo? Wiele ryzykowaliśmy, utrudniając ten proces pod samym nosem dowódcy demonów! Próbowaliśmy uratować wysoką kapłankę Elune, a wielu z nas zginęło w walce z Płonącym Legionem!

– To zbyt mało!

– Czy mogę coś powiedzieć?

Do kłócących się dołączyła grupa kapłanek Elune z Tyrande Whisperwind i siostrą Jaroda na czele. W obecności wysokiej kapłanki Maiev sprawiała wrażenie wyjątkowo przygaszonej i Jarod to rozumiał. W młodej kobiecie było coś, co natychmiast ukoilo jego serce.

Wszyscy uklękli na jedno kolano, ale Tyrande, z zakłopotaniem marszcząc brwi, dała im znak, by się podnieśli. Jarod skłonił się lekko i powiedział:

– Oczywiście, Księżycowa Matka może się odzywać, gdy tylko tego zapragnie.

Tyrande skinęła głową z wdzięcznością, po czym zwróciła się do zebranych:

– Znajdujemy się w stanie przejściowym. Czym stanie się nasz lud, nie potrafię powiedzieć, ale prawdopodobnie nie będzie ani trochę podobny do tego, kim byliśmy kiedyś.

Wśród szlachty i Szlachetnie Urodzonych rozległy się niespokojne pomruki. Słów wysokiej kapłanki nie można było lekceważyć.

– Przeżyliśmy wojnę, ale jeśli się nie zjednoczymy, możemy nie przetrwać naszej własnej ewolucji. Weźcie to pod uwagę, zanim zaczniecie wskrzeszać dawne urazy...

Po tych słowach Tyrande się odwróciła. Maiev patrzyła na brata i Jarod wyczytał w jej spojrzeniu wiarę w niego.

Gdy jego siostra podążyła za Tyrande, zauważył, że stała za nią Shandris Feathermoon. Odchodząca nowicjuszka obdarzyła go szerokim uśmiechem, który wprowadził go w jeszcze większe zakłopotanie niż obecność szlachty i czarodziejów, ale jednocześnie sprawił, że zrobiło mu się jeszcze lżej na duchu.

Blackforest odchrząknął. Jarod szybko powrócił do omawianej kwestii.

– Usłyszeliście zdanie Księżycowej Matki, z którym w pełni się zgadzam. Co wy na to?

Blackforest otworzył usta, ale Dath'Remar zabrał głos, zanim opancerzony arystokrata zdołał się odezwać.

– Szanujemy słowa wysokiej kapłanki i zrobimy co w naszej mocy, aby zadośćuczynić za nasze grzechy... o ile pozwolą nam na to nasi dostojni towarzysze.

Przywódca szlachty chrząknął.

– My również dołożymy wszelkich starań. Skoro Szlachetnie Urodzeni dostrzegli swoje błędy, pozwolimy, by dołączyli do nas i chętnie przyjmiemy ich pomoc, gdy będziemy próbowali odbudować nasz dom.

W obu wypowiedziach pobrzmiewały echa niechęci, ale było to wszystko, na co Jarod mógł w tej chwili liczyć. Czekały ich dalsze konfrontacje, ale nie groziły już one zagładą ich rasy.

– Dziękuję wam wszystkim za przybycie i wysłuchanie głosu rozsądku. A teraz zastanówmy się, jak najlepiej wykorzystać cud, który pozwolił nam przeżyć.

W obu frakcjach podniosły się głosy, a każda próbowała podsunąć lepsze rozwiązania niż druga strona. Jarod się skrzywił, a potem spróbował wyłuskać te najlepsze.

Jedna propozycja natychmiast przykuła jego uwagę.

– Woda! – przerwał. Przypomniał mu się raport jednego ze zwiadowców. Jezioro na samym szczycie Hyjalu. Warto by to sprawdzić. Postanowił zająć się tym sam, choćby tylko po to, by odetchnąć na jakiś czas od reszty swoich obowiązków. – Lordzie Blackforest! Proszę o trzech ochotników spośród szlachty! Myślę o krótkim wypadzie... – A do Dath'Remara dodał: – Spośród was również...

Gdy wybierali chętnych, Jarod pogratulował sobie w duchu. Wycieczka będzie też dobrą okazją, aby zmusić frakcje do współpracy. Było to bezpieczne przedsięwzięcie, które powinno jednak być dobrze przyjęte przez jego lud z powodu wagi, jaką miało odszukanie wody. Jeśli szlachcice i czarodzieje wspólnie doniosą o jej znalezieniu, reszta przekona się, że kooperacja jest możliwa.

Jarod powstrzymał uśmiech. Może w końcu zaczynał się uczyć, co to znaczy być przywódcą...



– Malfurionie...

Druid oderwał wzrok od nowego morza.

– Mistrzu Krasusie.

Smoczy mag się skrzywił.

– Równi sobie nie potrzebują tytułować się nawzajem. Proszę po raz ostatni, po prostu Krasusie.

– Spróbuję. – Malfurion machinalnie odsunął się o krok od przyjaciela. –
Potrzebujesz czegoś?

– Nie... ale oni tak.

Uszy nocnego elfa wypełnił donośny łopot skrzydeł. Wokół niego wzbił się kurz i nagle za plecami zakapturzonej postaci wylądowały trzy gigantyczne postacie.

Alexstrasza. Ysera. Nozdormu.

– Wiesz, po co tu jesteśmy – odezwała się miękko czerwona smoczyca.

Dłoń Malfuriona powędrowała ku sakwie przy pasie.

– Chcecie ją. Chcecie z powrotem Duszę.

– Duszę Demona – poprawił go Krasus. – Zapomniałeś oddać ją Aspektom, kiedy wylądowaliśmy. Zapewne przez ogólne zamieszanie.

– Tak... tak... – Druid wsunął rękę do sakwy. Otoczył palcami dysk, głaszcząc go. Dlaczego musiał go oddać? Czyż nie udowodnił, że ma do niego prawo? Czyż nie posłużył się nim, aby ocalić Kalimdor nie przed jednym, a dwoma zagrożeniami?

– Malfurionie...

Skoro uważają, że zasługują na niego bardziej niż on, dlaczego nie kazać im go sobie odebrać? Dzięki własnym umiejętnościom i mocy Duszy bez trudu pozabija ich wszystkich...

Druida ogarnęło obrzydzenie. Szybko wyjął przeklęty dysk z ukrycia i wyciągnął go ku magowi.

Krasus skinął głową.

– Wiedziałem, że podejmiesz właściwą decyzję. – Nie wziął jednak dysku bezpośrednio od niego, tylko wskazał ziemię. – Połóż go, proszę, tutaj.

Malfurion posłuchał, unosząc brwi z zaciekawieniem. Gdy tylko wypuścił dysk z dłoni, poczuł się tak, jakby zdjęto mu z barków ogromny

ciężar.

– Odsuń się, proszę.

Kiedy nocny elf posłuchał, Krasus odwrócił się do trzech Aspektów.

– Czy wasza moc wystarczy?

– Będzie musiała – odparł Nozdormu.

Trzy smoki wygięły szyje, przysuwając ogromne łby do Duszy Demona, tak że dzieliło je od niej zaledwie kilka cali.

– Nie jesteśmy w stanie spętać jej całkowicie – powiedziała Alexstrasza.

– Wykracza to nawet poza nasze możliwości. Możemy jednak sprawić, by Neltharion – Skrzydła Śmierci – też nie mógł się nią posługiwać.

– Mądre posunięcie, jak już mówiłem – odparł Krasus. Ale Malfurion wyczuł znowu, że zakapturzona postać, smok w śmiertelnej postaci, ukrywa ważne informacje nawet przed swoją królową którą tak jawnie uwielbiał. Jakie informacje, druid nie ważył się zgadywać, ale z wiekowych oczu Krasusa wyzierał smutek, który mag szybko ukrywał za każdym razem, gdy lewiatany spoglądały w jego stronę.

Trzy olbrzymy wbiły wzrok w niewielki przedmiot, niepozorny złoty dysk, który spowodował taką katastrofę. Wbiły w niego wzrok... i Duszę Demona otoczyła nagle tęcza energii. Dominowała w niej czerwień, zieleń i skrzący się brąz piaskowego Nozdormu. Dusza Demona uniosła się kilka cali nad ziemię i zawisała tuż przed Aspektami. Magiczne siły wyzwolone przez smoki krążyły wokół niej, obracając przy tym dysk wokół własnej osi.

Nagle... jedna za drugą siły wsiąkły w obmierzłe dzieło czarnego smoka. Czerwona, zielona, brązowa, a potem całe spektrum barw.

Zaklęcie przestało działać. Dusza Demona opadła z brzękiem na twardą ziemię. Wyglądała dokładnie tak samo jak przedtem.

– Czy zadziałało? – zapytał.

– Tak. – Krasus spojrzał druidowi w oczy. – Malfurionie, proszę, żebyś ją znowu podniósł.

Nocny elf posłuchał, choć bardzo niechętnie. Odkrył, że wcale nie pragnie zachować Duszy Demona. Albo stało się tak za sprawą smoków, albo wzrosła jego siła woli.

Mag spojrzał na Aspekty, które kiwnęły równocześnie głowami. Do Malfuriona rzekł z szacunkiem:

– Znamy pewne miejsce. Miejsce, którego nie zna czarny smok. Za twoim pozwoleniem, pokażemy ci je w twoim umyśle... a wtedy poproszę cię, żebyś za pomocą swoich umiejętności wysłał tam to plugastwo.

Choć czuł, że da sobie radę, zmarszczył brwi.

– A wy nie możecie tego zrobić?

– Kiedyś sam byłbym w stanie nosić dysk, choć z trudnością. Pozostałe smoki nie, tak zaprojektował go Skrzydła Śmierci. Teraz nowe zaklęcie uniemożliwia czarnemu, czy jakimkolwiek innemu smokowi dotknięcie, nie mówiąc już o używaniu Duszy Demona. Dlatego jesteście nam potrzebni.

Kiwając głową, druid wyciągnął dysk.

– Pokażcie mi.

Krasus i Aspekty wbili w niego wzrok. Malfurion wzdrygnął się, gdy wkroczyli do jego umysłu.

Obraz, który stworzyli, był tak żywy, że miał wrażenie, iż się tam znalazł. Chcąc się jak najszybciej pozbyć Duszy Demona, powiedział szybko:

– Już wiem.

Z wielką ulgą Malfurion odesłał dysk.

Krasus odetchnął.

– Dziękuję.

Aspekty kiwnęły z wdzięcznością głowami. Potem Alexstrasza spojrzała w niebo.

– Chmury... się rozstępują.

Rzeczywiście, po raz pierwszy odkąd Płonący Legion przybył do Kalimdoru, niebo zaczęło się wreszcie przejaśniać. Najpierw tu i ówdzie pokazały się jego skrawki, a potem wielkie, grube chmury poprzerywały się na mniejsze, lżejsze obłoki. Te z kolei przeszły w jedwabne smugi, które z łatwością rozproszył wiaterek.

Malfurion poczuł, jak w jego serce wstępuje nowa nadzieja, odnowione życie... i uświadomił sobie, że nie było to tylko jego własne życie, ale życie całej ziemi. Kalimdor przetrwa, był tego pewny.

Poczuł na czole ciepło, przyjemne ciepło. Podniósł rękę i zorientował się, że jego rogi urosły. Z głównych pni wyrosły drobne odnogi.

Ysera, której oczy były zamknięte, ale poruszały się gwałtownie pod powiekami, wyprostowała się na swoją pełną wysokość, po czym odwróciła do reszty Aspektów.

– Świat ozdrowieje, ale przed nami wiele pracy. Powinniśmy powrócić do pozostałych...

Nozdormu kiwnął głową.

– Zgoda.

Malfurion otworzył usta, aby podziękować smokom za wszystko, co zrobiły... ale zawahał się, ogarnięty niepokojem. Rozejrzał się gwałtownie wokół, jak gdyby kogoś szukał. Dopiero wtedy zdał sobie wreszcie sprawę, kogo tak rozpaczliwie szuka, choć powód wciąż mu umykał.

Gdzie się podział Illidan?



Rhonin wpatrywał się w morze, myśląc o wszystkich tych, którzy na jego oczach zginęli z rąk Płonącego Legionu, zarówno w jego własnych, jak i w obecnych czasach. Wiele z tych śmierci głęboko go dotknęło, bo nawet jeśli zmarli nie byli jego przyjaciółmi, stanowili jakąś część jego życia.

Wiedział, że Krasus czuje się tak samo, a może nawet bardziej, bo smoczy mag żył wystarczająco długo, by utracić całe pokolenia bliskich i towarzyszy. Czarodziej rozumiał swojego dawnego mentora na tyle dobrze, by zdawać sobie sprawę, iż wieki nie uczyniły Krasusa odpornym na żal. Zakapturzony czarodziej cierpiał z powodu każdej śmierci, bez względu na to, jak głęboko ukrywał czasem te emocje.

A teraz utracili kolejną bliską osobę. Rhonin nigdy nie przypuszczał, że będzie opłakiwał orka, ale tak się właśnie stało. Brox był wiernym kompanem, szlachetnym towarzyszem. Dopiero ponieważ człowiek zrozumiał jego poświęcenie. Ork wskoczył w portal wiedząc, jak straszliwy los go czeka, a jednak się nie zawahał. Miał świadomość, że Malfurion potrzebuje czasu i właśnie czas podarował druidowi.

Rhonin ukląkł na brzegu morza, w którego powstaniu widział w pewnym sensie hołd dla Broxa. Nie istniałoby, gdyby nie jego wyczyn. Sargeras zdążyłby przedostać się przez portal i wymordował wszystkich.

Czy Brox sprawił, że historia potoczyła się właściwym torem, czy od początku był jej częścią?, zastanawiał się czarodziej. Być może wiedział to Nozdormu, ale Aspekt Czasu nie miał zamiaru nikomu tego zdradzić. Nie opowiedział nawet o ciężkiej próbie, jaką sam musiał przejść, wspomniał

tylko, że brali w tym udział Prastarzy Bogowie. Teraz, gdy portal znikł, to zagrożenie również zostało oddalone.

Czarodziej wstał i przyjrzał się szczątkom unoszącym się na falach. Przypływ niósł wiele różnych rzeczy, w większości kawałki roślin, ale również szczątki domostw nocnych elfów. Strzępy ubrań, połamane fragmenty mebli, gnijące jedzenie i, owszem, ciała. Nieliczne, na szczęście, i nie w tym miejscu. Jarod wysłał na wybrzeże kilka oddziałów, aby odszukać zmarłych i zorganizować im stosowny pochówek. Była to kwestia nie tylko zasad, ale i bezpieczeństwa. Ciała zmarłych mogły szerzyć zarazę stanowiącą dla uchodźców realne zagrożenie.

Coś podpłynęło do czarodzieja, podskoczyło dwa razy na wodzie i osiadło tuż pod powierzchnią. Rhonin nie zwróciłby na to uwagi, ale wyczuł coś niezwykłego. Przedmiot miał w sobie jakąś magię.

Wszedł do wody i zanurzył w niej rękę.

Topór Broxa.

Nie mogło być mowy o pomyłce. Rhonin zbyt wiele razy widział zdumiewający oręż w akcji. Pomimo swego ogromu topór o podwójnym ostrzu leżał idealnie w dłoni i wydawał się lekki jak piórko. Nawet nie był mokry.

– To niemożliwe – wymamrotał, spoglądając podejrzliwie na morze.

Ale z jego głębin nie wyłonił się żaden duch, aby wyjaśnić to zdumiewające znalezisko. Czarodziej spojrział na topór, na morze i wreszcie znów na topór.

W końcu powędrował spojrzeniem w kierunku nieistniejącego już portalu. Przed oczyma miał obraz Broxa stojącego na stercie ciał zabitych demonów i rzucającego wyzwanie kolejnym.

Czarodziej wzniosł wysoko topór w geście, który jeśli dobrze zapamiętał z własnych czasów, był orczym hołdem dla poległych bohaterów. Rhonin

potrzęsnał toporem trzy razy, a potem opuścił go głownią w dół.

– Będą jeszcze o tobie śpiewać – wyszeptał, przypominając sobie słowa skierowane przez Broxa do niego i Krasusa. – Będą sobie przekazywać pieśni o tobie z pokolenia na pokolenie. Dopilnujemy tego.

Przerzuciwszy sobie topór przez ramię, ruszył, by odszukać Krasusa.

DWADZIEŚCIA DWA



Illidan zeskoczył na ziemię, wodząc dookoła zasłoniętymi oczyma w poszukiwaniu zagrożeń. Oczywiście, nawet gdyby się takowe pojawiły, bez wątpienia był w stanie sobie z nimi poradzić. Studnia mogła zniknąć, ale nauczył się dość od Rhonina i Płonącego Legionu, aby powetować tę stratę. Poza tym za kilka minut nawet to nie będzie już miało znaczenia.

Czarodziej przywiązał wierzchowca do drzewa. Jarod Shadowsong i reszta dowództwa byli zajęci spieraniem się o tak przyziemne kwestie jak pożywienie i schronienie, a on przybył w to miejsce ze znacznie ważniejszego powodu, który jego zdaniem przyćmiewał wszystkie inne.

Zamierzał ocalić rasę nocnych elfów.

Jakże naiwni byli, nie wierząc, że demony pewnego dnia powrócą. Zasmakowawszy w Kalimdorze, Płonący Legion będzie miał ochotę na dokładkę. Następnym razem uderzy w znacznie bardziej przerażający sposób, był tego pewny.

Dlatego Illidan zamierzał się przygotować na nieuniknioną inwazję. Dziewicze jezioro ukryte na najwyższym szczycie Hyjału przetrwało wojnę nie odkryte przez obrońców ani demony. Na samym jego środku leżała

zielona, sielska wyspa. Illidan dopatrywał się palca losu w tym, że zobaczył je pierwszy. Wpisywało się idealnie w jego plany.

Dotknął wypchanej sakwy przy pasie. Jej cenna zawartość przyzywała Illidana. Jej syrenia pieśń upewniła czarodzieja, że podjął właściwą decyzję. Jego lud nie będzie się posiadał z wdzięczności, a on zostanie jednym z jego największych bohaterów, może nawet większym od Malfuriona.

Malfurion... wszyscy oddawali jego bratu cześć, jak gdyby to on sam ocalił świat. Odrobina uznania należała się też jemu, Illidanowi, ale wielu rozumiało opacznie to, co próbował zrobić. Rozeszły się plotki, że naprawdę pragnął przystać do demonów, i że tylko brat uratował jego duszę przed potępieniem. Jego wysiłki nie zostały docenione. Jego oczy – jego wspaniałe oczy – były postrzegane przez innych jako znak paktu z panem Legionu.

Jego jakże idealny brat wypowiadał się o nim publicznie w jak najbardziej pochlebny sposób, ale dało to tylko tyle, że Malfurion wyszedł na wspaniałomyślnego. Nawet rogi wyrastające mu z głowy nie budziły obrzydzenia wśród nocnych elfów. Uznały to za oznakę boskości, jak gdyby Malfurion stał się nagle jednym z półbogów... tych samych półbogów, którzy zginęli tak szybko w bitwie, którą Illidan przeżył.

To wszystko się zmieni, powtórzył w myślach, nie po raz pierwszy. Przekonają się, czego dokonałem... i będą mi dziękować po tysiąckroć.

Z niecierpliwością wypisaną na twarzy czarodziej otworzył sakwę i wyjął z niej buteleczkę identyczną jak ta, którą Tyrande widziała u niego wcześniej. W rzeczywistości nie tylko buteleczka była taka sama, ale i jej zawartość.

Wprawdzie Studnia Wieczności już nie istniała, ale Illidan Stormrage ocalił odrobinę wody z jej głębin.

Uda się! Wiem, że się uda! Zdążył już odczuć na sobie niezwykle właściwości Studni. Nawet taka odrobina jej wody miała potężną moc.

Zatyczka w kształcie królowej Azshary raz jeszcze zatańczyła przed nim, zanim wyskoczyła w górę. Pozwolił, żeby upadła w trawę, i wyciągnął rękę z otwartą buteleczką nad jezioro.

Wlał jej zawartość do wody.

Jezioro zaskrzyło w miejscu, gdzie dotknęły go krople Studni. Woda, pierwotnie barwy spokojnego błękitu, zaślniła intensywnie. Zmiana zaczęła się szybko rozprzestrzeniać, najpierw docierając do wyspy, a później okrążając ją. W kilka sekund całe jezioro przybrało barwę głębokiego lazuru, co do którego nie było żadnych wątpliwości, że jest magiczny.

Dla wyostrzonych zmysłów Illidana spektakl był jeszcze bardziej oszałamiający.

Ale... mógłby być jeszcze wspanialszy.

Sięgnął do sakwy i wyjął drugą buteleczkę.

Tym razem po prostu wyrwał z niej korek i wlał jej zawartość do jeziora. Gdy to zrobił, błękit stał się jeszcze bardziej intensywny. Na powierzchni pojawiły się wąsy energii i Illidan poczuł cudowne promieniowanie, jakiego nie doświadczał od czasu, gdy Studnia przestała istnieć.

Rozchylił usta. Miał ochotę rzucić się do wody, ale zdołał się powstrzymać. Jego ręka wśliznęła się do sakwy.

Jaki efekt miałyby trzecia buteleczka?

Odkorkował ją i zaczął wylewać.

– Co ty wyprawiasz, na Księżycową Matkę?

Illidan był tak pochłonięty tym, co robi, że nie zauważył nadejścia innych. Okręcił się, z ostatnią buteleczką w dłoni, i zobaczył grupę jeźdźców z Jarodem Shadowsong na czele.

– Kapitanie... – zaczął czarodziej.

Jeden ze Szlachetnie Urodzonych popatrzył za plecy Illidana.

– Zrobił coś z jeziorem! Ono... – Twarz czarodzieja przybrała zdumiony wyraz. – Ono przypomina Studnię...

– Elune, miej nas w swojej opiece! – ryknął szlachcic obok Jaroda. – On ją wskrzesza!

Dowódca zeskoczył na ziemię.

– Illidanie Stormrage! Natychmiast przestań! Gdyby nie twój brat...

– Mój brat... – Ogarnęła go furia, podsycana jeszcze bliskością magicznego jeziora. Po raz kolejny poczuł przyływ mocy. Był w stanie zrobić wszystko... – Zawsze mój drogi brat...

Pozostali zeskoczyli z sodeł jak Jarod Shadovsong. Ich nieufne miny sprawiły, że Illidan stężał. Chcieli go odciąć od mocy jeziora! Zmierzył wzrokiem Szlachetnie Urodzonych, którzy z pewnością chcieli spróbować ją sobie przywłaszczyć...

– Nie...

Jeden ze szlachciców się zawahał.

– Na Elune! Co to za oczy, które tak płoną pod zasłony?

Illidan rzucił Szlachetnie Urodzonym gniewne spojrzenie.

Ich dowódca uniósł rękę w obronnym geście.

– Uwaga...

Pozostali czarodzieje wrzasnęli i stanęli w płomieniach.

Jarod i arystokraci natarli na Illidana, ale ten tylko parsknął z rozbawieniem i wykonał gest.

Ziemia pod ich stopami eksplodowała. Jarod został odrzucony w tył. Najstarszy rangą szlachcic, Blackforest, wyleciał wysoko w powietrze i uderzył w drzewo z donośnym trzaskiem.

– Głupcy! Wy...

Jego stopy zapadły się nagle w ziemię. Gdy popatrzył w dół, gałęzie drzew owinięły mu się wokół ciała, ściskając mu nogi razem, a ręce przyciskając do tułowia. Illidan próbował coś powiedzieć, ale usta wypełniły mu liście, które przykleiły się do języka. Czarodziej nie był się nawet w stanie skoncentrować, bo w uszach słyszał brzęczenie, jak gdyby zamieszkało w nich tysiąc maleńkich owadów.

Sapiąc, Illidan opadł na kolana. Poprzez bzyczenie usłyszał, że nadchodzi ktoś jeszcze. Czarodziej nie miał żadnych wątpliwości, kto to...

– Och, Illidanie. – Głos Malfuriona słyszał wyraźnie mimo bzyczenia. – Illidanie... dlaczego?



Druid wpatrywał się w jezioro, którego oślepiający kolor świadczył dobitnie o skażeniu. Teraz już nikt nie mógł się z niego napić. Tak jak wcześniej Studnia Wieczności, był teraz krynicą mocy, nie życia.

– Och, Illidanie... – powtórzył, patrząc na spętanego brata.

– Dath'Remar wciąż żyje – doniosła Tyrande, klękając obok przywódcy Szlachetnie Urodzonych. – I jeszcze jeden czarodziej, ale pozostali zginęli. – Wzdrygnęła się. – Spłonęli żywcem...

Malfurion zamierzał przyjść sam, tylko ze smokami i Krasusem, ale podobnie jak on Tyrande wyczuła, że Illidan coś planuje. Razem z kilkoma kapłankami pojechała w ślad za smokami, ale przybyła zbyt późno.

Tak jak Malfurion.

– Lord Blackforest nie żyje. Pozostałych chyba da się uratować – oznajmiła inna kapłanka.

– Mój... brat żyje – zdołała wykrztusić Maiev. Ona i Shandris zajęły się nieprzytomnym Jarodem. Miał siniaki na całej twarzy, a jego pancerz był teraz jeszcze bardziej powgniatany. Zasnęta krew oblepiała kilka ran, które już zaczynały się goić dzięki modlitwom kapłanek.

Siostra Jaroda wstała, a jej twarz miała straszny wyraz. Ruszyła w stronę Illidana, dobywając jednocześnie oręża.

– Nie, Maiev! – rozkazała Tyrande.

– Prawie zabił mi brata!

Wysoka kapłanka zastąpiła jej drogę.

– Prawie. Nie ty zdecydujesz o jego losie. Uczyni to Jarod. – Zerknęła na Malfuriona. – Czyż nie tak?

Druid kiwnął smutno głową.

– To jego prawo i nie zamierzam go podważać. – Potrząsnął głową. – Więc dlatego został tak blisko brzegu Studni.

– Nie wiedziałam, że zabrał jej jeszcze więcej – powiedziała przepraszająco Tyrande.

Tknięty przecuciem, Malfurion ukląkł obok brata. Oddech Illidana był miarowy, ale zeszywniał, kiedy wyczuł bliskość Malfuriona. Druid przeszukał jego sakwę.

– Jeszcze przynajmniej cztery buteleczki... niewiele brakowało, a zmieniłby to jezioro w nową Studnię.

– Czy można coś zrobić, żeby odwrócić proces?

Krasus trzymał się do tej pory w tyle, przyglądając się rozwojowi wydarzeń. Teraz mruknął jednak:

– Nie... nic. Co się stało, to się nie odstanie.

Ale Alexstrasza dodała:

– Możemy zmienić naturę jego mocy. Na mniej zdradliwą niż ta, jaką przybrała Studnia.

Mag zrobił wielkie oczy.

– Ach! Oczywiście!

Malfurion oderwał się niechętnie od boku brata.

– W jaki sposób?

Trzy smoki spojrzały po sobie i każdy kiwnął łbem. Alexstrasza odwróciła się z powrotem do nocnych elfów.

– Posadzimy drzewo.

– Drzewo? – Druid popatrzył na Krasusa, oczekując wyjaśnień.

Ale mag odpowiedział po prostu z powściągliwym wyrazem twarzy:

– Ale nie byle jakie drzewo.



Szybko poczynili przygotowania do ceremonii, aby zmniejszyć oddziaływanie występu Illidana. Czarodziej został ukryty, aby zapobiec dalszym kłopotom, a siostra Jaroda zaoferowała się go pilnować, dopóki nie zadecydują o jego dalszym losie. Jarod, uzdrowiony przez Shandris i Maiev, upierał się, aby podjąć decyzję wspólnie z Malfurionem, gdy nadejdzie czas.

Oprócz Krasusa, Rhonina i smoków w zgromadzeniu brały udział wyłącznie nocne elfy. To, co zamierzały zrobić Aspekty, miało na celu dobro przede wszystkim ich rasy, która tak wiele wycierpiała i obawiała się o swoją przyszłość. Zebrała się szlachta, Szlachetnie Urodzeni i

przedstawiciele niższych kast. Pozostali ocaleńcy zebrali się na dole, nie mogąc oglądać spektaklu, ale wiedząc, że wpłynie na ich dalsze życie.

Malfurion i reszta zaproszonych wyruszyli na wyspę na środku jeziora. Pomimo ogromnej wysokości Hyjalu na szczycie góry było dość ciepło, może nawet bardziej teraz, gdy jezioro zostało dotknięte magią.

– Jest piękne – wyszeptła Tyrande.

– Żeby tylko – odparł ponuro Malfurion. Myślami był wciąż przy Illidanie. Miał już kilka propozycji kary dla brata i bolało go wyobrażanie sobie wprowadzenia ich w życie. Ale Illidanowi najwyraźniej nie można już było ufać. Zabił ogarnięty szalem. To, że ubzdurał sobie, iż nocne elfy potrzebują nowej Studni, aby ochronić się w przyszłości przed kolejnym atakiem Płonącego Legionu, nie było wystarczającym usprawiedliwieniem jego odrażających zbrodni.

Nocne elfy, mimo że zmuszone do walki w dzień, były wciąż istotami nocy, ale Jarod uzgodnił ze smokami, że spotkają się w południe. Alexstrasza wyjaśniła, że dla ich planów ważne jest, aby słońce stało w zenicie, a nocny elf nie miał zamiaru spierać się z olbrzymami.

Pomimo sporych rozmiarów wyspę porastała wyłącznie wysoka trawa. Grupa elfów ustawiła się w centrum zgodnie z prośbą Alexstraszy. Smoki zajęły pozycje w miejscu, które, jak twierdziły, znajdowało się idealnie w środku, zostawiając między sobą niewielką przestrzeń.

Aspekt Życia rozpoczęła ceremonię.

– Kalimdor bardzo ucierpiał – zagrzmiała. Gdy zebrani kiwnęli głowami, podjęła: – Ale najbardziej nocne elfy. Wasza rasa nie jest zupełnie niewinna, ale można to wam wybaczyć z racji tego, co przeszliście.

Kilka osób spojrzało niespokojnie w stronę Szlachetnie Urodzonych, ale nikt się nie spierał. Czerwona smoczyca opuściła łapę. W niej, umoszczone

jak niemowlę, spoczywało pojedyncze nasionko przypominające żołądź. Malfurion poczuł mrowienie, gdy na nie spojrział.

– Pochodzi z G’Hanir, Drzewa Matki – wyjaśniła smoczyca.

Druid rozpoznał dom zmarłej półbogini, Aviany.

– G’Hanir już nie istnieje, zginęło wraz ze swą panią, ale to nasionko przetrwało. Z niego wyrośnie nowe drzewo.

Nozdormu opuścił łapę i jednym ruchem wykopał dołek, aby umieścić w nim nasionko, Alexstrasza włożyła je tam delikatnie, a Ysera zakopała. Aspekt Życia popatrzyła w słońce. Potem ona i dwa pozostałe smoki opuściły nisko łby nad zakopanym nasionkiem.

– Obdarzam nocne elfy Siłą i Zdrowym Życiem, dopóki to drzewo stoi – oświadczyła Alexstrasza.

Na kopczyk spłynął z niej miękki, czerwony blask. Jednocześnie słoneczne światło nad nim zrobiło się intensywniejsze, rozplywając się nad jeziorem we wszystkich kierunkach. Niektóre nocne elfy poruszyły się, ale żaden się nie odezwał.

Malfuriona ogarnęło cudowne ciepło i instynktownie złapał Tyrande za rękę. Nie odsunęła się, a nawet wzmocniła uścisk. W kopczyku zaczęło się jakieś poruszenie. Ziemia zaczęła się osypywać na boki, jak gdyby jakieś małe stworzenie chciało się wydostać na zewnątrz.

Z nasionka wystrzeliła małeńka sadzonka.

Urosła na jard w górę i wypuściła gałązki. Na gałązkach wybuchły bujnie liście, tworząc lekką koronę. Gdy Alexstrasza cofnęła się nieco, odezwał się Nozdormu z lekkim sykiem w głosie:

– Czasss znów sstanie po ssstronie nocnych elfów, bowiem zapewniam im dalszą Nieśmiertelność, możliwość nauki, dopóki drzewo sstoi...

Z samca spłynęła złotobrazowa aura, która połączyła się ze słonecznym blaskiem tak jak wcześniej czerwona. Przepłynęła przez drzewko i wsiąkła

w kopczyk.

Drzewko znów urosło. Na oczach patrzących osiągnęło wysokość dwóch nocnych elfów. Jego listowie stało się gęste, zielone i pełne obietnic. Gałęzie zgrabiwały, świadcząc o zdrowiu i sile drzewa. Nad ziemią pojawiły się korzenie. Pod nimi powstała przestrzeń na tyle duża, by zmieściło się tam kilku siedzących nocnych elfów. Nozdormu kiwnął łbem i wycofał się jak jego poprzedniczka. Została tylko Ysera. Spod zamkniętych powiek olbrzymka przyjrzała się badawczo drzewu, które pomimo szybkiego wzrostu wciąż wydawało się małe w porównaniu ze smokami.

– Nocnym elfom, które utraciły nadzieję, zwracam umiejętność Śnienia. Śnienia i Marzenia, bo to one dają nadzieję na odbudowę, odrodzenie, wzrost...

Wydawało się, że postąpi tak jak pozostałe Aspekty, ale się zawahała. Obróciła łeb ku Malfurionowi.

– A temu, który podąża ścieżką wytyczoną przez kogoś mi bliskiego i przeze mnie oraz innym druidom daruję umiejętność podróżowania przez Szmaragdowy Sen, gdzie, nawet w najgłębszym śnie, będą mogli przemierzać świat, uczyć się od niego i czerpać z jego sił... aby w przyszłości jeszcze lepiej dbać o dobrobyt i bezpieczeństwo Kalimdoru.

Malfurion przełknął ślinę, nie będąc w stanie wydusić z siebie słowa. Czuł na sobie wzrok wszystkich, ale przede wszystkim czuł dumny dotyk Tyrande.

Ysera znów spojrzała na drzewo... i spłynęła z niej zielona mgiełka. Tak jak przedtem jej dar połączył się ze słonecznym blaskiem i opadł na drzewo.

Gdy wsiąkł do reszty w głębę, zebrani poczuli, że ziemia się trzęsie. Malfurion pociągnął Tyrande kilka kroków w tył, a reszta wzięła z niego

przykład. Nawet smoki się odsunęły, ale nie aż tak bardzo jak drobniejsze istoty.

A drzewo zaczęło *rosnąć*. Podwoiło swoją uprzednią wysokość raz, a potem jeszcze raz. Wznosiło się coraz wyżej ku niebu, aż druid nabrał pewności, że nawet elfy zebrane sporo poniżej szczytu widzą jego wielką, rozrastającą się koronę. Była tak ogromna, że powinna rzucać cień na całą okolicę, ale jakimś cudem słońce docierało pod nią, nawet nad jezioro.

Rozrosły się też korzenie, wydłużając się i wyginając, aby jak najlepiej podtrzymać olbrzymie drzewo. Były tak wysokie, że zmieściłaby się pod nimi nawet zrujnowana Gawronia Twierdza lorda Ravencresta... a korzenie – całe drzewo – wciąż rosły.

Kiedy w końcu przestały, nawet smoki wydawały się przy nim tak małe jak ptaszki, które mogłyby usadzić się na jednej z jego gałęzi i ukryć w listowiu.

– Macie przed sobą Nordrassil. Drzewo Świata zostało powołane do życia! – zaintonowała Aspekt Życia. – Tak długo jak stoi, tak długo jak jest szanowane, cywilizacja nocnych elfów będzie się rozwijać! Możecie się zmienić, możecie podążać różnymi ścieżkami, ale zawsze będziecie stanowić nieodłączną część Kalimdoru...

Krasus stanął niespodziewanie za Malfurionem. Szeptem dodał:

– A drzewo, którego korzenie sięgają głęboko, zachowa jezioro w obecnym stanie. Słońce zawsze będzie częścią tej studni. Jej wody nigdy nie staną się czarne.

Malfurion przyjął to z wielką ulgą. Spojrzał na Tyrande, która napotkała jego spojrzenie z miną od której pociemniały mu policzki. Zanim Malfurion zorientował się, co się dzieje, pocałowała go.

– Cokolwiek przyniesie długa przyszłość, jaką obiecano naszemu ludowi – wyszeptała przyjaciółka z dzieciństwa – chcę ją oglądać wraz z tobą.

Poczuł, że jeszcze więcej krwi napływa mu do policzków.

– A ja z tobą Tyrande.

Malfurion odwzajemnił jej pocałunek, ale w tej samej chwili w jego myślach pojawiła się twarz kogoś innego. Czekał ich okres radości, głoszenia dobrej nowiny o darach Aspektów dla ich ludu, ale dla Malfuriona te wydarzenia przestały się nagle liczyć. Wciąż musiał uporać się z Illidanem.

Tyrande się cofnęła, a jej usta wykrzywił grymas.

– Wiem, co takiego nappełniło cię nagle smutkiem. Trzeba zrobić to, co konieczne, Malfurionie, ale nie pozwól, by jego występki odebrały ci ducha.

Jej słowa dodały mu sił.

– Nie pozwolę. Obiecuję ci. Nie pozwolę.

Zerknąwszy przez ramię zauważył, że Krasus i Rhonin oddalili się po cichu od zebranych. Rzucił okiem na smoki i zobaczył, że brakuje też Nozdormu. Tak po prostu. Aspekt znikł i nikt nawet tego nie zauważył.

Musiał istnieć jakiś związek.

– Malfurionie, o czym teraz myślisz?

– Chodź ze mną Tyrande, dopóki nikt nie patrzy.

Nie opierała się. Dwójka nocnych elfów ruszyła za Krasusem i czarodziejem.



W głowie Krasusa rozległ się echem głos:

Za długo z tym zwlekaliśmy. Mussimy to zrobić teraz.

Nozdormu.

– Rhoninie...

Człowiek kiwnął głową.

– Słyszałem.

Wyśliznęli się, gdy nocne elfy rozprawiły wciąż z podnieceniem o drzewie. Krasus miałyby ochotę porozmawiać jeszcze trochę z Malfurionem, ale bardzo pragnął powrócić do domu.

Nozdormu przyszedł do niego przed ceremonią. Aspekt Czasu zastał go, gdy był sam.

– Mamy wobec ciebie dług, Korialstraszu.

Przez „my” Nozdormu nie miał na myśli tylko innych Aspektów i siebie. Odnosił się także do swoich różnych wcieleń rozrzuconych w Czasie. Taką miał wyjątkową naturę.

– Zrobiłem to, co do mnie należało. Rhonin i Brox również.

– Rozmawiam w tej chwili także z czarodziejem – zauważył bezceremonialnie Aspekt. Jeśli pragnął, przebywanie w dwóch miejscach naraz nie stanowiło dla niego żadnego problemu. – Mówię mu, tak jak mówię tobie, że dopilnuję, abyście wrócili do domu.

Krasus czuł ogromną wdzięczność. Bolało go przebywanie w towarzystwie Alexstraszy, która nie znała losu, jaki miał spotkać ją i inne smoki.

– Jestem... dziękuję.

Brązowy olbrzym popatrzył na niego z powagą.

– Wiem, co przed nią ukrywasz, co ukrywasz przed nami. To mój los i moje przekleństwo wiedzieć o takich rzeczach i nie móc im samemu zapobiec. Wiedz, że proszę cię teraz o przebaczenie za krzywdy, jakie

wyrządę ci w przyszłości, ale muszę być tym, czym muszę być... podobnie jak Malygos.

– Malygos! – zawołał Krasus, przypominając sobie o jajach ukrytych w kieszonkowym wymiarze. – Nozdormu...

– Wiem, co zrobiłeś. Oddaj je mnie, a ja przekażę je Alexstraszy. Kiedy Malygos wydobreje, dostanie swoje młode. W porównaniu ze wszystkim innym, co się wydarzyło, to niewielka zmiana w biegu wydarzeń i to taka, którą pochwalam. Błękitne smoki znów wzbiją się w niebo, choć ich liczba nie będzie duża nawet za dziesięć tysięcy lat. Ale lepsze to, niż gdyby miało ich w ogóle nie być.

Krasus pragnął też zobaczyć raz jeszcze swą ukochaną królową, ale zgodzili się, że mogłoby mu się wymknąć coś, czego nawet ona nie powinna wiedzieć. Teraz jednak, gdy razem z Rhoninem czekali na pojawienie się brązowego smoka, mag żałował, że jej nie odszukał.

Rhonin mu się przyjrzał.

– Możesz wciąż do niej pobiec. Zrozumiem.

Chuda postać pokręciła głową.

– Już wystarczająco zmieniliśmy przyszłość. Co ma być, to będzie.

– Hmm. Jesteś silniejszy ode mnie.

– Nie, Rhoninie – szepnął Krasus, kręcąc głową. – Ani trochę.

– Jesteście gotowi? – zapytał zniecierpliwiony Nozdormu.

– Od jak dawna tu jesteś? – burknął zakapturzony mag.

– Od tak dawna, jak mam ochotę. – Ograniczywszy się do takiej odpowiedzi, Nozdormu rozpostarł skrzydła. – Wespnijcie się na mnie. Zabiorę was do waszej własnej epoki.

Rhonin popatrzył z powątpiewaniem.

– Tak po prostu?

– Kiedy Studnia pożarła samą siebie, Prastarzy Bogowie zostali z powrotem odcięci. Razem z nią przestali mieć dostęp do rzeki Czasu. Zniknęły rozdarcia w materii rzeczywistości. Droga naprzód jest teraz dosyć prosta... dla mnie...

Rhonin podniósł z ziemi topór Broxa.

– A co *to* tutaj robi? – zapytał Aspekt.

Obaj czarodzieje popatrzyli na niego wyzywająco.

– Zabieramy go ze sobą – upierał się Krasus. – Albo zostajemy i robimy jeszcze większe zamieszanie.

– W takim razie zabierzcie go ze sobą.

Szybko wspięli się na jego grzbiet, ale kiedy to robili, Krasus zauważył dwie postacie ukryte w lesie. Natychmiast wyczuł, kto to jest.

– Nozdormu...

– Tak, tak, druid i kapłanka. Wiedziałem przez cały czas. Wyjdźcie z ukrycia i pożegnajcie się, skoro musicie! Musimy lecieć!

Choć Aspekt nie przejął się zbyt ich obecnością, Krasus poczuł się nieswojo.

– Słyszeliście...

– Słyszeliśmy wszystko – przerwał mu Malfurion. – Co nie oznacza, że wszystko rozumiemy.

Mag kiwnął głową.

– Wiedźcie jedno. Jeszcze się spotkamy.

– Nasz lud przetrwa? – zapytała Tyrande.

Mag długo ważył słowa.

– Tak, a świat skorzysta na tym. A teraz mówię: żegnajcie.

Rhonin wzniosł topór Broxa w pożegnalnym geście.

Nozdormu znów rozpostarł skrzydła. Nocne elfy natychmiast się cofnęły. Wyciągnęły ręce do dwójki przybyszów.

Ale zanim zdążyły... smok i jego jeźdźcy po prostu znikli.

DWADZIEŚCIA TRZY



Rhonin obudził się i stwierdził, że leży w trawie. W pierwszej chwili wystraszył się, że coś poszło nie tak, ale gdy usiadł, jego oczom ukazał się znajomy i jakże upragniony widok.

Dom. Jego dom.

Wrócił do domu.

Co istotniejsze, wypatrzył Jalię, mieszczkę, która opiekowała się Vereesą podczas ciąży. Wydawała się być w dobrym humorze, zaaferowana, acz radosna. Rhonin spróbował policzyć, ile czasu minęło od jego zniknięcia, ale bezskutecznie. Zastanawiał się, w jakim wieku są już dzieci.

Nagle, ku swemu przerażeniu, usłyszał krzyk Vereesy:

– Jalia! Szybko!

Bez wahania zerwał się na równe nogi i pobiegł za kobietą która jak na tak pulchną osobę poruszała się nader zwawo. Zniknęła w drzwiach, gdy rozległ się kolejny krzyk Vereesy.

Czarodziej wpadł do środka chwilę później, gotowy bronić swej małżonki i dzieci. Rozejrzał się, spodziewając się zobaczyć rabusiów albo podpalaczy, ale wszystko było na swoim miejscu.

– Vereeso! Vereeso?

– Rhonin! Chwała niech będzie Sunwell! Tutaj!

Pobiegł do sypialni, bojąc się tego, co tam zastanie. Jęk, który usłyszał, sprawił, że włoski na karku stanęły mu dęba.

– Vereeso! – Rhonin wpadł do środka. – Bliźnięta! Czy one...

– Rodzę!

Rhonin wytrzeszczył oczy. Jego żona leżała w łóżku, wciąż w wysokiej ciąży... ale już niedługo.

– Jak... – zaczął, ale Jalia odepchnęła go na bok.

– Skoro nie wiecie jak, lepiej się odsuńcie i pozwólcie mnie się tym zająć, mistrzu Rhoninie!

Czarodziej nie miał zamiaru się spierać. Oparł się o ścianę, gotowy pomóc w razie potrzeby, ale szybko się przekonał, że Jalia i Vereesa świetnie sobie radzą.

– Rodzi się pierwsze! – oznajmiła Vereesa.

Patrząc i czekając, Rhonin myślał o tych wszystkich niezwykłych wydarzeniach, w których brał niedawno udział. Podróżował w czasie, przeżył pierwszą inwazję Płonącego Legionu i pomógł ocalić świat oraz przyszłość.

Ale żadna z tych rzeczy, o czym się właśnie przekonał, nie mogła się równać z cudem, jakiego był teraz świadkiem... i właśnie za to był wdzięczny.



W tym samym czasie, wiele wieków wcześniej, Jarod Shadowsong przewodniczył zgromadzeniu o wiele bardziej posępnemu niż to na wyspie. Przedstawiciele dowództwa armii i sprzymierzonych ras byli gotowi wysłuchać wyroku.

Żołnierze doprowadzili podsądnego. Usta miał zakneblowane szmatą a ręce odgięte w tył i zakute w kajdany, co uniemożliwiało mu gestykulowanie. Niewidzialne zaklęcia rzucone przez Malfuriona i innych miały zagwarantować, że nie powtórzy się już straszliwy incydent, który miał miejsce nad jeziorem.

Kiedy Illidan stanął w środku kręgu utworzonego przez swych oskarżycieli, wbił aroganckie spojrzenie zakrytych szarfą oczu w postać przed sobą. Jeden z żołnierzy usunął ostrożnie knebel.

– Illidanie Stormrage – zaczął Jarod głosem, który nie pasował już zupełnie do prostego kapitana gwardii, którym kiedyś był. – Wielokrotnie stawiałeś mężnie u boku walczących ze złem, które wdarło się do naszego świata, lecz, niestety, zbyt wiele razy udowodniłeś, że stanowisz zagrożenie dla swojego własnego ludu!

– Zagrożenie? Tylko ja mam trzeźwy ogląd sytuacji! Chciałem zadbać o naszą przyszłość! Ratowałem naszą rasę! Ja...

– Zaatakowałeś tych, którzy mieli odmienne zdanie i odtworzyłeś to, co powinno ulec zapomnieniu!

Illidan splunął.

– Wszyscy będziecie się do mnie modlić jak do boga, gdy demony powrócą! Wiem, jak myślą, jak działają! Następnym razem nie dadzą się przepędzić! Będziecie musieli z nimi walczyć na ich własnych warunkach! Tylko ja posiadam wiedzę...

– Wiedzę, której nie potrzebujemy. – Jarod rozejrzał się, jak gdyby kogoś szukał. Kiedy go nie znalazł, przywódca nocnych elfów westchnął i

podjął: – Illidanie Stormrage, ponieważ obowiązek ten spadł na mnie, przychodzi mi do głowy tylko jedna rzecz, jaką możemy z tobą zrobić! Z bólem oświadczam, że zostaniesz uśmiercony...

– Cóż za oryginalność – zadrwił czarodziej.

– Uśmiercony w sposób...

– Jarodzie... wybac mi spóźnienie – przerwał mu ktoś zza pleców Illidana. – Mogę coś jeszcze powiedzieć?

Opancerzony nocny elf skinął głową niemal z wdzięcznością.

– Ta decyzja jest tak samo moja, jak i twoja.

Malfurion obszedł brata i stanął między nim a żołnierzem.

– Przykro mi, Illidanie.

– Ha!

– Co takiego chcesz powiedzieć, mistrzu Malfurionie? – ponaglił go Jarod.

– Jest trochę prawdy w tym, co mój brat mówi o Płonącym Legionie. Demony mogą powrócić.

– I dlatego chcesz, żebyśmy zapomnieli o jego występkach i zagrożeniu, jakie stwarza?

Druid potrząsnął rogatą głową.

– Nie.

Spojrzał na bliźniaka, swoją drugą połowę, a potem na Tyrande, która stała na skraju kręgu z Maiev i Shandris. Była przy jego boku cały czas, gdy przetrawiał to, co musiał zrobić. Wysoka kapłanka popierała jego decyzję, ale nawet to nie było w stanie uśmierzyć jego bólu.

– Nie, Jarodzie – powtórzył Malfurion, zbierając się na odwagę. – Nie. Chcę, żebyś go uwięził... nawet jeśli oznacza to dziesięć tysięcy lat niewoli... jeśli będzie to konieczne...

Gdy wśród zebranych podniosły się zdumione szepty, Malfurion zamknął oczy i spróbował się uspokoić. Od kiedy poznał prawdę o Krasusie i Rhoninie, miał pewne podejrzenia co do przyszłości. Druid modlił się, by podjęta przez niego decyzja była właściwa.

Tylko przyszłość mogła to potwierdzić...

I w końcu...

Thrall nie miał żadnych wieści od dwóch orków, których wysłał w góry, aby zbadali wizję szamana. Mogli wciąż szukać anomalii, ale wódz orków przypuszczał, że prawda była o wiele gorsza. Żaden dobry władca, nawet jego rasy, nie lubił wysyłać wiernych wojowników na śmierć, jeśli nic z tego nie wynikało.

Zapadła noc i większość jego poddanych była pogrążona w głębokim śnie. Tylko on i strażnicy na zewnątrz nie spali. Thrall powinien był spać, ale od dnia, w którym pożegnał Broxa i Gaskalę, niepokój, jaki budziła w nim ich wyprawa, narastał.

Pochodnie zamigotały, cienie zatańczyły jak żywe. Thrall nie zwracał na nie uwagi, dopóki nagle nie zauważył, że jeden z nich jest nieruchomy.

Ork natychmiast zerwał się z kamiennego tronu.

– Kto się ośmielił?

Ale zamiast skrytobójcy – a tych nigdy nie brakowało – ruszył ku niemu, powłócząc nogami, pomarszczony ork w wilczych skórach niosący totem z wyrzeźbionym smoczym łbem.

– Witaj Thrallu! – zawołała postać zaskakująco mocnym głosem. – Witaj wybawicielu orków!

– Kim jesteś? Nie jesteś Kalmarem! – warknął Thrall, mając na myśli szamana.

– Przynoszę wieści... wieści o mężnym wojowniku Broxigarze.

– Broksie? Co z nim? Mów!

– Wojownik nie żyje... ale zanim zginął, posłał na śmierć wielu wrogów! Znów walczył z Legionem i zabił tyle demonów, że wyliczenie ich zajęłoby cały dzień!

– Legionem? – Ziściły się najgorsze obawy orka. – Gdzie? Powiedz mi, żebym mógł zwołać wojowników i stanąć do walki!

Prawie łysy starzec potrząsnął głową i obdarzył Thralla bezzębnym uśmiechem.

– Nie ma już demonów! Broxigar i jego towarzysze pokonali Legion, i to twój wojownik stanął znów w pojedynkę, aby bronić przesmyku, choć przyszło mu zmierzyć się z ich panem! – Przybysz skinął z szacunkiem głową. – Śpiewajcie o nim pieśni, wielki Thrallu, bo był jednym z tych, którzy ocalili dla was świat...

Młodszy ork milczał przez chwilę, a potem zapytał:

– To prawda? Wszystko, co powiedziałaś?

– Tak... przynoszę też to, jedyną pamiątkę po bohaterze. – Pomimo pozornego zniedołężnienia szaman wyciągnął przed siebie ogromny topór o podwójnym ostrzu. Thrall zamrugał. Dziwne, ale nie dostrzegł go wcześniej.

– Pierwszy raz taki widzę.

– To oręż będący dziełem pierwszego druida, utworzony magią ducha lasu. Specjalnie dla Broxa.

– Zajmie zaszczytne miejsce – wyszeptał Thrall, odbierając go delikatnie z rąk zgarbionej postaci. Przyjrzał mu się z podziwem. Lekki jak piórko i drewniany od trzonka po głównię – nawet ostrze było z drewna – ale bez wątpienia zabójczy. – Jakim cudem dostał się...

Ale szaman nie dopowiedział... bo już go nie było.

Thrall stęknął i pobiegł ku wyjściu. Instynktownie chwycił topór, zdjęty nagle obawą, że wszystko to było jakimś pokrętnym spiskiem w celu zlikwidowania go.

Stanął przed dwoma strażnikami strzegącymi wejścia do komnaty tronowej.

– Gdzie on jest? Gdzie starzec?

– Nikogo tu nie było! – odpowiedział szybko starszy rangą strażnik.

Thrall minął ich z pełnym frustracji warknięciem. Wybiegł na otwartą przestrzeń. Księżyc w pełni dobrze oświetlał okolicę, ale mimo to władca orków nikogo nie zobaczył.

Dopóki nie spojrzał przypadkiem na księżyc.

Na jego tle dostrzegł wielki skrzydlaty kształt, który przemknął przez jasną tarczę i zniknął w mroku nocy.

Czerwony smok.



Krasus/Korialstrasz zawrócił ku kryjówce własnego stada. Rhonin był ze swoją Vereesą, a dzięki smokowi dziedzictwo męznego Broxa zostało przekazane orkom.

Teraz przyszła kolej na niego, by powrócić do domu... i przekonać się, co przyniesie przyszłość.

KONIEC!!!